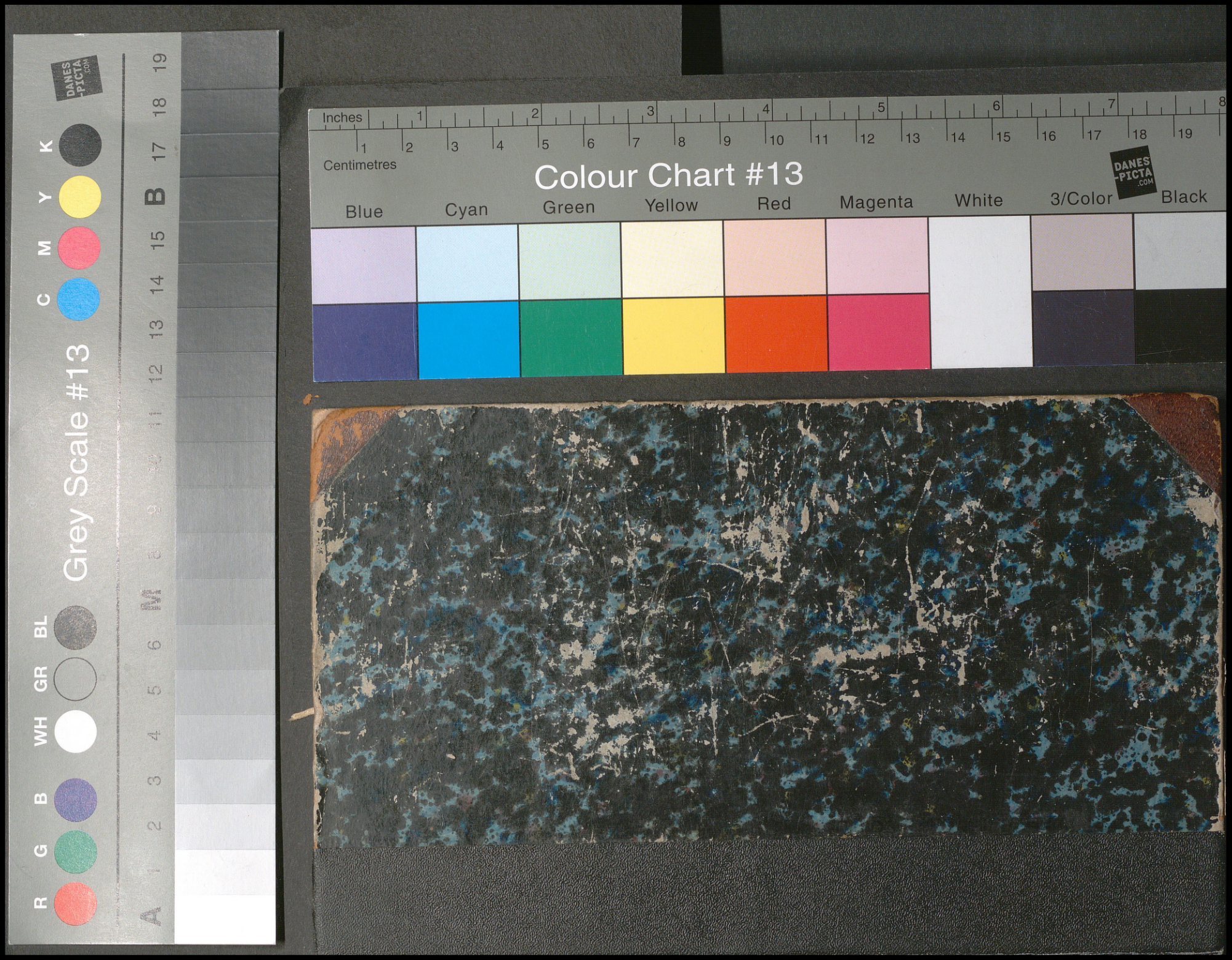
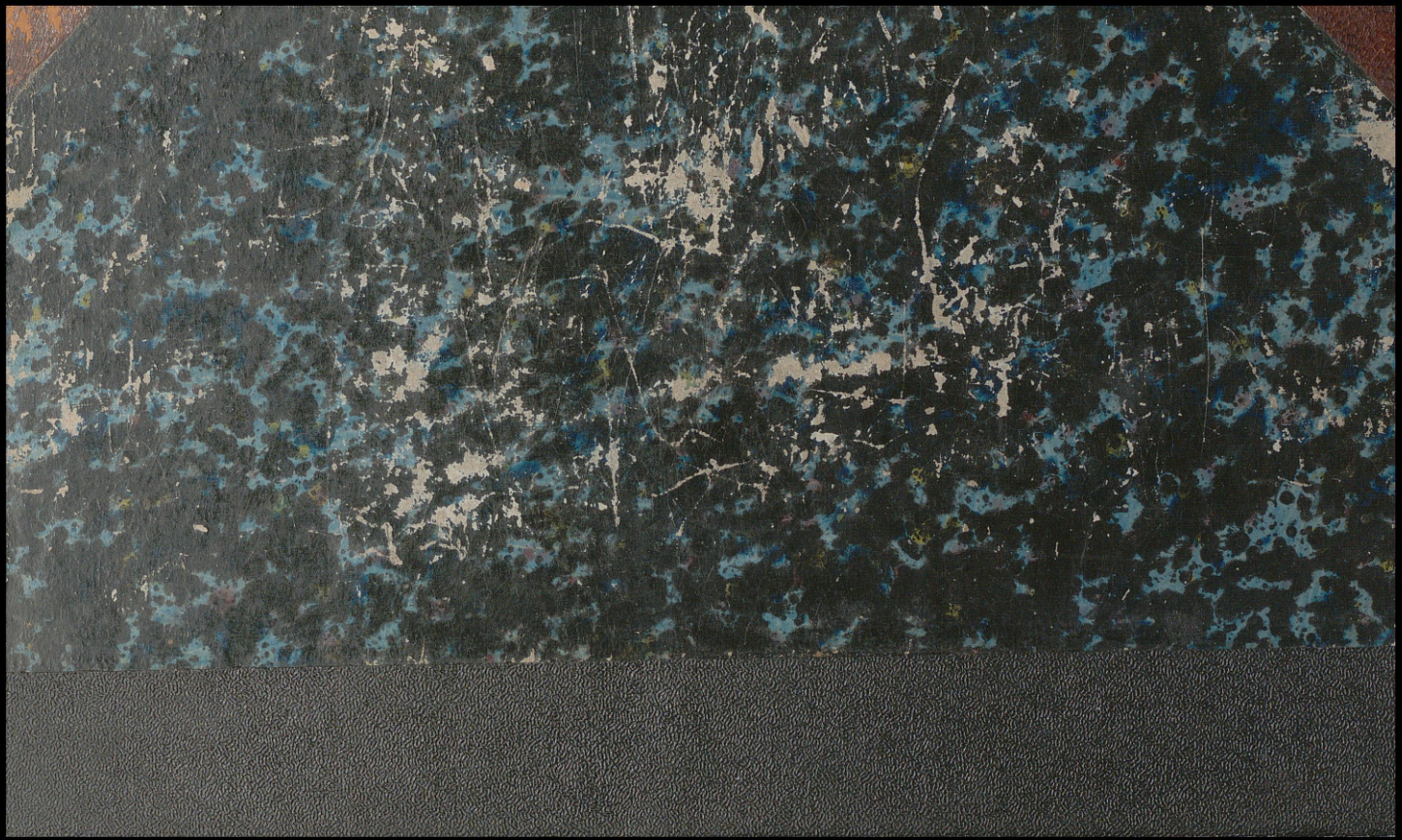

Grey Scale #13
R G B WH GR BL C M Y K
Colour Chart #13
Inches
Centimetres
Blue
Cyan
Green
Yellow
Red
Magenta
White
3/Color
Black
DANES-PICTA.COM



ZNAKOMICI MĘŻOWIE

POLSCY

W XVIII WIEKU

TOM I.

ZNAKOMICI MĘŻOWIE

POLSCY

W XVIII WIEKU.

WIZERUNKI HISTORYCZNYCH OSÓB ŚKRESLONE

PRZEZ

Juljana Bartoszewicza.

TOM I.

PETERSBURG.

NAKŁADEM B. M. WOLFFA.

1855.

WOLNO DRUKOWAĆ

z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanéj liczby exemplarzy. — W Warszawie dnia $\frac{1}{13}$ Listopada 1851. r.

Starszy Cenzor. *L. T. Tripplin.*



CZCIONKAMI EDWARDA WEJMARA.

BISKUP NARUSZEWICZ.

Historyczna postać Naruszewicza uderza prawdziwą wielkością. Jeden z najwięcéj znakomitych przedstawicieli swojego społeczeństwa, Biskup Łucki, położył wielkie zasługi dla dobra ogólnego. Naruszewicz był poetą, jak mało takich poetów za czasów Stanisława Augusta, był literatem rozgłośnéj sławy, był obywatelem, biskupem, członkiem najwyższych magistratur w kraju, a prócz tych wszystkich praw do pamięci naszéj, był jeszcze historykiem narodu, pierwszym historykiem godnym tego nazwiska, od czasów Piasta Kołodzieja, pierwszym do dziś dnia krytycznym pisarzem dziejów.

Wiele też o Naruszewiczu pisali literaci nasi, więcéj może jak o Krasickim, chociaż Krasicki był właściwie koryfeuszem piśmiennictwa za panowania Poniatowskiego. Naruszewicza dzieła rozbierali, oceniali jego wartość i znaczenie w literaturze i jak poety i jak historyka. My także w inném miejscu damy przegląd prac jego, zwłaszcza dziejowych, bo te właśnie najwięcéj dają prawa Na-

ruszewiczowi do sławy. Teraz przedstawim szereg faktów, które nam objaśniają życie znakomitego człowieka. Ludzi takich, jak Naruszewicz, interesują nas błędy i nawyknienia, słabości i nałogi, i te wszystkie drobne okoliczności życia, które się wiją koło nas, jak chleb powszedni. Nikt też, do dziś dnia jeszcze obszerniejszego życiorysu Naruszewicza nie skreślił, a wszystko, co o nim wiemy, to ledwo zajmuje kilka stronnic z *wyboru* Mostowskiego, i to jedno wciąż powtarzano, przy każdém wydaniu dzieł Naruszewicza; myśmy zatém zbierali skrzętnie wiadomości o znakomitym człowieku.

Podług dawnych litewskich podań, rodzina Naruszewiczów pochodziła w prostéj linji od Montygierda, jednego z synów Olgierdowych. Piotr Montygierdowicz na sejmie horodelskim, przyjął za barwę rodzinną herb polski Wadwicz, a najmłodszy syn tego Piotra, Narusz, szeroko rozplemił imię swoje, które stało się znakomitém i historyczném imieniem na Litwie.

Byli Naruszewiczowie kanclerzami, podskarbiemi, i hetmanami. Zasiadali w senacie na kasztelańskich i wojewodzińskich krzesłach. Związki familijne łączyły ich z wielu dawnemi i znakomitemi rodzinami. Sami żenili się z księżniczkami ze Zbaraża i Ostroga, a córki swoje wydawali za Wiśniowieckich kniaziów i za Tyszkiewiczów. Ale jak to w dawnéj Polsce było nie nowiną, podupadł i ród Naruszewiczów.

Zdarzało się w Polsce i to nie raz, że syn prostego szlachcica, najwyższych w Rzpltéj dostępował godności, a rodziny magnackie schodziły pomiędzy szeregi prostéj za-

gonowéj szlachty. Bo u nas zasługa dla kraju nadawała jedynie prawo do wdzięczności powszechnéj. Nie dosyć było zapracować na sławę swojego imienia, ale tę sławę trzeba jeszcze było utrzymać przez kilka pokoleń. Kto przodków zasług w dawnéj Rzpltéj nie ozdobił jeszcze własną zasługą, ten podług wyrażenia się Trembeckiego, ze szczytu pychy, wracał między gminne rzędy.

Naruszewiczowie byli właśnie taką podupadłą rodziną na Litwie, pod koniec XVII stulecia i za panowania Sasów. Najświetniejsza epoka ich sławy przypadła na czasy królów szwedzkiego rodu. Wtedy świecili oni mądrością, zasługami, sławą niepokalaną. Wtenczas krążyli w gronie rodzin znakomitych. Ale kiedy liczne potomstwo Naruszewiczów zaczęło tworzyć rozmaite stopnie i dzielnice w rodzinie, kiedy wspólna sława na wiele głów rozłożyć się miała, a majątki i bogactwa poszły w podział, podupadli dawni dziedzice imienia Montygierdów. Imie Naruszewiczów znika nagle z kronik i z dziejów, i z magnackiego staje się po prostu tylko szlacheckiém. Dawniéj piastowali buławy, dzisiaj powiatowe tylko urzędy; dawniéj zasiadali na sejmach, dzisiaj na sejmikach tylko; dawniéj zwracali na siebie uwagę Rzpltéj, dzisiaj tylko jednéj ziemi albo województwa, którego zostali obywatelami. W skutek tego i stosunki rodzinne zmieniają się. Naruszewiczowie już nie bogaci, nie biorą za żony księżniczek, ale proste szlachcianki. Zostały im tylko wspomnienia po wielkich przodkach, bo z resztą serce się ich wcale nie zmieniło: tchnie zawsze przywiązaniem dla kraju i dla rodziny. Adam Naruszewicz był synem takiéj rodziny, podupadłéj na majątku i znaczeniu,

ale bardzo historycznéj na Litwie. Ostatni w jego linji senator, był Mikołaj, kasztelan Żmudzki, za czasów Zygmunta III. Dzieci Mikołaja, osiadły na pińskich błotach w województwie Brzeskiém i już tylko w swoim powiecie służyły Rzpltéj i obywatelstwu. Szlachta też okoliczna i królowie umieli oceniać te usługi. Podnosili Naruszewiczów na urzędy w Pińskim powiecie, albo w ziemiach litewskich. Jeden z przodków Adama był sędzią ziemskim, drugi skarbnikiem pińskim. Syn skarbnika nosił późniéj zapomnianą godność podkanclerzego Inflant, a wnuk był podczaszym oszmiańskim. Tak, kiedy arystokratyczna linja Naruszewiczów wygasła i przeszła przez żeńską linję w domy książąt Wiśniowieckich i Zamojskich, linja ich druga szlachecka, uwieczniła się w pińskiéj ziemi i wiodąc ród ciągły, chociaż nieznakomity, pośród błot ojczystych i rzeczek na Polesiu, zabłysła nareszcie jedną wielkością, co dawnéj sławie domu sprostała, a nawet rzuciła na nią odblask, kto wié, czy nie najświetniejszy, odblask nowego rodzaju zasługi, bo przy obywatelstwie, uroku literackiego imienia. Adam Naruszewicz był jednym z najuczeńszych ludzi za panowania Stanisława Augusta. Był to jeszcze mąż wpływu, człowiek cnoty nieskażonéj.

Wspomniany wyżéj podczaszy oszmiański, imieniem Piotr, był dziadkiem Adama. Ojciec zaś nazywał się Jerzy. Był łowczym pińskim. Matka pochodziła z dawnego, chociaż także podupadłego domu Abrahamowiczów.

Adam Stanisław Naruszewicz urodził się z Jerzego i Pauliny, dnia 20 października 1733, może w Pińsku, w stołecz-

ném mieście swojéj rodzinnéj ziemi. O piętnaście miesięcy był starszy od Krasickiego. *)

Dziecinne lata spędził pod bokiem rodziców na Polesiu. Zdolności wrodzone rozwinęły się w nim żywo, a serce dziecinne pozostało tkliwe na wrażania. Stąd w Naruszewiczu wykształcało się mocno przywiązanie do miejsc rodzinnych. Późniéj już, w pełni będąc życia, połączony z dworem i całą arystokracją rodu albo rozumu Rzpltéj, Na-

*) Sam Naruszewicz ułożył swój rodowód bardzo ciekawy, który z rękopismów po nim pozostałych, wydrukował A. E. Koźmian, w Wyciągach Piotrowickich poszyt 1, str. 54. Chciał biskup dowieść kilku pięknym paniom swojego czasu, że jest z niemi w powinowactwie i dla tego rodowód ten ułożył. Przytaczamy go z Koźmiana, bo objaśnia pewne stosunki i daje wyobrażenie o dawnych Naruszewiczach.

Paweł Naruszewicz Pisarz W. L. (1517).
Stanisław Kasztelan Smoleński (1598).
Barbara Tyszkiewiczowa Wojewodzina Wileńska.
Eugenia Xiężna Wiśniowiecka Koniusz. Kor.
Konstanty Wiśniowiecki Wojewoda Bełzki.
Michał Wiśniowiecki Wojewoda Wileński (zm. 1744).
Elżbieta Zamojska Wojewodzina Smoleńska.
Katarzyna Mniszchowa Podkomorzyna Koron.
Elżbieta Dąbska (umarła 1767 r. w Toruniu).
Anna Mniewska Kaszt. Kujawska (nar. 1767).
Mikołaj, Podskarbi W. K. (um. 1574).
Mikołaj, Kaszt. Żmudzki (1606)
Piotr, Sędzia Ziems. Piński.
Krzysztof, Skarbnik Piński.
Franciszek, Podkanclerzy Inflant.
Piotr, Podczaszy Oszmiański.
Jerzy, Łowczy Piński.
Adam, Biskup Łucki.

ruszewicz nie mógł tak łatwo zapomnąć stron, w których ujrzał światło dzienne, i ze stolicy tęsknił nie raz do topielisk rodzinnego ustronia i do powabów wiejskiego życia. Tam, na wsi, wszystkie były jego pamiątki, tam całe jego dzieciństwo spłynęło łagodnie, jak strumień do rzeki. Tęsknota jednak i te chwile jego dzieciństwa zamroczyła. Jakoś w nie długim czasie, jedno po drugiem, umarł ojciec i matka, zostawiając na ziemi dwoje biednych sierot. Adam był wprawdzie starszy o lat dziesięć od swojego brata Stanisława, ale tak jeszcze młody, że nie mógł sobą rządzić i utrzymać świetność rodziny Naruszewiczów. W dzieciństwie zatém obadwaj bracia przeszli na łaskę dalszych krewnych. Niebogaci, po klasztorach tułać się musieli, i zarabiać pracą na chleb doczesny żywota.

Starszy Adam, już w piętnastym roku życia ukończył nauki w stolicy swojéj ziemi. Jezuici w Pińsku uczyli młodzież litewską. Poznawszy zdolności młodego Naruszewicza, potrafili go wciągnąć do swego zakonu. Za życia jeszcze pobożnym rodzicom wskazali na świętobliwy zawód i świetną przyszłość syna, a synowi powiadali, że kształcić się daléj powinien w naukach, a będzie chlubą kraju i rodziny, bo przypomni znowu Rzpltéj dawnych Naruszewiczów. Młodzieniec słuchał z zajęciem swoich nauczycieli, i uczuł jakieś drżenie w sercu, przeczucie dziwne, bo dusza jego gwałtem rwała się w świat nowy, zaczarowany, w świat nauki i przyszłéj sławy, a zdawało się biednemu dziecku, że li tylko jezuici posiadają tajemnicę jakimby sposobem spełnić można jego marzenia i nadzieję, bo zakon jezuicki jest ogniskiem światła na całéj ziemi. Nie dosyć na tém;

Naruszewicz był ubogim, i mimo zdolności swoich, nie mógł wejść na drogę do któréj tęsknił, bo do podróży potrzeba mu było materyalnych zasobów, a dostarczyć mu ich nie mogli krewni podupadli na majątku. Nie wahał się zatém długo i w r. 1748 wstąpił do zakonu jezuickiego, zdaje się także w Pińsku.

Kiedy chęć do pracy coraz więcéj rozwijać się w nim zaczęła, pomiarkowali jezuici, że nakłady ich na młodego człowieka nie będą nadaremne. Widzieli, że z jego usiłowań będzie mógł zakon zbierać owoce. A właśnie w tenczas żywo krzątali się jezuici około poprawy instrukcyi w swoich szkołach, bo Konarski pijar uprzedził ich ze swoim konwiktem szlacheckim i zyskał tak niespodziewane powodzenie w narodzie, że przeląkł się przyszłego wpływu pijarskich szkół przeważny zakon Lojoli. Polscy jezuici powzięli zatém myśl bardzo piękną, żeby dorównać Konarskiemu i postanowili zdolniejszą swoją młodzież zakonną wysyłać za granicę do kollegiów i akademji, które posiadali w Niemczech, albo we Francyi. Naruszewicz jakby naumyślnie wszedł do zgromadzenia, żeby go kiedyś uświetnił. Wyprawiali jezuici swoich uczniów własnym kosztem do Wiednia, do Paryża, do kollegiów Włoskich. W podziale Naruszewiczowi dostał się Lyon. Starszyzna zakonna za cel podróży wskazała mu to miasto środkowéj Francyi, sławne i bogate, bo tam jedno z najpiękniejszych swoich kollegiów posiadali jezuici.

W lat kilka zatém po wstąpieniu do nowicyatu, jechał łowczyc piński na długą podróż naukową. Nie mamy szczegółów o pobycie Naruszewicza w tamtych stronach, tak

bardzo od rodzinnéj jego ziemi i podań odległych. A szkoda, szczegóły te były by ciekawe: mybyśmy chcieli wiedzieć, jak się uczył i czego, przyszły dziejopis. W Lyonie musiał często mieć gości z Polski i Litwy, bo wtedy cała młodzież polska i wszystko, co tylko nowe przeczuwało życie, śpieszyło do Francyi, gdzie w Lotaryngji, filozof *dobroczynny* rozrzucał dobrodziejstwa i przykładem swoim działał na młode pokolenia swego kraju. Czy ten wpływ zbawienny był? inne to pytanie. Sielankowy Król, Stanisław Leszczyński widział wtedy całe zbawienie Rzpltéj w przyjęciu przez nią kształtów społecznych Francyi, które idealizował. Do Polski więc rzucał swoje zasady i pobożne westchnienia, które się na nic nie zdały, czasem i dobrodziejstwami obsypał jakie młode polskie pachole, ale zresztą cały oddany dla Francyi, dla jéj sławy, znaczenia, wielkości, nie zapomniał nigdy, że córka jego Królową i żoną była Ludwika XV, który nastąpił po Ludwiku XIV. Od córki brał Leszczyński swoją świetność, raziły ojca promienie téj gwiazdy. I nie dziw: prosty szlachcic polski, widząc córkę swoją na tronie najpierwszym Europy — olśnił się jéj blaskiem i pięknością.

Polacy biegli jednak z nad Wisły, Litwini z nad Niemna do Lotaryngji. Król jednał ich serca nieszczęściami swojemi, a jednak Król ten był zupełnie szczęśliwy. W podróżach swoich do Nancy, Polacy zazwyczaj zwiedzali całą Francyę: Paryż, Wersal, Lyon, Marsylję. Dla tego powiadamy, Naruszewicz musiał mieć częstych gości, kiedy bawił w Lyonie. Ale czy sam był kiedy w Nancy, żeby zobaczyć Stanisława Leszczyńskiego, — nie możem powiedzieć.

Zależał od zwierzchności zakonnéj i nie serce, — ale wola zgromadzenia kierowała wtedy wszechwładnie młodzieńcem.

Kiedy z Lyonu wrócił na Litwę, po kilkoletnim za granicą pobycie, Naruszewicz był jeszcze dzieckiem prawie, bo niemiał spełna lat dwudziestu. Inni w tych dniach młodości ledwo zaczynają swoją edukację; młody jezuita już ją ukończył, przetrawił w sobie nauki zakonne i zwiedził już kawał Europy. Zwierzchność zgromadzenia użyła go też zaraz do pracy. Naruszewicz umieszczony został na posadzie nauczyciela języka łacińskiego w Akademji Wileńskiéj. Było czterech podobnych jemu nauczycieli; jeden z nich, Marcin Poczobut, zasłynął także późniéj w dziejach krajowéj literatury rozległą nauką i zdolnościami. Zresztą i nawet pomiędzy professorami nie miała wtenczas akademja Wileńska w swojém gronie ludzi znakomitych i zasłużonych dla piśmiennictwa, albo w ogóle dla oświaty. Z liczby professorów ówczesnych, dwóch tylko może, co zwracało uwagę Rzpltéj przez swoje prace; jeden z nich, to Stanisław Rostowski, szanowny kronikarz zakonu, a drugi Michał Korycki, sławny poeta łaciński swojego czasu. Naruszewicz sprawował w akademji za swoim przyjazdem, obowiązki niby lektora po dzisiejszych uniwersytetach. Na stopniu najniższym stojąc wtedy w zawodzie nauczycielskim, ściągał już przecie na siebie oczy światlejszych pod owe czasy mężów w narodzie, i ksiądz Janocki policzył Naruszewicza do uczeńszych żyjących z nim spółcześnie Polaków *).

*) Janocki, Lexicon der itzlebenden gelehrten Pohlen. Tom 2, str. 71 pod r. 1754. Patrz także Skład Uniwersytetu Wileńskiego z r. 1755 w Jocherze, Obraz bibliogr. hist. lit. pols. t. 1, str. 371.

Epoka ta przypadła dla naszego jezuity, na lata 1754 i 1755.

Chlubne to zapewne było od samego początku powołanie Naruszewicza, pracować w téj akademji Wileńskiéj, w któréj już tylu pracowało sławnych dostojników zakonu, a pomiędzy nimi Warszewicki, Skarga, Sarbiewski, Kojałowicz. Młody nauczyciel podwoił usiłowań. Kanclerz uniwersytetu, biskup Zienkowicz, zwrócił na niego uwagę, a starszyzna zakonna, budowała wielkie nadzieje na młodzieńcu. Naturalnie jednało to wszystko Naruszewiczowi przyjaciół, i rozszerzało znakomicie jego stosunki.

I widać, że tą ciągłą pracą swoją, zdolnościami i nauką, usprawiedliwiał młody zakonnik zaufanie, jakie w nim położyli przełożeni, kiedy potrafili mu nowego wynaleść dobroczyńcę. Był wtedy na Litwie pan znakomity, człowiek wielkiego rozumu, niezmiernych wiadomości, prawdziwy mąż stanu, bystrém okiem głęboko zaglądający w przyszłość. Czuł potrzebę nowego życia, i dla tego, za każdą sposobnością starał się działać na młode pokolenia. Pan ten był opiekunem zdolności. Nie zważał na wydatki, a każdą zdolność garnął do siebie i ogniem swoich piersi rozpalał, chciał przez młodych ludzi być apostołem reformy politycznéj. Mówimy o księciu Fryderyku Michale Czartoryskim, Kanclerzu W. L.

Jezuici trafili do księcia i przedstawili mu, że Naruszewicz jest młodzieńcem pełnym nadziei. Kanclerz Lit. postanowił zatém i nową gwiazdkę wziąść pod swoją opiekę. Posłał mu więc pieniądze, i wyprawił w drugą podróż po Europie. Młody Naruszewicz zbogacony tak niespodziewa-

nym darem, opuściwszy akademją Wileńską, objeżdżał teraz po kolei Włochy i Niemcy. Z miasta przenosił się do miasta, gdzie tylko słyszał o sławnych akademiach i o uczonych professorach. W podróży téj zaczepiał nie raz i o Francyę, boć jéj nie znał jeszcze, chyba Lyon i jego okolice. Wszędzie czerpał skarby wiadomości, i pracował z zapałem młodzieńczym. W Lyonie, nauka jego zakonną była, — teraz w téj podróży miała się przeistoczyć w naukę wszechstronną, światową. Książe kanclerz dosyłał mu ciągle pieniądze i obiecywał jeszcze. Naruszewicz tak lat kilka przepędził za granicą. Jeżeli ówczesna skołowacona nauka Europy, nie rozwinęła tworczych zdolności Naruszewicza, to przynajmniéj podróż ta dała mu doświadczenia i ustaliła jego charakter, dała mu poznać ludzi i dużo wiadomości wrzuciła w głowę młodzieńca, który miał stać się sławą rodzinnéj ziemi.

Zbogacony nauką, Naruszewicz objął teraz nowe obowiązki w akademji Wileńskiéj, bo z woli starszych otrzymał katedrę poetyki, i miał wykładać wychowańcom zakonu naukę stylu a razem i dziejów literatury. Bo professor poetyki wykład tych nauk łączył wtenczas ściśle z teoryą pisania rymów. Widać o zdolnościach młodego professora w tym zawodzie przekonało się zgromadzenie. Był to czas właśnie, kiedy zorza reformy literackiéj dopiéro co wschodzić zaczęła, a Naruszewicz odebrał całe swoje wychowanie za epoki dawnego jeszcze stylu, to jest panegiryków nadętych, i mów łaciną i cytacjami naszpikowanych, które raziły tylko pstrocizną wymowy i słów igraszką, ale nie potrafiły zdobyć się na myśl wyższą, na szlachet-

niejsze uczucie. Młody professor wciągnął się powoli w tę ligę literatów, co dowcip cały zasadzali na uprzedzeniach dawnych, a przesadzając dziwacznie, sądzili że są Cyceronami. Z téj wady całe swoje życie Naruszewicz otrząsnąć się nie mógł, i później nawet już, kiedy stanął w rzędzie ludzi, prawdziwych przedstawicieli obudzającéj myśli, kiedy należał do najznakomitszych literatów za czasów Poniatowskiego, zawsze w jego rymach odzywała się *gromowładna* niebios potęga, i widział jak po *kwiatopłodnéj* ziemi płynęły *zbożopławne* rzeki i przechodził się starzec *łokciobrody*, przebrzękiwając na *złotogwarnéj* lutni *muzopłynnemi rymopisami*, jak czas *skrzydłoruchy* i *życiowrotny* uchodzi.

Ale prócz téj nadętości wyrażenia w pojedyńczych słowach, nie było już w Naruszewiczu nadętości saméj wymowy i zwrotów tak nienaturalnych, jaką się odznaczała epoka przed-Konarskiego. Język wyłamywał się powoli z pod oków makaronizmu, i odzyskiwał dawną czystość. To był już krok pierwszy ku lepszemu. Reszty dokonać miało przesilenie umysłowe, które już wolnym krokiem zbliżało się dla społeczeństwa polskiego.

Nie długo Naruszewicz pozostał w Wilnie, bo zakon chcąc się popisać z nim przed stolicą, przeniósł go do Warszawy na stałe mieszkanie, i obowiązki nauczycielskie powierzył w Kollegium Nobilium na Starém Mieście. W saméj rzeczy, w Warszawie dopiéro zaczął Naruszewicz słynąć z dowcipu i ze swoich prac literackich. Zaczął od rymów. Była to niezawodnie najbliższa droga do przyszłéj sławy. Dowcipnym nazywano wtenczas każdego, kto potrafił upleść jakie takie wierszyki z powinszowaniem naprzykład kancle-

rzowi, z powitaniem kanclerzynie, albo z pochwałą dla jakichciś pańskich kaprysów. Zdolność nazywano wtedy dowcipem; piękność wymowy, potoczystość stylu, dowcipem. Jedném słowem, w tym wyrazie dowcip, mieściło się wszystko, a uczony, poeta, historyk, badacz cudów natury, wszyscy musieli błyszczéć darami téj pięknéj władzy umysłu, która jakby ogniskiem była całéj twórczéj siły człowieka. Naruszewicz miał właśnie taki dowcip i począł probować sił swoich w nowym zawodzie. Jeden z najdawniejszych jego rymów będzie pewno wiersz, czyli raczéj oda, jak wtenczas był zwyczaj nazywać wszystkie *dowcipne poezje*, na śmierć Augusta III napisana w r. 1763.

Lutni moja! coś chwilę przed tym wdzięczne strony,
Na głośne chciała stroić serc radośnych tony i t. d.
(Lir. ks. I, oda 5).

Naruszewicz gotował wiersz na przybycie Króla do Polski i lutnię już nastroił do wesołego śpiewu, kiedy wieść nadbiegła, że umarł w Dreznie August III. Czułych więc wyrażeń tutaj pełno, a w końcu i we łzach rozpłynął się poeta. Oda była zupełnie, niepospolicie nawet dowcipną.

Biorąc z niéj miarę o innych pracach Naruszewicza na polu ówczesnego piśmiennictwa, doprawdy, że było czego powinszować literaturze polskiéj, tego nagłego postępu, jaki robiła za tchnieniem czyściejszych wyobrażeń. Język jest tak piękny, harmonijny i czysty w tym wierszu, że wtenczas mógł zachwycać całe społeczeństwo polskie prostotą i naturalnością swoją. Społeczeństwo to nie było wcale wybrydne: w formie widziało poezję, w rymach

Biblioteka Woisk. Akad. Pol.

natchnienie. Tak więc Naruszewicz zaczął się w niém kształcić na wielkiego lirycznego poetę. Jeszcze nikt wtenczas tak cudnie lutni Kochanowskich nastroić nie umiał. Literaci ówcześni nie widzieli, że w Naruszewicza odach jest tylko język śpiewaka Czarnolesia, a nie jego natchnienie. A już im zdawać się mogło w istocie, że widzą nowego po Kochanowskim wieszcza na parnasie polskim, tak zdumiał ich Naruszewicz pięknością formy i języka, jakich już od lat dawnych niewidziano. Wielka szkoda, że wtenczas nie było pism perjodycznych, tych organów, które najwięcéj zdradzają cechy umysłowego życia każdéj chwili. Wielka szkoda że wtenczas nie było i krytyki, chociaż dziecinnéj, chociaż zastosowanéj do wieku onego pojęć. W tych pismach perjodycznych, w téj krytyce, mybyśmy znaleźli nie raz zapewne imie Naruszewicza powtórzone z radością, uwieńczone tryumfem. Bo nasz poeta i Krasickiego nawet uprzedził, i sam rozpoczął nowy zwrót w rymowaniu polskiém. Pod koniec panowania w Polsce Augusta III, nie było w całéj Rzpltéj pisarza poety, który by tak dzielnie władał pięknym językiem i był w stanie tworzyć takie ody. Nikt jeszcze wtenczas nie miał tyle dowcipu, co Naruszewicz. Ale to były dopiéro zaczątki.

Społeczeństwo polskie, nie znało jednak wtenczas Naruszewicza, chociaż się już pojawił przed śmiercią Augusta, jak wszystkie prawie znakomitości literackie czasów Stanisławowskich. Dla czego? łatwo odgadnąć. Myśmy nie dawno wskazali na tę przyczynę: w stolicy Rzpltéj nie było pism perjodycznych, poświęconych literaturze, nie było organu, któryby zwiastował rodzące się życie. Konarski w dziełach

obszernych upowszechniał nowe zasady, a ludzie postępu chwytali wtenczas słowa natchnionego męża, ale zamknięci jeszcze byli w sobie. Tak i poezje Naruszewicza, jeżeli jakie wtenczas wychodziły z pod jego pióra, biegały tylko z ręki do ręki, a nie pokazywały się w druku. Wiersze te zapewne porywała ówczesna publiczność, bo dla niéj wszystko w tych rymach było nowością i przepowiednią. Nam się zdaje że i drugi wierszyk pod tytułem: *Zabawa moja* pochodzi z tego czasu. W Zabawie odmalował się Naruszewicz:

W szczupłym dowcipu zamkniony obrębie,
Mórz niezbadanych Platona nie głębię
Ani porywczéj, aż w gwiaździste progi
Z bystremi myśli puszczam teologi.
Od muz Poleskich wychowane chłopie,
Jaki mi w ręce, przy mym horoskopie,
Podały statek, tym na chleb zarabiam:
Brząkam na lutni i tak serca zbawiam.

Przyznaje się daléj Naruszewicz, że jest uczniem nieścignionego Horacego, że głowy swojéj nie suszy dumą i zawiścią, a z resztą:

Umysł spokojny i nie żądny wiela,
Doświadczonego miłość przyjaciela,
Lutnię roskoszną: to kiedy posiadam,
Gdy umiem sobą, całą ziemią władam. (Lir. I. oda 16).

Poźniéj jednakże kiedy tego przyjaciela znalazł Naruszewicz aż na stopniach tronu, zmienił wiele z téj swojéj sielskiéj natury i zapragnął na prawdę znaczenia. Brząkanie na lutni już wtedy go nie bawiło i wreszcie téj lutni zupełnie zapomniał.

Zakon jezuicki cieszył się, że znalazł w gronie swojém poetę polskiego, kiedy Pijarzy żadnego jeszcze nie mieli. A Naruszewicz nócił tymczasem wciąż dla panów, pisywał wiersze i pracował nad młodemi wychowańcami w kollegium. Naruszewicz z obowiązku wyrażał uczucia swoje w rymach, jako professor poetyki. Z tego powodu wiele stosunków zawarł z arystokracją ówczesnéj chwili, która synów swoich tłumnie oddawała do kollegium. Arystokracja ta nieprzeczuwała jeszcze w Naruszewiczu przyszłego swojego spółbrata, który ją miał zdobić. Gościem w kollegium bywał zatém nie jeden pan wojowoda, kasztelan, nie jeden książe, biskup i hetman. Gościem bywał tam często i kanclerz Litewski, dobroczyńca Naruszewicza, książe Fryderyk Michał Czartoryski i brat jego wojewoda Ruski Alexander, August i Adam, jenerał ziem podolskich, syn wojewody. Naruszewicz może przeczuwał, że ta przemożna rodzina w Rzpltéj, jak mu już ułatwiła pierwszy wstęp na świat i dała sposobność wykształcenia się naukowego, tak może i późniéj, w dalszéj drodze życia, pomódz mu zechce radą i czynem. Prawdziwą zatém wdzięcznością przywiązał się do Czartoryskich. I jeżeli komu wtedy nócił, to książętom z Klewania śpiewał najwięcéj. I Czartoryscy postanowili téż wziąć poetę pod bliższą swoją opiekę.

Na tronie Polskim zasiadł już Stanisław Poniatowski, Król niby uczony, niby literatów opiekun. Z tego powodu August Moszyński, stolnik koronny, w Młocinach pod Warszawą, wyprawiał festyny i fajerwerki. Naruszewicz zaczyna pisać wiersze na pochwałę pana stolnika i na pochwałę nowego Króla, który przed chwilą był także stolnikiem.

Uroczystość to wielka, więc powtarzają się co rok perjodycznie wiwaty i życzenia, wczas pamiątki elekcyi pod Wolą. Naruszewicz co rok pokazuje się z wierszykiem i pochwałami. Król zaczyna zwiedzać szkoły Warszawskie, bywać na examinach i sam zadaje pytania młodzieży. Naruszewicz każdą jego bytność uświetnia wierszykiem, w którym całe pochlebstw morze rzuca pod nogi już ubóstwionego Króla, Augusta, Mecenasa, Lykurga. Następują tymczasem urodziny albo imieniny Stanisława: jest nowy wierszyk, nowa oda, w któréj mowa o niebie i o zazdrości, o naukach i o Olimpie, o łaskawości królewskiéj i wiekach Astrei. Też same wierszyki towarzyszą Czartoryskim w każdym kroku ich życia. Książe Adam pojechał za granicę: Naruszewicz żegna go odą. Powrócił książe z za granicy: znowu powitany został odą. Inny wiersz chwali księcia wojewodę Ruskiego, inny wojewodzinę. Jest oda i na pochwałę Powązek, wiersz na urodziny Sapiehy, wojewodzica Połockiego. Sanie księżny jenerałowéj ziem Podolskich obudzają wenę w naszym poecie, i uczony jezuita w ciężkim wierszu wysławia znowu wdzięki swojéj pani, to znowu posyła wiersze żeniącemu się z Massalską Niesiołowskiemu. Jedném słowem, żadna prawie nie pominięta okoliczność, żeby nie zwrócić na siebie uwagę panów i Króla. Nie obwiniamy o to Naruszewicza: do znacznéj części tych wierszów, pobudził go nałóg rymowania, nie koniecznie chęć pochlebstwa. On tylko dokładnie pełnił obowiązki uczonego swojego urzędu. Był professorem poetyki, a kiedy uczniowie jego musieli mu dla wykształcenia się w stylu pisywać wiersze, i on, professor, powinien był przed nimi po-

chwalić się swoją weną poetycką. Naruszewicz, układając swoje ody, nie prosił wcale o łaskę magnatów, a pisał tak, bo przywykł do panegiryków w zakonie, bo cała literatura polska, którą zastał, była w panegirykach, bo panegiryk był wtenczas wszystkiém, całą umiejętnością i dowcipem.

A jednakże chwaląc Króla i Czartoryskich, Naruszewicz zapewne i swoją przyszłość miał na celu. Książe jenerał ziem Podolskich przedstawił raz osobiście Królowi, swojemu bratu ciotecznemu, Naruszewicza. Sam to z wdzięcznością wyznaje poeta:

Tyś mego szczęścia krok pierwszy, Adamie!
Tyś mi dał pierwszy wstęp do majestatu,
Twoje z ciemności dźwignęło mnie ramie,
Dając mnie poznać Królowi i bratu.
I że mi pańskie otwarte podwoje,
Jego to łaska, lecz staranie twoje. (Lir. II, oda 19.)

Stanisław August odtąd zbliżył się do Naruszewicza, i tu widzimy zawiązek wzajemnéj przyjaźni, która długo trwała pomiędzy uczonym a Królem. Uczony wciąż pisał ody i za każdą sposobnością pochlebiał Królowi, z początku przez nałóg, a poźniéj przez wdzięczność. Naruszewicz wierzył wtenczas w Poniatowskiego jak w Boga, i przekonany był w głębi duszy, że Stanisław ma dosyć siły charakteru i woli, żeby na nową drogę pchnąć skołataną machinę Rzpltéj. Wtenczas właśnie cała oświecona część społeczeństwa, tęskniła za zmianą i wyglądała jutrzenki nowego życia. Zdawało się, że Poniatowski, Król światły, i w istocie z początku swojego panowania pełen gorliwości

o dobro publiczne, będzie zwiastunem szczęśliwéj przyszłości. Naruszewicz długo mu wierzył i pisał pochwały dla czynów Króla, a nie dla czynów, to dla chęci, nie dla chęci, to dla myśli, to dla serca Stanisława Augusta.

Literaci Stanisławowscy zawiązali wtedy w stolicy pisemko perjodyczne, pod tytułem: *Zabawy przyjemne i pożyteczne;* które po Monitorze, miały być drugim organem umysłowego ruchu. Naruszewicz i Albertrandi stanęli na czele tego przedsięwzięcia. W *Zabawach* drukowały się wiersze okolicznościowe, ody i bajki z poezji, a z prozy, rozprawy tłómaczone z francuzkich moralistów o cnotach, albo o wadach ludzkich, czasami naśladowane jakie artykuły, czasami tłómaczenia z Horacyusza, albo mowy z historyków rzymskich wyjęte, np. z Liwiusza, czasem i jakie anegdotki historyczne. Wszystko to dzisiaj nie miało by miejsca w porządném piśmie, dbającém o swoją sławę literacką. Ale wtenczas, właśnie na takich ramotkach kształcił się *dowcip*. Naruszewicz wiele tam prac swoich pomieszczał, a kiedy wyjechał za granicę Albertrandi, sam objął całą redakcję. Takim sposobem wystąpiwszy już publicznie przed swoją publicznością, zaprzyjaźnił się i poznał ze wszystkiemi literatami swojéj epoki i z Krasickim. Zajmował się właśnie tłómaczeniem dzieł Tacyta na język polski i przekładami z Horacyusza. Pracowało wtenczas wiele literatów nad Horacyuszem, i wszyscy się rzucili do tłómaczeń autorów łacińskich, jakby w nich tylko była cała mądrość ludzkości. To wszystko nadawało Naruszewiczowi prawo do łask i względów Stanisława Augusta. I we właściwéj bardzo porze zawarł te stosunki z Królem, bo nie długo

Czartoryscy zerwali zupełnie ze dworem, i patrzali tylko z oddali na wszystko, co się dzieje na zamku Warszawskim. Książe Adam już nie był pośrednikiem pomiędzy tronem a Naruszewiczem.

Król coraz więcéj przywiązywał się do naszego jezuity, — i zapraszał go na obiady czwartkowe, z początku rzadko, potém częściéj, nakoniec stał się Naruszewicz nieodstępnym gościem zamkowym. Stanisław August lubił rozmawiać z muzopłynnym poetą, a przestawając z nim, poznał, że Naruszewicz ma rzeczywiście trafny dowcip i całe morze wiadomości. Im więcéj Król obcował z Naruszewiczem, tém więcéj głaskał go i przekonywał się o wysokich zdolnościach professora poetyki. Naruszewicz nie przestawał śpiewać za każdą okolicznością. Winszował zdrowia, kiedy Stanisław powstał z niebespiecznéj, jak mu się zdawało choroby; ubolewał nad cierpieniami, jakie Poniatowski znosił od Rzpltéj i wreszcie modlił się za niego przed Bogiem. To znów pisywał wiersze imieniem uczniów swoich i witał Króla, to znowu po nim tęsknił. Lat kilka wciąż przemieszkał Naruszewicz w Warszawie, i od czasu wstąpienia na tron Stanisława Augusta wcale się nie oddalał ze stolicy. Tak ciągle miał Króla przed oczyma, a Poniatowski ruszyć się prawie nie mógł, żeby tego kroku nie postrzegła i nie opiewała wdzięczna muza, chociaż prawdę powiedziawszy, dotąd chyba za pamięć i za przywiązanie, a nie za dobrodziejstwa jeszcze miała być wdzięczną.

Te pochlebstwa, powiemy raz jeszcze, były skutkiem zakonnego wychowania Naruszewicza i pojęć starych, które już miały przed światłem wieku ustąpić. Naruszewicz nigdy

w odach swoich nie posunął się aż do cynizmu Trembeckiego, a przynajmniéj my wierzymy, że oblicze jego jaśniało szlachetnością duszą. W Trembeckim tego wszystkiego nie widać. Filozof–encyklopedysta swojego czasu, pan Stanisław nie miał w sercu ani wiary, ani rodzinnego uczucia, ani dumy własnéj godności. Trembeckiemu przedewszystkiém o chleb powszedni chodziło, o wygodne życie bez trosków, o miłość kobiet, stół smaczny i doskonałe wino. To też pochlebstwa pana szambelana raziły straszliwym bezwstydem, zaparciem się godności człowieczéj. A Naruszewicz przez nałóg tylko pochlebiał, ale się też i nie raz zapomniał, bo ody jego nie zawsze były wyrażeniem pochlebstwa. Śmierć księżny wojewodziny Ruskiéj opłakiwał często w swoich rymach; tłómaczył nawet na ten cel napisane wiersze Duriniego Nuncyusza. Z radością także powitał wracającego do stolicy i do swojéj biblioteki, biskupa Kijowskiego, po długiém oddaleniu. Inną odą, z uczuciem napisaną, upamiętnił powrót senatorów. Dzień poświęcenia na biskupstwo Okęckiego także odą uświetnił, a wiersz na pokój marmurowy podyktowało mu również silne, wrodzone uczucie dla wspomnień krajowych.

Nie tylko odami, ale innemi pismami zaczął się wsławiać wtedy Naruszewicz. Pisał sielanki i satyry. W satyrach odmalował się doskonale: szlachetne myśli unoszą wszędzie poetę; widać tu znowu, że nie przez nałóg, że nie dla stosunków gromi błędy i dziwactwa narodowe; widać, że to co pisze, wziął z serca, a językiem gromi jak młotem. Krasickiego satyry latały wtenczas po rękach; piękne, dowcipne, czarujące nieporównanym dowcipem i

przecudnym językiem. Naruszewicz nie umiał popisywać się z dowcipem, tam gdzie nim oburzenie miotało. Krasicki śmiał się, Naruszewicz grzmiał prawdziwie gniewem i zapałem. Co do sielanek, zakonny poeta grzeszył niezakonną wcale sentymentalnością. Fałszywe miał pojęcia Naruszewicz o życiu pasterskiém, równie jak wszyscy poeci Stanisława Augusta, kiedy pisał sielanki i stwarzał świat urojony. A raczéj nie były to pojęcia o życiu pasterskiém; było to kilka o niém prawideł, kilka wiadomości wziętych ze świata, konwencyjnych o tém życiu uprzedzeń. To téż sielankowi owego wieku bohatérowie, byli w prawdziwém znaczeniu tego słowa bohatérami, kochali się tak czule i śpiewali tak miłośnie, jak nie jeden Hiszpan romansowy pod oknami kochanki w Sewilli, albo w Grenadzie, w noc piękną majową, opromienioną światłem księżyca. Bo za czasów Naruszewicza nie zważano tyle na prawdę co dzisiaj, i na treść poezji, czyli raczéj nie umiano zważać na nią: wtenczas forma znaczyła wszystko i oda była odą, chociaż w niéj liryzmem nie świeciło uczucie, i sielanka była sielanką, chociaż bez pasterzy. Byle rym był obfity, wiersz potoczysty, naśladowanego uczucia dużo, uczoności w miarę dla przyprawy, obrazy niby pasterskie, sielanka była gotowa. Naruszewicz słynął téż jako wyborny pisarz satyr i sielanek. Dla satyr gotowiśmy darować mu ody i pochlebstwa pełną garścią rzucane. Darujem mu nawet i przekleństwa rzucane na konfederatów Barskich z powodu wypadku na Kapitulnéj ulicy. Dla satyr przebaczyliśmy Naruszewiczowi jego zasady polityczne, bo on tam nie szedł za cudzém tchnieniem a za własną myślą. W saty-

rach to wieje cały poczciwy charakter Naruszewicza, prosty, szlachetny, nasz rodzinny, kontuszowy.

Prócz liriki, poeta jezuicki probował jednocześnie sił swoich i w dramatycznym zawodzie. Za zmianą wyobrażeń, teatra zakonne, na których występowali uczniowie, rzuciły dyalogi i trajedje o męce Pańskiéj albo o świętych, a wzięły się do wypadków światowych. Dla młodzieży wtenczas zapewne, nie dla literatury, Naruszewicz wygotował dwie trajedje, z których jedna wyszła nawet drukiem we 4ce, w Warszawie bez oznaczenia czasu i miejsca, (około r. 1770). Nazywała się: *Gwido Hrabia z Blezu* (de Blois). Niéma w téj trajedji żadnego życia, niéma kobiet, zawikłania, intrygi. Oczywiście niéma tam i miłości. Rzecz ściśle moralna, napisana na zadany temat, żeby dowieść tego a tego, żeby młodzieży taki a taki przykład przedstawić przed oczy. Gwido składał się ze trzech aktów. O *Tankredzie*, drugiéj także trajedji naszego poety z tego czasu, są tylko podania. W ogóle, zdaje się, sam Naruszewicz widział, że dramatyzowaniem wypadków światowych, na sławne imie sobie nie zarobi. *)

W roku 1772 zaczął drukować Naruszewicz, piérwsze dwa tomy swojego tłómaczenia dzieł Tacytowych, u Grella w Warszawie, a w roku 1773 wydał również dwa tomy pieśni Horacyusza, które wspólnie z wielą współpracowników przełożył na język polski. Jedne i drugie dzieło dedykował Królowi, jako hołd wdzięczności. Były to piérwsze prace Naruszewicza puszczone na świat. Dotąd publiczność

*) Bentkowski, Tom I. str. 521.

polska znała jego poezje *z Zabawek przyjemnych i pożytecznych*, w urywkach tylko. Dopiéro tłómaczeniem Horacyusza, zaczął Naruszewicz otwierać sobie drogę do nieśmiertelności. Tak przynajmniéj sądził wiek jego.

Właśnie wtenczas gromy z Watykanu strzaskały zakon Jezusowy, w którym podług swojego wyrażenia się, tak długo Naruszewicz był prostym żołnierzem. Nasz poeta ujrzał się nagle nie tylko bez utrzymania, ale i bez przytułku, bo jakby naumyślnie, dziwnym przypadkiem, w kwietniu r. 1773 pożar wszczął się na Nowém Mieście w Warszawie, i część kollegium jezuickiego poszła w perzynę. Nie było czasu unieść ruchomości, i Naruszewicz myślał tylko o tém, jakby uratować przynajmniéj swoje papiery, notaty i poezje. Stosy papierów upakował w beczkę i jak Dyogenes toczył się z nią po mieście uciekając przed pożogą. W pośpiechu obalił się i mocno stłukł piersi. Rektor pijarów Strzelecki, ofiarował mu gościnność. Ale kassata zakonu wskazała, że dłuższą być musi ta gościnność, ofiarowana tak szlachetnie. Piotr Ożarowski pisarz w. k. imieniem księżny Sapieżyny, zaprosił wtedy Naruszewicza do jéj domu. Udał się tam, wsparty na ramieniu Ożarowskiego poeta, a w czasie słabości swojéj i sierotctwa, znalazł w domu księżny prawie rodzinę. Nowa jego opiekunka była Lubomirską z domu, a mąż jéj, Alexander Michał Sapieha, trzymał wielką pieczęć Litewską. Wdzięczność znalazła teraz nowe pole do popisu.

To sieroctwo i zniesienie zakonu, bardzo boleśnie zraniły serce Naruszewicza. Muza jego znowu wylała się w odach, w których malował rospacz i stan swój bez na-

dziei, bez przyszłości. Zarzucił wtedy i Króla wierszami, w których się grzecznie przypomniał jego pamięci. Lat dwadzieścia pięć przepędził w zakonie jezuickim, w ciężkiéj nauczycielskiéj pracy. Spodziewał się kiedyś zbierać owoc swoich trudów, tymczasem lat już 40 wieku minęło i Naruszewicz ujrzał się dopiéro na początku swojego zawodu. Trzeba było siać teraz, kiedy już się zabierał do plonu. Całą więc już odtąd swoją nadzieję w Królu i jego obietnicach położył. Dla tego sercem rozrzewnienia pełném, żegnając dawnych towarzyszów prac zakonnych, wsławiał się w odach swoich do Króla, nie tylko za bliskiemi sobie, ale jeszcze i za bracią zakonną i za całém zgromadzeniem. Nie tylko Królowi, ale w osobnéj odzie i księciu Michałowi Poniatowskiemu, nie dawno poświęconemu na biskupstwo Płockie, zalecał jezuitów. Do księcia pisał:

Groźny możnego piorun Watykanu
Rozproszył synów po świecie Lojoli:
Użyj, Płockiego gospodarzu łanu,
Jednych do szczepu, a drugich do roli.
Jeśli w gromadzie trudno daléj służyć,
Nie jest to takiéj machina budowy,
By onéj cząstek żaden nie mógł użyć.
Kwitną gałązki, lubo pień niezdrowy.
Nie czynią zdolnym doktorskie kołnierze:
Wszędy się słabość znajduje ukryta.
Wszak i w odmiennym być mogę ubierze
Obywatelem, choć nie jezuita. (Lir. ks. II, oda 25.)

Królowi znowu tak się przymawiał:

Czas, co najtrwalsze obala budowy,
A gwoli zmiennéj, płonnym włada światem,
Zwinął nakoniec szwadron Jezusowy,
Gdziem od lat tylu prostym był soldatem.

Kraj mi jest światkiem, żem poczciwie służył,
Nie padła na me serce żadna skaza;
Bądź, mię za pieszka kiedy zakon użył,
Czym grzbiet osiadłał rączego pegaza.
Już wiek stargany przez twardą żołnierkę,
W pełnym niesłusznéj rejmencie ohydy,
Przyjdzie na błędną puścić poniewierkę,
Lub dyszeć w kącie między inwalidy.
Bez chleba kęsa, bez roli zagonu,
Wstyd mi; lecz muszę dolę mą otwierać!
Użal się, Królu! z wysokiego tronu
A nie daj z głodu na starość umierać.
Niech pod twém berłem nie będę przykładem;
Co świat o naszych literatach plecie:
Kładną cytrynki na stół przed obiadem
A gdy wycisną sok, rzucą na śmiecie.
Póki mam siły i podołam sławie,
Którąś mi sprawił, Panie, twym zachętem,
Siadam za stołem, z książęty na ławie;
Każdy mię kocha, bom nie jest natrętem.
Lecz wiek na czole piąty krzyżyk pisze
Febowe dziewki nie chcą bawić ze mną;
Długo się człowiek głową nakołysze
Nim mu myśl zrządzą do rymu przyjemną.
Więc gdy przestaną zgoła bywać z laty,
A sława zniknie bez swego zasiłku;
Nie mając własnéj biedny starzec chaty,
Być mu w szpitalu z poety na schyłku.

Widzimy, że już wena na prawdę opuszczała poetę. Musiał o czémś inném pomyśléć.

W saméj rzeczy, czas już téż było żeby dla Naruszewicza zrobił cóś Król Poniatowski. Względem niego i względem kraju, poeta ex-jezuicki rzeczywiście położył zasługi.

Król poprzednio jeszcze dał mu medal *merentibus*, co Naruszewicz podziękował odą o pożytku nauk. Potém kazał Holtzhauserowi zdjąć popiersie poety. Nareszcie bił jeden medal, gdzie obok wizerunku Sarbiewskiego i rysy Naruszewicza pomieścił. Był wtedy Naruszewicz prawdziwym ulubieńcem królewskim. Stanisław przedstawił go siostrze, Izabelli Branickiéj, którą bardzo kochał. Odczytywał ciągle, wierszyki, ody i sielanki Naruszewicza. Zapraszał go nawet na poufne obiady. Raz go bilecikiem zaprosił na ucztę razem z Wyrwiczem, kiedy w zamku imieniny Jakóbowskiego obchodził. Zwierzał mu się ze swoich wiadomości literackich i historycznych. Naruszewicza rady zasięgał w wielu wypadkach. Kiedy był słaby poeta, Król niespokojny, posyłał wciąż z zamku dowiadywać się o jego zdrowiu. Kiedy siedział na rekollekcjach gdzie w klasztorze stolicy, Król posyłał mu zawsze butelkę wina ze swojego stołu. Darował mu kałamarz na pamiątkę i prosił, żeby w nim maczał pióro poeta, skoro go wena i zapał natchnienia nawiedzi. Nareszcie, wpływ Naruszewicza tak rósł w zamku, że bez niego obejść się wcale nie mogły obiady czwartkowe i uczone rozmowy na pokojach królewskich. Wpływ jego rosnął tém bardziéj, że właśnie pod owe czasy, Rzplta straciła Krasickiego, a jeden Naruszewicz tylko trzymał w swoich rękach palmę poezji w Warszawie, kiedy Trembecki rzadko pisał, a inni literaci daleko ustępowali zdolnościom i sławie Naruszewicza. Nowy zatém przyjaciel królewski, zagajał sam obiady czwartkowe, bo był wesoły, a bawił rubasznością wcale nie zakonną i prawdziwym dowcipem. Król zawsze chciał mó-

wić z gośćmi swojemi o umiejętnościach i sztukach, ale rozmowa kulała u stołu i nigdy krążyć nie mogła obok jednego przedmiotu; Naruszewicz dowcipem swoim myśl Stanisława i spółbiesiadników odrywał od poważniejszéj rozmowy. Stanisław nazywał go też Naruchem, swoim kochanym Naruchem, kiedy się więcéj przyzwyczaił do niego, i kiedy poeta ośmielił się nareszcie ze swoją poufałością do pana. Nie zaraz to wprawdzie nastąpiło, ale kiedy nastąpiło, Król w dowód życzliwości i przyjaźni dał Naruszewiczowi prawo do kilka kieliszków Popiela. Było to wino ulubione królewskie, i trąciło myszką, z tego też powodu, na cześć dawnego książęcia, który zginął tak okropnie na jeziorze Gopłańskiém, Stanisław popielem go nazywał. Bywało, nie raz u stołu, goście królewscy pili z kielichów to, co im paziowie podali, a nikt nie śmiał ani dotknąć się doskonałego napoju, bo tylko Poniatowski i Naruszewicz raczyli się popielem.

Myślał zatém Król Stanisław o wyposażeniu przyjaciela. Na początek zrobił go proboszczem w Niemenczynie. Była to mała wioska w okolicy Wilna, wsławiona pobytem i rymami Sarbiewskiego. Naruszewicz znowu wierszykiem podziękował Królowi, i rzucił Warszawę, w któréj lat przeszło dziesięć przepędził w pracy, nie oddalając się ani krokiem od murów stolicy. Obiecywał Poniatowskiemu że się od piórka i słoniowéj fletni weźmie do sierpa. Nowy tedy miał rozpoczynać zawód i nowy sposób życia. Ale zawsze przejęty wdzięcznością powtarzał, że będzie wielbił i śpiewał swojego dobroczyńcę. Niemenczyńskie probostwo było jedne z bogatszych na Litwie. Było pod Wilnem

drugie jeszcze probostwo *Onixtańskie*, które otrzymał Wyrwicz, ale nie do gospodarskich było wziąść się prac uczonemu księdzu rektorowi. Do Niemenczyna zatém dodał Naruszewiczowi i to jeszcze beneficyum Król Stanisław. Był to dowód pamięci z jego strony, i na piérwszy rzut oka zdawać się mogło każdemu, że Poniatowski szczerze chciał grać rolę wielkiego dobroczyńcy względem naszego poety.

Naruszewicz jednakże bliżéj był w stanie ocenić to dobrodziejstwo. Zapewne Król nie był temu winien, ale nowy proboszcz przyjechawszy na miejsce, zastał kościoły swoje i ziemie w tak okropném opuszczeniu, że aż mu serce zamarło ze strachu. Zdawało się, że na gruntach niemenczyńskich i onixtańskich, gospodarowali cały wiek starostowie, o których kasztelan Jezierski Królowi potém rozpowiadał na pokojach, że mogliby bez szturmu zniszczyć paryskę bastylję. Zaniedbanie wszędzie; wszystko się rozwalało i upadało pod ciosem złéj woli i czasu. Tutaj naprzód, żeby mieć nadzieje jakichściś korzyści, potrzeba było koszt łożyć na podniesienie wartości ziemi, a samo sumienie kazało pamiętać o przebudowaniu kościołów na nowo, które się nie zdały dla służby Bożéj. Skłopotany przed czasem, wziął się Naruszewicz do pracy i rzucił literaturę. W tém zaskoczyło go nagle wśród tych trudów gospodarskich, ważne i nowe ode dworu zlecenie. Aż się przeląkł ksiądz proboszcz listu królewskiego i myślał, czy obowiązki jakie teraz wkładał na niego dobroczyńca, nie przechodzą słabych zdolności.

Nie myślał długo trzymać Naruszewicza na Litwie, w od-

daleniu, Król Stanisław; ale prędzéj jak może sądził, pomiarkował, że mu tęskno po przyjacielu. Powziął więc nagle, prawdziwie piękny i wzniosły zamiar. Król postanowił użyć Naruszewicza do napisania dziejów narodu. Chciał panowanie swoje uwiecznić dziełem nieśmiertelném.

Wybór Stanisława padł od razu na proboszcza Niemenczyńskiego. Poniatowski odgadł w Naruszewiczu zdolności dziejopisarskie, jakich ówczesne społeczeństwo wymagało, i w tém cała jego zasługa. W saméj rzeczy, nikt z literatów ówczesnych, bardziéj jak Naruszewicz nie mógł się podjąć wielkiego zadania. Krasicki był wprawdzie znakomitych zdolności człowiekiem, ale talent jego w inną zwrócony stronę, za błyskotkami gonił, i chociaż Warmiński biskup odznaczał się nadzwyczajną pracowitością i biegłym był znawcą dziejów swojego kraju, przecie zabierały mu wiele czasu jego stosunki rodzinne i rozległe, których zapominać nie mógł. A z resztą, Krasicki był już obcym dla Polski; żył za granicą. Tutaj cały czas, całe zdolności trzeba było poświęcić dla jednego celu, a nie zrażać się pracą i trudnościami. Wyrwicz przy całéj erudycyi swojéj, zimnym był literatem, nie miał stylu i władać nie potrafił językiem. Wyrwicz nie umiał by wcielić w słowo swojéj nauki, a z resztą, miał może i za mało krytycznego sądu. Trembeckiego Król nie zaczepiał, bo pan szambelan nie miał znowu czasu na pracowite dzieło, goniąc za uciechami świata i roskoszami dworu, chociaż zaczęły się już srebrzyć jego włosy, a Stanisław August ani się mógł domyśléć żeby potém już, za lat zupełnie starych i Trem-

becki zapragnął sławy dziejopisarskiéj. Łojko znowu był więcéj szperaczem i znawcą dziejów, jak pisarzem pracującym dla literatury. Albertrandi dawał dopiéro znak życia, a Czacki wcale się jeszcze nie zjawił. Wzrok Króla spoczął więc na proboszczu niemenczyńskim, nie dla tego żeby Naruszewicz sam jeden został na placu, a dla tego że on jedynie, sądził Król, mógł się łamać z wielu trudnościami w przedsięwzięciu. Naruszewicz nie dla tego był wybrany, że talentów dziejopisarskich nie było więcéj za Stanisława Augusta, ale dla tego, że on sam miał w istocie potężny dziejopisarski talent. Trudno nie ocenić w tym względzie przenikliwości Króla Poniatowskiego.

Pisał więc Stanisław August do Naruszewicza, i podając mu projekt nowy, o dalszych swoich względach napomykał. Król tęsknił po proboszczu niemenczyńskim i chciał go mieć przy boku swoim. Obiecywał mu więc los zapewnić, aby tylko zajął się napisaniem dziejów narodowych. Chciałby go umieścić w Warszawie na zamku, pamiętać o wszystkich jego potrzebach, o świetnéj nawet przyszłości, aby tylko przystał na żądania królewskie. Naruszewicz długo się wahał, i nie dziw, — najpotężniejszy talent mógł wtenczas przestraszyć się ogromem pracy. Dotąd prócz kronik i nędznych kompilacyj, nie miała literatura polska dzieła poświęconego historyi narodowéj. Długosz i Kromer byli wtenczas jeszcze jedyném źródłem, z którego obywatele czerpali wiadomość o dawnéj Piastowéj przeszłości. Kronika Dytmara, prawie nieznaną była w ówczesnéj Polsce. Jednakże wiele powodów wpływało na to postanowienie Naruszewicza, że przyjmował i z pewną radością

królewską. Napisać dzieje narodu, gruntownie, krytycznie, stosownie do pojęć XVIII wieku, było to doprawdy, zasłużyć sobie na nieśmiertelność. Naród nie miał jeszcze podobnego pomnika swojéj przeszłości. Proboszczowi niemenczyńskiemu pochlebiała myśl, że on właśnie pracą swoją dźwignie ten pomnik. Po wielu zatém namysłach, mocno przekonany o znakomitości przedsięwzięcia, wiedząc, na jak wielką odpowiedzialność naraża się przed spółczesnemi i odległemi pokoleniami, Naruszewicz poświęciwszy się na trud mozolny, odpisał Królowi: «*Jam gotów.*»

Król miał łożyć wszelkie koszta z tego powodu wynikłe. Naruszewicz potrzebował książek i materjałów. Potrzeba było wysłać zdolnych ludzi w podróż po za granice, żeby szukali zabytków dawnéj literatury i przeszłości, po Watykańskiéj bibliotece, po archiwach familijnych i publicznych Szwecyi, po kancellarjach w Wiedniu i Berlinie. Trzeba było i w kraju obudzić interes dla wielkiego przedsięwzięcia, otworzyć dziejopisowi archiwa koronne, a przystęp do zbiorów rodzin historycznych. Trzeba było znaleźć też i zdolnych kopistów, którzy by przepisywali akta potrzebne dla wątku dziejowego. Naruszewicz przyjechał do Warszawy, i umówił się z Królem. Ale mimo próżb Stanisława, nie chciał pozostać w stolicy, bo gwar miejski oderwałby go od pracy i wertowania papierów, którym się teraz trzeba było wyłącznie poświęcić. Naruszewicz obrał sobie Polesie, kraj rodzinny, za tymczasowe miejsce pobytu. Tam piérwsze miał zbierać i układać w porządek materjały, tam cały plan dzieła obmyśleć, i przygotować wszystko do pracy. Późniéj już dopiéro miał się przenieść

do Warszawy, i w miarę postępu dzieła, pojedyńcze tomy, jeden za drugim drukować.

Król spełniał też ze swojéj strony obietnice względem przyszłości Naruszewicza. Wyjednał mu u Gabryela Wodzińskiego, koadjutorją na biskupstwo Smoleńskie. Był to zacny starzec ten, Biskup Smoleński. Z radością spełnił żądanie królewskie, bo pochlebiało mu, że miał zastępcą swoim i pomocnikiem uczonego człowieka, chociaż ten tytuł koadjutorji, był rzeczywiście tylko tytułem, kiedy i sam biskup stracił zupełnie swoją dyecezję. Zawsze jednakże, dla Naruszewicza, był to stopień w godnościach kościelnych. Z koadjutorją połączone było biskupstwo in partibus infidelium. Naruszewicz przeto zostawał biskupem i już wynosił się nad innych księży z tłumu kapituł. Papież nadał mu wtenczas charakter pasterski, pozwolił na koadjutorję i nadesłał bullę na biskupstwo Emaus. Wiele to jednak kosztowało pieniędzy naszego prałata. Ksiądz Ghigiotti, ajent Rzpltéj w Rzymie, wyrabiał interes Naruszewicza. Rzym nie żałował biskupów polskich, i sowicie kazał im płacić za wszystkie prekanonizacje i bulle. Można było sądzić wtenczas o strapieniu Naruszewicza. Za biedną koadjutorję smoleńską, która podnosiła go tylko w hierarchji, ale nie przysparzała dochodów, żądano od niego opłaty do 700 dukatów. Cóż mogła kosztować bulla na biskupstwo krakowskie? Nasz uczony nie miał tak zasobnego skarbu, żeby się mógł od razu uiścić z urzędowego długu. Ale czego nie dokaże żądza wielkości ziemskiéj! Naruszewicz zapożyczył się, wypłacił jedną i drugą ratę na początek; resztę miał oddać za szczęśliwszych

czasów, jak będzie przy pieniądzach. Dosyć że nareszcie został biskupem. Wyświęcenie na nową godność, nastąpiło natychmiast.

Zawiść, która żadnéj wyższości umysłowéj nie przebaczy, zaczęła szarpać Naruszewicza. Zdawało się ludziom, że za pochlebstwa jedynie wzniósł się tak nagle dziejopis narodowy. Biegały wtenczas po Warszawie dwa niby dowcipne wierszyki, w których autor narzekał nad dziwactwem losu. Był między jezuitami wsławiony podówczas wymową kościelną, mianowany przez Króla po kassacie zakonu kaznodzieją nadwornym, ksiądz Sebastjan Lachowski. Zawiść kosztem Naruszewicza chciała podnieść kaznodzieję, bo mówiła:

> Lachowski prawdę mówił — jest tylko plebanem,
> Naruszewicz pochlebiał — biskupem i panem.

Wydrukowawszy w stolicy w 1774 r. pieśni Anakreonta, którego tłómaczył z greckiego przy pomocy słownika, Naruszewicz wyłącznie poświęcił się odtąd pracy dziejowéj, usiadłszy stale na bagnach Polesia, w domu szambelana Jezierskiego. A jednak nie mógł na sobie przewieść, żeby nie pomknął Poniatowskiemu o wielkości swojego poświęcenia się dla niego, kiedy podejmował tę wielką pracę, o jakiéj nawet w snach rozkołysanéj wyobraźni nie marzył. «Przepędziłem, Panie miłościwy, lat wieku mego czterdzieści i dwa w pracach od młodości przykrych i nie ustających, — pisał do Króla, — a lubo stan mój w zaciszy nie chlubny i nie okazały, nie narażał mię na brzmiące owe próżnym częstokroć hałasem zasługi, śmiele jednak mówić

mogę, żem próżnowania nie lubił.... Panowanie W. K. M. dodało mi jeszcze więcéj ochoty. Nie znając w sobie innéj ambicji, nie czując innego zysku, prócz podobania się kochającemu i krzewiącemu nauki panu, wiele pisał i czynił w przeciągu ostatnich lat dwónastu; gdybym nie miał na to świadectwa ludzi, mam dosyć na własném czułego sumienia poświadczeniu. Człowiek jestem, już poniekąd pracami na zdrowiu, siłach i trzeźwości umysłu przytępiony. Dowcipy ludzkie są jako zorze; wiek one obraca, jednym z długiém światłem późny zachód, drugim rychły upadek zakreśliwszy. Jestem do tego ksiądz i pleban, powinnościami urzędu mego zaprzątniony; jestem gospodarz i ziemianin, około czeladzi, roli i nudnego prawa, zabawny a bardziéj myślący już o sobie i swoich, niżeli przed laty... Z odmianą i z dalszym postępem życia mojego, mając już inny cel zamierzony, to jest swobodny spoczynek, a kapłańskie tylko, rolnicze i przyjacielskie zabawy, myśliłem to czynić co i drudzy duchowni, to jest siedząc w domu — «*otiari cum dignitate.*» Takowe życie na wsi, powiada Naruszewicz daléj, przywróciło mu wolność, jakiéj nie miał w klasztorze; rzuciwszy stolicę był szczęśliwy, i wzdychał do cichego szczęścia, jak niegdyś Horacy. Przekonał się długiém doświadczeniem o próżności zdań owych, którzy ustawiczne z naukami zabawy, za najsłodszą w życiu poczytują rozrywkę, którzy nieśmiertelność przepowiadają literatom. Te złote wieczności księgi, te niezwiędłe wieńce, są to płonne wiatry nadziei. Dziękował potém Królowi, że go wsparł, dziękował tém bardziéj, że nie potrzebował błagać o łaskę publiczności,

która godniejszym od niego ex–jezuitom pozwoliła umierać w głodzie. Myślał już teraz wolniéj pracować, nie przywiązując się do jednéj roboty, gonił tylko za rozrywką umysłu «gdy mię w tych myślach zaszedł rozkaz Pański, abym i resztę życia między brogami papierów trawił.»

Wymówne to są nadzwyczaj i silne wyrazy. Naruszewicz pojmował zupełnie trudność swojego położenia. W długim memorjale względem pisania historyi narodowéj, rozwijał swoje myśli. Wyliczał dzieła, które już napisał. Tacyta wytłómaczył, Chodkiewicza dzieje wyłożył. Przytém lat siedmnaście uczył w szkołach. Były to wszystko długie i pracowite zabawy, ale to harce tylko, to szermierska przed zaczęciem bitwy przegrawka, *arma lusoria*, jak się wyrażał; sama bitwa, sama praca, to dopiéro była historya narodu polskiego, do któréj się zabierał. Nikt tak dobrze nie ocenił tych trudności, jak sam Naruszewicz. Z jednego memorjału, już widać wielkie zdolności jego historyczne. Obraz, który stworzył, swoich przyszłych prac, jest tak porywający wymową, tak prawdziwy! To programmat dziejów pojętych na naszę skalę, w XIX wieku. Szereg źródeł z których mu czerpać przychodziło, obejmował wszystko, co tylko znał wiek Stanisława Augusta. Widać zatém, że Naruszewicz już dawniéj i z upodobaniem zajmował się historyą narodową. Przepisaliśmy cały ten memorjał, tak wiele rozjaśnia stosunków naukowych, tak lubim go czytać i zastanawiać się nad nim. Przepiszemy go niezawodnie gdzie indziéj, np. przy historyi i rozbiorze wiekopomnego dzieła Naruszewicza. Tutaj dodamy tylko, że proboszcz niemeńczyński, szlachet-

nie wdzięcznością swoją odpłacał się za łaski i dobrodziejstwa Królowi. Naruszewicz kochał Stanisława Augusta; gdyby nie było na to innego dowodu, mielibyśmy go w memorjale i w saméj historyi. Nie rozprawiał, nie rozumował długo, czuł że słuchać powinien, przekonany był, że za to posłuszeństwo wesprze go łaska Boża. Wyglądał wtedy zupełnie jak dawny święty, albo męczennik, który pomimo woli, leciał na ogień i rzucał się na pastwę dzikim zwierzętom, tą myślą jedynie zajęty, że dopełnia swoich powinności. Tak i Naruszewicz poświęcał się pomimo woli na rozkaz Królewski. Bo nie puste jedynie pochlebstwo z ust jego wyrywało wtenczas te słowa czci i miłości: «Ty miłościwy Królu, — pisał Naruszewicz do Stanisława, — postawiwszy mnie na stopniu niniejszym, odżywiłeś martwy szczątek kwitnącego niegdyś domu, a tém samém wskrzesiłeś otuchę licznéj a podupadłéj familji mojéj, że we mnie wsparcie i poprawę sytuacyi swojéj mieć zacznie. Wyskakują z ziemi na ten młodociany promyk liche ziółka, czekając zasiłku i wzrostu. Jak sprawiedliwe ich są żądania, tak są konieczne moje obowiązki. Atoli poświęcony i oddany za wolą Pańską, na życie pracowite, zaświeciwszy krótkim blaskiem nadziei, powinowatym moim znowu niejako gasnąć muszę, a w morzu ksiąg i papierów ponurzyć się. Myśl moja, staranie i zabiegi dalsze, innego celu już odtąd mieć nie mogą, jak tylko pełnić rozkazy Pańskie w zamknieniu i pracy; a jeśli nie osobą, tedy przynajmniéj sposobem życia wrócić się do zakonu..... Więc zawczasu rodzinie mojéj tak odpowiadam. «Kochani przyjaciele, wiecie dobrze, że mię po Bogu

sama jedynie ręka Króla naszego wyniosła i sposobem do życia opatrzyła. Obowiązki moje najściślejsze są jemu służyć. Życie moje na naukach przepędzone, na nich samych kończyć się musi. Tak Król każe: ale to Król łaskawy i miłosierny; ten zapewne i mnie i was nie opuści.»

Te wyrazy określają coraz piękniéj, szlachetny charakter i dobre serce Naruszewicza.

Sławny swój memorjał, względem pisania historyi narodowéj, tak kończył Naruszewicz: «Cieszę się, — mówił — iż stojąc na stopniu biskupim z łaski W. K. M. pójdę w ślady pracowitego niegdyś, dla sławy i pożytku, duchowieństwa, tych mianowicie prałatów, którzy blask swoich infuł nie podłą intrygą, nie łakomemi zbiorami, nie próżniackiém dostojeństwem, ani powierzchownéj wielkości zbytkownym okazem, ale istotnemi stanowi swemu przymiotami pomnażali, a im więcéj od Królów i ojczyzny wzięli, tém gorliwiéj i pracowiciéj odebrane dary odsługiwać starali się. Jakoż biskupi to byli, a biskupi majętni, którzy najwięcéj około zebrania dziejów narodowych pracy łożyli: Kadłubek z Lipskim Krakowscy, Długosz z Solikowskim Lwowscy, Kromer z Załuskim Warmińscy, Witwicki Poznański, Łubieński Płocki, Piasecki Przemyślski. Ja dwa razy za graniczny, bo Smoleński i Emauski, jako w sposobie utrzymywania stanu swojego im nie równy, tak nie wiém, jeśli dowcipem zagruntowanéj wiekami ich sławie, wydołać potrafię.»

Zajęty zbieraniem pamiętników i aktów dawnych, w r. 1776, Naruszewicz krótko odwiedził stolicę, bo drukował właśnie

w Warszawie u Grella trzeci tom dzieł Tacyta *), a Król ozdobił go w tym roku orderem Ś. Stanisława **). Pisywał ciągle Poniatowski do Naruszewicza, a biskup odpisywał Królowi do Warszawy. Król się niecierpliwił, radby widział koniec dopiéro zaczętéj pracy. Naglił zatém i zapraszał biskupa do stolicy, bo tutaj przynajmniéj śledziłby za postępem dzieła. Z całém poświęceniem się jednak pracował Naruszewicz i chwili jednéj darmo nie stracił. Zapomniał nawet o sobie, i ledwie czasami przypominał się Królowi, chociaż wcale nieobojętny był na własną przyszłość. Naruszewicz wstawiał się wtedy za przyjaciółmi w których domu znalazł schronienie i gościnność. Wstawiał się téż za wszystkiemi, którzy się do niego o pomoc uciekali, z pewną nadzieją, że im wyjedna łaskę Pańską. Naruszewicz przedstawiał Królowi prośby wikaryuszów, którzy chcieli zostać proboszczami i drugie prośby obywateli ziemskich, którzy się starali o urzędy powiatowe albo starostwa. Stanisław więc przezywał Naruszewicza, żartując z niego: mecenasem cierpiącéj ludzkości, — *advocatus miserorum*, biskup chętnie się do tego tytułu przyznawał i listy słał jedne za drugiemi do Warszawy. Otóż raz Król tak mu odpisał ***).

*) Przyjechał do Warszawy w końcu sierpnia. Gaz. Warszawska 1776. № 69.

**) 11 maja 1776. Sygillaty w metr. Koronn. ks. 32.

***) Listy te wydrukował A. E. Koźmian w dziełku o którém wyżéj mówiliśmy. Wielka szkoda, że wydrukował nie wszystkie, bo tylko 31 ze stu przeszło. Większa szkoda, że wydrukowane, noszą datę późniejszą, bo już po skasowaniu zakonu. Gdyż Koźmian dawniejsze opuścił.

«20 Octobris 1776.

«Najmilsze wiązanie dla zacnéj duszy, jaka jest W. Pana, zapewne byłaby sposobność obdarzenia przyjaciela. Ale wojewoda Czerniechowski (widać, że Naruszewicz prosił o jakiś wakans po wojewodzie, może o chorągiew w wojsku koronném dla Jezierskiego) nie umarł, i tak wielu konkurentów wieść roznaszana śmierci jego, już do mnie zapędziła o tęż chorągiew, że żadnemu z nich nie obiecałem, wszystkich na po sejmie odłożyłem. A tymczasem wojewoda poczyna z martwych-wstawać, jak mi dziś donoszą.

«O jakże ja tęsknię do ulgi od zbytniéj, i prawdziwie już zbytniéj pracy! O jakże miłe będą znowu czwartki! Wtedy in octava i twoje obchodzić będziemy radośne rodziny. Jezierskiemu, czy tym, czy innym sposobem dam promocją, bo go szacuję szczerze.»

List ten był pisany w czasie sejmu Mokronowskiego, w sam dzień urodzin Naruszewicza. Stanisław przesiadywał pilnie na sesjach sejmowych i dla tego pragnie ulgi, żeby w tydzień radośnie obchodzić urodziny biskupa. Zapewne że ze strony Poniatowskiego dowód to wielki przyjaźni i pamięci.

Inną razą rodzonego brata zalecał Naruszewicz Stanisławowi (9 stycznia 1777 r.) *) «Uczyniłeś mię W. K. M.

*) Ciekawe listy Naruszewicza do Króla za bratem, i list tego brata także do Poniatowskiego, znajdują się w pięknym zbiorze Kaź. Wład. Wojcickiego. Mieliśmy je sobie uprzejmie dane do użytku

biskupem, a tém samém zarzuconego gruzami niepamięci domu mego ścianę łaskawie odkryć raczyłeś. Jest jeszcze druga, tejże co i ja natury, bo krwią rodzoną ze mną spojona, a równą przed światem niewiadomością zakryta.» Rzecz szła o to, że dogorywał na Wołyniu Sylwester Rudnicki, biskup Łucki, greckiego obrządku, i że już około tronu plątali się domniemani jego następcy, kołacząc o serce Królewskie. Naruszewicz na biskupstwo zalecał brata rodzonego, Stanisława bazyljana, «który od lat 18 życie mnisze prowadzi — pisał do Króla — ma lat wieku 34. Człowiek poniekąd piękny, rostropny i byleby był użyty, dosyć zdatny..... Wszak w greckim obrządku koniecznie z bazyljanów robią się biskupi: a w szafunku to Monarchy i z prostego fratra, byleby był szlachcic z ojca i matki, a do tego zdatny, uczynić prałatem.» Naruszewicz wierny pojęciom swojego stanu, który wszystko znaczył w Rzpltéj, cenił wysoko swój szlachecki klejnot. Widać z tego, jak żywą wdzięcznością był dla Króla przejęty, że odsłonił ścianę domu jego zawaloną gruzami, a prosząc teraz za bratem, miał znowu świetność domu na względzie. Z czasem rosła widocznie w naszym biskupie, nie duma próżnéj wielkości, ale duma zasługi przodków. Rad był z tego że się nazywał Naruszewiczem, i chwalił się z tego bezustannie, że był Pińczukiem. «Zgniło, — pisze raz do Króla — drzewo Naruszewiczowskie, ze śmiercią Jana Kazimierza, na którém kiedyś i dwie pieczęcie Litewskie wisiały. W. K. M. jeden masz moc wskrzeszenia i odżywienia tych spruchniałych pieńków.» Inną razą wspomniał z chlubą, że Radziwiłłowie, książe

Karol wojewoda Wileński i Stanisław podkomorzy Litewski, nie zapierają się pokrewieństwa z jego domem. Owszem jakieś czulsze stosunki połączyły naszego biskupa z jenerałową Morawską, siostrą księcia wojewody. Naruszewicz ciągle w listach swoich do Króla wspomina o pani Morawskiéj — przez nią trafiał do Ordynata nieświeżskiego, a przyjaciółka jego w zamian za tę uczynność trafiała przez biskupa do tronu. — «Uczynisz W. K. M. osobliwszą łaskę, gdy tę damę obdarzysz pisaniem ręki swojéj Pańskiéj.» Pisał raz biskup do Króla przesyłając razem i list od pani jenerałowéj.

Ta duma jednak biskupa naszego, była w nim zacną, poczciwą, Naruszewiczowską, szlachetną dumą; nie wynosił się przez to nad innych, że sam się cenił: w sobie i w bracie swoim widział tylko odłamki rodu, który służył poczciwie krajowi i zarobił sobie na pamięć wdzięczną Rzpltéj. Naruszewicz nie był to wcale magnat na wzór pana wojewody Kijowskiego, ale to był szlachcic sercem i duszą: prosty, szczery, otwarty, zakochany w poczciwéj sławie antenatów. Dla tego nie chciał bogactw, ale pewnego stanowiska w Rzpltéj i to nie tylko dla siebie, ale i dla brata, żeby wspomnienia rodzinne odświeżyć. Sam będąc biskupem, chciał i brata widzieć na katedrze w infule. Zawiodły go nadzieje, Rudnicki nie umarł. Król Stanisława Naruszewicza zrobił tylko opatem ławryczowskim.

W kwietniu 1777 r. przysłał Naruszewicz Królowi wygotowany już plan swojego dzieła. Król odpisał mu pod d. 21 tegoż miesiąca, między innemi co następuje: «Planta

Historyi Polskiéj, jak mi ją W. Pan opisujesz w liście swoim d. 12 aprilis, bardzo mnie kontentuje i dobrze rokować każe de successu Operis, którego części gdy mi successive przysyłać będziesz, chciéj W. Pan pamiętać, żeby były pisane fracta pagina, aby notacyjki lub poprawki, jakie się zdarzą potrzebne, było gdzie wygodnie wpisać.

Może ja i kopistów W. Panu obmyślę powoli. Gdyż szczerze pragnę, żeby to dzieło ile być może, ułatwioném i przyśpieszoném zostało, i żebyś W. Pan nie czuł zbytniego osobistego w téj pracy ciężaru. Cieszę się nadzieją powitania wkrótce W. Pana. Podróży jego do Litwy przeciwić się téż nie będę.»

Król chętnie wtenczas wchodził we wszystkie żądania Naruszewicza, który upraszał go, o jakie nadanie dla szambelana Jezierskiego, to o list do Tyzenhauza, to wreszcie o order Ś. Stanisława dla jenerała Morawskiego. Morawski był szwagrem księcia Radziwiłła (Panie Kochanku) i zdaje się, że z tego powodu zasłużył na Poniatowskiego niechęć. Kilka razy upominał się o niego Naruszewicz, i zawsze bez skutku, bo Król ciągle w listach tłómaczył się i wymawiał. Raz w tym względzie pisał Stanisław do biskupa. «Jeżeli się Jenerał Morawski jeszcze tą razą nie pomieści między Orderatami, nie jest to znak mojéj niełaski, ale jest tego inna racja. Jednak możesz W. Pan Państwu Morawskim powiedzieć, że im W. Pana zaleta za nimi gorąca nigdy nie zaszkodzi u mnie, i owszem niech tylko trwają dowodnie dla mnie w oświadczeniach, które dotychczas czynią. A teraz, mój biskupie, bądź

mi zdrów, a proś za mnie Boga, bo mam aktualnie trosków dosyć, o Polskę i za Polskę.»

Jakoż w saméj rzeczy, za wstawieniem się Naruszewicza, Jezierski dostał dobra w powiecie Pińskim, ale Morawski długo jeszcze czekał na order.

Codziennie prawie rosła ta powaga, to znaczenie Naruszewicza na dworze. Widać, że obywatele starali się o przyjaźń biskupa, że wiele ufali jego wstawieniu się u Króla. Nieodmawiał historyk, i ciągle nowe prośby przedstawiał Poniatowskiemu. Doradzał mu nawet po przyjacielsku, kim i jak obsadzać rozmaite wakanse. Król go słuchał i sam nie raz używał biskupa do sprawy, gdzie wdanie się jego mogło zapobieżyć pieniactwu, intrygom, albo ocalić sławę czyją, albo ochronić niewinność. Naruszewicz takim sposobem długo był pośrednikiem między Królem a obywatelami. W jego listach znajdujem wszędzie dowody jego pośrednictwa.

Tymczasem Poniatowski nastawał, i biskup w saméj rzeczy zaczął się wybierać do Warszawy. Stanisław August pisał wtedy do Naruszewicza d. 18 listopada 1777 r. «Swiętorzecki oddał mi list W. Pana de 10 9bris. Temuż oddawcy sprawiłem sposobność wyprowadzenia rzeczy W. Pana pozostałych w Warszawie, do przyszłego mieszkania jego w podzamczu destynowanego, w którém ani nieobszerniéj pomieścić będziesz mógł i Sakowicza i i Jezierskiego. Jak ty przyjedziesz zaradzimy, aby ci patres esuritionis, jak ich nazywasz, mieli co i gdzie jeść. Wszelako nie pomrą. Przez przytułek w domu swoim W. Panu dany, poniekąd i szambelan Jezierski będzie na-

leżał ad meritum operis przyszłéj historyi Polskiéj. I co przedtém przysłowie mówiło: «nie lude Pinczuki»— to teraz gdy z pińskich powieści tak wielkie i pożyteczne dzieło wynidzie, trzeba będzie mówić: «i Pinczuki lude.» Jednak lubo ja teraz wszelkie winne oświadczam uwielbienia dla tamtejszego kraju, przecież już rozumiem, że i ty sam, mój biskupie, będziesz rad, chociaż na parę miesięcy, lub téż i na kwartał pińskie piskorze na frykasy Tremona zamienić, czego z serca życzę i sobie i tobie.»

Ale człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi, mówi przysłowie. W grudniu pisał Naruszewicz do Króla, że mimo szczeréj chęci do Warszawy tak prędko zjechać nie może, bo zima jeszcze nie ścisnęła bagien, a powódź i błoto jest tak nieznośne, że trzeba by się narażać na długą podróż, a może i na chorobę, chcąc przebyć pińskie wioseczki, i wygramolić się na trakt ubity i suchy. Król żałował serdecznie tego opóźnienia, i smutek swój wylał na papier w liście do biskupa z dnia 22 grudnia 1777 r. Ale sam przyznawał, że Naruszewicz ma słuszność i że czekać musi na lód i zimę. Wyjeżdżał właśnie Stanisław do Kozienic na łowy, i obiecywał z powrótem stanąć w Warszawie około 20 stycznia po nowym roku. Za cztery albo pięć niedziel spodziewał się ujrzéć i uściskać biskupa w stolicy. — «Wtedy gotować się będę — pisał do niego — na przyzwoite przyjęcie czterech Królów, z których wskrzeszonych twą pracą, i wspaniałą assystencyą i wjazd ad regiam, nad inne poważniejsze i mnie milsze gotujesz sobie.» Widać, że już wtedy Naruszewicz miał tom drugi na dokończeniu, a w nim dzieje Mieczysława książęcia, Bole-

sława Chrobrego, Mieczysława II i Kazimierza. Król miał istotnie powody cieszyć się z postępu pracy. Nie można mu odmówić, że całém sercem przylgnął do tego dzieła, które miało wsławić jego panowanie. Naruszewicz opowieść swoją historyczną, oczywiście popierał cytacjami i dowodami, a krytyka dziejowa nie jeden fakt ciemny, miała zbliżeniem innych wypadków i rozumowaniem objaśnić. Tak naturalnie mnożyły się różne uczone historyczne rozprawy, które miały wejść w skład samego dzieła. Naruszewicz jedną z takich rozpraw właśnie co przysłał Królowi w liście. Poniatowski wybierając się do Kozienic, nie miał czasu jéj przeczytać, ale pochwalał myśl biskupa, żeby te wszystkie rozprawy i badania historyczne, jako dodatek pomieszczać na końcu każdego tomu.

Przyjechał w zimie Naruszewicz do Warszawy, i jak sam powiada w jednym ze swoich listów do Stanisława Augusta, rozłożył zaraz swój pracowity warsztat *dla przysługi jedynie Pańskiéj*, w domu królewskim. Był właśnie w wielkich kłopotach i stąd głowę Pańską kłopotał. Ledwie przyjechał, doniósł mu z boku pewny przyjaciel, że na Litwie ktoś dołki pod nim kopie, i gotuje przywiléj do podpisu Królowi na plebanją Niemenczyńską i na wieś Symoniszki, która do niéj należała, niby na jaki kaduk. Miał Naruszewicz aż pięć processów po różnych sądach z powodu swojego probostwa i nowych stosunków na Litwie, co go wszystko wiele pieniędzy i kłopotów kosztowało. Oprócz tych wydatków miał wiele innych. W parafii zastał zniszczone przez poprzedników swoich kościoły i wioski, jakeśmy mówili te naturalnie naprawiał, i przebudo-

wywał; opłacał daléj powinności ziemskie i duchowne, do pomocy w zarządzie parafią, ile że pracy historycznéj oddany, nie mógł zawsze bawić w Niemenczynie, musiał trzymać kilku księży, a potém, jak się to zwykle dzieje, osiadła go biedna rodzina i przyjaciele, którzy chcieli żyć z jego łaski. Skłopotany Naruszewicz, jeszcze się nie wypłacił z długu rzymskiego za bullę na biskupstwo, a tutaj nowe na jego głowę waliły się kłopoty. Naruszewicz kochał jednak swoją pracę historyczną i żałował czasu. Żale więc swoje i skargi, zawsze powierzał papierowi i pisał do Króla. Była w tém i pewna delikatność, która za sobą nie śmie się upomnieć — ustami ale pismem. Człowiek nierównie swobodniejszy, kiedy może uczucia swoje wylać zwolna i z namysłem, a téj swobody nie ma w ustnéj rozmowie, zwłaszcza kiedy chce mówić o swoich prawach i zasługach. Naruszewicz więc pisał list do Stanisława (17 stycznia 1770). «Gdybym utracił Symoniszki nadane mi od W. K. M., musiałbym wziąść zamiast pastorała drąg drewniany.» I potém szczerze się wynurza: «ufność moja i ucieczka jedyna do samego W. K. M., bez intryg, instancyi, zabiegów; u Pana, przez Pana proszę, jemu samemu żale i potrzeby moje przekładam. Wszakże Panie miłościwy, pochwalić się w tém mogę, że jedno podobno w Polsce serce moje jest, które z miłości Monarchy swego na tak ciężką i kilkunastoletnią pracę podjęło się. Znasz to dobrze W. K. M. bo sam tak ciężko pracujesz, jak wielkie są ofiary W. K. M. dla ojczyzny, a moje dla Króla.» Nareszcie wynurzywszy obawę, natrąca się Naruszewicz z prośbą: w skutku śmierci biskupa Żmudz-

kiego, wakowało probostwo Słonimskie, do którego Marszałek Nadw. Kor. przedstawiał Królowi kandydata (xiędza Koblańskiego). Naruszewicz więc kończy list swój tém wyrażeniem: «Ale ja miałem dawniéj zaakordowaną od W. K. M. tę łaskę: do tego jestem rodzic litewski, znajomy i skolligowany w tamtym kraju... Zostanie to w skrytości myśli moich, co piszę do W. K. M., a w ręku i woli Monarchy uczynić albo nie, czego żądam. Jestem albowiem z zupełną rezygnacją na skinienie W. K. M., a zawsze z najgruntowniejszém przedsięwzięciem służyć, kochać, pracować, owszem i w jarzmie umierać dla jednego Pana i dobrodzieja mego.» Biskupstwo żmudzkie dabitur digniori, mówił Naruszewicz, ale przecie ambicja prowadzi do Inflant, a potrzeba do probostwa słonimskiego. Ale nazajutrz Koadjutor Smoleński już się inaczéj rozmyślił.*) Giedrojć szedł na Żmudzkie biskupstwo, a bogate prelatury, które posiadał, odkazywał jednemu z krewnych książąt swojego nazwiska.

Naruszewicz zrzekał się Słonima ale prosił Króla o Troki, wakujące po biskupie Żmudzkim. Probostwo Trockie czyniło rocznie z okładem 30,000 dochodu i leżało całkiem w powiecie Pińskim. «To kraj miły dla mnie, to kraj urodzenia mego — mówił Naruszewicz Królowi — gdyby mi kiedy Bóg pozwolił być aktualnym Biskupem Smoleńskim, niebrałbym pensyi 20,000 złotych, ostatnim sejmem dla biskupów smoleńskich naznaczonéj, ale bym prosił W. K. M. aby to probostwo Trockie nędznemu

*) List Naruszewicza do Króla z dnia 18 stycznia 1778. Ten Koblański był to uczony człowiek, członek Towarzystwa Elementarnego.

temu biskupstwu mogło być inkorporowane.» Naruszewicz krewnemu Giedrojcia, na którego prawem koadjutoryi, bogate spadały prelatury, odstępował w zamian za Troki, swoich plebanij w Niemenczynie i Onixcie — za jedno oddawał dwa probostwa. Jego plebanije leżały około Wilna, więc lepiéj przydały by się jakiemu Giedrojciowi. «A mnie Pińczukowi, przystojniéj mieć beneficjum choć bogatsze, w powiecie Pińskim.» Tego zdania był i Tyzenhauz podskarbi Lit. «Sługa W. K. M. a mój przyjaciel — pisze Naruszewicz — powiedziałby i on teraz dobre słowo za mną. Jużbym ja miłościwy Królu nie żądał nigdy ani pensyi, ani beneficjów, ani wyższych awansów, kontentując się tym jedynie, i dałbym pismo na siebie.» Szeroko opisuje biskup w tym liście, piękne stanowisko Giedrojciów, jakie za łaską Królewską zajęli na Litwie. Dochody księcia Stefana, który obejmował katedrę Żmudzką, liczy na wiele tysięcy; a tymczasem uboga rodzina proszącego w powiecie Pińskim, była w błocie niepamięci pogrążona. Nastręczała się teraz okoliczność uszczęśliwienia jéj bez niczyjéj krzywdy. Całą tę sprawę starannie bardzo wykładał Naruszewicz. W każdym razie zdawał się jednak na wolę Króla, Pana swojego, którego rękę aż do śmierci, za odmowę nawet obiecywał całować. Jeżeli się starał o probostwo Trockie, to chciał umniejszyć wydatków i szkatule Pańskiéj; chciał być zupełnie szczęśliwym.

Życzeniom jednak ulubionego Narucha, Król nie mógł zadość uczynić. Kładł wprawdzie i Stanisław swoje słowo na szalę, ale delikatny pod tym względem, musiał nie raz ustępować innym, chociaż z niechęcią. Koadjutor smo-

leński postanowił więc jeszcze poczekać, i wyruszył znowu na prowincją robić notaty i wypisy z kronik.

Poniatowski tymczasem widocznie się znowu niecierpliwił, że czekać musi tak długo na Historją. Biskup śledził właśnie pierwotne dzieje; chciał rozjaśnić przeszłość narodu przedchrześcijańską, dzieje patryarchalne jeszcze słowiańsko-lechickiéj rodziny. W tym celu szukał po autorach dawnych, co opisywali Sarmacją i Skythią. Wielką przeszkodą w badaniach mu była niedokładna znajomość języka greckiego, ale pracując nad dziejami, musiał się poduczyć i mowy Herodota. Układał wtenczas mappy do pierwotnych dziejów, a to właśnie Króla niecierpliwiło. Pisał zatém znowu do biskupa z Warszawy 6 lipca 1778: «Mappy przez W. Pana uprojektowane, jak mają przyjść do wysztychowania, naradzam się z Pertesem jeografem moim. Bardzo to jest dobrze, że samo corpus historyi polskiéj, poprzedzić chcesz tym jak to nazywasz przedsionkiem, któryby zawierał obraz Sarmackiéj dawności; tylko cię proszę bardzo, żebyś się excessive w tym przedsionku w obszerność nie wylewał, i żebyś miał to przed oczyma, że nie tylko dla sławy swojéj, ale prawdziwie dla nauki i pożytku spółziomków swoich jam pożądał, a tyś się podjął, wystawić opus historicum dziejów polskich; a że gdy zbyt długo będziemy się nad przedsionkiem bawić, to samego pałacu i nie dożyjemy. Kwartał pensyi W. Pan i księdza Sakowicza, komu mam oddać, niech wiem od W. Pana.» *)

*) Listy Króla do Naruszewicza z d. 18 listopada 1777 i z d. 6 lipca 1778 r. wydrukował w jedném z wydań swoich Karol

Stanisław August, widać z tych kilku wyrażeń ostatnich, napisanie dziejów narodowych uważał za jakąś sprawę familijną, kiedy aż płacił Naruszewiczowi za pracę. Chciał widać narzucić przekonanie swojemu społeczeństwu, że on sam a nie kto inny, może dla narodu stworzyć jego historyą w słowie. Stanisław August stawiał się w położeniu przedsiębiercy, pod którego imieniem rozchodzą się na świat wyroby, chociaż on sam czasem i chwilki czasu na pracę nie stracił, a dawał tylko pieniądze i nakład. Naruszewicz po kassacie zakonu nie miał utrzymania się; tytuł biskupa-koadjutora bez dyecezyi, jeść mu nie dawał. Płacił więc mu Stanisław pensją, ale za to narzucał obowiązki. Naruszewicz jednak zasmakowawszy w badaniach, już bez zachęcania Króla byłby pisał historyę Polską

Właśnie wtenczas, dla dalszego ciągu pracy swojéj, i sam biskup pragnął się przenieść na stałe zamieszkanie do Warszawy. Ale chciał zjechać na sejm w r. 1778 razem z szambelaństwem Jezierskiemi. Pisał do Króla i prosił, żeby o pomieszkanie dla niego i dla Jezierskich wystarał się. Król mówił znowu do Narucha: «Lubię ci dogadzać w każdéj rzeczy, ale na sejm wiele stancji najmować potrzeba, i drogie i trudno o nie, a mam na co wydawać aż nadto. To tak prawda, jak to że piszę do ciebie. Jak przyjedziesz rad ci będę serdecznie.»

Ale nadzieje Króla raz jeszcze zawiedzione były. Naruszewicz nie przyjeżdżał. Przysłał tylko do Grella w rę-

---

z Kalinówki. Stamtąd je téż cytujem dla historyi dzieła Naruszewicza.

kopismie dwa tomy poezji swoich, które drukowane były r. 1778.

Nareszcie, zamiast sam przyjechać, biskup przysłał Królowi do Warszawy z błót Pińskich, pierwszą i drugą część swojego dzieła. W tomie pierwszym opowiadał dzieje pierwotne, w drugim snuł wątek powieści od czasów Mieczysława Chrześcijanina. Tom pierwszy nie był jeszcze wypracowany, ale i tom drugi także nie był przejrzany, poprawiony i dodatkami zbogacony. Ale przynajmniéj widział już Król owoc pożądanéj pracy.

Wziął się zaraz do czytania, bo Stanisława Augusta interesowały w saméj rzeczy, dawne podania i dzieje przodków lechickich. Król był kontent; sam wyznaje, że znalazł w tych dwóch tomach mało do poprawy. Uradowany, pisze do biskupa: «Boję się przesłać ten manuskrypt W. Panu, ażeby strzeż Boże, nie popadł kazusowi jakiemu, a tak wskrzeszone naddziady nasze powtórnie by w grób poszły z żalem moim, a szkodą publiczną. Z tego co już widzę, obiecuję sobie cale pomyślny skutek żądania mego, i zupełnie ufam, że ci się będzie godziło powiedzieć: *Exegi monumentum aere perennius*. Jedź sobie teraz do Grodna i Wilna, jak powrócisz, dla ulżenia pracy twojéj, obmyślę ci sposób utrzymania przy sobie właśnie tego kopisty, ex-jezuity, którego mieć pragniesz. Statecznie mnie kochaj jak dotychczas i chwalebnie pracuj, a coraz lepiéj będzie ci się działo, choć nie razem zupełnie dobrze. Bo i ja wszystkiego razem uczynić nie mogę. Ale niech wiem, kiedy sobie powrót układasz do Warszawy.»

Zawsze się Król o ten powrót Naruszewicza dopraszał,

i ciągle naprożno. Zacny biskup całą siłą wziął się do pracy, a jak dotąd, zdaje się pracował sam jeden, kiedy o kopistę nawet starać się musiał. Dotąd więc sam sobie przepisywał akta i stare dokumenta, a praca ta mechaniczna, przykra, zabiłaby w każdym zdolnym człowieku chęć do tworzenia, bo wyczerpałaby siły, a Naruszewicza jednego odciągnąć od wielkiéj myśli nie potrafiła. Mógł biskup być natchniony tą myślą, mógł sobie wystawiać, że patrzy wtedy na niego cały naród polski.

Zdaje się, że wtenczas jakiś udział w téj mozolnéj pracy biskupa wziął Nielubowicz, człowiek także pracowity i zdolny, który dopiéro na przyszłych sejmach miał się wsławić. Nielubowicza przysłał za jakiemiś zleceniami naukowemi do Króla, biskup-koadjutor Smoleński. Ale Król 10 października 1779 odpisał Naruszewiczowi, w tych słowach:

«Krótko ale szczerze, powiem ci, że tęsknię bez ciebie, mój biskupie! Znam ja to, żeś dla interesów swoich domowych, i dla spokojniejszego pomknięcia dzieła, odemnie zaleconego, bawił dotychczas extra urbem. Ale też już czas, żebyś zawitał znowu do przyjaciół, i żebyś się zbliżył do jakiejkolwiek przecie rozrywki: o ile gdy samo ostatnie ukształcenie pracy twojéj, i pokazanie jéj na świat, bez twojéj tutaj bytności nie obejdzie się. Więc niech już Nielubowicz bez ciebie nie powraca. Serdecznie będę rad, gdy razem przyjedziecie. Cenię ja i szacuję bardzo osobę, talenta i pracowitość Imci Pana Nielubowicza. Jednak Eliasz większy od Elizeusza. Bez metafory kocham ja Nielubowicza, bo prawdziwie wart tego. Ale W. Pana zawsze

przed nim kładę. I zasłużyłeś to u mnie, i każdy ci to przyzna, i zapewnie sam Nielubowicz.»

Tą razą stanowczo już obiecywał Naruszewicz że zjedzie do Warszawy pod koniec roku, z początkiem zimy. Król jednak nie zapomniał o jego urodzinach, i dnia 1 listopada między innemi pisał jeszcze do przyjaciela:

«Winszuję sobie i ojczyznie dnia urodzin twoich, mój biskupie. Będą go pamiętały i wielbiły i w następne wieki wnuki nasze, tak jak my czcimy pamiątkę tych jeniuszów, które zdobiły panowanie Wazów i ostatnich Jagiellonów. Już też sobie obiecuję prawdziwie zbliżone ukontentowanie, miłego z tobą mój biskupie i z godnym twoim współpracownikiem, powitania.»

Dotrzymał nareszcie obietnicy Naruszewicz, i na d. 28 listopada 1779 r. powrócił do Warszawy. Była to niedziela. Lat sześć prawie, jak opuścił stolicę dla probostwa a potém dla pracy naukowéj. Przywiózł z sobą mnóstwo papierów, akt dawnych i całą kancellarją. Król go z wylaniem się i serdecznością przywitał. Oddzielił mu zaraz mieszkanie na zamku, i wyznaczył 50 dukatów miesięcznéj pensji dla kopistów. Zaprowadził więc biskup-koadjutor Smoleński, w komnatach swoich, prawdziwe biuro. Dobierał sobie pomocników, a ci przepisywali, robili wyciągi, porządkowali notaty. Notat przybywało. Z zagranicy nadsyłał ciekawości Albertrandi, a posłowie polscy wszędzie starali się u dworów robić sobie wstęp do archiwów i bibliotek. Chodkiewiczowie z Litwy przysłali ciekawe familijne zbiory rękopismów i akt. Biskup zasilony materjałami, już wtedy powziął plan napisania na wielką skalę żywota

znakomitego wojownika, zwycięzcy z pod Kirholmu i Chocimia. Król sam czynnie starał się o pozyskanie bogatszych jeszcze zbiorów od panów polskich Nawet kapitał na wydrukowanie już wyznaczał, i serdeczniéj jeszcze, jak przedtém ściskał kochanego swojego Narucha. Na obiadach czwartkowych tylko o historyi narodu jakiś czas mowa była. Oczywiście, i ciekawość obywateli polskich podniosła się do najwyższego stopnia.

Czekali wszyscy, a Naruszewicz zakopany w skarbach historycznych po uszy, dni i noce przepędzał na wertowaniu zbiorów, które się co chwila mnożyły. Miał on zamiar napisać całe dzieje narodu, od jego początków, aż do epoki Poniatowskiego. Praca ogromna! Nie wiedział, że śmierć i wypadki potocznego życia, nie pozwolą mu dokończyć przedsięwziętéj pracy. Dla tego zajęty ciągle jedną myślą, zbierał wszystko, i dyplomata Piastowskie i późniejsze dyarjusze, pamiętniki, mowy, relacje. Nie jeden obywatel, co mu pozwalał czerpać ze swoich zbiorów, o pamiątki był jednak zazdrośny, i albo w kopji przesyłał materjały, albo dając oryginały, prosił i nalegał natrętnie, żeby mu jego własność czémprędzéj zwrócono. Cała zatém zasługa kopistów była w pośpiechu. Biskup nie odstępował ich na krok, żeby ciągle pisali. I nie dosyć na tém że sam pracował nad obrazem dziejów, przeglądać musiał jeszcze kopje swoich pisarzów, i porównywać ich odpisy z oryginałami. Dla tego sprawiedliwie dziwili się wszyscy, że w pośród takiego zbytku bogactw, w lesie tak wielu nagromadzonych wiadomości, Naruszewicz nie błądził, a wszystko zawsze znalazł na swojém miejscu. Za-

pominali, że biskup miał z góry poświęcenie na to, żeby dziejopisem był swojego narodu.

Dziejopisem być wtenczas, znaczyło wznieść się nad przesądy kronikarskie, i krytyczném okiem umieć czytać podania starożytne. Wiek ówczesny nie rozumiał jeszcze, że siła twórcza historyka potrafi zakląć przeszłość w obrazy cudne.

Król często przychodził do komnat Naruszewicza, bo Stanisława niezmiernie zajmowała ta praca. Wyrozumiałym był i delikatnym dla Naruszewicza. Nie raz miał do niego interes, chciał go się o cóś zaradzić, a jednak nie śmiał przerywać pracy przyjacielowi, bo wiedział, że uczony nie chętnie odrywał się od swoich zatrudnień. Zamiast posyłać po biskupa, Stanisław wolał go odwiedzać. Sam więc przez korytarze zamkowe wchodził do komnat Naruszewicza. Król wierzył biskupowi jak wyroczni. Na jego sąd i zdanie prawie zawsze się spuszczał. To pytał się Naruszewicza, czy nie ma barbaryzmu w łacińskiém wyrażeniu na orderze Ś. Stanisława: premiando incitat — to chciał wiedzieć jak sala w dobrym języku po łacinie, bo triclinium była u Rzymian tylko sala jadalna. (Król właśnie wtenczas w Łazienkach i na zamku Warszawskim przerabiał komnaty na sale, a kłaść wszędzie lubił napisy łacińskie.) To inną razą ciekawy był Poniatowski, kiedy Filipowcy weszli do Polski, albo pytał się Naruszewicza kiedy się rodziła jego matka, Konstancya Czartoryska? Król był oczytany w dziejach polskich i znał wiele kronik; umiał nawet trafnie wtrącić słówko uczone o przeszłości, a zdarzało się nie raz, że zadając Naruszewiczowi

jakie pytanie, wskazał zarazem fakt jakiś, wypadek, wiadomość, po któréj możnaby dojść jakiejś wątpliwości i rozjaśnić prawdę. Król jednak był za bardzo delikatny, żeby dla swojego widzimisię miał odrywać Naruszewicza od pracy, i sam dla tego przychodził do biskupa, rzucić mu jakieś pytanie, albo przyjrzeć się nagromadzonym stosom papierów. Bo Naruszewicz był chodzącym zbiorem wiadomości, a mianowicie polskich. Uczony i dowcipny, z wielką ochotą rozmawiał na obiadach czwartkowych; — wtenczas śmiał się, zabawiał wszystkich, a Króla najwięcéj. Ale inaczéj było kiedy Król do niego przychodził, a zastał biskupa przy pracy. Naruszewicz nie lubił takich odwiedzin. On nie mógł wydołać pracy, tak mu niestarczyło czasu, a przez odwiedziny swoje natrętnik jaki zabierał mu drogie chwile, w których zajmował się odtwarzaniem postaci starodawnych przodków. Tracił wtenczas swój dowcip i wesołość, mało był rozmowny, a słowa wcale mu z ust płynęły nieobficie. Ile wymówny w piśmie, ile rubaszny w towarzystwie, przy obiedzie, tracił na fantazji przy pracy, kiedy mu ją ktoś niegrzeczny przerywał. Zdawało się każdemu, kto go wtenczas widział, że biskup tylko pisać umie, nie mówić.

Słyszeliśmy od jednego z ludzi bogatych w podania o przeszłości, które z ust starców zachwycił, że biskup niecierpliwił się już widocznie, kiedy tylko posłyszał kroki czyje na korytarzu, a kierunek ich rozeznał ku swoim komnatom. Rzucał wtedy pióro z gniewem na stół i zaczynał mruczéć pod nosem. Nieukontentowanie rosło w miarę tego, jak Naruszewicz słyszał coraz bliżéj kroki nieszczęśli-

wego natręta. Wtedy wybuchał już słowami i głośno wymyślał: «a po co tu? a próżniaki! a nie mają co do roboty, a przeszkadzają bezustannie, róbże tu kiedyś mądry, na téj rozstajnéj drodze! i t. d. Zdarzało się nieraz, że natręt, posłyszawszy ten grom wyrzutów, cofał się ode drzwi w milczeniu, a gniew biskupa ostygał powoli, i znowu Naruszewicz brał pióro i daléj pisał dzieje narodowe. Zaufany przyjaciel wchodził jednak do komnaty biskupa, ale to chyba na czas krótki, pospolicie za jaką ważną sprawą, ale prędzéj jeszcze ztamtąd wychodził, żeby nie nadużywać cierpliwości uczonego. Młodemu np. Adamowi Rzewuskiemu chorążycowi Litewskiemu, zawsze prawie był wstęp do biskupa otwarty: bo téż pan Adam był uczniem Naruszewicza jeszcze w kollegium nobilium, powierzonym wyłącznie staraniom swojego professora, bo dziejopis nie robił sobie z panem Adamem kłopotu, w każdéj chwili mógł przeprosić młodzieńca, że niema czasu na pogadankę: mógł go nakłonić, żeby innéj chwili stosowniejszéj poszukał do rozmowy. Oczywiście téż wstęp łatwy mieli do pracowni biskupa ludzie, którzy mu pomagali w dziejowéj pracy: ksiądz Albertrandi, ksiądz Gawroński, Ghigiotti. Jeden dostarczał mu materjałów, drugi znosił się z Królem, trzeci otwierał nowe źródła za granicą. Z Gawrońskim Naruszewicza łączyła ścisła przyjaźń; był to także niegdyś jezuita, teraz na dworze lektor Królewski, człowiek światły i zbliżony do osoby Pańskiéj. Wiele spółczucia miał Gawroński dla uczonego biskupa; często obadwaj naradzali się z sobą nad historyą i pisywali wspólnie Albertrandemu instrukcje. Naruszewicz nazywał

księdza lektora szlafkamratem swoim i nie gniewał się wcale, kiedy Gawroński do jego komnaty zaglądał, bo szlafkamrat przynosił biskupowi za każdą razą jakieś nowe nabytki, albo pomoc w nudnych poszukiwaniach.

Nie lubił z resztą Naruszewicz odwiedzin, i z tego powodu, że nawet powierzchowność jego, odzież i przystrojenie komnaty w któréj pracował, w każdym szczególe zdradzała uczonego. Ubiór jego był wtenczas niezmiernie zaniedbany, a ślady nieochędóstwa widać było wszędzie, i na sprzętach pokojowych i na całéj postaci uczonego. Pełno kurzu leżało na księgach i rękopismach, w kątach pokoju wszędzie śmiecie. Biskup nie pozwalał w swojém mieszkaniu sprzątać i zamiatać, tak się lękał, żeby mu kto jego notat przez niezręczność nie poruszył, żeby nie popsuł porządku w papierach. Pojmujemy bardzo to przyzwyczajenie do brudu. Nie była to miłość kurzu, a było to przywiązanie do porządku, w jakim leżały notaty. Stąd Naruszewicz nie lubił też odwiedzin nawet i Króla. Stanisław August całe życie wymuskany, przystrojony, wysznurowany, jak był sam koło siebie starannym, tak z roszkoszą wszędzie widział tę staranność i piękność. Naruszewicz nie lubił Króla przyjmować w mądrym, chociaż brudnym pyle, sam znosił nieporządek i śmiecie, ale nie chciał żeby go inni na jego brudach widzieli. Przy pracy zapominał o wszystkiém.

Król chętnie przebaczał biskupowi i tę miłość do śmieci, a nieprzebaczyłby jéj z resztą nikomu, bo kochał Naruszewicza. Zmiarkował słabość przyjaciela, i w komnatach jego nie pokazywał się nigdy. Wolał do niego maleńkie

liściki pisywać i zasięgać rady na piśmie, kiedy już nie śmiał przerywać mu roboty. Ale Stanisław czuł to dobrze, że Naruszewicz może zapracować się, i stracić oczy, albo choroby się nabawić, przez to ciągłe nad papierami ślęczenie. Starał się więc rozrywać biskupa i często brał go z sobą na przejazdkę gdzie w okolice, jakby dla zażycia świeżego powietrza. Biskup nie śmiał się sprzeciwiać Poniatowskiemu, a tak na zamku Warszawskim znalazł prawdziwego przyjaciela. Przyjaźń ta, dzień do dnia, stawała się ściślejszą, poufalszą. Naruszewicz rówiennikiem był Stanisława, bo zaledwie o kilkanaście miesięcy obadwaj różnili się wiekiem. Poniatowski był starszym od biskupa. Ale Król zawsze świeży, najpiękniejszym był mężczyzną w Rzpltéj. Naruszewicz znowu nie uderzał nikogo regularnością swoich rysów, chyba myślą i nauką co mu świeciła na twarzy. Wysokiego wzrostu, twarz miał wcale nie piękną, a jednak okazałą, majestatyczną i nakazującą postać. Był i Król prawdziwie Królem z piérwszego wejrzenia, poznał w nim każdy, krok i ruch panującéj osoby, i na twarzy Stanisława wyraźnie zasiadł majestat. A jednak rysy Króla uderzały łagodnością tak, że każdy do niego miał śmiałość jakby do równego sobie; w Naruszewicza twarzy coś odpychającego, a raczéj obudzającego głębokie uszanowanie, coś tak poważnego się przedstawiało. Nos krzywy, czoło miał wysokie, włosy naprzód zaczesane, oczy łagodne i miłe. Szlachetność miał w spójrzeniu, w twarzy, w ruchach, godność w całéj postaci. Ale strój zawsze zaniedbany, chociaż i przy królu. Stanisława otaczał urok tronu, Naruszewicza urok głębokiéj nauki.

Stanisław zawiesił wtenczas popiersie przyjaciela w zamku, jak popiersia innych znakomitych i uczonych ludzi w Rzpltéj, swojéj epoki. Kazał Naruszewiczowi do tych wizerunków napisać krótkie życiorysy. Wizerunki na płótnie wymalował Marteau, a Król cały szereg tych obrazów, jeden obok drugiego, powiesić kazał w komnacie na zamku, poprzedzającéj pokój królów marmurowy. Byli tam pomiędzy innemi, jako ozdoba obiadów czwartkowych: Michał Mniszek, Jędrzéj Mokronowski, Krzysztof Szembek, książe Stanisław Poniatowski, Andrzéj Gawroński (późniéj biskup Krakowski), Ignacy Nagórczewski i t. d. Życiorysy Naruszewicza, sam Król własną ręką poprawiał, jeżeli tyczyły się osób bliskich jego rodziny. Pomiędzy innemi portretami wisiało i popiersie naszego biskupa, a prawie mówiło, tak nadzwyczajném jaśniało podobieństwem. *)

Ale ambicja przerywała nieraz gorliwą pracę Naruszewiczowi. Chciał co najprędzéj *sławę* domu swojego przywrócić. Stąd życie biskupa upływało wtenczas to przy pracy, to w troskach o przyszłość.

Ksiądz kanclerz Młodziejowski tylko co umarł. Przypomniał sobie wtedy nasz biskup wiersze Kochanowskiego: «nie frasuj sobie Mikołajku głowy.» Otwierały się nowe wakanse. «Ja nie proszę o pieczęć — pisał jednak ze swojéj komnaty do Króla — bo choć mam serce, ale trzeba

*) Te biograficzne opisania osób, które Król Jmć zwykł był spraszać do siebie na czwartkowe obiady i uczone posiedzenia, mają się znajdować w rękopismach w bibliotece Willanowskiéj. Patrz Rozmaitości Warszawskie (pismo dodatkowe do Gazety Korrespondenta Warszawskiego 1826, № 3).

lepszéj głowy» (to zdaje się przymówka księdzu Młodziejowskiemu). Wolał Naruszewicz starać się wtedy o koadjudorję Łucką u biskupa Turskiego. Zwierzył się z tém Królowi Poniatowskiemu, i otrzymał od niego obietnicę. Jest to daleka perspektywa, mówił, ale i sen miły bawi; przy pomocy królewskiéj, spodziewał się prędzéj biskupstwa Łuckiego, jak Smoleńska, który, było wszystko jedno dla niego, dostać czy nie dostać. Posłał już Królowi nawet przywiléj do podpisu na Łuck, ale nadspodziewane znalazł trudności. Biskup Turski, niby to nie chciał mieć koadjutora, zdawało się jednak, że myślał potargować troszkę, czy też i sam co na téj sprawie nie zyska. Mówił, że ma jeszcze dosyć siły wydołać obowiązkom biskupa, oświadczał się ze swoją wiernością i poświęceniem się dla tronu, i dodawał nareszcie, że to wszystko od woli królewskiéj zależeć może. Naruszewicz wytłómaczył Stanisławowi Augustowi całą zagadkę: Turski pozwoliłby na koadjutorję, gdyby sam miał nadzieję czegoś lepszego. Zdawało się, że chciał być biskupem Poznańskim po Okęckim, że prosił dla siebie tymczasem także o koadjutorją wyższą u księdza podkanclerzego, chociaż był starszy od Okęckiego latami. Formuła Turskiego zawierała się w tych wyrazach: do ut des, facio ut facias. Książe jenerał ziem Podolskich pisywał i umawiał się z Turskim o Naruszewicza, i zawsze znalazł jedne i też same trudności. Wchodził i Król w te narady. Książe Adam działał nareszcie w téj sprawie z ramienia samego Stanisława: ale biskup Łucki chował zawsze uporne milczenie. Dziejopis radził Stanisławowi, żeby kategorycznie wezwał Turskiego do odpo-

wiedzi na pismie, i podał Królowi nawet wzór listu: «Miła perspektywa biskupstwa Łuckiego na pół Litewskiego dla Pińczuka i Brześcianina, (zawsze ten Pińsk na placu,) — pisał Naruszewicz do Króla — jako ukazująca nadal zamiar godziwéj ambicji, lepszość sytuacji; a tém samém cień jakowyś i ochłodę pracowitych znojów moich. Ale ja sam sobie rady dać nie zdołam, bo i nie umiem chodzić témi szlakami, po których intryga z polityką ciemne stawi kroki, i nie godzi mi się, mając Króla łaskawego, i krew jego dobrze mi życzącą.» Stanisław August pisał sam do Turskiego; zalecał Naruszewicza, obiecując i biskupowi Łuckiemu swoje względy.

I obietnice królewskie i szczere chęci, nic nie pomogły. Pani Morawska łudziła Naruszewicza nadzieją probostwa Ołyckiego, które z infułą chodziło, po śmierci starego patryarchy Laskarysa. Probostwo to czyniło rocznego dochodu 15,000. Pani Morawska wspominała biskupowi, że bracia jéj, książe wojewoda Wileński i podkomorzy Lit. nie byliby wcale od tego, aby im tylko Król wspomniał o Naruszewiczu. Błagał i oto biskup Stanisława, ale najwięcéj utyskiwał nad Łuckiem. Wyrazy jego do Króla w téj sprawie, mają nawet cóś w sobie uroczystego. Turski dobrze wyrachował; pokazując złote cacko Naruszewiczowi pewny był, że poważny dziejopis narodowy, całą siłą sprawę jego poprze u Majestatu pańskiego. Przypominając się ciągle Naruszewicz to kluczami, to pieczęciami, laskami i krzesłami, które w domu jego chodziły, pisał do Króla i o swoich zdolnościach: «a co się tycze darów Bożych, toż bym tak powiedział i napisał jak drugi. Mier-

ność stopnia i majątku sprawuje bojaźń. Teraz zdaje mi się żem żak i mówić nie umiem, potém podsycony łaską Pańską: loquar in conspectu Regum et non confundar. Gdy mnie jeszcze ta nadzieja ominie ... podobno zapłakawszy z Dawidem: vacuum est confidere in principibus, trzeba będzie pojechać na wieś i zamiast Liwiusza czytać Warrona de re rustica. Przyznam się W. K. M., że mnie jedynie łaska Pańska krzepi i obietnice jego kategoryczne, bo ja znam komunały. Kiedy przed nami pracującemi będą brać młodzikowie bez zasług i criminibus maculosi, a W. K. M., nie arcy-życzliwy, w cóż pójdą stérane lata na literaturze i ciało skurczone na stołku. Nędzny to cel, sława nieśmiertelna po śmierci.» Jakieś nowe intrygi otaczały wtedy Króla z powodu biskupstwa Łuckiego. Więc z żalem kończył Naruszewicz, «nie jest to fraszka dla mnie miłościwy Panie, utracić bliską nadzieję, a tymcza sem gnić i ślepić nad témi szpargałami. Potrafiłbym i ja jeździć karyolką, grać w karty, jeść i pić smaczno, liczyć pieniądze, a potém bez pracy wyższe infuły łapać. *)

Poezją już się wcale Naruszewicz nie zajmował. Co miał wyśpiewać, już wyśpiewał. Posiadał już ustaloną w narodzie swoim sławę wiersza, a publiczność czytała i chwaliła sielanki i satyry. Minasowicz na łacińskie rymy zdobywał się, żeby wielbić talent poetycki biskupa, a Trembecki pisał do niego odę w nadętym wierszu, jakby chciał naśladować styl Naruszewicza. W r. 1780 jednakże na prośbę Króla, pokazał się poeta wyrozumiałym. Umarł

*) Listy w zbiorze Wojcickiego.

właśnie w maju Jacek Ogrodzki, sekretarz W. K. przyjaciel rodziny Poniatowskich, zacny i uczciwy obywatel, któremu i Naruszewicz swoje dedykował satyry. Król prosił przyjaciela, żeby napisał wiersze na pochwałę Ogrodzkiego. Naruszewicz był powolny, i nowy poemat ułożył na wieczną pamięć zmarłemu. Sekretarz W. K. przejęty wdzięcznością odezwał się wtedy do Naruszewicza z za grobu, bo w czerwcu tegoż roku w drukarni nadwornéj wyszedł: «*Głos Ogrodzkiego z wieczności do autora wierszów na swoim pogrzebie, przez O. K. R. N.*» Głos ten kosztował grosz srebrny. *)

Nareszcie, tom drugi dziejów narodu Polskiego ukazał się w r. 1780 na widok publiczny. Dziwili się wszyscy olbrzymiéj a pięknie dokonanéj pracy. Piérwszy to raz od lat ośmiuset, naród czytał swoje dzieje, oczyszczone z bajek kronikarskich, wyłożone nowym, dosadnym i czasem malowniczym językiem; dzieje szczegółowe, bo rok za rokiem szedł w nieprzerwanym ciągu téj powieści o losach narodu, przez wiek prawie cały. Panowała wprawdzie w historyi Naruszewicza kronikarska zasada opowiadania, ale już pogląd na wypadki był krytyczny i zwiastował nową epokę dla dziejopisarstwa polskiego. Praca podobnéj treści, którąby tak rozwinęła pierwiastkowe narodu dzieje, i w naszych czasach zwróciłaby na siebie uwagę powszechną, a cóż dopiéro wtenczas, kiedy piérwszą była próbą i pierwszém usiłowaniem? Nie można odżałować, powtórzymy

*) Gazeta Warszawska 1780, № 50. K. R N. znaczy: Konsyljarz Rady Nieustającéj.

jeszcze, że w czasach Stanisławowskich nie było pism perjodycznych, poświęconych wyłącznie obrazom spółczesnéj literatury, bo nie było i krytyki. Nauczającą by znowu było dla nas rzeczą czytać, jak przyjął ówczesny świat uczony to dzieło wielkie, które prawdziwie uświetniło literaturę Stanisławowską. Recenzje ówczesne czytalibyśmy dzisiaj z zajęciem, a w tych recenzjach mielibyśmy i obraz prawdziwy pojęć, jakie społeczność w XVIII wieku miała o dziejach i obrabianiu tych dziejów.

W tomie drugim historyi były przypisy, z których nie jeden stanowił oddzielną rozprawę, że między innemi wspomnim o zbiciu bajki, podług któréj Kazimierz odnowiciel, był mnichem. Znajdowały się tam porządne tablice genealogiczne i dwie mappy, dla objaśnienia textu. Wszystko to była nowość dla ludzi tamtéj epoki. Naruszewicz dopiéro pierwszy stanął na wznioślejszém stanowisku w pojmowaniu historyi, i uczył ziomków, jak trzeba się nią zajmować, jak pisać o czasach dawnych, jak bez uprzedzenia patrzéć na dziejowe baśnie. Polacy wtenczas i Dytmara pierwszy raz poznali. Erudycją swoją, Naruszewicz odkrył wiele błędów w podaniach, i takim sposobem stworzył krytykę dziejową, o któréj się jeszcze nie marzyło jego spółczesnym. Ze stanowiska nawet dzisiejszego, Historya Naruszewicza jest bardzo szacownem dziełem i zawsze wartość swoją zachowa, jako zbiór faktów uporządkowanych w chronologicznéj kolei i oczyszczonych światłem krytyki. Ale w Poniatowskiego czasach, historya ta była arcydziełem, pracą zdumiewającą, prawdziwie nieśmiertelną, może najznakomitszą w całéj literaturze XVIII wieku.

Tom pierwszy miał wyjść później, bo potrzebował większego jeszcze opracowania. Naruszewicz o początkach przedchrześcijańskich narodu miał później obszerne napisać dzieło, które stanowić było powinno tom pierwszy, czyli wstęp do jego Historyi. Wydając dzieje od Mieczysława Chrześcijanina, z początku ulegał w tém natchnieniu królewskiemu. Stanisław jakeśmy to widzieli, wolał już być w domu jak bawić się tak długo w przysionku. Stanisław nie pojmował wielkiego znaczenia pierwotnych dziejów, tam właśnie potrzeba było krytyki, bo historyę Mieczysława i jego syna Wielkiego — potrafiłby i kto inny, nie koniecznie Naruszewicz z podań rodzinnych i Dytmarowych ułożyć. W dziejach, najważniejsze są każdego narodu początki, jego wiek patryarchalny, czyli wieki które spędził w ciemni przedhistorycznéj, to jest nim się dla dziejów świata narodził i pierwszy raz wystąpił w ludzkości, jako jednostka, z wolą i myślą. Bo czasy historyczne każdego narodu, nawet więcéj zanotowały kroniki, a zasługa wielka późniejszego badacza w tém właśnie, żeby za tą nicią przewodniczącą, wdzierał się coraz głębiéj w przedwiekowe podania, prawdę rozjaśniał, wskazywał na tajemnicę tworzenia się tego lub owego narodu. Zadanie to zapewne najświetniejsze, lubo najmniéj wdzięczne, a dla tego samego obudzające wielkie spółczucie dla sumiennéj pracy. Naruszewicz, jak powiadamy, razem z Królem Stanisławem, za mniejszą rzecz uważał te badania, które nasza dopiéro chwila rozpoczęła. Przygotowywał więc tylko materjały do dziejów pierwotnych, ale jeszcze nie obrabiał tych dziejów. Skeptyk z położenia swojego, (bo pierwszy polot kry-

tyki dziejowéj wszędzie skeptycyzmem się odznaczał,) Naruszewicz nie wierzył żadnym podaniom: ani Popielom, ani Leszkom, ani Krakusowi; Mateusza Cholewy i Boguchwały legendy odrzucał, i dopiéro od Mieczysława i od chrześcijaństwa pojmował dzieje polskie i prowadził nić swojego opowiadania. W dziejach zatém pierwotnych, nie budował nic Naruszewicz, a wszystko, jedno po drugiém, obalał krytyczną swoją powagą. Takim sposobem rozjaśniał zawsze ciemną stronę przedmiotu, bo przynajmniéj zbierał wszystkie dowody na to, żeby znaczenie podań osłabić. Następcom swoim zostawiał pracę, żeby przeciw tym jego dowodom, stawić jeszcze walczące na drugą stronę dowody. Praca Naruszewicza jednak, nie mogła być tyle dokładną, co dzisiaj: my posiadamy więcéj od niego źródeł, a co jeszcze główna, biskup nie umiał tyle po grecku, żeby autorów byzantyńskich użyć mógł do swoich poszukiwań dziejowych. Dzieje pierwotne Polski, zatém kuleć pod jego ręką musiały. *)

W oczekiwaniu jednak piérwszego tomu, dzieje czterech chrześcijańskich Królów rozrywali wszyscy w Warszawie. Naruszewicz skład główny dzieła założył w klasztorze Dominikanów na ulicy Freta. Mieszkał tutaj teolog Króla Stanisława, potém biskup suffragan Żmudzki i proboszcz Panny Marji w Warszawie, ksiądz Antoni Malinowski. On właśnie zajął się rozprzedażą. Z początku, blachy na karty jeograficzne nie były jeszcze gotowe, i kupujący

*) Tom piérwszy wydało dopiéro Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Warszawie 1824.

tylko znaki brali że później mappy dostaną. A jednak wydanie było rozerwane, bo wszyscy spieszyli się nabyć Historją, nawet nie czekając na mappy. Nareszcie mappa pierwsza wyszła w końcu października, a druga na początku stycznia 1781 roku. Rozdawał je Malinowski u Dominikanów. *)

Naruszewicz wygotował wtedy i rozprawę o Pieczyngach i wytłómaczył mowę Ignacego Potockiego, którą miał na sejmie, przy złożeniu laski Marszałkowskiéj w Radzie Nieustającéj, po dwóch latach zacnego jéj piastowania. Powiadają, że to była prześliczna mowa i duchem obywatelskim owiana. Król zadziwiony pracowitością Naruszewicza, bo i Chodkiewicza życie miało już pójść pod prassę, pisał do Naruszewicza pod dniem 15 grudnia 1780 r. «Prawdziwie się dziwuję, jak W. Panu czas wystarczy na tyle gatunków robót. Ale znowu i nie dziwuję się, znając talent i łatwość W. Pana i że in varietate laboris, szukasz i znajdujesz osłodzenie pracy. Tłómaczenie mowy Potockiego, będzie dla niego pochlebną nagrodą, a dla literatów osobliwie niemieckich, miłą ciekawością. Dla Polski zaszczytem i z autora i z tłómacza. Kwiatek literacki o Pieczyngach przyda się na czwartek. Jeszcze jednak w Bielskim dobrzeby zajrzeć o tém, pod panowaniem synów Kazimierza Jagiellończyka. Jutro włoski obiad u mnie, bądź na nim.»

Naruszewicz, widzimy, znał dobrze język niemiecki,

*) Gazeta Warszawska 1780, № 80. Supplement. № 88 i z r. 1781, № 3.

kiedy aż pisał w nim. Królowi Poniatowskiemu winniśmy tę ciekawą wiadomość.

W r. 1781 w końcu lutego, wyszedł w drukarni nadwornéj tom pierwszy *Żywota Chodkiewicza* z portretem hetmańskim. Nowe dzieło znakomite, w którém autor opowiedział wiele wypadków z panowania Stefana, a skreślił prawie cały obraz rządów Zygmunta Wazy. Żywot Chodkiewicza pokazał się wtenczas właśnie, kiedy Krasicki poematem swoim o Wojnie Chocimskiéj uczcił pamięć i wysławił śmierć znakomitego hetmana. Wielkiéj wartości nowa ta praca biskupa Naruszewicza, nie była przecież taką nowością, jak Historja narodu Polskiego. Życiorysy historycznych osób, literaci Stanisławowscy już skreślali. Bohomolec napisał życie Zamojskiego, Dymitr Krajewski pracował nad Czarnieckim i Kognowicki przerzucał archiwa Sapieżyńskie, bo chciał odmalować między innymi sławnego kanclerza Lwa, syna jego Leona Kazimierza i Starostę Uświatskiego. Sam Bohomolec zajął się Kanclerzem Jerzym Ossolińskim, Marszałek Mniszek pisał Życie Kazimierza W. Praca Naruszewicza ukazała się za tylą innemi, a przecież zgasiła i poprzednie i następne biograficzne aż do naszych czasów. Żadne pismo ówczesne niedorównało dziełu Naruszewicza. Ten pierwszy tom hetmańskiego żywota kosztował złtp. 9. *)

Wtedy Król mianował zasłużonego już biskupa Pisarzem Wielk. Litew. Wakans się otworzył po Józefie Kossakowskim, który w skutek śmierci Sierakowskiego, otrzymał

*) Gazeta Warszawska 1781 r. № 19, supplement.

katedrę Inflantską w marcu 1781. Po Kossakowskim, Naruszewicz został dygnitarzem Litewskim. Przedtém tylko w hierarchji duchownéj miał stopień, teraz pierwszy krok stawiał na drodze dostojeństw Rzpltéj. Z kolei mógł się doczekać pieczęci, albo wysokiéj jakiéj stolicy biskupiéj. 27 maja przysiągł Naruszewicz na Pisarstwo Wielkie razem z Antonim Dzieduszyckim, który po Ludwiku Tyszkiewiczu obejmował tenże sam urząd Pisarza Wielkiego, jako świecki. *)

Naruszewicz jednak nie za temi światowemi godnościami gonił, — jemu się wciąż marzyło biskupstwo Łuckie, i znowu się o nie Królowi mocno napraszał.

Po Sierakowskim wakowało bogate probostwo Miechowskie, czyniące do 30,000 rocznego dochodu. Plebanię Wileńską, którą miał z łaski Stanisława Augusta, Naruszewicz tylko co ustąpił podkanclerzemu Litewskiemu razem z przywilejem, niechcąc się trudzić «zębatém pieniactwem» jak się wyrażał. Inflant także nie pragnął, mając ciągle na myśli Łuck, ale wziąłby chętnie za to Miechów. «Żebym nie był tak leniwy i nieczuły na siebie, jak o mnie mówią, przypominam się łasce W. K. M.» pisał znowu do Króla. Roił sobie jakieś wakanse w myśli, dla siebie i dla Turskiego co najwięcéj. «Przestałbym już do śmierci na tém» — powtarzał. Te słów kilka objaśniają nam położenie Naruszewicza na dworze. Nie był on nieczuły na los swój, i widzim tego częste przykłady, ale brał się do rzeczy wcale niezręcznie, tak, że go za nieczułego inni

*) Gazeta Warszawska № 25.

uważali. Zagłębiwszy się w pracy sądził, że ukoronowany przyjaciel sam o nim myśléć był powinien, a ten ukoronowany przyjaciel tyle miał naraz ambicyi do zaspokojenia, i tyle własnego interesu, żeby jednać tutaj dla siebie, a tém uśmierzać namiętności, że nie często myślał o Naruszewiczu. Stanisław August nie kontent był z cierpliwości biskupa, który się nigdy serio i ustnie o nagrody nie upominał, a prośba listowna cóż mogła znaczyć dla Króla? Odbierał ich tyle, chował do kieszeni i zapominał o wszystkiém. Naruszewicza znowu bolała myśl że go zapominają, jakby naumyślnie, a zmuszony przemawiać za sobą listownie do Króla, robił to z widoczną odrazą i niechęcią.

Jednakże Rada Nieustająca, w liczbie trzech kandydatów których Królowi z prawa przedstawiała do każdéj zawakowanéj godności senatorskiéj, przedstawiła tym razem obok Kossakowskiego i Naruszewicza. Koadjutor Smoleński żywego ducha nie prosił o kandydactwo biskupstwa Inflantskiego. Zadziwił się zatém, że Król mógł, a nie spełnił teraz choć w części nadziei swojego przyjaciela. Zdaje się, że Stanisław August chciał naraz dwóm stronom dogodzić, bo i Kossakowski pchał się gwałtem do infuły. Jeden więc kandydat dostał biskupstwo, drugi urząd koronny. Za Pisarstwo Wielkie, czule Naruszewicz dziękował Królowi: «Los mój zrządził, żem Pana i Monarchy mego serce sobie zjednał, i te to są moje jedyne bene merita. Byłem dotąd pisarzem W. K. M., wszystkie pisma moje były dla Króla, za Królem, z woli Króla. Odbierasz mi W. K. M. najsłodszy mój honor, ale ja protestuję się, że prócz ty-

tułu Litewskiego, będę zawsze pisarzem Stanisława Augusta. Masz mnie Najjaśniejszy Panie, nie kandydatem do infuł, nie pisarzem, ale dziełem rąk swoich, swoim sługą poddanym, kmiotkiem pracowitym aż do zgonu.»

Przy urzędzie, Naruszewicz dostał przywiléj. Król Poniatowski dał Biskupowi moc głosowania w Radzie i rozwiązywania zdaniem swoim równości głosów (in resolvendo modo paritatis.)

Nie długo nowe chmury bić zaczęły. Chciano Naruszewiczowi wydrzeć serce.

Sołtyk, synowiec biskupa Krakowskiego, starał się o koadjutorję Kujawską i nie otrzymał jéj. Więc myślał o Łuckiéj i miał silną nadzieję, bo aż z Petersburga robiono za nim wstawienia się do dworu, nadsyłano listy. Ale Naruszewicz ufał w swoją gwiazdę: «wiem ja dobrze, jak oni za sobą chodzą i komu czołem biją Ja się oburącz za nogi trzymam jednego Pana, twierdzy mojéj jedynéj. Czémby tego pretendenta ugłaskać można, nie mojéj to głowy rada. Mógłby jednak jako Roxolanus poaspirować do Smoleńska albo do Chełmna, a nam starym sługom drogi nie zagradzał.» *) Rzecz dziwna, jak mocno trzymał się ksiądz Turski ze swoim uporem: ani zasługi Naruszewicza, ani prośby Króla, stałości jego i ambicji przełamać nie mogły, a należało przecież ustąpić, chociażby dla tego, żeby Pisarz W. Lit. przestał się martwić tą swoją przyszłą godnością. Sołtyk nie został koadjutorem w Łucku, to prawda: ale i Naruszewicz dla tego nie był wcale

*) Listy ze zbioru Wojcickiego.

szczęśliwszy. Widoczne było, że póki Turski wyżéj się nie posunie, póty dziejopis narodowy musi czekać. Ale Król Stanisław dał przyjacielowi uroczyste słowo, że prędzéj czy późniéj, on, rodzic litewski i łowczyc pińśki, osiedli się stanowczo na bagnach Polesia i łanach Wołyńskich. Naruszewicz Łuck prawie zawojował dla siebie, tęskniąc za nim tak długie lata.

W nowym charakterze swoim, Naruszewicz wystąpił teraz przy kilku uroczystościach w stolicy, bo właśnie była to chwila, kiedy oczy całéj Rzpltéj spoczęły na znakomitym człowieku, co jaśniał tak uroczo na dworze. Karpiński aż z Galicyi przysyłał mu wiersz swój *Sumienie*, jako do największego poety w narodzie, a obiecując, że zjedzie do stolicy, tulił się zawczasu pod opiekę Biskupa. To znowu bractwo niemiecko-katolickie w Warszawie zapraszało Naruszewicza do świętych obrzędów. Dostało właśnie postanowieniem Kommissji Edukacyjnéj i Okęckiego, kościół pojezuicki na Ś. Jańskiéj ulicy. W dzień pierwszy Zielonych Świątek miało się przeprowadzić uroczyście z Nowego Miasta do Staréj Warszawy. Zaprosiło w tym celu kilku biskupów obecnych w stolicy, ale pierwszeństwo oddało Naruszewiczowi, który z powagą przyzwoitą dopełnił ważnego dla Niemców Warszawskich obrzędu, przeprowadzając bractwo z jednych zabudowań do drugich i osadowiając je w kościele, przy którym niegdyś sam służbę Bożą odprawiał. Naruszewicz wtedy śpiewał pierwszą summę w kościele pojezuickim dla bractwa. *)

*) Gazeta Warszawska 1781, № 45. Było to dnia 3 czerwca.

Z Warszawy jechał z Królem do Radzymina Pisarz W. L. I tutaj księżna kanclerzyna, wujenka Poniatowskich, wdowa po Michale Czartoryskim, pierwszym dobroczyńcy Naruszewicza, obchodziła święto Wiary. Zbudowała nowy kościół i teraz właśnie spraszała gości na dzień godowy. Kapela księcia wojewody Ruskiego, zjechała do Radzymina. Prócz Króla Stanisława, chciała księżna mieć u siebie w pałacu, Naruszewicza i biskupa płockiego, którym był wtenczas brat Królewski, książe Michał Jerzy. Zjechali więc do Radzymina obadwaj dostojnicy kościelni, zaraz po Zielonych Świątkach, (9 czerwca). Księżna przygotowała wspaniałe przyjęcie. Nazajutrz, biskup płocki rozpoczął konsekrację kościoła i zaraz wyjechał, zostawiwszy na zastępstwie Naruszewicza. Odprawiała się właśnie wtedy z rozkazu księcia biskupa, missja w nowo wybudowanym kościele. Lud massami kwapił się do Świętych Sakramentów. Naruszewicz pontyfikalnie ubrany, codziennie ze zbudowaniem ludu pełnił wysokie obowiązki biskupa. Bawił w Radzyminie tydzień cały. Codzień bierzmował pobożnych, święcił dzwony i spowiadał. Codzień bywał na naukach i kazaniach missyjnych. Tutaj zaskoczyło go święto Bożego Ciała. Celebrował mszę wielką, a potém na processyi, i znowu bierzmował lud wierny. Niezmęczony był tutaj w pracy przy ołtarzu, jak w zamku Warszawskim przy księgach. Z przyjazdem wreszcie Króla ukończył się szereg uroczystości, a Naruszewicz powrócił do stolicy, do zwykłych swoich historycznych zatrudnień. *)

*) Tamże.

Drukował wtedy właśnie tom trzeci Historyi. W jednym roku drugą grubą księgę dziejów poświęcał na ołtarzu przeszłości. Tom 3ci wyszedł w lipcu 1781. Zawierał dzieje od czasów Władysława Hermana aż do Mieczysława Starego. Podzielony był na cztery księgi, jak tom drugi. Miał druku aż na 55 arkuszy. Pytali się wtedy wszyscy ciekawie, gdzie tom pierwszy Historyi? Biskup zaspakajał teraz ciekawość publiczną, oświadczeniem, że pierwotne dzieje zostawił na potém, bo teraz nie chciał nudzić wstępami, opisem rzeczy ciemnych, niepewnych i zagmatwanych. Tom 3ci kosztował równie złtp. 9 jak tom drugi. Całe dzieło przedawało się zatém po złtp. 18 w drukarni pojezuickiéj. *)

W przerwach od pracy, dnia 31 lipca, Biskup celebrował znowu w kościele pojezuickim u bractwa Niemieckiego, w dzień Patryarchy skasowanego zakonu, Ignacego Lojoli i przedstawiał Królowi na zamku śpiewaka Justyny; bo pan Franciszek z sercem przejętém radością, pełen wysokiego o sobie i talentach swoich rozumienia, spodziewając się hołdów i Króla i Rzpltéj, marząc o nieśmiertelności, zjechał właśnie do Warszawy na dwór księcia Adama, jenerała ziem Podolskich.

We wrześniu tegoż roku 1781, opuścił prassę drugi tom Żywota Chodkiewicza. Dla dopełnienia obrazu Wojny Chocimskiéj, Naruszewicz przy tym tomie wydrukował dyarjusz Jakóba Sobieskiego, bo hetman niedożył do ostatniego zwycięstwa i zawarcia pokoju. Tak pierwszy da-

*) Gazeta Warszawska № 61, supplement.

wał Naruszewicz przykład drukowania pamiętników dawnych *in crudo*, których dzisiaj drukujem takie mnóstwo. Nie skracał, nie robił wyciągów z dyarjusza, jak to robili jeszcze następni po nim literaci. Pojmował więc na prawdę całą ważność wiernego wydania pamiętników dawnych, a tém samém pokazywał trafny historycznego pisarza rozum, jaki być powinien, dla dobra nauki. Pod tym względem, Naruszewicz wiek swój uprzedził, i wiało już po nim tchnienie XIX stulecia. A i samo życie Chodkiewicza, było dziełem zupełnie nowém dla literatury polskiéj, pod względem wykonania. Inni pisarze historyczni, opisując dzieje znakomitego człowieka, jak np. Bohomolec i Krajewski, przerabiali tylko z Bielskiego, z Klimakterów i z innych kronik, opowieść o panowaniu Królów, i dla tego ich życiorysy wygodnie za dzieje nie bohatyrów a narodu i Królów uchodzić mogą. Chodkiewicza życie mówiło tylko o Chodkiewiczu, a w massie nowych faktów widać było, że to nie kompilacja z drukowanych jedynie kronik, a praca zebrana z listów i archiwów familijnych nie znanych jeszcze ogółowi. W Naruszewicza więc pracach wszędzie była nowość, bo krytyczném opowiadaniem pierwiastkowych, wystawieniem ze źródeł ciekawych dziejów hetmańskiego żywota, biskup Koadjutor Smoleński, massę nowych wiadomości rzucał w społeczeństwo polskie. Chodkiewicza życie zbogacone wielą ciekawych aktów rodzinnych hetmana, zawierało 54 arkusze druku. Sprzedawało się, dwa tomy po dukacie. *)

*) Gazeta Warszawska № 73, supplement.

Myślał wtedy Naruszewicz podać do druku i tom pierwszy swojéj Historyi. Grell przynajmniéj zapewniał w gazecie Warszawskiéj, w październiku 1771 r., że w krótkim czasie zaczną się u niego drukować Dzieje Pierwotne. Jednak na niczém spełzło to przedsięwzięcie. Widać, że biskup wolał się zająć dalszym ciągiem pracy, i jeszcze raz na bok odłożył dzieje pierwotne. *)

Tymczasem w późną jesień (1781 r.), Król wybierał się w podróż do Wiśniowca dla powitania Hrabstwa du Nord. Chciał wziąść Naruszewicza z sobą na Wołyń i i Podole, ale biskup odmówił, wolał zostać przy pracy. Poniatowski już wtedy żyć nie mógł bez uczonego dziejopisarza, który był jego erudycją w komnatach, i zaszczytem jego panowania. Pisarz W. L. przestał tą jednak razą na tém, że z rozkazu Króla napisał list do Olizara, Marszałka Trybunalskiego w Lublinie, uwiadamiając go zawczasu, żeby nie przygotowywał żadnych uroczystości na powitanie Stanisława. Rozkaz ten jednak ze strony Marszałka nie był spełniony. Król długo zabawił w téj podróży, bo z Wiśniowca pojechał daléj na południe. Był właśnie w Ostrogu, kiedy wieść nadeszła, że książe Ignacy Massalski, biskup Wileński, skutkiem ciężkiéj choroby już się pasuje ze śmiercią. Królowi mówiono, że lada chwila umrze biskup. Zdawało się, że katedra Wileńska zostanie opróżnioną i będzie do zajęcia. Na myśli Królowi zaraz stanął Naruszewicz. Ale i Koadjutor Smoleński w Warszawie dowiedziawszy się o chorobie księcia Massalskiego,

*) Gazeta Warszawska № 84.

był także niespokojny, jakby się lękał, żeby go nie pominęła Królewska łaska. O biskupstwo Wileńskie mógł się wtedy z Naruszewiczem ubiegać jeden tylko książe Stefan Giedrojć, pasterz świętéj Żmudzi. Gabryel Wodziński ze Smoleńska, był już za stary i sam zapewne nie pragnął zaszczytów, pragnąc umrzeć spokojnie, a Józef Kossakowski biskup Inflantski był znowu za młody i przed chwilą dopiéro sam zasiadł senatorskie krzesło, i pod żadnym względem z Naruszewiczem porównać się nie mógł. Dziejopis narodu, widać, jedyną był wtenczas osobą, godną zająć wysokie miejsce księcia Massalskiego w kościele, kiedy w jednéj myśli zeszli się wtenczes Naruszewicz w Warszawie, a Król Stanisław w Ostrogu. Bo oto, co Stanisław odpisał przyjacielowi pod dniem 28 listopada 1781 r.

«Mój Naruchu kochany! Twój list de 25 dziś odebrałem. A ja już wczoraj do Warszawy pisałem, w téj saméj myśli, w któréj ty piszesz do mnie, in casu fatorum księdza Massalskiego. Bądź spokojny, śpij smaczno, a wierz temu, że ni twojéj własnéj, ni czyjéj nie potrzebujesz prośby, żebym ja o tobie myślał i tobie dobrze uczynił.» Potém zwracając się do Historyi Naruszewicza, pisze Król: «Ryx wyliczy W. Panu 30 dukatów na potrzeby pisarków swoich. Dnia 8 ad pejus 9 decembra ustnie potwierdzę to, co piszę, że cię z serca kocham i szacuję.» *)

Król pisał z Ostroga do Rady Nieustającéj, żeby w razie

*) List ten Koźmian źle datował z Ostroga dnia 28 9bris 1787. Powinno być 1781.

śmierci Massalskiego, pomiędzy trzema kandydatami do biskupstwa, których Rada na mocy prawa z r. 1775 przedstawiała Królowi, zamieścić i nazwisko Naruszewicza. Marszałkiem Rady był wtenczas synowiec Królewski, książe Stanisław. Oczywiście zatém nadzieje Naruszewicza bliskie były spełnienia się, i byłby zasiadł uczony dziejopis na katedrze Holszańskiego i Protaszewicza, gdyby ... umarł książe biskup Massalski. Wbrew wszystkiém wyrachowaniom i nadziejom, zdrowie powróciło wielkiemu panu. Naruszewicz wdzięczny jednak Królowi chociaż i za chęć dobrą, na powitanie wracającego do stolicy Stanisława, w grudniu napisał wiersz, bo ozwała się w nim chęć rymowania, czysty panegiryk pod tytułem: *Podróż Królewska do Wiśniowca* (Lir. ks. IV. oda 35), w którym wyliczył skrzętnie wioski i miasta, które Stanisław odwiedził.

Na sejmie w r. 1782, kiedy dnia 9 października obrano komplet Rady Nieustającéj na dwa lata następne, Stany zaraz nazajutrz mianowały Kazimierza Raczyńskiego Marszałkiem, a na posadę Sekretarza Rady, Król podał Naruszewicza. Pisarz W. L. Koadjutor biskup Smoleński, większością głosów, tegoż dnia mianowany został Sekretarzem najwyższéj magistratury w kraju. I mógł się cieszyć kraj, kiedy tak znakomitych jak Naruszewicz, dobierał sobie urzędników. Wszedł wtedy Sekretarz Rady w poufne, a obowiązkowe stosunki z wielą panów polskich. W Radzie z nim zasiadali, między innemi: biskupi Okęcki, Garnysz, Kossakowski i Michał Poniatowski. Z obywateli zasłużonych w ojczyznie: Hetman Tyszkiewicz, Marszałek Mniszech, Brzostowski Podskarbi, Książę Stanisław Poniatow-

ski, Wojewoda Mazowiecki Mokronowski, Kasztelan Czerski Ostrowski i wielu innych.

Na posadzie Sekretarza Rady Nieustającéj, Naruszewicz mimowoli wielką na siebie wywołał burzę całego stanu duchownego i kapituł. *) Rzplta używała do rozmaitych posług prałatów i kanoników katedralnych, którzy tém samém oderwani od miejsc swoich duchownego urzędowania, tracili na dochodach, do jakich w kapitule mieli prawo. Naruszewicz chciał, żeby Rada Nieustająca weszła w to i podał wniosek stosowny, żeby kanonikom i prałatom, będącym na służbie Rzpltéj, (a ta służba wyższą wszakże była jak obowiązki w kapitule) zasługi i dochody za msze i doroczne uroczystości, wypłacały się zawsze ze skarbcu kapituł. Chciał tém postanowieniem zniszczyć wielką niesprawiedliwość i pragnął, żeby nie cierpiała myśl obywatelska na swojém poświęceniu się. Rada Nieustająca ujrzała się w dziwném położeniu. Biskup nakłaniał ją do tego, żeby łamała dawne prawa i przywileje kapituł. Rada zatém mając w ręku prawo, postąpiła sobie jak człowiek wahający się i niepewny. Chciała się poradzić duchowieństwa i notę Naruszewicza rozesłała po katedrach. Było to to samo, co odrzucić myśl obywatelską zacnego biskupa. Bo jak się mogła spodziewać Rada Nieustająca, żeby interes hierarchji nie przeważył zasad sprawiedliwości? Sprawa oczéwiście była przegraną. Kapituły obrażone, odpisały Radzie, że wniosek narusza prawo kanoniczne. Myśl Naruszewicza upadła i nie powstała więcéj.

*) Pamiętnik księdza Bartłomieja Pstrokońskiego.

W r. 1783, więcéj nabożeństwu jak pracy oddał się Naruszewicz. Nie rzadkość już teraz było widzieć go przy ołtarzu, w kościołach stolicy. Król go o to prosił i biskup zawsze odprawiał uroczyste nabożeństwo dla Stanisława Augusta. Dawniéj tego nie postrzegaliśmy. W nowy rok celebrował u Ś. Jana, w dzień ŚŚ. Piotra i Pawła także u Ś. Jana, na Wszystkich Świętych znowu w Kollegiacie. Modlił się też w pojezuickim kościele, do którego zapraszało go bractwo Niemiecko-Katolickie. Celebrował tutaj doroczną mszę 5 listopada za dusze dobroczyńców edukacji narodowéj. *)

Praca dziejowa za to wolniéj postępowała. W lutym 1783 r. Grell drukować zaczął tom czwarty Historyi, który wyszedł w początkach czerwca. Obejmował przeciąg dziejów aż do Bolesława Wstydliwego. Na okładce tomu, po raz pierwszy wtedy, wydrukowane było imie Naruszewicza. Nie długo potém opuścił prassę 4ty i ostatni tom dzieł Tacytowych, mieszczący w sobie *Żywot Agrykoli i Germanją*. Dzieje sprzedawały się po złtp. 9 i 11. a Tacyt po złtp. 6. Historyk Rzymski, wydaniem tych dzieł ostatnich, skończony już był w przekładzie polskim. Ale cały nakład dziejów narodu, brzydka zniszczyła pomyłka. Arkusze już odciśnięte leżały w drukarni i przez niedbalstwo dozorcy, nie prędko były zszyte w księgi przez introligatora. Ktoś wziął te stosy papierów leżących w kącie za makulaturę i rozsprzedał prawie cały tom 4ty na han-

*) Daty tutaj podane, wszystkie prawie są wzięte z Gazety Warszawskiéj, którą wydawał ksiądz Łuskina.

del po przekupniach. Zapóźno dostrzeżono błąd, kiedy go już niepodobna było naprawić. Grell drapał się w głowę, ale musiał na nowo druk rozpocząć, żeby powetować stratę. Dla tego pewnie i tom 4ty późniéj za 11 złtp. sprzedawał.

Król Stanisław, zasłużonego biskupa udarował w tym roku Orderem Orła Białego.

W r. 1784 w kwietniu, wyszedł tom 5ty Historyi narodu. Biskup zbliżał się już do epoki ostatnich Piastów, i dla tego upraszał przez Gazety obywateli posiadających skarby dziejowe, aby mu nadsyłali o nich wiadomość, bo właśnie zabierał się do opowiadania czasów Władysława Łokietka i Kazimierza W. Widzimy, że robota szła prędko i że nie naprożno Naruszewicz drogie trawił chwile. Dziwimy się tém bardziéj, że obowiązki urzędowe w Radzie Nieustającéj odrywały go zawsze od wielkiego dzieła. Prosił biskup o nadsyłanie materjałów do drukarni pojezuickiéj, i obiecywał, że je po użyciu odeśle z wdzięcznością. I marszałek Mniszech pracował nad dziejami panowania Kazimierza W. Mniszech myślał właściwie wydać życiorys znakomitego Króla, i niespostrzegł się, bo zresztą na jedno wychodzi pisać życiorys panującego Piasta, co i pisać dzieje narodu za jego rządów. Życiorys ten wyszedł już z druku przed kilką laty. P. Wiśniowiecki nie wiedział, że wkracza w obręb prac Naruszewicza, bo podług szkolnych pojęć ówczesnych, biografja — nie były to jeszcze dzieje. Mniszech o dziejach myśleć się nie ważył, ale praca jego sumienna i uczona, zawierała nie jedną myśl zdrową, nie jedno trafne postrzeżenie. Oczéwiście

zabierając się do Kazimierza W., Naruszewicz miał już znacznie pracę ułatwioną i z dzieła Mniszcha chętnie też korzystał.

Stanisław delegował w czerwcu Naruszewicza, Okęckiego i Wyrwicza, na examina szkół Warszawskich. Zasiadali więc na nich z urzędu biskupi. Tymczasem i czas sejmu zwyczajnego już się przybliżył i Król miał wyjechać do Grodna. Ale wprzód jeszcze i przed sejmem, miał odwiedzić Litwę, raz pierwszy od swojego wstąpienia na tron, i pogodzić się z rodami magnackiemi Wielkiego Księstwa. Podróż Króla miała więc być tryumfem, w pośród oznaków radości ogólnéj i szczęścia.

Naruszewicz wybierał się z Królem w tę podróż. Brał go z sobą Stanisław, jako przyjaciela, żeby rozerwać po ciężkiéj pracy umysł biskupa, zajęty badaniami dziejowémi. Monarchowie Katolickiéj Europy, mieli na swoich dworach jałmużników: takim jałmużnikiem przy Królu Polskim Stanisławie, był koadjutor Smoleński; łaską Pańską karmił biednych i dla tego wszędzie gonił za Panem. Ale prócz tego samego, musiał zjechać Naruszewicz na sejm, jako Sekretarz Rady Nieustającéj, któréj czynności rozbierane być miały. Był dla naszego biskupa trzeci jeszcze powód do litewskiéj podróży. Naruszewicz miał odwiedzić miejsca rodzinne, a razem obejrzeć biblioteki panów i archiwa, dla przygotowania coraz ciekawszych a liczniejszych materjałów dla dziejowéj pracy. Dla tego też z radością wybierał się nasz uczony w kraje zabużańskie i nadniemnowe. Nareszcie w kilkunastu powozach wyjechał Król do Litwy z Warszawy 26 sierpnia 1784 roku. W jednéj

karecie ze Stanisławem siedzieli: Naruszewicz, Chreptowicz podkanclerzy i jenerał Komarzewski.

Wiele dyarjuszów opisało tę podróż, jako jedną wielką uroczystość. Stara Litwa przyjmowała z wylaniem się Poniatowskiego, dawnego swojego Stolnika. Ale dla Naruszewicza ta podróż, prócz rozerwania się umysłu, przyniosła rzeczywiście nie jedną jeszcze naukową korzyść, bo wszędzie po drodze przeglądał archiwa i biblioteki. Nigdzie też pracy nie żałował, a na każdym kroku szukał dawnych zabytków sławy. I wiele ciekawych rzeczy znalazł wtenczas, a skarby dziejów mnożyły się, jakby jaskółki na wiosnę.

Król nigdzie go nie opuścił w czasie téj podróży, czyli raczéj Stanisław ani na krok nie pozwalał oddalać się od siebie biskupowi. W Bielsku powitał ich ksiądz Archetti, nuncjusz wracający z Petersburga. Po łowach w Białowieży, Król zaczął objeżdżać panów litewskich Drogę naprzód obrócił na rodzinną ziemię Naruszewicza. Wjechał na Pińszczyznę i Polesie. Najserdeczniejsze przyjęcie spotkało go naprzód w domu Kurzenieckiego, chorążego Pińskiéj ziemi. Stąd miał Król zjechać do saméj stolicy tamecznych okolic. Opuścił go wtedy na chwilę Naruszewicz, bo miał zlecenie od biskupa Łuckiego, do którego dyecezyi ta ziemia należała, urządzić w Pińsku ceremonjał duchowny na przyjęcie Stanisława. W Pińsku podejmował orszak królewski Starosta miejscowy, brygadjer w litewskiém wojsku, Chomiński. Król przyjechał do miasta rodzinnego biskupa, z liczną assystencją i prosto zajechał przed farę, w któréj siedzieli Franciszkanie. Ozwały się wten-

dla Naruszewicza nad tytuł biskupi i dygnitarski. Marszałek i sekretarz zaraz przysięgli przed Królem. *)

W dni kilka na sessji sejmowéj, Wodziński zdając sprawę o czynnościach dwu-letnich Rady, Naruszewicza za prace już dokonane względom Króla i Rzpltéj polecał. Pod koniec zaś sejmu, Stanisław wręczał nuncjuszowi Archetti nadeszły świéżo z Rzymu biret kardynalski, a przy téj uroczystości Naruszewicz celebrował mszę wielką w Grodnie. Król odbył w Grodnie i dzień zaduszny, i modlił się znowu podług ceremonjału przyjętego, na żałobném nabożeństwie za zmarłych kawalerów Świętego Stanisława, które także odprawiał Naruszewicz. Poczém przez Biały-Stok, po zakończeniu sejmu, pojechał do Warszawy. U siostry tylko bawił czas jakiś. Dnia 3 grudnia powrócił Naruszewicz ze Stanisławem do stolicy, po trzy-miesięcznéj przeszło podróży. Od tego czasu sekretarz Rady Nieustającéj znowu lat kilka nogą nie ruszył z Warszawy, oddawszy się dalszém badaniom dziejowym. Raz tylko zrobił maleńką wycieczkę do Łowicza i Skierniewic z Królem Jegomością, żeby odwiedzić nowego księcia Prymasa, w pośród jego poddanych. Wycieczka ta nieprzerwała w niczém pracy Naruszewicza, bo trwała zaledwie dni kilka. (We wrześniu 1785 r.) **)

*) Dyarjusz sejmowy z r. 1784.

**) Gazeta Łuskiny z r. 1785, sześć razy tylko wspomniała Naruszewicza: 25 marca celebrował w Piątek Wielki u Ś. Jana w Warszawie: Król był na tém nabożeństwie. Potém 10 kwietnia (w niedzielę) razem ze swoim biskupem Wodzińskim, znajdował się Naruszewicz na posłuchaniu u księcia Prymasa i winszował

W r. 1785 wyszedł w Warszawie tom szósty Dziejów a w kwietniu roku następnego tom siódmy. Nie spodziewał się Naruszewicz, że na téj części zakończy swoją opowieść. Dociągnął tylko do r. 1386, to jest do epoki zaślubienia Jagiełły z Jadwigą. Chciał daléj pracować i wydawszy tom siódmy, jeszcze o rękopisy i kopje upraszał i wyjawiał nadzieję, że jak dawniéj, tak i teraz prośba jego znajdzie echo w sercach obywatelskich. Nie domyślał się znakomity dziejopis, że to właśnie ostatni tom wielkiego dzieła. Owszem, czuł w piersiach coraz większą chęć do pracy i już teraz nie płonnie spodziewał się wdzięczności narodu. On pierwszy na światło wystawił lechicką przeszłość, w jéj przemianach i rozwoju, w przeciągu przeszło czterech stuleci. I teraz, kiedy dochodził do najpiękniejszéj chwili w dziejach narodu, miałże dobrowolnie kruszyć historyczny, znakomity swój rylec? Teraz jego krytyki potrzebowała ziemia Litewska, ojczyzna Mindowsa i Giedymina, któréj przeszłość zaciemnił Stryjkowski. Takiego zaparcia się sławy własnéj nie mógłby znieść czło-

---

mu pierwszéj godności w kościele polskim. Miał mowę przy téj okoliczności, w któréj porównywał księcia Michała Poniatowskiego do Fryderyka Jagiellończyka. Daléj, 16 kwietnia (w sobotę) Naruszewicz celebrował u Ś. Jędrzeja na exekwiach swojego przyjaciela, Antoniego Tyzenhauza, a potém śpiewał kondukt. O podróży do Łowicza № 80 suppl. Nareszcie 24 grudnia po jutrzni w nocy, Naruszewicz śpiewał u Ś. Jana pasterkę. Tom VI Historyi wyszedł w lipcu 1785. Obejmował panowanie Kazimierza Wielkiego; autor ogłaszał jednocześnie, że tom pierwszy ze starożytnościami przed-mieczysławowemi, będzie wydany w r. 1786. Gazeta Warszawska № 59 Supplement.

wiek pospolity, a cóż dopiéro Naruszewicz, który w ówczas właśnie stanął na wysokości swojego zadania i zaczął już słynąć jako pisarz Europejski? Biskup nasz nie ustawał téż w pracy i zawsze liczną utrzymywał kancellarją. Dla niego Albertrandi na nowe wybierał się podróże; dla niego Król ciągle w szlachetnych chęciach nie ustawał i zawsze płacił mu 50 dukatów miesięcznie na kopistów. Bywało téż, że liczba kopistów do 50 dochodziła.

Miarkując po wzroście pracy, Historya mogła się posunąć prędko ku końcowi. Dotąd lat 6 pierwszych zeszło na przygotowaniu materjałów, a w następne drugie lat 6, Naruszewicz przebiegł w opowiadaniu swojém, okres czterowiekowy i wydał sześć grubych tomów. Miał w roku 1786 lat przeszło 50 życia, a więc był dopiéro w pełni męzkiego wieku. Mógł pracować jeszcze lat dziesięć, piętnaście, zanimby mu pióro z ręki wytrąciła starość. Przypuściwszy, że materjały już zebrane miał tylko do użycia, mógł jeszcze przed śmiercią wygotować jakie 12 do 15 tomów, bo dotąd w przecięciu, na rok tom jeden wychodził. Że dzieje Polski nierównie rozleglejszą ramę czasu i przestrzeni objęły od r. 1386, to jest, od czasu połączenia się z Litwą, przeto i opowieść Naruszewicza z epoki Jagiellońskiéj, byłaby więcéj szczegółową, więcéj obszerną, bo więcéj by musiała obejmować wypadków. Nie sądzim zatém, żeby siły uczonego starczyły do wystawienia całego obrazu ubiegłéj przeszłości. Nie myślémy tymbardziéj, żeby Naruszewicz potrafił dzieło swoje doprowadzić aż do epoki Poniatowskiego, ale żeby pomknął je znacznie, to także nie ulega żadnemu zaprzeczeniu. Przy obrazie

czasów Piastowskich, mybyśmy może mieli jeszcze jego pióra i Historyą narodu Polskiego za rodziny Jagiellońskiéj. Znakomity uczony musiałby wtedy i Stryjkowskiego poprawiać i Kojałowicza wartować. Krytyka historyczna zrobiłaby postęp znakomity, i dodajmy, że dzieje Jagiellońskiéj dynastji, możeby Naruszewicz dokładniéj potrafił opowiedzieć, jak który z dzisiaj żyjących spółczesnych nam autorów. Bo w ręku Naruszewicza były materjały, jakich my może nigdy już nie znajdziem. Miał uczony biskup na zawołanie całe skarby biblioteki Załuskich, a między niemi rękopisy i dzieła, dziś może już zatracone na zawsze. Albertrandi układał po nim dzieje pierwszych Jagiellonów, i zostawił ogromne zapasy. Cóżby dopiéro zrobił Naruszewicz z większemi środkami, przy opiece Królewskiéj, przy gorliwości obywateli, a wdzięczności narodu!

Z drugiéj strony, zbyt kronikarski sposób pisania Naruszewicza, bo się mocno jeszcze porządku lat i chronologji trzymał, język niejaśniejący wcale cudami opowiadania, brak siły twórczéj, żeby przed oczy stawiać czytelnikowi szereg obrazów, słowem, zupełnie insze pojęcie o dziejach i saméj sztuce pisania, jakie my mamy, ujęłyby znowu wiele wartości pracy Naruszewicza, gdyby daléj o Jagiellonach nam rozpowiadał. W epoce Piastowskiéj, dla braku materjałów, dzieje Polski muszą być tylko szeregiem faktów, powiązanych sztuczną nicią; ale w czasach Jagiellonów, już te skielety ciało pokrywać powinno i krew już po żyłach ma krążyć. Naruszewicz jednak nie widziałby téj różnicy między jedną a drugą epoką i to, co w pierwszych siedmiu tomach darowałby mu czytelnik,

możeby się na to gniewał w następnych. My przynajmniéj przekonani jesteśmy, że Historya Jagiellońskiéj dynastji Naruszewicza, straciła by w porównaniu z jego Historyą czasów Piastowych.

Ale nadchodziły wielkie wypadki. Obudzona do politycznego życia myśl biskupa, zerwała na jakiś czas z badaniem faktów. A późniéj przyszły wielkie nieszczęścia i klęski. Naruszewicz skołatany był burzą. Okoliczności przeszkodziły mu rozwijać daléj polot swobodny natchnienia. Niewiedział zatém, że z siódmym tomem dziejów swoich i rylec polski złamał. I naród tego nie wiedział w r. 1786, a byłby serdecznie losów znakomitego człowieka żałował.

Król wybierał się na powitanie Cesarzowéj Katarzyny do Kaniowa, wtenczas, kiedy Naruszewicz prosił o materjały, dla osnucia dalszego wątku dziejowéj pracy.

Mówiono zawczasu o świetności, jaką po drodze do Tauryki miała roztoczyć Cesarzowa Katarzyna. Powiadano, że obejrzenie Krymu pozorem jest tylko, że Cesarzowa Katarzyna myśli wskrzesić wolność Hellady i dla tego zamyśla o wojnie z Turcyą. Europa z niespokojnością spoglądała na Petersburg. Wieści te miały w sobie cóś prawdziwego, bo i Cesarz Józef II wybierał się ku Dnieprowi naprzeciw Katarzynie, a w drogę gotował się i Król Stanisław August. Mówiono o związku zaczepnym Rossyi, Polski i Austryi przeciwko Turcyi. Krym więc był wtenczas celem, treścią rozmów powszechnych. Wszystkie towarzystwa zajmowały się Cesarzową, Potemkinem, kwestją Hellady i Krymem, o którym także rozpowiadano cuda,

jak w krótkim czasie zmienił całkiem swoją powierzchowną postać, a dziki niedawno i barbarzyński, dzisiaj europejską ogładą i cywilizacją świecił. Krym wydawał się wtedy Europie zaczarowanym krajem.

I Stanisław August, ciekawy jak wszyscy, badał wtedy Naruszewicza o losy Krymu, a dziejopis narodu polskiego rozpowiadał Królowi o przeszłości Tauryki, kiedyś osady Hellenów, po któréj stąpał Mitrydat, którą stopa Genueńczyków deptała, w któréj Tatarzy pod koniec założyli swoje koczowiska, a rządził ich najazdami sułtan z Bachczyseraju. Rozmowy te coraz częściéj powtarzały się na Warszawskim zamku, a Naruszewicz zawsze cóś ciekawszego z dziejów téj ziemi umiał opowiedzieć Królowi. Poniatowski zauważył, że w rozmowach swoich, że w ustępach oderwanych, Pisarz W. L. opowiedział całą historyą Tauryki. Naruszewicz tylko co złożył w r. 1786, na sejmie Stanisława Gadomskiego urząd Sekretarza Rady Nieustającéj w ręce Wojciecha Skarszewskiego. *) Król powiedział wtenczas przyjacielowi swojemu, że ponieważ czas ma teraz wolniejszy do pracy, mógłby się zająć napisaniem nowego dzieła, o dziejach Krymu, że byłoby to dla niego prostą zabawką, mechanizmem, bo potrzebowałby tylko w porządek ułożyć opowieści swoje o Taurydzie, związać ją ciągiem jednym, ująć w systemat i podopełniać przerwy, tak, żeby z tego wszystkiego można było wyplątać pewną całość. Biskup usłuchał. Wziął się natychmiast do pracy i niedługo potém, w lutym 1787 r. u Grella w War-

*) Późniejszy Arcy-biskup Warszawski i Prymas.

szawie wyszła na świat jego *Tauryka*. Jesteśmy mocno przekonani, że to nowe dziełko, spisane było na sposób jak tego żądał Król Stanisław. Szperając po przeszłości, oczéwiście Naruszewicz obeznał się z dziejami ziem, które jakikolwiek bądź stosunek miały do dziejów Polski albo Litwy. Takim sposobem poznał i Krym, a że dla napisania Tauryki nie rozpoczynał nowych badań, mamy w tém dowód, że nowe to jego dzieło ma cały powab poufnych, nienastrzępionych zbyteczną erudycją rozmów zamkowych. Gdyby Naruszewicz chciał szczerze wygotować dzieje Krymu, Tauryka ta byłaby niezawodnie pełniejszą. A w takim stanie jak dziś zostaje, Tauryka jest tylko dowodem niezmiernéj nauki biskupa, który tyle o niéj i bez przygotowania się poprzedniego, powiedzieć potrafił.

Exemplarz Tauryki kosztował półtrzecia złotego. Ciekawość publiczności do najwyższego stopnia obudzoną była tém nowém dziełem, dla wypadków, które zajść miały na Krymskim półwyspie, tymbardziéj, że Król Stanisław August już prawie wyjeżdżał na Ukrainę.

Poniatowski brał znowu Naruszewicza z sobą. Czy biskup się domyślił, czy téż miał zlecenie Królewskie, dosyć, że na każdym noclegu i spoczynku notował dzień za dniem szczegóły nowego tryumfalnego przejazdu po kraju, bo wszędzie spotykał Stanisław serdeczność i gościnne przyjęcie. Warszawa śledziła za każdym ruchem Królewskim, dogadzając zatém potrzebie i téj ciekawości, Naruszewicz słał do stolicy także dzień za dniem swoje notaty podróżne, które natychmiast w osobnych numerkach odbijano w drukarni i sprzedawano jak gazetę. Jeden numerek był większy,

o czterech albo pięciu stronnicach, drugi zaledwie o jednéj kartce. Tak Król posuwał się coraz głębiéj na Wołyń i Ukrainę, a wieści o jego zabawach, myślach, podróży rozlatywały się coraz gęściéj po Warszawie, dzięki staraniom Naruszewicza. Niewygody podróży dały się tą razą więcéj uczuć, jak przed kilką laty, kiedy Król z Sekretarzem Rady Nieustającéj, jechali na sejm do Grodna. Teraz, w lutym i w marcu, była zima, a do wiosny jeszcze daleko: śniegi zawaliły drogi, a odwilż zepsuła gościńce, brakowało mostów, i nie raz trzeba się było promem przewozić po większych i mniejszych rzekach. Czasem i mróz dokuczał. Naruszewicz doświadczył wtedy wielkich niepryjemności podróży, jak to mówi przysłowie: był i na wozie i pod wozem. Ale trudno było inaczéj. Król wyjechał w licznym i świetnym orszaku; jak można było tak musieli się mieścić panowie, którzy go otaczali. Naruszewicz wiózł z sobą księgi dla zabawy Stanisława, po drodze na przestankach miał czytać Królowi poezje, rozprawy, pisma rozmaitych autorów, szambelanów i nie szambelanów, ale najwięcéj wiózł z sobą dzieł własnych, Historyą narodu i przygotowane materjały, żeby umysł Królewski rozweselać. Notując każdy szczegół swojéj podróży, utworzył Naruszewicz nowe dzieło, jak dla nas dzisiaj nadzwyczaj ciekawe i ważne, skarb wiadomości i opis kraju, opis zakładów i obywateli, pełen zalet: powieść historyczną, podróż malowniczą, piękną mozajkę, utworzoną słowem z osób i ludzi, rozprawę naukową. Bo w dyarjuszu Ukraińskiéj podróży Naruszewicza, jest to wszystko razem, zebrane w jedną strojną całość. Dyarjusz ten, doprawdy, czyta się

jak powieść historyczna, skreślona ręką mistrza. Nie ma w téj powieści intrygi, zawiązku, wypadków nadzwyczajnych, ale są obrazy, jeden za drugim, a mają doskonały koloryt wieku Stanisława Augusta. Król skrywał niby trochę powód swojéj podróży, jechał to niby odwiedzić synowca swojego, księcia Stanisława podskarbiego Lit. w Kaniowie; Kaniów leżał nad brzegami Dniepra. Tutaj miał czekać przybycia Cesarzowéj. Stąd cała ta podróż nazywała się *Kaniowską* albo czasem *Ukraińską*. Przynajmniéj Naruszewicz to nazwisko jéj przyswoił.

W jednéj karecie ze Stanisławem, jakeśmy już wspomnieli, jechali: Naruszewicz, Hetman Litewski Tyszkiewicz i jenerał Komarzewski. Ale za nimi ciągnął się długi szereg powozów i karet, rozdzielony wojskowym sposobem na straż przednią, na środek i na rezerwę. Król jechał z początku w rezerwie.

Wyjechali z Warszawy w piątek 23 lutego 1787 r. na Jezior nę, i pierwszy nocleg odprawili w Warce. Przeprawili się przez Pilicę i zdążyli do Kozienic. Tutaj Naruszewicz po obiedzie, czytał Królowi dzieła swoje. Że kra szła ogromna po Wiśle, musiał zabawić Stanisław dni kilka w Kozienicach i nie nudził się. Było to jego ulubione miejsce, do którego zjeżdżał ze stolicy po kilka razy do roku. Nie czuł teraz w Kozienicach samotności, a miał wszelkie wygódki warszawskie. To czytał cóś, to się bawił rozmową, to grał w boczettę z Naruszewiczem, bo tę zabawę bardzo lubił, to strzelał do celu; czasami chodził po mieście, odwiedzał zajazd, aptekę, mieszkanie doktora i kramy, które na jego rozkaz wymurował nie-

dawno Fontanna. Był i Fontanna w Kozienicach i oprowadzał wszędzie Króla. Jechał potém Stanisław na Zwoleń, — gdzie dla nieznośnego błota, nie mógł widzieć nadgrobku Jana Kochanowskiego, — wprost do Solca, gdzie gościnnie uraczony przez marszałka Rady Nieustającéj Przebendowskiego, przeprawił się przez Wisłę na promie spiczastym, i zwiedziwszy Piotrowin, kościołek sławny cudem Świętego Stanisława, stanął w Opolu u Lubomirskiéj, Kasztelanowéj Krakowskiéj.

Na Bełżyce szła daléj droga do Lublina, który Król widział, jak się podnosi z dawnych ruin i jak się w piękną postać przyobleka na nowo. Po drodze zwiedzał wszędzie z Królem osobliwości i pamiątki ksiądz Naruszewicz, przyglądał się i fizyonomji kraju i obywatelom. Widział kościoły i katedry, coraz więcéj poznawał ludzi. Przez Krasnystaw jechali podróżni ku granicom Wołynia. Z Galicyi Austryackiéj przyjechali powitać Króla po drodze, w swoich stronach, Ordynatowie Zamojscy. Stanisław musiał zboczyć cokolwiek z drogi, żeby odwiedzić starą matronę, wojewodzinę Wołyńską, wdowę po Rzewuskim, w Sielcach. Obywatele wszędzie radzi byli temu, że oglądali znowu oblicze Królewskie. Dostarczali koni po drodze, towarzyszyli w podróży, odprowadzali i żegnali się. Były dni piękne i mroźne, a słońce świeciło. Jechał Król nawet w odkrytéj, czas jakiś, landarze.

Przeprawiwszy się przez Bug pod Dubienką, przesiadł się Naruszewicz z landary do rezerwy. Droga szła daléj na Włodzimierz, Łokacze, Budnow do Kozina. Do Złobów trakt śniegiem tak zawiało, że Król nieraz musiał

iść piechotą, a ludzie dworscy i żołnierze prowadzili landarę. Naprzeciw Króla przysłał wtedy marszałek Mniszech, kilkoro sań, karety na łyżwach i chłopskie wózki pod rzeczy. Po okropnych zawiejach śniegowych, przeciw wiatrowi sunęli się podróżni, aż wreszcie stanęli w Wiśniowcu, w znakomitym gościnnością domu. Wlokły się potém za Królem powozy jego na sankach, z oberwanemi zaprzęgami, bez dyszlów i osi; wlokły się długo, a ludzie ginęli w śniegu i marzli. Wiosna już zaglądała, a mróz styczniowy jeszcze dokuczał. Zabawił Król czas jakiś w Wiśniowcu, codziennie nowych widział gości, bo i powozy potrzebowały naprawy, i koni zabrakło, a śnieg padał coraz gęstszemi płatami. W Lachowcach wstąpił Król do wdowy po księciu Jabłonowskim, wojewodzie Nowogrodzkim, obrońcy Lecha, i oglądał tutaj bibliotekę, zbiór medalów i starożytnych kamieni. W Zasławiu odwiedził Sanguszków. Daléj, u wojewody Stępkowskiego miał odbyć nocleg w Łabuniu, ale niezmierne śniegi spotkali podróżni, a wyboje straszliwe krok za krokiem. W Chrycowskiéj karczmie Król z landary przesiadł się na proste chłopskie sanie, nawet bez pokrycia, ale wygodne, bo długie i niewywrotne. Na słomie jechał daléj z księciem Józefem, a Komarzewski przy nich konno. Wtedy i hetman Tyszkiewicz przesiadł się z księciem wojewodą Wołyńskim, Sanguszką, na chłopską furę, a Naruszewicz z chłopem pojedyńczo puścił się na saniach. Mieli jednak wszyscy wygodną i wesołą podróż do Łabunia. Nazajutrz, podobnymże sposobem szła droga do Czartoryi. Tutaj biskupowi szambelan Rakowski ofiarował swoje

konie. W Berdyczewie Król spotkał wspomnienia Konfederacyi Barskiéj i ojca Marka; oglądał też fortece i działa, a Naruszewicz ubolewał, że ważne to stanowisko wojenne zupełnie jest zapomniane przez Rzpltą. Ziemia Wołyńska i pole Ukrainy stérczały grobami. Na kurhanach i mogiłach świeciły wspomnienia. Pawołocz jeszcze oddychała dawną kozaczyzną, a na granicy, w Chwastowie, zajechał Królowi i biskupowi drogę Kniaź Potemkim, który dużo rozpowiadał o przyszłości Chersonu i Tauryki i o handlu polskim, bo Cesarzowa kazała otworzyć dla tego handlu liczne odnogi, aż do Czarnego morza, żeby się rozwijał w tych stronach. Mogły wrócić czasy pierwszych Jagiełłów, kiedy to z Kilji i Akermanu, wypływały okręty polskie, wożąc zboże pod dumny Stambuł, w porty Genui, na greckie Cyklady i ziemie Włoskie. Już ruch przemysłowy, duch handlu zaczął się ocucać, a Naruszewicz dużo myślał o tym handlu i mówił z Królem, bo i teoretycy już o nim pisali szeroko. Z Chwastowa, w towarzystwie coraz nowszych gości, Król wziąwszy biskupa i starostę inflantskiego, Platera, wyjechał do Wasilewszczyzny, a nazajutrz, w cztery tygodnie po wyjeździe z Warszawy, 24 marca, stanęli podróżni u celu swojéj pielgrzymki — w Kaniowie, pędząc długie mile ukraińskie po samych stepach, około mogił i kurhanów pokrytych jeszcze śniegiem, w pośród okrzyków chłopstwa, zdrowi i weseli.

Nazajutrz, 25 marca, szedł Król do cerkwi na mszę, na znak dany przez Naruszewicza, a witało go po drodze miasto, szkoły, lud wiejski i duchowieństwo ruskie z opa-

tem na czele. Wieczorem biskup ze starostą inflantskim odjechali na dni kilka do Kijowa, gdzie zebrało się dużo gości i obywateli, czekając na przybycie Cesarzowéj. Wrócili obadwaj do Kaniowa 4go kwietnia. Było to we środę wielką. Król się spowiadał przykładnie, jak i wszyscy ze dworu, co go otaczali, a ceremonje czwartkowe spełniał Naruszewicz, przyjąwszy Stanisława z assystencją duchowieństwa obojga obrządku, przed bramą cerkwi, w szaty biskupie przybrany. Dawszy Królowi Komunją, Naruszewicz prowadził go do Bazyljanów, dla odbycia ceremonji umywania nóg dwunastu starcom. Biskup zlewał nogi wodą, a Król ocierał serwetą i obmywał. Służyli mu przy tym obrzędzie Pisarz W. L. Dzieduszycki, i Deboli poseł Rzpltéj w Petersburgu. Niewidziana to była ceremonja w kraju Ruskim. Następnie, obiad na dwa stoły zakończył obrzęd, a u stołu duchowieństwa przodował ksiądz biskup Naruszewicz. Znakomity dziejopis, zastępował w czasie uczt, z powodu wielkiego tygodnia dawanych, gospodarza — Króla. Ale jako kapłan, sam się tylko wyłącznie duchowieństwem zajmował, a lud się kupił po drodze biskupa, patrząc na niewidziane obrzędy, i na jego wspaniałą postać, z któréj czytał natchnienie i rozum.

W wielką sobotę, miał mszę dla Króla Naruszewicz w cerkwi, a w poniedziałek Wielkanocny znajdował się na całém nabożeństwie, kazaniu i processji, gdzie Stanisław wedle cerkiewnego zwyczaju, kładł rękę na księgi święte, razem z Naruszewiczem, który zaproszony przez duchowieństwo ruskie, dawał Królowi *mir* czyli pokój olejem

świętym i sprawiał wszystkie obrzędy wschodniego kościoła, dawał całować krzyż, obraz Zmartwychwstania Chrystusa i chleb, a potém błogosławił świat na cztery strony krzyżem, wymawiając te pełne znaczenia słowa: «*Chrystos woskres.*» A lud odpowiedział chorem Naruszewiczowi: «*wo istinu woskres!*»

Tymczasem i wieści już nadchodziły o zbliżaniu się Cesarzowéj. Wyjechała z Petersburga z nadzwyczajnym przepychem. Sto karet przeprowadzało Monarchinią w daleką podróż. Magnaci i panowie otoczyli się zbytkiem i każdy dworno jechał. Cała reprezentacja Europy, posłowie i ministrowie znajdowali się w orszaku Monarszym, a Cesarzowa jechała zwolna, od miasta do miasta, przyjmowana odgłosem dzwonów i hukiem harmat. Bywało, że po drodze Potemkin, kiedy już orszak na Dniepr wpłynął, za szlakiem dawnego kniazia Olega, zapalał na brzegach wspaniałéj rzeki drzewa dla illuminacyi i rzucał na fale dnieprowe miliony promieni w nocy; bywało, że urządzał po nadbrzeżach, chóry dziewcząt wiejskich i mołojców i te grona strojnie przybrane tańczyły, wesoło narodowy spiéw zawodząc, na dolinach, na stepach, obok wiosek malowniczo porozrzucanych, to nad Dnieprem, to w dalekim jarze. Zdawało się nie raz, że to się kąpią rusałki w słońca promieniach, nad brzegiem rodzinnéj rzeki, że pląsają swobodnie, jakby jeszcze za Olegowych czasów z jego rycerzami. Słowem, ta podróż najmilsze sprawiła wrażenie na umysły tego świetnego Orszaku, który z północy majestatycznie posuwał się na południe.

Naruszewicz siedział wtedy w Kaniowie i pisał wiersz

«do Najjaśniejszéj Katarzyny IIgiéj, Imperatorowéj wszystkich Rusi.» Była to przedmowa do Tauryki.

W okręgu świata, największa Pani,
Równa mądrością i sławą,
Przyjmij to pismo niesione w dani
Sercem i twarzą łaskawą.
Kraj grozą broni twojéj dobyty *)
Błahe me pióro ogłasza:
Między dzikiemi wskrzeszony Scyty
Gdzie się wiek złoty podnasza,
Wkrótce na głosu twego rozkazy
Bez życia, pożytku, ceny,
Martwe z swych łomów powstaną głazy,
I nowe dźwignąą Ateny.
Twórczego ducha, powtórnym cudem,
Wziąwszy rozumną istotę,
Dzicz użytecznym zrobiona ludem
Moc twą uwielbi i cnotę.
Głosząc twe dzieła potomne plemię
Wdzięczność w swych sercach obudzi,
Żeś uczyniła szczęśliwą ziemię
I ludziom oddała ludzi.

Z *Tauryką* w ręku i z przedmową swoją wierszem, Naruszewicz drugi raz wybrał się do Kijowa i bawił tam już dni siedm, cały tydzień, od 17 do 24 kwietnia. Przyjmowany serdecznie przez władze miejscowe, biskup oglądał pamiątki miasta, które może jedyne było w swoim rodzaju, w całéj Europie. Świeciło bowiem tak orygi-

*) Wiersz ten w dawnych naukach o stylu, podawany jest za przykład harmonji naśladowczéj.

nalną fizjonomją, jak żadne, na pół-polską, pół-ruską i pół-wschodnią.

Cesarzowa już była wtenczas z orszakiem swoim w Kijowie. Grzeczna dla wszystkich panów polskich i niewiast, którzy aż do Kijowa przyjechali, w całém tém gronie najwięcéj przecież odznaczyła Naruszewicza. Na panów polskich posypały się ordery i wstęgi. Ale biskup jeden był celem uprzejmości i szczególnych względów, bo odbierał publicznie cześć należącą się jego naukom i zdolnościom. Dzieło swoje o Tauryce sam oddał Cesarzowéj w ręce, w Kijowie. Katarzyna zawiesiła mu za to na piersiach bogaty krzyż i pierścień drogi włożyła na palec. A z resztą, oto słów kilka które zachował nam spółczesny świadek téj wspaniałéj sceny, co potém odbyła się na Dnieprze, w dyarjuszu swoim francuzkim; (są powody do sądzenia, że pisała następujące słowa Urszula z Zamojskich Mniszchowa, marszałkowa Wielk. Kor., rodzona siostrzenica Króla Poniatowskiego): «Pomiędzy Polakami, których najwyższą względnością i szacunkiem udarowała Cesarzowa w Kijowie, można liczyć biskupa Naruszewicza. Obchodziła się z nim z największą dobrocią, bo widziała w nim znakomitego poetę, dziejopisarza i uczonego. Byliśmy sami świadkami jak na obiedzie, do którego był biskup zaproszony, Cesarzowa zwracała do niego często mowę, pytając się często o rzeczy, które ją, zdawało się, że interesują. Pomiędzy innémi, spostrzegliśmy, że Jéj Cesarska Mość była nadzwyczaj dobrze obeznana z naszą przeszłością, bo rozmawiając przy stole z biskupem, na bardzo wiele ciekawych epok wskazywała w dziejach na-

szych.» *) W dowód swojego szacunku, Cesarzowa wyznaczyła jeszcze Naruszewiczowi, pensję ze Skarbu Państwa za prace historyczne i literackie. Był to może pierwszy w Polsce przykład takiéj nagrody.

W dwa tygodnie potém jak biskup wrócił do Kaniowa, nastąpiła owa wspaniała scena wśród Dniepru, o któréj dopiéro wspomnieliśmy. Cesarzowa zbliżyła się z orszakiem swoim pod Kaniów, dnia 6 maja. Był właśnie dzień niedzielny. Naruszewicz odprawiwszy mszę rano, na pokojach królewskich, wyjechał ze Stanisławem Augustem i całym orszakiem polskich panów naprzeciw Katarzyny. Massy ludzi zajęły wszystkie Kaniowskie góry i nadbrzeża Dnieprowe. Puścili się Król polski i panowie jego na szalupach, w górę wspaniałéj rzeki. Naruszewicz na innéj płynął łodzi, na innéj Stanisław. Przyjęcie było Cesarskie i obiad na szalupach. Po obiedzie nastąpiła uroczystość familijna jednego z panów polskich. Tarnowski, który Króla tak gościnnie przyjmował w Kozinie, zjechawszy do Kaniowa z żoną swoją, prosił Cesarzowę, żeby mu do chrztu trzymała nowonarodzonego syna Władysława. Naruszewicz wybrany był przez samą matkę chrzestną dla dopełnienia świętego obrzędu. W biskupich szatach, stanął z dwoma prałatami Kijowskiemi w sali na kajucie imperjalnéj. Cesarzowa z Królem Stanisławem trzymali do chrztu dziecię. Naruszewicz dopełnił tylko uroczystych obrzędów dla ceremonji, bo z wody już był poprzednio ochrzczony młody Tarnowski.

---

*) Extrait des feuilles de Kiew de l'année 1787, w wyżéj przytoczoném dziele Koźmiana. 10 de Mai, Korsuń.

Cała Europa miała wtedy zwrócone oczy na to nadbrzeże Dnieprowe, na Kijów złotobramny, Kaniów i Krym starożytny. Gazety z najdrobniejszemi szczegółami opisywały wypadki, które się działy wtenczas w tych stronach, a których znaczenia nie umiały odgadnąć. Nawet pan szambelan Trembecki, siedząc w Warszawie wypalił wtedy list wierszem do Naruszewicza, w którym jak zwykle błyszczał silny, cudowny język malowniczy i zwroty śmiałe, których tak dobrze używać umiał. W liście tym, Trembecki prosił biskupa, żeby opisał podróż swoją i widzenie się Króla z Cesarzową. Uczył go nawet jak i co ma opisywać. Wiersz ten ukazał się wprawdzie w druku już po zaszłych wypadkach, ale zawsze dostarczy ciekawego faktu do charakterystyki chwili. Te westchnienia zasyłali z resztą do Naruszewicza wszyscy, co pojmowali ważność téj chwili. Cała arystokracja rozumu, dowcipu, urodzenia, majątku, zebrała się, za skinieniem czarodzieja, nad pobrzeża dnieprowe. Obok Segura, był sławny książe de Ligne i drugi książe Nassau, obok Czernyszewa marszałek Mniszech i młodziutki książe Józef, synowiec królewski. A jednak w téj liczbie znakomitych ludzi swojego czasu, największą nauką i sławą błyszczał jeden biskup Naruszewicz. Naród polski i panowie ruscy, wiele się spodziewali po dziejopisarzu Rzpltéj. Kraj rodzinny chciał od Naruszewicza kroniki spółczesnéj, panowie miejsca w téj kronice.

W te kilka chwil, które Król Stanisław przepędził z Cesarzową Rossyjską na Dnieprze, osiągnięty został cel podróży ukraińskiéj. Wyjechał Poniatowski z Warszawy na trzy miesiące blisko przed tém widzeniem się, i czekał kil-

kadziesiąt dni w Kaniowie, żeby się rozmówić z Monarchinią Północy. Rozmowa ta trwała zaledwie godzin kilka i Stanisław August, straciwszy kilka miljonów, teraz właśnie zabierał się z powrotem do Warszawy.

Ósmego maja odśpiewał Te-Deum Naruszewicz ostatni raz w Kaniowie, z powodu imienin Króla, a nazajutrz świetny orszak Stanisława Augusta opuścił miasteczko księcia jenerała i podskarbiego Litwy, śpiesząc z powrótem na Mazowieckie piaski. Orszak ten sześć tygodni wpośród nieustannych uroczystości bawił nad Dnieprem.

Miał Król tę powrotną podróż odbyć przejażdżką po panach wołyńskich; myślał też zajrzeć i do Krakowa, bo dotąd nie zwiedził pierwszéj stolicy Królów, swoich poprzedników na tronie. Uczony biskup towarzyszył Stanisławowi i w téj wędrówce, nieodstępny od jego boku. Z miejsca przenosił się na miejsce, wszędzie witany chlebem i solą. Naruszewicz stanął właśnie w téj chwili na szczycie sławy i znaczenia w Rzpltéj. Nie był to już człowiek pospolity, autor pewnych zdolności: było to światło, które przewodniczyło narodowi, była to jedna z najświetniejszych gwiazd, co zeszły na horyzoncie polskim za czasów Stanisława Augusta. Nie było już wtenczas i najciemniejszego szlachcica, coby nie znał tego pięknego, sławnego imienia. Krasicki jeden mógł kiedyś walczyć z nim o pierwszeństwo niepokalanéj sławy, dzisiaj Krasicki umilkł, a Naruszewicz sam sobą zapełnił ogromną próżnię, która po autorze Monachomachji pozostała. A zresztą i prace dziejowe Naruszewicza, dały mu nad Krasickim pierwszeństwo. Wiek ówczesny widział i w księciu bi-

skupie Warmińskim i w uczonym Pisarzu W. L. dwóch równie wielkich poetów, nie zastanawiając się wcale nad naturą ich talentu. Pod tym względem, obaj znakomici ludzie byli sobie równi, ale kiedy do pracy dziejowéj przyszło, zmalał Krasicki przy Naruszewiczu. I dla tego biskup Koadjutor Smoleński, w czasie podróży Kaniowskiéj, najwięcéj błyszczał w swojém rodzinném społeczeństwie. Był wtenczas jednym, był wielkim.

Panowie téż polscy, w czasie odwrotnéj podróży Królewskiéj, z widoczną radością spotykali tę wielkość w progach swoich rodzinnych. Naruszewicz był im chlubą, zaszczytem, sławą.

Wracał Stanisław z marszałkiem Mniszchem na Wiśniowiec. Ale nim zajechał tam orszak, oglądał Król nadbrzeża skaliste Rosi, Korsuń i okolice, w których mu cuda swoją ręką stworzone pokazywał synowiec Stanisław i bawił illuminacjami. W Korsuniu widział się i rozmawiał godzinę z hrabią Falkensteinem (Józefem II), który naprzeciw Katarzynie śpieszył do Chersonu. W Niemirowie u Wincentego Potockiego widział korpus kadetów, szkoły, fabryki i nawet garbarnię. Boh przebywszy promem po linie, wjechał do Bracławia, potém do Tulczyna, gdzie zabawił dni kilka, w pośród spacerów, niespodzianek, koncertów i oświetleń. Naruszewicz jechał rzadko osobno, a częściéj przesiadywał się do powozu królewskiego, w którym jak w mozaice zmieniały się bezustannie osoby. 26go maja orszak wjechał do Wiśniowca z powrotem. Zabawił tu znowu Stanisław dni kilka, ale zaczął od nabożeństwa, które odprawił zaraz nazajutrz w niedzielę Naruszewicz.

Biskup przez całą tę podróż pełnił przy Królu obowiązki kapelana, czasem sekretarza a zawsze przyjaciela i doradzcy. W Beresteczku, wyjechawszy z Wiśniowca, obadwaj oglądali pole sławne klęskami domowéj wojny Rzpltéj z Kozaczyzną. W Dubience znowu przeprawił się orszak przez Buh, niedaleko granicy, a w Rachowie powrócił za Wisłę i wjechał w Sandomierskie ziemie. Tutaj już na każdym kroku spotykał dobra i gościnność Małachowskich. W Opatowie, zwróciły jego uwagę grobowce rodziny Szydłowieckich. Poniatowski z Naruszewiczem oglądali Ujazd Krzysztofa Ossolińskiego, Kurozwęki, będące wtenczas dziedzictwem Sołtyków, Stobnicę, Busk Norbertanek, gdzie najmniejsze szczegóły w klasztorze oglądali; daléj widzieli Wiślicę i rzekę Nidę, jak się wiła po dolinie, zraszając wodą żyzne i piękne okolice dawnéj Sandomierskiéj ziemi. Daléj po drodze leżał Hebdów, Wyrwicza opactwo. Nareszcie 16 czerwca wjechał Król z Naruszewiczem do Krakowa.

Pamiątki i grobowce dawnéj Królów Jagiellońskich stolicy, wtedy może raz pierwszy oglądał koadjutor biskup Smoleński; chociaż znał dobrze, jak na dłoni, całą przeszłość Krakowa i dzieje książąt jego, i katedry i kościoła na Skałce i samego Wawelu, lepiéj jak sam Krakowski wojewoda.

21 czerwca, na uroczystym obchodzie, którym książe Prymas, brat Królewski, obejmował pod swoją władzę metropolitalną i biskupstwo Krakowskie, osierocone po Kajetanie Sołtyku, i Naruszewicz miał wyznaczone sobie miejsce. Szła processja wtedy do kościoła Ś. Stanisława

na Skałkę, a w niéj przodowali obrzędom czteréj biskupi, oprócz Prymasa. Naruszewicz był pomiędzy nimi. Zwiedził potém dziejopis narodu Bielany i Łobzów, widział akademją, groby Królów i był na uczcie w Sukiennicach. 29 czerwca wyjechał z Krakowa ze Stanisławem, drogą na Krzeszowice.

Na trakcie tym do Warszawy, Król oglądał wszędzie kopalnie żelaza, fryszerki i tak śledził czynności niedawno zaprowadzonéj Kommissji Górniczéj. Biskup Płocki, Szembek, prezes Kommissji, pokazywał mu te bogactwa w głębi ziemi ukryte. Dla Króla i dla Naruszewicza była to zapewne nowość, widzieć te ziemne pokłady, i patrzeć na pracę i na krwawy pot robotników. Tak zwiedzili obadwaj, Król i dziejopis, ze swoim orszakiem, Alwernię, Tęczyńskie porfiry, miny Olkusza, Pieskową skałę i Ojców. W Ojcowie trzymał Stanisław August do chrztu, kasztelaństwu Buskim, Załuskim, córkę Marją Salomeę, a Naruszewicz znowu odbywał sakramentalne święcenia. Dla dziecka zapewne to wieczną pozostała pamiątką, że Król w przejeździe przez Ojców, był ojcem chrzestnym, a dawcą przyszłego żywota znakomity biskup. W Żarnowcu podróżnych spotkały wspomnienia Adelajdy Heskiéj. Widzieli następnie ci podróżni Szczekociny, Okszę, Małogoszcz i Chęciny. W Miedzianéj górze zastali całą Kommissję Górniczą, oglądali huty i piece, w których się miedź czyści, i wodę, w którą włożone żelazo w ciągu chwil niewielu przybiera kolor miedziany.

Szła droga daléj na Kielce, Radoszyce, Końskie, Opoczno i Drzewicę. Wszędzie drzémały wspomnienia, jak pod po-

piołem ogień, i musiało się tą podróżą rozradować historyczne serce Naruszewicza. Przez Nowe-Miasto, Małąwieś i Falenty, powrócił nareszcie Król z dziejopisarzem do Warszawy, po pięciomiesięcznych podróżach.

Naruszewicz z téj podróży Kaniowskiéj przywiózł miłe wspomnienia. Przekonał się sam na własne oczy, ile pracami swojemi zyskał szacunku nawet za granicą. Nad Dnieprem poznał arystokracyę Europy, która już o nim słyszała poprzednio. Do wielu osób potężnych i sławnych się zbliżył. Wszyscy mu cześć oddawali. A jednakże ta podróż Kaniowska wywarła wpływ jakiś nieszczęśliwy na usposobienie i widoki biskupa. Powróciwszy z nad Dniepru przywiózł dziejopis jakąś niechęć do pracy historycznéj. Z upodobaniem wciąż zawsze szperał po swoich notatach i pamiątkach, których mu tyle, zwłaszcza późniéj, dosyłał ze Szwecyi Ksiądz Albertrandi. Ale pióro już mu z ręki wypadło — jakieś zimno spadło na rozum i na serce biskupa. Czasem wracał do swoich materjałów, ale téż nierzadko rzucał pracę dziejową, jak gdyby się nią znużył, jak gdyby do nowych badań siły już mu niestarczyło. Powiadał wtedy, że dzieła swojego niedokończy, że to co zrobił, ostatnią już jest przysługą dla literatury ojczystéj. Biskup chciał pokazywać wesołość, ale wszyscy widzieli, że jakoś dziwnie sposępniał i że mgłą smutku zaszło jego oblicze. Były to zapewne pierwsze oznaki téj czarnéj żółci, téj straszliwéj melancholji, która niedługo rozwinęła się w nim tak szybko.

Kaniowska podróż dla literatury i bibliografji polskiéj trzy rzeczy przyniosła. W kwietniu 1787 r. wyszedł od-

dzielnie, w drukarni nadwornéj w Warszawie: «*Wiersz do Najjaśniejszéj Katarzyny IIgiéj Imperatorowéj całéj Rossyi, przy oddaniu dzieła pod tytułem: Tauryka, czyli wiadomości teraźniejsze i późniejsze o mieszkańcach Krymu, aż do naszych czasów, od autora w Kijowie przytomnego ofiarowany*». Ten wiersz cały przytoczyliśmy wyżéj. Kosztował grosz srebrny. Daléj we wrześniu, już za powrótem biskupa do stolicy, wyszedł w Warszawie u Dufoura: «*List do JW. Naruszewicza Pisarza W. W. K. L. Biskupa Koadjutora Smoleńskiego.*» Sprzedawał się po groszy 15. Pewno to wiersz Trembeckiego, o którym także wspomnieliśmy. Trzeci nabytek literacki, skarbiec prawdziwy dla dziejów naszych tamtéj chwili, jest szacowne dzieło samego biskupa: «*Dyaryusz podróży Stanisława Augusta Króla na Ukrainę w r. 1787.*» Pomnik nieocenionéj wartości. Pisząc o Królu Naruszewicz, mógł bardzo wiele pisać i o sobie samym, kiedy w orszaku Stanisława najcelniejsze zabierał miejsce. A jednak tyle był skromny, że najmniéj o sobie pisał w dyarjuszu wtenczas, kiedy z dziwną skrupulatnością notował datę każdego noclegu, każdego przyjazdu albo wyjazdu jakiego pana wojewody albo jenerała, kiedy zachowywał dla potomności wszelkie szczegóły téj podróży, wyliczając np. jakie osoby tu i owdzie Króla witały, albo przyjmowały. Naruszewicz nic jednak nie pisał o swoich tryumfach w Kaniowie, o posłuchaniu u Cesarzowéj, o pierścieniu i krzyżu, który od niéj dostał. Wiadomości o nim trzeba szukać po gazetach ówczesnych, po dyarjuszach, z których jeden cytowaliśmy pani Mniszchowéj. Jeżeli

*

zdarzy się kiedy Naruszewiczowi wspomnieć o sobie, mówi zawsze jakby o kimś, dla niepoznaki, że on to pisał. Dobrodusznie też tytułuje się i to nie raz, jaśnie wielmożnym biskupem Koadjutorem Smoleńskim. Nie dla dumy to robił, a dla zwyczaju, bo już wtedy w Rzpltéj siła wielmożnych i jaśnie wielmożnych było. Dyarjusz ten podróży Ukraińskiéj my tak wysoko cenimy, jak niewiele pomników literackich z epoki Stanisława Augusta.

Naruszewicz zatém przywiózł wspomnienia Kaniowskiéj podróży, a po nich tęsknotę. Zasłużył się nawet względem Rzpltéj przez opisanie téj podróży.

Nie wiele już nam zostaje mówić o życiu znakomitego człowieka. Naruszewicz stanął już na szczycie zasługi i spełnił swoje posłannictwo. Dyarjusz podróży Królewskiéj, był ostatnią jego pracą. Resztę dni swoich przepędził w osamotnieniu, w boleści. Już nie żył, nie pracował, a wegetował tylko. Człowieka pracy umysłowéj, całe dzieje zawierają się w téj pracy. Życiorys jego powinien wskazać na rozwój jego myśli, na przedmiót téj jego pracy, powinien śledzić nie za jego sposobem życia i zwyczajami, które są tylko zewnętrzną suknią człowieka, a powinien śledzić za treścią i postępem jego myśli. Szczegóły, czém był ktoś, co robił w gronie swojego towarzystwa, nie dadzą nam poznać duszy i serca człowieka, który żyje więcéj w oderwanym, naukowym, jak w fizycznym świecie. A kiedy się już nić twórcza Naruszewicza zerwała, kiedy zacny biskup pisać przestał, a czasem już tylko pióro wziął w rękę, by wynurzyć boleść, to i życie jego straciło cel, i dusza jego już nie na ziemi błądziła. W krót-

kich więc słowach zakończymy naszą o nim powieść. Dziejów Naruszewicza myśli, dopełnim jeszcze obrazem chwil jego ostatnich, w życiu już tylko czysto materjalném.

Rok przeszło od czasu powrótu z Kaniowa, siedział ciągle w Warszawie Naruszewicz, a śladu nie widzimy jego dziejowéj pracy, która już od lat kilkunastu całe mu życie zajmowała. Od chwili wydania siódmego tomu Historyi, do r. 1788, mógłby już wydać przynajmniéj tom jeden o dziejach Władysława Jagiełły. Zamiast pracować nad pomnikiem nieśmiertelnym, który dźwigał dla narodu, Naruszewicz wolał się wtenczas poświęcić badaniom genealogicznym, które miały wprawdzie związek z przeszłością naszą, ale nie objaśniały jéj w niczém. W Kijowie miał sposobność poznać hrabiego Jana Czerniszewa, admirała floty rossyjskiéj, który potém z córką zjechał do Krakowa i przytomny był uroczystościom, jakie dla Króla Poniatowskiego wyprawiała dawna stolica. Otóż ten hrabia Czerniszew, w piśmie własnoręczném i bardzo pochlebném dla naszego historyka, żądał od niego wiadomości udowodnionéj faktami, że rodzina rossyjska Czerniszewów pochodzi od niejakiego Czernickiego, który z Polski wywędrował do Moskwy w połowie XVI wieku. Naruszewicz kwoli jego życzeniu napisał rozprawę po francuzku, bardzo mało u nas znaną i wydaną dopiéro przed ośmią laty. *) Żeby pokazać się sumiennym, Naruszewicz przewracał metrykę Koronną, rozpatrywał się w herbarzu Niesieckiego, śledził za woj-

*) Wydał ją Koźmian w Wyciągach str. 40 — 54.

nami polskiemi na pograniczu, szukał wzmianek po dziejopisach, i porównywał herby jedne z drugiemi. Doszedł wreszcie do pewnego wypadku. Nie wskazał dokładnie czasu przesiedlenia się, ale dowiódł, że mogło nastąpić za panowania Zygmunta Augusta, i że herb Czerniszewów ma związek z herbem polskim Dryja.

To cały ślad pracy nad pomnikami przeszłości Naruszewicza w r. 1788.

Nadszedł tymczasem i sejm wielki, który zastał biskupa w Warszawie. Naruszewicz miał zasiąść na nim niedługo, jako senator Rzpltéj. Miał wtenczas lat 55.

Marzyli wszyscy o projektach reformy rządu. Każdy podawał sposoby. Wniosków rozmaitych namnożyło się tyle, że wszystko chciano reformować, nawet dyecezje i kapituły. Chciano porównać katedry we wszystkich prawach, żeby skassować raz na zawsze to przenoszenie się ciągłe biskupów z jednéj stolicy na drugą, i żeby kosztem niższych senatorów duchownych, nie wynosić dostojniejszych. Dla tego nawet i dyecezje miano lepiéj w granicach oznaczyć, żeby wszystkie, ile możności, równe były, a biskupi mieli być pozbawieni dóbr nieruchomych, a tylko równe pensje pobierać ze skarbu. Po miastach celniejszych miano także zakładać i uposażać biskupstwa; np. w Grodnie. Z miasteczek małych inne miano przenosić do grodów większego stopnia, jak np. z Chełma do Lublina. Projektów i wieści z tego powodu było tysiące. Naruszewiczowi juz dawno należała się jakaś wyższa posada duchowna, bo lat czternaście siedział tylko na koadjutorji. Król mu obiecywał ciągle, ale dzień za dniem schodził i dziejopi-

sarz polski doczekać się nie mógł promocji w zawodzie duchownym. W czasie sejmu wielkiego, rozprawiano długo o biskupstwie Krakowskiém, bo umarł Kajetan Sołtyk, a Król z powodu zamyślanych projektów, nie obsadzał tego miejsca; czekał chwil stosowniejszych, kiedy same okoliczności wskażą mu, kogo posadzić na stolicy Ś. Stanisława. Król chciał, żeby brat przy Gnieźnie i Kraków zatrzymał. A gdyby się to nie udało, Turski, biskup Łucki, miał wielkie nadzieje, że dostanie osieroconą katedrę Sołtyka. W takim razie Łuck na Wołyniu miał być do zajęcia. Król myślał o Naruszewiczu, i chciał go na Łucku osadzić. Z resztą, tyle spodziewało się duchowieństwo ogólnego ruchu przy zamyślanych zmianach, że wielu zyskać mogło, a niktby pewno nie stracił. Naruszewicz oczéwiście kładł za sobą na szali zasługi lat tylu, i zdawało się, że przecież cóś stałego dostanie, jako nagrodę pracy; zdawało się, że zajmie nareszcie krzesło w senacie, a stanowisko więcéj niepodległe w kościele.

Ale nim Król oddał mu biskupstwo, sam los pomieścił Naruszewicza w wielkoradzie Rzpltéj. Senat otworzył się przed znakomitym człowiekiem.

W listopadzie 1788 r., w półtora miesiąca po otwarciu sejmu, umarł w Warszawie biskup Gabryel Wodziński. *) Na mocy praw kanonicznych i pozwolenia Rzymu, Naruszewicz jako jego koadjutor, zajął teraz katedrę Smoleńską, chociaż bez dyecezji, był już przecie dyecezalnym

*) Umarł Wodziński w Warszawie 27 listopada 1788, w roku życia 62. Pochowany na cmętarzu Śto-Krzyskim.

biskupem. Tytuł biskupa Emaus złożył. Dotąd brał on swoje nazwisko od małego miasteczka Ziemi Świętéj, do którego szedł Chrystus nazajutrz po swojém zmartwychwstaniu, i na drodze wtenczas spotkał dwóch ukochanych uczniów swoich, co go nie poznali. Teraz chociaż nie miał już Naruszewicz dyecezji, ale miał zawsze kapitułę i prałatów, bo biskupstwo jego posiadało niegdyś kościoły, uposażenie i parafian, — żyło niegdyś. Pasterz Smoleński zasiadał w senacie, lubo najniższe zajmował miejsce pomiędzy panami rad duchownemi. Siedmnaste było to miejsce, rachując w to i krzesło prymasa.

Od czasów Władysława IV przez lat sto pięćdziesiąt, szesnastu biskupów Smoleńskich zasiadało już na sejmach polskich. Naruszewicz był siedmnasty z kolei. Jako Adam Stanisław, był pierwszym biskupem tego imienia w Smoleńsku.

Obradował więc nowy senator, razem z innemi panami rad, na sejmie wielkim. Długo czekał na tę chwilę; widać jednak, że serdecznie pragnął podnieść co prędzéj głos swój na téj wielkoradzie Rzpltéj, kiedy zaraz pojawił się na sejmie. Pierwszy raz przymówił się na posiedzeniu w dniu 13 grudnia 1788 r. Izba poselska zajmowała się wtedy projektem, w którém miejscu obradować ma Kommissja Wojskowa podstawiona za departament Rady Nieustającéj? Wielu posłów nie chciało Warszawy, ale mówiło o Radomiu i Krakowie; każdy inaczéj podawał swój wniosek. Naruszewicz powinienby zacząć podług zwyczaju od dziękowania Królowi za krzesło senatorskie, bo tak przez kilka wieków robili wojewodowie, kasztelanowie i biskupi

pierwszy raz zasiadający w senacie, ale chciał zacząć od spraw Rzpltéj i wdzięczność odłożył na potém.

W senacie rzadko się jednak Naruszewicz odzywał, milczał tylko i słuchał młodszych, którzy się ze zdrową radą odzywali. Bywało nieraz, że posłowie z mównicy rozwijając swoje pomysły, za zasadę do nich brali prawo i wzór podany przez przodków; bywało, że puszczali się w historyczne dowody, przytaczali konstytucje, sejmy i volumina legum. Naruszewicz przybierał wtenczas rolę pośrednika pomiędzy zwaśnionemi i objaśniał sporne kwestje. Pod jego sąd często się uciekali posłowie i senatorowie; nie raz o światłe zdanie biskupa prosili, a bywało że i sam Naruszewicz dobrowolnie się odzywał, ale zawsze w krótkich słowach, jakby rzucając pewnikami, twierdzeniami, na zgromadzenie sejmowe. Posłowie raz np. wdali się w dysputy, że do nich tylko jedynie władza prawodawcza należy, i dosyć mocno przymawiali senatowi. Biskup Smoleński wywodził zatém przywileje senatu i mówił: że posłowie się mylą.

Był w tém zdarzeniu orator pro domo sua (19 grudnia 1788.) Inną razą określał różnicę pomiędzy starostami: jednym który brał za przywilejem królewskim, a drugim który otrzymał tylko expektatywę (5 marca 1789.) Chciano właśnie podatek stanowić na królewszczyzny i zdania sejmujących były bardzo co do tego punktu rozdzielone, kto i jak ma dawać ze starostów? Na expektatywy srożono się szczególniéj pod pozorem, że sejm delegacyjny dopiéro je stworzył. Ale Naruszewicz powstał na ten błąd historyczny, dowodził, że i dawniéj, nie koniecznie teraz, miała

Rzplta Werresów, i że już Zygmunt August odmawiał przywilejów na expektatywy, których się panowie domagali. Ale biskup radził Rzpltéj zapomnieć jak było, i kazał myśléć jak być powinno. Chciał zatém nowéj lustracji do starostw, sprawiedliwszéj jak dawne, i wnosił ze swojéj strony, żeby wszyscy posiadający ziemie koronne, płacili z nich jednakowy podatek do skarbu. Biskup Smoleński nie był mówcą i dla tego przeczytał w izbach te wnioski swoje o starostwach. Robił tak za każdą razą, kiedy ważność przedmiotu tego wymagała, ale przez skromność czy dla jakiego innego powodu, nie dawał napisanych mów swoich do dyarjusza. Inną znowu razą zagadano o przysięgach, które kommissarze wojskowi składać Rzpltéj byli powinni. Wywiązała się z tego rozprawa o pensjach, i zacni posłowie, którzy nie mieli żadnego wyrzutu na sumieniu, zaczęli przymawiać różnym znakomitościom Rzpltéj, i stare dzieje odnawiali. Drażliwość sejmujących była obudzona: szambelanowie Królewscy, urzędnicy prywatni, płatni przez panów albo przez Stanisława Augusta, byli w dziwném położeniu. Miał i biskup Smoleński pensję od Cesarzowéj Katarzyny, daną sobie w czasie podróży Kaniowskiéj; chciał się zbyć podejrzenia i wolał pensją odrzucić. Ale Stanisław Kostka Potocki, poseł Lubelski *) odezwał się w izbach, poskramiając drażliwość Naruszewicza: «Są pensje zagraniczne, — mówił, — taką ma od Cesarzowéj Katarzyny biskup Smoleński, te pensje krzywdy Rzpltéj nie czynią, ale owszem sławę Rzpltéj przynoszą. Wszela-

*) Późniejszy Minister Oświecenia, zmarły w r. 1821.

ko delikatność biskupa Smoleńskiego wstręt znalazła od takiéj pensji, mówił daléj, i złożył ją.» Za Potockim powtórzył Nestor Sapieha marszałek Sejmowy, że Naruszewicz przyniósł chlubę krajowi, że nie o takich jak jego pensjach rzecz szła w izbie Poselskiéj; oświadczył wreszcie, że nigdy pobieranie pensji nadanéj za prace literackie nie przeszkodzi obieralności biskupa do wszelkich magistratur Rzpltéj, a o tę obieralność właśnie stanom chodziło. Ale historyk powstał na te wyrazy, podziękował za współczucie Potockiemu i księciu marszałkowi; oświadczył jednak, że senatorem już został i że dla tego ma się zrzec swojéj pensji, chociaż nie miał wcale dochodów posażnego biskupstwa (22 grudnia 1788 r. *)

Nieopuszczał więc Naruszewicz posiedzeń sejmowych, jak inni senatorowie, chociaż nie wiele i nie często mówił, ale brał udział we wszystkich trudach prawodawczych. Bo mógł teraz razem z innemi światłemi obywatelami należyć do wielkiego dzieła odbudowania starego gmachu Rzpltéj. Mógł teraz zaświetnąć inną zasługą, kiedy literacką już błyszczał. Ale co myślał wtenczas Naruszewicz, czy sprzyjał nowym wyobrażeniom, czy popierał nowe zasady, czy wierzył w stare kości i krew Rzpltéj? Musim pokrótce te pytania rozwiązać.

Związany z Poniatowskim od lat już dawnych, Naruszewicz w głębi duszy znalazł przekonanie, że dziedziczność tronu zająć powinna miejsce wolnych elekcyj, i że w samym rządzie zajść powinny zmiany dla dobra obywa-

*) Dyarjusz sejmu 1788.

teli, dla znaczenia i potęgi kraju. Przekonanie to jego rosło z laty, rosło z doświadczeniem, kiedy coraz więcéj się przekonywał Naruszewicz, jak upor jednego ciemnego człowieka, może zepsuć choćby najchwalebniejsze dzieło. Bo całe życie swoje, biskup Smoleński należał do stronnictwa, które z Konarskim przyszło na świat, a zmężniało w zapasach za Króla Poniatowskiego. Odtrącone z rady Królewskiéj, odparte nogami przez szlachtę, stronnictwo to po upływie lat trzydziestu, pokazało się znowu silniejsze jak przedtém, i na sejmie wielkim dopiéro ujrzało się panem własnego uczucia. Stronnictwo to miało już dzisiaj większość w narodzie i na sejmie. Pisząc sam dzieje Lechji, biskup Naruszewicz czuł to mocno w głębi duszy, że trzeba będzie wreszcie kiedyś zaśpiewać requiem szlacheckiéj bucie, a wrócić się do dawnych urządzeń jeszcze Piastowych. Jego myśli już dawno pod tym względem dojrzały. Świadczą to poezje, jego liryki i satyry. Odrzuciwszy na bok pochlebstwa, które hojnie sypał Królowi i magnatom, albo przez wdzięczność, co z resztą nie zasługuje na zupełną naganę, albo przez nałóg i pojęcia, jakie miał o poezji i sztuce, w czém był znowu niewinien, w odach Naruszewicza znajdujemy dużo zdrowéj, dzisiejszéj nawet myśli i wiele pojęć, co robią zaszczyt szlachetności jego, uczuciom i wyższemu poglądowi na stosunki towarzyskie. W wierszach jego, spotykamy częste przymówki przyjętym zwyczajom w Rzpltéj, albo prawom. Często nawet nie maskował się biskup, a prawdę palił jak z trójnoga. Bił na zepsucie, na szlacheckość, na wady narodowe, na rząd. Pszczółki często przywodził na przykład

mądrego społeczeństwa. Narzekał na złą wiarę, rozpustę, na grabież publicznego grosza, kiedy źli ludzie kwarty wojsku uszczuplali. Ksiądz — a wojował z klasztorami, z nieuctwem, z ciemnotą. «bo habit nie czynił mnicha» powiadał w jednéj bajce. Jezuita — płakał nad losami zakonu i ubolewał nad jego nieszczęściem, a przecież w prostocie swojego ducha, powiadał w czém przewinili ojcowie Lojoli. Stroje, kobiety i zbytki, jakiemi te kobiety zarażały klassy wyższe, a tém samém i naród, ścigał z prawdziwym gniewem. W Naruszewicza odach i satyrach nie widać wcale udania, sztuki, nie widać nawet zręczności. Ale ten właśnie brak zręczności pokazywał, że biskup prosto z serca brał swoje uczucia, i że prosto z myśli płynęły jego obrazy. Nie myślał, że może kogo rozgniewa. Nie raz jest tak wymowny i piękny, że doprawdy zapomina się jego pochlebstw dawniejszych roje. Są miejsca w jego poezjach, któreby mu i tak zapewniły wieczną pamięć w dziejach literatury naszéj, chociażby Naruszewicz i nie napisał dziejów. My wierzym jego uczuciom i jego zasadom. Zasady to niekłamane, dla przypodobania się komuś, albo dla jakichciś względów światowych. Kto tak gniewać się umiał, jak Naruszewicz, ten pewno miał serce, i prawda gniew ten szlachetny budziła.

Nie będziem cytować bajek Naruszewicza, a nadewszystko satyr, chociaż satyry takie, jak: *Szlachetność, Pochlebstwo, Reduty i t. p.* powinien każdy umieć na pamięć, kto chce się przyznać, że zna literaturę Stanisławowską i Naruszewicza. Wskażem także na *Fragment* w Epigramatach. (Epigr. X.)

Człowiek znakomity, co tak pisał, był niezawodnie dobrym obywatelem Rzpltéj, godnym jéj synem, godnym senatorem. Człowiek taki, wierzył w odrodzenie się społeczeństwa. Przyzwany do rządu, umiałby złe naprawiać, dobre podnieść do wysokości zasady.

Zasiadając na sejmie wielkim, Naruszewicz należał do wszystkich uchwał, które odznaczyły czasy Stanisława Małachowskiego i Nestora Sapiehy. Biskup cieszył się z tego co widział, a Król Poniatowski znowu zaczął mówić do niego o swojéj wdzięczności. Nowe się wieści rozchodziły. Po śmierci Massalskiego, biskupstwo Wileńskie miano rozdzielić na trzy dyecezje, tak żeby nie tylko stolicy litewskiéj pasterz, ale jeszcze biskupi Inflantski i Smoleński, zamiast próżnych tytułów, zyskali rzeczywisty urząd i znaczenie. Mówiono i o tém już, że po śmierci księcia Massalskiego, zarówno będą płacić ze skarbu pensje wszystkim senatorom duchownym, każdemu po 100,000 złtp. Była to zapewne piękna nagroda, nawet dla samego autora Historyi Narodu Polskiego, chociaż Naruszewicz może więcéj się zasłużył Rzpltéj, jak starsi od niego w powadze biskupi. Po chwili znowu zagadano po mieście o promocjach. Naruszewicz pytał się Króla, a Stanisław odpowiedział mu kilką wyrazów na piśmie:

— «O promocjach wiele gadają, a nikt nie wie, tylko gadają. Ja znam, żeś godzien i bardzo godzien promocji; a ty znasz, że cię kocham, jak prawdziwie swego, a zatém chcę, żeby ci było dobrze. Sed quomodo fiet istud, jeszcze sam upewnić nie mogę. Vale et me constanter ama.»

Inną razą plotki jakieś rzuciły niespokojność w serce biskupa. Król znowu pisał:

— «Mój księże kochany, nie turbuj się o to, co ktokolwiek powiedział. Bóg i ja, ciebie nie opuścimy.»

W chwil kilka znalazł Naruszewicz to, czego tak gorąco pragnął. Turski po Sołtyku został biskupem Krakowskim. Na opróżnione po nim miejsce w Łucku, Król posunął zasłużonego sobie Narucha. Był nasz dziejopis z kolei czterdziestym biskupem Wołyńskiego grodu; Adamem był pierwszym, Stanisławem siódmym. *)

Wdzięczny dziejopis wstawiał się wtedy u Stanisława za Kołłątajem. Zdaje się, że chciał mu po sobie zostawić Smoleńską katedrę. Był już Kołłątaj podkanclerzym Koronnym, a więc zasiadał na ławie ministrów w sejmie wielkim. Przez rzadką dla niego przychylność, Naruszewicz chciał podkanclerzemu jeszcze biskupstwo wyrobić. Już sam ten wybór świadczy, jakiego usposobienia był nowy biskup Łucki. Przyjaźń z Kołłątajem objaśnia wiele jego stosunki, wskazuje na stanowisko, jakie w wielkoradzie Rzpltéj zajmował.

Długo o tém i często z Królem rozprawiał Naruszewicz. Ale Król wahał się. Przyznawał Kołłątajowi zalety, szacunek powszechny dobrze zasłużony, zdolności, pragnął nawet dla samego Naruszewicza zrobić co można, ale chciał wprzódy wynagrodzić dwóch innych zasłużonych sobie kapłanów. Podkanclerzy młody mógł jeszcze chwilkę pocze-

*) Mianowany 3 czerwca 1790 r. biskupem Łuckim. Sygillaty w Metr. Kor.

kać. Naruszewicz odjechał z Warszawy, a jeszcze pisał do Króla za Kołłątajem. Stanisław znowu myślał, wszystkie powody zbierał za i przeciw, a to dowód oczéwisty, ile poważał Naruszewicza, że nawet nie śmiał podług swojego widzimisię w tym razie postąpić, i pragnął się zastosować do życzeń biskupa-przyjaciela. Nareszcie odpisał mu pod dniem 30 maja 1790 r., że postanowił iść za własném przekonaniem, ale że będzie o podkanclerzym pamiętał w przyszłości. Stanisław wyraźnie nawet pisał do Naruszewicza, że może Kołłątaja wziąść sobie za koadjutora na biskupstwo Łuckie. Trudno było daléj posunąć względność dla żądań Naruszewicza. Król nie dawał dyecezji podkanclerzemu, ale zapisywał mu Łuck, to cóś lepszego jak Smoleńsk. Król chciał pośrednią drogą ułatwić wstęp do znakomitszych stopni w kościele, nowemu światłu, które zabłysło na poziomie Rzpltéj. Kończył Król temi wyrazami do Naruszewicza:

— «Słowem, proszę cię, mój biskupie! mój przyjacielu! jesteś świadkiem jak mnie samemu jest żałośnie, że nie ukontentuję księdza Kołłątaja. Bądźże jemu tłómaczem serca mego, prawdziwie dla niego dobrego i życzliwego.»

Smoleńskie biskupstwo, zajął po Naruszewiczu Tymoteusz Gorzeński, Refer. W. K. *)

Powiedzieliśmy, że dziejopis wyjechał z Warszawy na objęcie swojego biskupstwa. Naprzód wstąpił do Janowa

*) Późniejszy biskup Poznański, za Księstwa Warszawskiego, Arcy-biskup Gnieźnieński, umarł 1825 r.

nad Bugiem, w województwie Brzeskiém, gdzie była kollegjata i rezydencja zwykła pasterzy Łuckich, bo stąd z nadbrzegów Bugu, mieli o dwa razy bliżéj do Warszawy, jak ze swojéj katedralnéj stolicy. Z Janowa wyjechał do Łucka. Uroczyście przyjmowała go kapituła, a ksiądz Ignacy Drozdowicz, kanonik Łucki, ofiarował wtedy biskupowi na wstępie do katedry, dzieło, w którém zebrał rys wszystkich postanowień, wydanych na soborach prowincjonalnych Gnieźnieńskich, obowiązujących dla całéj Polski i Litwy. *)

Dziwimy się, że o koadjutorji Łuckiéj dla podkanclerzego nie pomyślał wtedy Naruszewicz. Zdaje się, że ważność chwili wywarła wpływ swój na umyśle Naruszewicza. W chwilach sejmu wielkiego, przy zbliżających się wypadkach, sprawy osobiste umilkły. Nikt na nie najmniejszego baczenia nie dawał. Naruszewicz mógł wtenczas zapomnieć o Kołłątaju.

Osiadł wtenczas zupełnie Naruszewicz na prowincji, w Janowie, w rozkoszném miejscu nad Bugiem. Chciał go używać wprawdzie do swoich widoków, do kierowania opinją publiczną. W czasie sejmu wielkiego, nie jedna broszurka, nie jeden artykuł literacki o przedmiotach wówczas żywo obchodzących społeczność, wyszła nacechowana myślą Królewską, natchnieniem sztucznem,

*) Dzieło to: Index omnium, quae in Sinodis provincialibus Ecclesiae Gnesnensis, Constituta sunt i t. d., przytacza Jocher pod № 507. Tom 3ci, str. 308. Wyszło w Łucku 1791 r. w 4ce ark. i pół.

bo nadaném. Chciał Król i Naruszewicza wtedy przerobić na publicystę i gazeciarza. Zapomniał wtenczas, że biskup Łucki mógłby się zająć poważniejszą pracą. Są też poszlaki, że Naruszewicz drukował wtedy podobno jakieś pisemka, uwagi, broszurki, ale bezimiennie. Wielka szkoda, że w powodzi polemicznych dzieł i dziełek owego czasu, nie wiemy co przypisać Naruszewiczowi. Mielibyśmy z czego zrysować dokładniéj sposób myślenia biskupa Łuckiego, widzielibyśmy jak pojmował machinę rządową, jak dalece dojrzały jego wyobrażenia pod względem reform społecznych. Bo my wierzym, że Naruszewicz nie dał się zawsze powodować natchnieniu Królewskiemu. Człowiek, tak znakomity, jak biskup Łucki, nie mógł być narzędziem cudzéj woli, żeby popierać wyobrażenia nie swoje. Od Poniatowskiego uczyć się nie potrzebował i w sumieniu własném i w przeczuciu znajdował dosyć powodów, żeby się sam zapatrywał na bieg wypadków i na siłę prądu pojęć społecznych Jeżeli więc dużo, jeżeli nawet cóśkolwiek pisał w téj chwili i puszczał bezimiennie na świat, to pewnie wtenczas, jak myślał i mówił, tak i pisał dla braci. Literatura broszur z epoki sejmu wielkiego, jest niesłychanie ogromna; żaden uczony jeszcze nie przejrzał massy tych pism i pisemek, które są dla nas jakby urzędowemi aktami zaświadczającemi o życiu chwili. Mamy jednak nadzieję, że skoro za wzrostem prac naszych, rozwojem umysłowego zajęcia się, przejrzemy stosy tych aktów nadrukowanych, natrafim wtedy i na pisemka Naruszewicza. Mamy nadzieję, że i z pisemek tych wyrozumiemy charakter biskupa, jakeśmy go tutaj podali: prosty,

szlachetny, troszkę za wesoły i rubaszny, ale za to w gruncie zacny i poczciwy.

Nie zawsze zatém dał się złapać Stanisławowi na wędkę znakomity biskup. Jego piórem niezawodnie kierowała wszędzie myśl obywatelska. Bo Naruszewicz nie należał do ludzi takich, jak Trembecki, co najszlachetniejsze uczucia, gotowi byli sprzedać pierwszemu lepszemu dla zysku. Trembecki był doprawdy narzędziem — on też jeden mógł się razem przyrównywać do pieska i nie długo potém, raz cnotę pochwałami wynosić pod obłoki, drugi raz ciskać na nią błotem. Owszem, te chwile w życiu biskupa, na które z kolei w opowiadaniu naszém przyszliśmy, tchną smętném uczuciem i prawdziwém przywiązaniem do kraju. Wchodził on czasem i w zamiary Króla, jeżeli widział w nich czystość pobudek. Trzeba zresztą i to powiedzieć, że Król Stanisław w czasach wielkiego sejmu, był nadzwyczaj dla narodu serdecznym i wylanym. Rzewuski, kasztelan Witebski, napisał i wydał wtedy myśli o reformie rządu republikańskiego. Król przeczytawszy to pisemko, mówił do biskupa, że jeżeli Rzewuski będzie tak gadał jak drukuje, to pewno nie ułatwi rzeczy na sejmie. Naruszewicz będąc tego przekonania co Król Stanisław, probował i podobno nawrócił Kasztelana.

Ale trwożył się jednak smutną przyszłością umysł biskupa. Przypominamy sobie wiersz jego: *Głos umarłych*, pisany niezawodnie pod natchnieniem wrażeń sejmu wielkiego. Na smętny ton, po raz ostatni nastroił Naruszewicz swoją lutnię. Widział tyle spraw w zaciętéj pomiędzy sobą walce, widział intrygi panów za granicą i od-

radzające się liberum veto. Reformy Kołłątaja i marszałka Potockiego, do których przylgnął całém sercem, szły wniwecz: opuściła go zatém zupełnie nadzieja. W upojeniu nadzwyczajnego żalu, błogosławił Króla, że myślał o naprawieniu Rzpltéj; przeklinał naród, że leciał dobrowolnie w przepaść. Nie tego się Naruszewicz po szczęśliwych początkach spodziewał; to téż miary niekładł swoim wyrzutom i zapominając się, bluźnił przeszłości, którą tyle ukochał. Pioruny bezsilnego gniewu ciskał na szlachtę, malował jéj wolność i rząd, który stworzyła, w okropnych kolorach. Nieoszczędzał wtedy nikogo, nawet panów Rzpltéj. Obraz to straszny ale prawdziwy w tym *Głosie umarłych;* to filozofia reformy polskiéj pod koniec XVIII wieku. Całe wyrażenia z tego poematu wyjęte, powinny się stać przysłowiami narodu. Naruszewicz tam wymówny, a do tego groźny, jak miecz Archanioła, przepowiadający zniszczenie. W uczuciu okropnéj boleści, zamarło w nim wszystko, i rozum i chęć i zdolności i wiara.

Cały swój obraz streszcza w pochwałach do Króla:

Tyś ciągłéj rady duchem rząd ocucił,
Co śpiąc dwa roki, ocknął się i zasnął;
Za twym powodem lustr nauk powrócił,
Już on był prawie w barbarzyństwie zgasnął.
Łagodzisz wrzawy, wprowadzasz porządki,
Targasz zawistne na kraj losów wątki.

W tych kilku wyrazach odmalował poeta swoje uczucia, które tém samém, że są pochwałą Króla i reform za jego panowania dokonanych, oświadczają się mocno prze-

ciw swobodom szlacheckim, które chcieli utrzymać rycerze Targowicy. Naruszewicz przepowiadał Stanisławowi Augustowi, że potomkowie dopiéro ocenią jego zasługi dla Rzpltéj.

Tak smętnémi uczuciami przepełnione było serce Naruszewicza w czasie obrad wielkiego sejmu. Oddaliwszy się ode dworu, tęsknił do czegoś, a sam sobie nie umiał zdać sprawy z tych wrażeń, jakie ciągle ze świata zewnętrznego odbierał. Dusza biskupa rwała się już w świat wieczny, w świat pełen nadziei, próżen trosków ziemskich.

To kiedy znowu wzrok swój z nieba spuścił na rzeczywistość, a bywały chwile, że i sercu nie było tak tęskno, tak nieopisanie nudno i ciężko, kiedy zdawało się, że boleść chwilowa już przeszła, a może i nie powróci nigdy, bo czasami nadzieja zstępowała do duszy i słońce piękniéj nad horyzontem świeciło, jak zwykle nad zachodem, rzucając światło i ciepło, Naruszewicz także się ocucał z zadumania długiego, i ręką która już pióro wypuściła, szukał na około siebie pociechy i szczęścia w pracy naukowéj. Biskup Łucki w Janowie przeglądał wtenczas swoje bogactwa historyczne, jakby się z niemi żegnał na zawsze. A miał pamiątek zbiór szacowny i obszerny, który dochodził do grubych tomów w arkuszu 360. Były to wyciągi z metryk Koronnych i Litewskich, były to kopje przywilejów nadanych miastom i magistraturom, były to korrespondencje Rzpltéj z posłami za granicę wyprawianemi; były to wreszcie traktaty zawierane z mocarstwami, tranzakcje familijne, wypisy z archiwów obywatelskich. Zbiór ten cudowny, w najpiękniejszym porządku, chronolo-

gicznie ułożony, podług lat i panowania Królów, zdawało się, tylko oczekiwał na dziejopisa, który w tę massę papierów tchnął życie i stare naddziady w grobach poruszył. Biskup żegnał się w milczeniu ze swojemi skarbami, bo ręka już za pióro dźwignąć nie potrafiła w przeczuciu nieszczęść. Natchnienie uleciało. A Król jeszcze do niego w marcu 1791 r. pisał z Warszawy, zalecając mu Bukowskiego z Galicji i dwóch jeszcze innych, żeby ich użył do przepisywania starych papierów.

Siedział więc Naruszewicz samotny w Janowie i odwiedzał czasami w Biały Radziwiłłów. Ale melancholja wracać zaczęła. Biskup sam sobie był niepodobny. Dawna rubaszność zniknęła nagle. Czasami odbłysk radości rozjaśnił to pełne myśli oblicze, ale ta radość miała w sobie cóś smętnego, jakby się chciała we łzach rozkołysać. Czasami znowu smutek wybijał się na twarzy, jakby pomalowany radością. Zwątpienie opanowało umysł. Naruszewicz już nie wierzył Królowi. Długich lat mu było potrzeba, żeby nagle za jedném obejrzeniem się, złotą nadzieję zamienić na rozpacz.

Po uchwale nowego rządu, Naruszewicz wydał rozkazy po dyecezji, żeby ten dzień uroczyście nabożeństwem obchodzono i modlono się do Boga za szczęście Rzpltéj.

W roku następnym, zjechał jeszcze na wiosnę do stolicy, gdzie Król z Senatem kładł kamień węgielny na kościół Opatrzności Boskiéj, który miał stanąć na Ujazdowskim placu. Było to już wtedy ostatnie biskupa przed narodem wystąpienie. W szatach świętych, jak przed ołtarzem przed Pana obliczem, podniósł Naruszewicz głos

do zgromadzonego ludu i świetnego grona panów. Ten jeden ślad wymowy kościelnéj, ta jedna pamiątka religijnego uniesienia, pozostała się w literaturze polskiéj po Naruszewiczu. My dziwim się, kiedy czytamy głos ten uroczysty. W poezji nie mógł się on nigdy ustrzedz nadętości, która czasem i piękne jego uniesienie kaziła. W historyi ma Naruszewicz styl prosty i szlachetny, chociaż przyciężki, ale wcale nie malowniczy. W *Głosie* tym jaśnieje prawdziwie wymową. Widać, że czerpnął wtenczas natchnienie z niebios, że śpiewał już łabędzim głosem dla potomności. Nawet w pochwałach dla Króla, odzywa się prawdą, chociaż w całym toku mowy, brzmi często pełna obrazów ironia, a zawsze pobożność i uniesienie. Skończył modlitwą.

To wszystko daje powód do wniosku, że właściwie człowiek nie ma swojego stylu, ale że sposób cały jego wyrażenia się, zapał, siła wymowy, zależy od postronnych zawsze okoliczności — od natchnienia. Natchnienie nie uniesie też pospolitego człowieka. Żeby mieć natchnienie potrzeba mieć i zdolność. A kiedy człowiek zostaje pod wpływem cudownym, wtedy i myśl jego przebiera się w inne wyrazy jak zwykle, a styl traci całą swoją odrębność, originalność, jeżeli autor umiał przedtém tak pisać, że go czytelnicy z pierwszego zaraz wiersza poznali. My przynajmniéj w *Głosie* Naruszewicza, nigdybyśmy nie poznali stylu dziejopisa narodu.

Nieraz przypomina się Skarga z całym zapałem i mocą wiary, Woronicz z całą cudownością swoich okresów, z potęgą słowa męzkiego. Nie mówim wcale, żeby Na-

ruszewicz miał nam zastąpić Woronicza i Skargę. Natura jego zdolności inną była, i nie słynął wcale na kazalnicy znakomity biskup.

«Twórco przedwieczny! — zawołał Naruszewicz, — w oczach Twoich Boskich tysiączne wieki są dniem jednym, a obręb cały czasów przeszłych i przyszłych, jednego rzutu wzroku Twojego celem. Tyś widział i masz przytomne lata, kiedy sługa Twój, Mieczysław, zaszczepiając religją, kiedy sługa Twój, Jagiełło, wprowadzając ją do narodu swego, budowali ku czci Twojéj świątynie *za dar oświecenia*. Ty patrzysz z góry i na zakład przybytku tego, który sługa Twój, Stanisław August Tobie budować zaczyna, *za dar miłosierdzia*. Stoją i stać będą te święte gmachy, choć już przeszłość z ich budowców i świadków nieme tylko utworzyła mogiły: choć już potomność wszystkich nas tu stworzeń Twoich, martwe popioły i lichą ziemię deptać będzie. Pół wieku może upłynie, a wieluż nas tu zostanie w życiu? lecz taż potomność poglądając na ten gmach chwały Twojéj a sławy narodu, wspominać będzie dzieła i przewagi wasze, wielcy mężowie, i wysławiać imiona śmierci niepodległe.....»

Zwraca mowę do Króla następnie biskup, i napomykając, że doczekał dni szczęśliwych, że jest najświetniejszym z ludzi przez majestat i Boską Opatrzność, która mu pozwoliła stanowić w dziejach epokę, dodaje: «Tak wyniesiony z równości obywatelskiéj, Panie ..... długożeś użył blasku Korony twojéj i dni jasnych życia i królowania Twego? Ledwo się rok jeden, rok sławy, rok nadziei, dla Ciebie i narodu skończył: ledwoś pierwsze założył

lepszego rządu zasady, wzniosła oczy swoje zazdrość i poruszyła piekielne skrzydła swoje. Wzmagać się poczęły chmury, wypadać na Ciebie i lud twój okropnych klęsk, zamięszań i mordów burze: a ta sroga nawalnica towarzyszyła dniom twoim dotąd, kiedy już pochylonéj wiekiem, ubielonéj troskami i pracą głowie twojéj, łaskawsze niebo wejrzéć na odrodzoną ojczyzny téj postać, odetchnąć i ucieszyć się o zachodzie pozwoliło.»

«Poglądasz, Panie, na ten tu wzrastać mający dom chwały i opieki Tego, który ciebie i twój naród wyratował. Może ci miło będzie w sytości lat i sławy spocząć w nim, kiedy jako człowiekowi, bo życząc ci jak najuprzejmiéj, abyś nas tu wszystkich i nasze prawnuki latami prześcignął, dać ci nie możemy nieśmiertelności, chyba w pamięci wdzięcznéj szczęśliwszych przez ciebie potomków naszych.

«Lecz Królu, kiedy dostojne zwłoki twoje, grobowy pokryje kamień, sąsiedni tego, co go na ołtarz wiecznéj poświęcasz Opatrzności, ujrzy zapewne duch twój z niebios z pociechą, składane na nim od późnych pokoleń ofiary Bogu, usłyszy liczne w błogosławieństwach pienia i dzięki, żeś przez niego kraj swój uszczęśliwił, że staraniem twojém, modłami kapłanów, radą Senatu, posługą wiernych ministrów, wielkiém cnotliwych marszałków Stanisława i Kazimierza przewodnictwem, dzielnością rycerstwa, zgodą narodu, kmiotek usłyszał głos dziedzica dobroczynny, mieszczanin odzyskał swobodę, żołnierz siłę, wzrost i użyteczność, skarb zasiłek, sądy sprawiedliwość, magistraty czynność, obywatele równość; a prawom tylko,

które sami sobie utworzyli, powinne posłuszeństwo.» Zaprawdę, Król Stanisław nie wart był słuchać w téj chwili, tych pięknych i prostych słów serca. Nie wzruszył Poniatowskiego tkliwy obrzęd, bo w dni kilka potém zapomniał swoich obietnic i przysiąg na podwalinach Kościoła Opatrzności.

Oddaliwszy się znowu do Janowa, Naruszewicz krokiem już od swojego kościoła nie ruszył. Samotny, dziki, odludek, widocznie unikał towarzystwa. Życie było już mu ciężarem. Książki nie wziął już wcale do ręki. Modlił się tylko albo rozmyślał. Melancholja widocznie opanowała biskupa. *)

Same tylko straty i cierpienia były wtenczas udziałem Naruszewicza. Stolicę i dwór znienawidził. Ale stał się tak obojętnym na wszystko, że nawet straty go nieobchodziły, a całe życie jakie teraz pędził, byłoby jedną ogromną boleścią, gdyby ta boleść mogła trafić do serca biskupa. Po zajęciu kraju przez Konfederację Targowicką, Naruszewicz stracił większą część swojéj dyecezji i samą nawet jéj stolicę. Z obojętnością klęskę tę poniósł, a nawet zaniedbał się w urzędzie biskupim.

Z Janowa blisko miał do Grodna. Stanisław August nie daleko nawet od tego miasteczka przejeżdżał, jakby

*) 21 marca 1793 r. w Warszawie u Ś. Krzyża, odbyło się żałobne nabożeństwo za Ludwika XVI, na którém był Król i wszystkie znakomitości stolicy. Celebrował mszę wielką książe Prymas, a potém kondukt odprawił z czterma biskupami: Szembekiem Płockim, Naruszewiczem Łuckim, Skarszewskim Chełmskim i Przedwojewskim Belineńskim. (Gazeta Warszawska, 1793, № 24.)

umyślnie biskupa razem zapraszając z sobą na sejm; historyk przecież nie opuścił ani na krok swojego Janowa, i żadnego udziału nie wziął w obradach tego sejmu. Bo i cóż by tam robił? Jako reprezentanci duchowieństwa, wystarczyli aż nadto w Grodnie książe biskup Massalski, Kossakowski i Skarszewski.

Podług prawa zapadłego na tym ostatnim sejmie, inny podział dyecezji miał nastąpić w Rzpltéj, która się ścisnęła wtedy w dwie prowincje ze trzech, Koronną i Litewską. Biskupów sejm Grodzieński zostawił tylko ośmiu dla nowéj Rzpltéj. Historyk narodu miał dostać w skutek tego, niektóre dobra kiskupa Kujawskiego po jego zejściu i z dyecezją swoją byłby się nieco zbliżył ku stolicy, gdyby okoliczności nie zmieniły się prędzéj od wszelkich wyrarachowań ludzkich. Naruszewicz mało się zajmował sejmem i jego postanowieniami, ale Rzplta obradująca w Grodnie, uważała go ciągle za swojego senatora i wybrała raz nawet za sędziego sejmowego (23 listopada 1793 r.) Obojętnością ten nowy nie proszony zaszczyt, zbył biskup. Ale kiedy Król powracał do Warszawy, wypadało Naruszewiczowi spotkać gdzie na drodze dawnego swego dobroczyńcę, z wynurzeniem uczuć serdecznych. Nie jechał do Białegostoku, ale pośpieszył do Siemiatycz, dóbr księżny Anny Jabłonowskiéj, sławnéj gospodyni swego czasu. Król Stanisław miał tutaj popasać. Było to dnia trzeciego grudnia 1793 r., kiedy tu Poniatowski zawitał skłopotany jak Rzymianin po Kanneńskiéj bitwie; tak przynajmniéj mówił poeta szambelan Trembecki. Biskup powitał Króla u wejścia do pałacu, na czele gości księżnéj

*

wojewodzinéj. Ostatni raz w życiu widział wtenczas Stanisława Augusta. Tutaj to zapewne miała miejsce scena czułego pożegnania się Stanisława z historykiem. Król pierwszy raz miał widzieć biskupa, od czasu sławnego kazania przy fundamentach kościoła Opatrzności. Król jeszcze wtenczas nawet marzył o Historyi narodu. Deszert, jego gabinetowy sekretarz, spotkawszy na pokojach biskupa, zapytał się go:

— «A cóż? wziąłeś się W. Pan Dobrodziéj do pracy?»

— «Co! odparł Naruszewicz z gniewem? jabym się teraz miał tém zajmować? Nie, niechaj kończy, kto zechce, — ja już więcéj pióra do ręki nie wezmę.»

I dotrzymał słowa szlachetny biskup. Niechciał wspomnieniami świetnéj przeszłości, truć chwil obecnych, a bardziéj nie chciał jeszcze dójść w opowiadaniu dziejów, aż do swoich czasów. Król tłómaczył że uległ konieczności; przecież nalegał biskupa jeszcze listami, żeby kończył rozpoczętą pracę.

Nie pojechał za Bug do dyecezji swojéj Naruszewicz, a tylko Kaspra Cieciszowskiego, biskupa Kijowskiego, podług kanonicznych przepisów, zobowiązał, żeby jako *vicinus Episcopus* rozciągnął prawo pasterskie nad Łuckiem i całą jego stroną rodzinną. Sam został w kraju. Jego dyecezja ścisnęła się wtedy do Archidyakonatu Brzeskiego i miała stolicę swoją w Janowie, a tak stała się jądrem późniejszego biskupstwa na Podlasiu. W szczupłym zakresie swojéj władzy, Naruszewicz był pierwszym oddzielnym Podlasia pasterzem.

Wypadki wywarły wpływ zgubny na samo zdrowie biskupa. Przeraził się słabością i brakiem charakteru Sta-

nisława. Nigdy nie lubił odwiedzin, — teraz zamknął się zupełnie przed ludźmi. Byli jednak ciekawi, co go chcieli wtenczas widzieć i pocieszać w osamotnieniu. Widzieli go jednak chyba w katedrze, u stopni ołtarza. Do pałacu biskupa, nikt się, albo bardzo rzadko kto przecisnął. Bo smutny Naruszewicz narzekał ciągle na natręctwo, a i dla pana i dla nie pana pragnął być zawsze niewidzialnym i skrytym. Dni przepędzał jednostajne a coraz smutniejsze, i przechodził się wtedy wolnym krokiem po komnatach biskupiego pałacu w Janowie, niczém nie zajęty, chyba myślą, taką samotnicą jak on, kiedyś ozdoba zamku Królewskiego, prawodawca przy hucznéj biesiadzie. Do pracy historycznéj miał teraz wstręt niepokonany. Widział w niéj spełzłe swoje nadzieje. Raz wraz, co raz to inne, a zawsze okropne widoki nawijały się jego chorobliwemu usposobieniu. Sądził Naruszewicz dotąd, że narodowi pełnemu siły i życia, rozpowiada jego dawne dzieje — przekonał się inaczéj, ale poniewczasie. I zerwał nagle z tą przeszłością niepowrótną. Wolał się zbliżyć do ludu. To sielankowe życie, na które patrzał dotąd z za krat klasztornych, a którego wcale nie znał, cudnemi blaskami nagle przed biskupem strzeliło. Z miłém uczuciem spoglądał Naruszewicz na lud, który nie winien był powszechnéj niedoli, a długie lata przecierpiawszy w nędzy, przywykł już dawno do widoku cierpienia. Lubił Naruszewicz przestawać z ludem wieśniaczym. Miłość do niego uczuł dopiéro pod koniec chwalebnego żywota, i chociaż przed śmiercią dopiéro, zbliżył się do natury. Pomiędzy ludem znalazł cnotę, poczciwość i uczucie, których szukał

napróżno w pośród stolicy, na wielkim świecie. W szaréj płóciennéj kapocie wychodził nie raz Naruszewicz wtenczas na pole, gdzie rozlegały się pieśni wesołe żniwiarzy. Witał się z nimi i rozmawiał jak z bracią rodzoną. To rozpytywał się o ziemi i zbiorach, to stojąc nad żeńcami i kosarzami, brał się sam nie raz do pracy zachęcony przykładem, i przetrząsał świeżo ścięte pokosy i zbierał garście zboża, żeby je w snopy powiązać. Musiał być wtedy pięknym Naruszewicz, a na twarzy jego odbijał się zapewne spokój sumienia i przekonanie, że dobrze użył swojego życia. Ta jego ręka, co wprzódy pióro dziejopisarskie z chlubą dla siebie trzymała, ta ręka co błogosławiła lud wierny na uroczystościach wiary; cała ta postać, co zdaje się świętością i natchnieniem błyszczała, teraz zniżyła się do roli, znalazła ulgę cierpieniom w rozrywkach gminu wiejskiego. Cudny spokój wrócił do serca biskupa. Ale ten spokój był zwodliwy; — było to tak, jakby się morze ułożyło równo do poziomu i nigdzie niefałdowało się od bałwanów, gładkie i czyste jak kryształ, aż nagle ni stąd i z owąd burzą i wściekłością zawrzało. Dla Naruszewicza ten pozorny spokój był przedwiestnikiem burzy. Nadeszła chwila: okręt strzaskały bałwany.

Jednak raz jeszcze przed śmiercią znalazł go w Janowie list Królewski z Grodna, 17 czerwca 1796 roku pisany. Stanisław przejeżdżał wtedy do Petersburga.

«Mój biskupie kochany! J. Pani Chodkiewiczowa, starościna Żmudzka, powiedziała mi wczoraj, że pożyczyła W. Panu dla mnie wiele manuskryptów i dokumentów słu-

żących domowi Chodkiewiczów, i że te nie są jéj wrócone, i domawiała się o powrócenie onych sobie teraz. Zdaję mi się prawie nie do wiary, żebyś W. Pan nie miał te papiery dawno wrócić domowi Chodkiewiczowskiemu, ile gdy tak dawno wydałeś życie sławnego Chodkiewicza. Wszelako proszę W. Pana usilnie, chciéj albo mnie donieść nieodwłocznie, żeś te papiery wrócił właścicielom i że masz na to dokument, albo odeślij mi te papiery, jeżeli quo casu, wrócenie ich było zaniedbane, abym je mógł oddać. Donieś mi oraz W. Pan o swém zdrowiu i powodzeniu i bądź upewniony o nieodmiennym szacunku i afekcie moim.» *)

Trafił ten list na ostatnie dni życia biskupa. Znękany przeciwnościami, Naruszewicz z dnia tylko na dzień przewlekał życie. Kraj, w którym mieszkał, przeszedł pod panowanie Cesarzów Rakuskiego domu i wcielony był do Galicji. Naruszewicz, w trzy tygodnie prawie po tym liście Królewskim, umarł w Janowie, który wsławił swoim pobytem tak, że dzisiaj mieścina ta liczyć się może do historycznych miejsc naszego kraju. Umarł bez poprzedniéj słabości, bez bolu, bez cierpień, które zwiastują kończące się życie. To tak zupełnie jak lampa — długo się paliła, a póki stało jeszcze pożywy, tliła się i tliła. Zabrakło nagle oleju — więc nagle zgasła.

Umarł 6 lipca 1796 r. Żył lat 62, miesięcy 8 i dni 16. Jak widzimy, był w całéj sile męzkiego dojrzałego wieku, i mógł żyć jeszcze. Czerstwy do ostatnich chwil pracowi-

*) Koźmian.

tego żywota, nie pokazywał po sobie żadnych cech zbliżającéj się starości. Zabiła go przed czasem tęsknota nie opisana.

Pochowany został w Janowie, w kollegjacie swojéj, która dzisiaj jest katedralnym kościołem. Zarząd jego biskupstwa objął ksiądz Tomasz Halubarton, kanonik Łucki, proboszcz Bialski. Pochować się kazał bez wszelkich oznak wystawności, a na grobie swoim położyć napis z pisma: Cor meum et caro mea requiescit in spe. (Serce moje i ciało moje spoczywa w pokoju.)

Ody Naruszewicza były powodem, że rozmaicie o nim mówiono. Wiek spółczesny sądził, że ogląda i czyta jednego z największych poetów. Nawet Krasicki w dziele o rymotwórstwie unosi się nad wdziękami poezji Naruszewicza. Również sądził i wiek, który widział rodzącą się na świat historję literatury Bentkowskiego. Dzisiaj zmieniły się bardzo te uwielbienia, a jednak Naruszewicz jest rzeczywistym poetą; chociaż nie wszędzie, jest przecież i w jego rymach natchnienie. A jednak, podobało się bardzo niedawno Michałowi Wiszniewskiemu, uderzyć na ten kolos Stanisławowskiéj literatury. Wiszniewski chciał go ze wszystkich obedrzéć zaszczytów. Zarzucił mu pochlebstwo, które graniczyło z czém jeszcze, nie powiemy, przez wzgląd na Naruszewicza. Zelżył nawet jego historyą i powiedział, że to panegiryk, że to pochwała Królów, że wszystko, co tylko w historyi Naruszewicza jest dobrego, (a jest bardzo mało) wszystko Poniatowskiemu należy, bo on był twórcą myśli, a bez jego pomocy i zachęty, nie byłoby wcale historyi.

Za grube to są zarzuty, — szorstki widać w nich

umysł, własną zasługą zajęty. Naruszewicz jest to zawsze jedna z najznakomitszych postaci z czasów Stanisława Augusta. Zasługi dla literatury położył Naruszewicz nieocenione. Pod tym względem stoi na równi z ludźmi, którzy najwięcéj wsławili chwilę wielką w życiu narodu — odradzających się nauk. Sądzić go w ramach swojego czasu — był olbrzymem, a i dzisiaj i po nas, w odległych pokoleniach, wartości swojéj on nie utraci. Z resztą, jako człowiek uczucia, Naruszewicz może nie ma nawet sobie równego w całéj epoce Stanisławowskiéj. Cierpienia społeczeństwa wypiętnowały się w rysach tamtego wieku znakomitości. Nawet Krasicki żartować przestał, Zabłocki umilkł, zaniemiało wszystko. Ale jeden Naruszewicz umarł z cierpienia. *)

—

*) Żeby dopełnić opowiadania o literackiéj czynności Naruszewicza, dodajemy tutaj fakta następujące:

Wyszło w r. 1785 w Warszawie u Missjonarzy dziełko, pod tytułem: Nabożeństwo do ŚŚ. Apostołów Piotra i Pawła, najprzedniejszych obrońców całego chrześcijaństwa, na dziewięć dni święto ich poprzedzające rozłożone, a ku pożytkowi wiernych przez JW. Jmci Księdza Naruszewicza, biskupa Emmazeńskiego, Koadjutora Smoleńskiego z włoskiego przetłómaczone. Edycja piąta w 16-ce ark. 3 (Jocher. Obraz bibl. hist. lit. T. III, str. 138 № 6970).

Tłómaczenie Kojałowicza dokonane przez księdza Ratomskiego, na język Polski, a poprawione przez Naruszewicza, znajdowało się w Puławach. (Wiszniewski. Historya liter. T. VII, str. 494.)

Naruszewicza Historyą tłómaczył na język francuzki Gley Gerard. Rękopism tego przekładu znajdował się w bibliotece Królewskiéj w Paryżu. Gley z księdzem Pradtem był w Księstwie Warszawskiém i opisał osobno tę podróż, 1815 — 1817. (Biographie universelle 1830. T. XXX, pod artykułem: Naruszewicz.)

umysł, własną znalazła zaletę. Naruszewicz jest to zawsze jednak z najznakomitszych postaci z czasów Stanisława Augusta. Zasługi dla literatury polskiej Naruszewicz niepodobne. Pod tym względem stoi na równi z Jundziłłem, Kołłątajem wskazywał cele wielkie w życiu narodu — odtrącających się nauk. Sądzić go w ramach swojego czasu — był olbrzymem, a i dzisiaj i po nas, w odległych pokoleniach, warłoszi swoją na nie utrwali. Z resztą, jako człowiek uczucia, Naruszewicz może nie ma nawet sobie równego w całej epoce Stanisławowskiej. Ciepłania społeczeństwa wyniełowały się w rzadach tamtego wieku zapomnieniu. Nawet Krasicki zarzewać przesadą. Zabłocki umiłł, zaniemiało wszystko. Ale jeden Naruszewicz umarł z ciepłania.[1])

---

[1]) Zeby dopełnić opowiadania o literackiej czynności Naruszewicza, dodajemy tutaj jakie następujące:

Wyszła w r. 1785 w Warszawie u Aloszonarzy dziełko, pod tytułem: Nabożeństwo do SS. Apostołów Piotra i Pawła, najprzednieszych obrońców całego chrześcijaństwa, na dzień 29-dni świętego tych poprzedzające rozłożone, a ku pożytkowi wiernych przez W. Ind. Księdza Naruszewicza, biskupa Emmauzeńskiego, Koadjutora Smoleńskiego z włoskiego przetłomaczone. Edycja piąta w 16-ce ark. 8 (Jocher. Obraz bibl. hist. lit. T. III, str. 135 № 8970).

Tłómaczenie Kołłątajowa dokonane przez księdza Natolińskiego, na język Polski, a poprawione przez Naruszewicza, znajdowało się w Tatrowcu. (Wiszniewski. Historya liter. T. VII, str. 104.)

Naruszewicza historyą tłómaczył na język francuzki Dufresnoy. Rękopism tego przekładu znajdował się w bibliotece Krolewskiej w Paryżu. Głosy o księdzu Paulinie były w Kwartalnie Warszawskiem i opisał osobno to pod. 1815 — 1817. Dictionnaire universelle 1830. T. XXX, pod artykułem: Narusewicz.)

FELIX ŁOJKO.

Prawdę powiedziawszy, samiśmy sobie winni, że tak mało znamy literaturę ojczystą. Gdyby nie zacnéj pamięci Janocki, który chwalił wszystko bez wyjątku, co tylko miał drukowane i pisane pod ręką, nic byśmy nie wiedzieli o pisarzach za czasów Augusta IIIgo i o skarbach literackich jakie gromadziła ciągle biblioteka Załuskich. Brak pism perjodycznych i krytyki, a nadto wypadki polityczne, odrywały od literatury uwagę ojców naszych. Dzisiaj nawet brak nam i źródeł pod ręką, żebyśmy mogli na nich wznieść piękną budowę dziejów literatury, a przyznajmy się, że po części i lenistwo nasze tego zaniedbania się jest przyczyną. Nie jeden z nas ma jaką ciekawą księgę i rękopism, ale sam się cieszy skarbem, a nikomu nic o tém nie powie, jakby się obawiał zaczarowania. Dla tego znamy często z imienia literackie nasze wielkości i powtarzamy o nich sąd wydrukowany gdzie w jakiémś piśmie, któreśmy kiedyś czytali, a z resztą, ani własnego zdania z siebie wydobyć nie możem, ani coś wiemy o samém dziele i autorze.

Jakież np. są wszystkie wiadomości nasze o Łojku? Od Bentkowskiego i Stanisława Potockiego, aż do Lesława Łukaszewicza, powtarzamy wciąż o nim, że to był jeden ze znamienitszych literatów wieku Stanisława Augusta, że pracował wiele, że zostawił bogate materjały historyczne, że przez śmierć jego literatura i nauka polska poniosła stratę oczéwistą; a nie wiemy nic, zupełnie nic o Łojku. Nie znamy ani dzieł jego, ani jego osoby. Człowiek, który tak niedawno żył i działał, którego znali ojcowie nasi, na którego patrzéli jak na sławę rodzinnego kraju, zapomniany zupełnie! Nie wiemy co robił, jak żył, gdzie żył, jakie jego zasługi dla literatury, jaki był wpływ na społeczeństwo.

Zagajmy więc tymczasem o Łojku, za nim zbierzemy więcéj szczegółów o życiu naszego uczonego. Zawsze jednak to, co o nim podamy, będzie nowością dla wielu miłośników literatury ojczystéj. Łojka życie ubierzemy w te fakta, jakie o nim dotąd posiadamy.

Rodzina Łojków pieczętowała się herbem *Wąż* i nosiła oddawna przydomek Rędziejowskich czyli Rydzewskich. Była pierwiastkowo osiadła w Polsce, potém się przeniosła do Litwy, i tam na pograniczu w Rusi Witebskiéj, piastowała urzędy ziemskie. Ale ojciec Felixa przeniósł się znowu do Korony i osiadł w Wielkiéj Polsce, na ziemi którą albo kupił, albo pozyskał dziedzictwem przez spadek. Ojcu temu było na imię Karol, żona jego, matka Felixa, nazywała się przed ślubem Teressą Wojnarowską. Karol Łojko był łowczym powiatu Orszańskiego w województwie Witebskiém. Żył wtedy na Litwie drugi Łojko, Antoni,

brat może Karola, starosta Bocieśnicki, krajczy także Orszański, ożeniony z Wojnianką; chorąży Petyborski i deputat na trybunał Litewski w roku 1724. *)

Felix urodził się w początkach roku 1717, w województwie Kaliskiém, w téj jego części, która się późniéj Gnieznieńskiém nazywała, już po wyniesieniu się rodziców do Wielkiéj Polski. Zdaje się, że był najstarszym z rodzeństwa, które się składało z trzech braci. Młodsi nazywali się Paweł i Jan albo Józef, a sam Felix miał jeszcze drugie imie Franciszka.

Do szkół chodził już w Wielko-Polsce i przykładał się do nauk z nadzwyczajną pracą. Rodzice oddali go do kollegium jezuickiego w Poznaniu. Pod sterem duchownych nauczycieli, młody Łojko oddychał przecież zawsze duchem rycerskim.

Dziecku marzyły się ciągle wojny i sława wielkich wodzów. Zapalał się na myśl samą bohatérskich czynów. Kiedy ojciec spostrzegł tę skłonność w młodzieńcu, zaczął grosz skrzętnie zbierać ze swojéj chudoby i zamyślał syna wysłać za granicę, do Akademij Wojennych i szkół ry-

*) Herbarz Niesieckiego, wydanie Bobrowicza, tom VI, str 277. Gazeta Warszawska 1779, № 41. Ten Antoni, nazwany krajczym Oszmiańskim, podpisał się w Krakowie 19 stycznia 1736 r. w czasie sejmu Koronacyjnego na przywileju, którym Król potwierdzał ogólnie wszystkie prawa i wolności Rzpltéj. Patrz Vol. Leg. Tom VI, str. 646. W pół roku potém, Łojko, bez imienia, zapewne tenże sam Antoni, już wojski Oszmiański i poseł Wileński na sejm Pacyfikacyjny do Warszawy, podpisał elekcją Króla Augusta III, dnia 9 lipca 1736 r. Tamże str. 652.

cerskich. W Polsce dzięki uśpieniu umysłowemu, niebyło dotąd lepszéj szkoły, któraby kształciła żołnierza na obywatela kraju, chociaż od każdego Króla Rzplta w paktach domagała się otworzenia naukowego rycerskiego zakładu. Felix Łojko z radością pojechał za granicę i zatrzymał się wprzód na Szląsku, który miał sławną podówczas akademją Wojenną w Lignicy, dawném mieście Piastowskich Książąt. Nie wiemy, jak długo bawił Łojko na Szląsku, ale to pewna, że skończywszy rycerskie nauki w akademij Lignickiéj, puścił się w podróż po Europie, żeby świat zobaczyć, a ojciec poczciwy łożył na wydatki potrzebne w tym celu.

Za powrótem do miejsc rodzinnych, kiedy szło o wybranie sobie sposobu do życia, Felix Łojko, zatęsknił do domu hetmanów i książąt. Chciał na dworze rycerskim pierwsze stawiać kroki, zanimby się usługom Rzpltéj poświęcił. Rodzina ulżyła mu pracy i starań i przedstawiła go księciu Januszowi Wiśniowieckiemu, który był wtenczas kasztelanem Krakowskim a z bratem swoim Michałem, ostatnią już gałązką wielkiego rodu. Nie mógł lepiéj trafić młody Łojko, jak trafił. Wybór rodziny był w saméj rzeczy najlepszy; na dworze więc księcia Janusza młody łowczyc Orszański rozpoczął życie obywatelskie. Kasztelan Krakowski był najzacniejszym człowiekiem w Rzpltéj; sama poczciwość patrzała mu z oczu, a szlachta przepadała za nim. Brat księcia, Michał, był kanclerzem, wojewodą, hetmanem i regimentarzem. Pełen życia i ruchliwości, był z powołania żołnierzem. W pośród takiéj rodziny, oczéwiście Łojko ujrzał się jakby we własnym ży-

wiole. Ufał w łaskę i opiekę książąt, a przy łasce ich i opiece mógł rzeczywiście zajść daleko. Staranie ojca już mu nie były potrzebne; mógł się sam teraz pokierować na świecie.

Książe Janusz, pragnąc zapewnić los młodzieńcowi, który rzeczywiście zajaśniał nauką na jego dworze, przedstawił go Augustowi III i polecił łasce Królewskiéj. August wziął zaraz Łojkę do swojego dworu, i mianował go paziem swoim. Potrzebował już wtedy młody uczony rzeczywiście innéj opieki, bo niedługo umarł jego dobroczyńca, książe Janusz (1741). August III zastąpił więc Łojce ojca i księcia kasztelana. Ani ród tak bardzo świetny, ani związki familijne nie przemawiały za młodym paziem; a przecież Król o nim pamiętał. Z pazia zrobił go kamerjunkrem nadwornym, potém szambelanem, czyli jak wtedy nazywano, podkomorzym Królewskim. Wreszcie uwieńczył łaski swoje, kiedy Łojkę mianował Starostą Szropskim na Pomorzu. Nie przynosiła wprawdzie ta królewszczyzna wielkich dochodów, ale zawsze starczyła na jakie takie utrzymanie. Była to zasłużona dobrze nagroda, bo szambelan odpłacał się na każdym kroku przywiązaniem Królowi, a mozolił się ciągle; to księgi stare czytał, to archiwa przewracał, robił notaty, wyciągi, jak gdyby o ważném jakiém zamyślał dziele dla dziejów polskich. Lubił téż pieniążki stare, z radością brał je do ręki, oglądał je, spisywał i nowe o nich robił notaty. Zajmował się wtedy on, szlachcic polski, i kwestiami handlowemi: interesował go albowiem przemysł i postęp oświaty.

Dziwili się wszyscy, którzy go znali na dworze Króla

Augusta, jak mógł tak młody człowiek posiadać naukę tak ogromną i o tylu kwestiach naraz rozprawiać, których wielu nierozumiało. Nie ściągnął jednak na siebie Łojko zazdrości dworzan: przy wszystkich swoich wiadomościach, uderzał ich przecież rzadkiemi przymiotami duszy. Czuły był i skromny, i nie lubił popisywać się z nauką. Pobożny był aż do niewolniczego spełnienia przepisów religijnych; mówił o Bogu z rozrzewnieniem; a nigdy domysłami, uwagą jaką przelotną, nie dotknął wiary. Wierzył szczerze, nie rozumując, jak wszyscy mu współczesni Polacy.

Kiedy umarł August III, Łojko razem z województwem Poznańskiém, podpisał elekcję Poniatowskiego i zyskał względy nowego Króla. *) Stanisław zatwierdził go na urzędzie szambelana (18 kwietnia 1765 r.) i użył go z początku do spraw dyplomatycznych. Bardzo wiele Króla obchodziły nowe Korony Polskiéj nieporozumienia z Francją. Ludwik XV już raz przed trzydziestą laty, chciał odegrać rolę pośrednika w Rzpltéj, i wcale mu się to nie udało. Teraz wprawdzie nie prowadził już teścia swojego na tron, ale odzywał się z jakiemiś radami z Wersalu, których Rzplta słuchać nie mogła, ulegając chwilowym okolicznościom. Markiz Paulmy d'Argenson, dosyć się krzątał w Warszawie i robił hałasu; niby to warzył tajemnice stanu, niby to odkrywał widoki swojego Króla, ale narażił się otwartością swoją sąsiadom Rzpltéj. Widząc że go nie słuchają, pożegnał się z Prymasem i odjechał do

*) Vol. Leg. T. VII, str. 225. Pietruski, Poczet Elektorów.

Paryża jeszcze przed elekcją Stanisława, rozpowiadając wszędzie, że Król Ludwik kazał mu oddalić się co prędzéj od Rzpltéj, rozdzielonéj na stronnictwa i przyzywającéj pomocy państw obcych. *) Widoczne było, że Ludwik XV gniewał się, tém bardziéj, że w miesiąc potém opuścił Warszawę i Pan Hennin, rezydent i drugi sekretarz poselstwa, ostatni już dyplomaci francuscy w Polsce. Prymas chciał pisać do Wersalu z przeprosinami i tłómacząc się, że Rzplta najmniejszego powodu nie dała panu Markizowi do tak niespodziewanych kroków. Ale na ten krok grzeczności odpowiadały wieści szeroko rozgałęzione w Warszawie, że listy Prymasa nie będą w Wersalu przyjęte, i że je zaraz odwrótną pocztą z Francji odeszlą. Tymczasem i elekcja nastąpiła pod Wolą. Powiadano znowu, że Król Ludwik wysłał Markiza de Conflans z powinszowaniem Stanisławowi Augustowi. Było w tém cóś prawdy, bo Markiz w istocie podróżował wtenczas po Niemczech: nadjechał wreszcie do Warszawy, ale jako osoba prywatna; niepokazywał się wcale na zamku. Podróżował umyślnie tylko dla przyjemności.

Skłopotany tém nieporozumieniem z Francją, Poniatowski pisał do Króla Leszczyńskiego wzywając jego pośrednictwa do zięcia, bo chciał przedewszystkiém zgody i tytułu Majestatu od wszystkich Monarchów Europy. Spuszczał się zupełnie na dwór w Nancy. Stary książe Lotaryngski odpisał Królowi z wylaniem się i tysiące mu po-

*) Paulmy przyjechał do Warszawy w grudniu 1763, a wyjechał 9 czerwca 1764 r. po południu. Wiadomości Warszawskie.

wtórzył grzeczności, winszował mu koronacji i rządów, wyznawał dla niego swoje współczucie, wyrażał nadzieje przyszłości. Poniatowski mówił Leszczyńskiemu, że kontent jest z rezydenta Lotaryngskiego w Warszawie. Stary Król mu odpowiadał, że go wielce to raduje i że chciałby od swojego posła odbierać tylko pożądane wieści o pięknych rządach Rzpltéj. Poniatowski, żeby ująć Królowę Francuzką Marję, wyświadczył Ossolińskiemu, jednemu z jéj ulubieńców, jakąś łaskę. Leszczyński dziękował i za to, i w saméj rzeczy starał się przez swoich pełnomocników o uznanie w Wersalu nowego Króla Polskiego. Ludwik XV nakłaniał się cokolwiek do tego, ale wprzódy jednak oglądał się na Wiedeń. W Wersalu pracowali nad nim i jego ministrami dyplomaci Lotaryngscy, Alliot intendent dworu w Nancy i Hulin rezydent, Królowa Marja także pracowała nad mężem. Alliot umawiał się z księciem Praslin. Leszczyński bił w to, że handel z Polską nie może być obojętnym dla Francji, że choćby dla tego handlu, zgoda koniecznie nastąpić powinna. Zresztą widział w przywróceniu stosunków Francji z Rzpltą, dowody przyjaźni dla siebie. Król zięć słuchał, i już wpływ teścia zaczął przeważać więcéj w jego umyśle jak wpływ dworu i ministrów. Zdawało się, że poselstwo wyprawione z Polski, mogło szczęśliwie przywieść do pomyślnego skutku tę sprawę. *)

*) Ciekawe korrespondencje z r. 1765 między Leszczyńskim a Stanisławem Augustem, wydał Raczyński w materjałach do panowania pierwszego — str. 253 i 257. W czerwcu 1765, jeszcze się Ludwik XV wahał.

Szambelan Łojko miał przywieść tę rószczkę oliwną pokoju do Warszawy. Już półtora roku upłynęło od elekcji pod Wolą, a dwór Wersalski jeszcze się dąsał za obrazę Markiza de Paulmy. Król Stanisław wyprawił więc Łojkę w poselstwie do Francji, z uwiadomieniem Ludwika XV o swojém wstąpieniu na tron. Żeby zaś całą tę sprawę pokryć pewnym pozorem godności własnéj, wręczyć kazał Łojce listy o swojéj elekcyi i koronacji do wszystkich dworów burbońskich. Wielu już Królów uznało Poniatowskiego, a pomiędzy niémi uznał i Cesarz Niemiecki, ale od południowych państw żadnéj dotąd przychylnéj i nieprzychylnéj wieści nie było. Łojko więc miał odwiedzić i uprosić ostatnich Królów i Książąt, żeby się z oświadczeniami przyjaźni dla Polski spieszyli. Puścił się w podróż po Europie w początkach r. 1766, z tytułem Nadzwyczajnego Posła. *)

Drażliwa missya do Wersalu potrzebowała znakomitych dyplomatycznych zdolności. Łojko był już człowiekiem naszych pojęć. Praca naukowa zabiła w nim rycerza dawnego. Starosta Szropski nie tęsknił już do oręża i chorągwi jak przedtém, ale rozmyślaniem długiém, badaniem przeszłości kraju, rozwagą wreszcie, przyszedł powoli do wniosku, że lepszy Poniatowski, który chciał pewnych dobroczynnych reform w rządzie, jak dynastja Sasów, pogrążona w uśpieniu, i nie zdolna do czynu. Łojko zatém

*) Listy o Koronacyi do Francyi, Hiszpanii, Sycylji i Parmy które wziął Łojko, datowane są z kancellaryi Królewskiéj 20 stycznia 1766. Paszport wydano mu pod d. 22 stycznia t. r. Sygillaty, ks. 30.

całém sercem popierał Stanisława i te swoje uczucia publicznie ogłaszał przed stolicą Francji. Uzyskał nareszcie posłuchanie u króla na dniu 11 marca 1766, i potrafił pogodzić wymagania ministrów Ludwika z interesami Rzpltéj. Przerwane stosunki dyplomatyczne z obudwu krajami przywrócono, i niedługo z Paryża przyjechał poseł Francuzki powitać na tronie Króla Stanisława.

Łojko z Wersalu pojechał daléj do Hiszpanii, Sycylii, Parmy. W Madrycie miał taką samą prawie trudność do załatwienia, jak w Wersalu. Niedługo albowiem po wyjeździe z Warszawy Hennina i rezydent Hiszpański Don Onies odebrał odedworu swojego rozkaz, żeby opuścił Rzpltę i czémprędzéj wracał do ojczyzny. Karol III gniewał się za Ludwika XV, jak Burbon za Burbona i Don Onies przed samą elekcją pośpieszył z powrotem do Madrytu. Ale Rzplta niby obraziła Francją, tymczasem Hiszpanija obraziła się sama bez powodu, i pokazała tylko drażliwość familijną. Przeszło zatém jakoś łatwiéj w Madrycie jak w Wersalu. Dobre przyjęcie posła Polskiego we Francji i Hiszpanii wskazywało już innym Burbonom drogę przyszłego postępowania. Tak więc w Neapolu i w Parmie odbyły się pewne formalności, które się dla Króla Stanisława pomyślnie zakończyły. Łojko przejechał całe Włochy i wracał z tryumfem do Polski, w któréj się zbierał sejm Czaplica. Król szczęśliwy mianował go na tym sejmie członkiem Kommissyi Skarbowéj [od 1 października 1766 r.] *)

Nie długo jednak trwało złudzenie naszego dyplomaty.

*) Vol. Leg. T. VIII, str. 191.

Łojko wróciwszy z podróży swojéj z za granicy, przekonał się po ruchu ogólnym, jaki wtedy objął Rzpltę, że kraj nie kontent jest ze Stanisława. Konfederacje dyssydentów sprowadziły sejm Radomski, a skutkiem działań sejmowych, powstała nowa Konfederacja w Barze. Łojko nie namyślał się ani chwili: pobożny i religijny, przyjął w niéj udział i pobiegł do tych co walczyli za wiarę. Przypomniał sobie wtenczas natchnienia młodego wieku i rzucił znowu szperania naukowe dla oręża. Jako konfederat barski, oddał wielkie przysługi sprawie szlachty walczącéj ze Stanisławem Augustem. Konfederacja istotnie téż cieszyć się mogła, kiedy takich ludzi, jak Felix Łojko zaciągała pod swoje chorągwie, nosił albowiem już wtedy starosta Szrobski, podwójną sławę na skroniach swoich: sławę dyplomaty i uczonego.

Konfederacja użyła téż zaraz Łojki do dyplomatycznych swoich stosunków. Kiedy tylko pokazał się w generalności, w Przeszowie (Eperies), starszyzna często się po światłą radę uciekała do niego. Poznał się tam i zaprzyjaźnił z marszałkiem Pacem, starostą Ziołowskim; poznał i innych dowódzców Konfederacji. Zdawało się, że Austrya bierze żywy współudział w losach i sprawach generalności, i zdawało się, że ztąd jakaś nadzieja dla Konfederacji zaświta. Sam Cesarz Józef bawił wtedy w Przeszowie i rozmawiał mile z naczelnikiem rycerzy barskich. Starszyzna więc umyśliła wtedy wysłać do Wiednia zaufanego pełnomocnika, dla popierania swojéj sprawy przed Ministrami Cesarskiemi. Pełnomocnikiem tym mianowany był Felix Łojko. Pac, żeby mu wyjednać łatwiejszy wstęp do dworu,

wyjechał z Łojką razem do Wiednia (w sierpniu 1770.) Obadwaj upoważnieni byli złożyć hołd wdzięczności Cesarzowi w imieniu Konfederacji, za łaskawe przyjęcie i prosić go o dalszą gościnność. Łojko miał oprócz tego starać się o złagodzenie środków ostróżności na granicach Rzpltéj i Węgier, nakazanych przez Austryą i miał wymiarkować zamiary księcia Kanclerza Kaunitza względem Konfederacji i Rzpltéj. Cesarz Józef II, polecił w Wiedniu hrabiemu Pergenowi zawiązać układy z obudwoma pełnomocnikami Konfederacji, w zastępstwie księcia Kanclerza Kaunitza, bo wyjechał z nim właśnie do Neustadt, dla widzenia się z Królem Fryderykiem. Ale układy te skończyły się na niczém. Pergen nie chciał uznać Łojki za posła od Konfederacji, chociaż przedewszystkiém oto najwięcéj jemu i Pacowi chodziło. Generalność sądziła, że wygrywa sprawę, kiedy z dworem Cesarskim wprost znosić się będzie mogła; byłoby to urzędowym uznaniem przez Austryą Konfederacji. Oszukała się jednak: Ministrowie Maryi Teressy użyczali tylko biernego wsparcia generalności, i czekali na wypadki. Bali się zawcześnie zdradzić przed Europą, i dla tego na dwóch ramionach płaszcz nosili. Pergen wymówił się przed Łojką, że go nie może przyjąć urzędownie jako pełnomocnika od generalności. Cesarzowa jednak obiecywała i nadal gościnność, ale rozkazów co do granic Rzpltéj zmienić nie mogła. Pergen mówił wiele o jéj dobrém usposobieniu dla Konfederacji i radził jéj wreszcie pogodzić się z Królem. Dwaj wysłani generalności zerwali więc nagle rokowania i odjechali napowrót do swoich. Łojko nic dobrego

dla Konfederacji z Wiednia nie przynosił. Wojownicy barscy nie długo ulegli przemocy, i skończyła się walka. *)

Felix Łojko powrócił wtedy do Stanisława Augusta, który zapomniał dla niego o przeszłości. Powrócił bardzo wcześnie po dwóch, trzech latach najwięcéj oddalenia. Jak tylko pomiarkował, że nie było co robić w generalności, że Austrya wciąż łudzi konfederatów, że dla nich nie ma żadnéj z niskąd nadziei, zatęsknił do zgody z Królem. Wspólne nieszczęścia obiedwie strony powinny by nauczyć mądrości stanu. Łączyć się zatém trzeba było z przeciwnikami i ocalić szczątki upadającego Rzymu. Tak myślał Łojko. Jeszcze się konfederaci utrzymywali się w Częstochowie, kiedy starosta Szropski zjawił się nagle w stolicy Rzpltéj. Król Stanisław powołał go znowu na członka Kommissyi Skarbowéj (28 lipca 1772 r.) Wtenczas właśnie sprawy Rzpltéj uciszyły się jak Wisła w łożysku, a groźne chmury zawisnęły na horyzoncie. Wielkim bólem było zranione serce niedawnego jeszcze konfederata. Zebrał się sejm delegacyjny. Łojko całą uwagę swoją zwrócił na działania tego sejmu. Zbierał noty dyplomatyczne, deklaracje posłów różnych mocarstw, będących w Warszawie. Porządkował i dawniéj nagromadzone notaty historyczne. Zaprzyjaźnił się wtedy Łojko z Karolem Wyrwiczem, i odtąd obadwaj razem szukali w odległéj przeszłości. Dla historyi czasów swoich zbierał wszystkie te noty dyplomatyczne i układał je Łojko w chronologiczny porządek. A kiedy potém okazał się w druku wywód praw Króla Pruskiego do Pol-

*) Kuczkowski, str. 172.

skiego Pomorza, z dawnych swoich papierów Łojko układał odpowiedź na te prawa. Dowodził rodowości polskiéj pierwiastkowo na Pomorzu, a fakta historyczne i podania wyjaśniał. Pokazał wtedy w całéj pełni swoją naukę i biegłość w dziejach. Wyrwicz pomagał Łojce w téj pracy, ale myśl i wykonanie należało całkiem do starosty Szrobskiego. Łojko był już historykiem w całéj pełni wyrazu, historykiem jakiego nie miała Rzplta po kronikarzach, a przed Naruszewiczem; krytyka dziejowa z nim zaczęła się rodzić w literaturze polskiéj, bo Łojko już rozumował, oceniał fakta i pisał nie jak kronikarze, dla zachowania wypadków, a dla ich rozświetlenia, dla postawienia prawdy na miejscu fałszu. Dowodzi więc z umiarkowaniem, opowiada wypadki, cytuje Autorów. Dzieło swoje wygotowawszy, Łojko połączył go ze zbiorem Aktów urzędowych w czasie sejmu Konfederacyjnego wydanych i drukował w r. 1773 w Warszawie, chociaż na tytule nie kładł ani miejsca wydania, ani roku. Nazywało się to dzieło:

«*Zbiór deklaracyi, not i czynności główniejszych, które poprzedziły i zaszły podczas Sejmu, pod węzłem Konfederacyi odprawującego się, od dnia 18 września 1772 do 15 maja 1773 roku.*» Było to dzieło wydane w ćwiartce. Zawierało stronic 401 prócz dwóch kart rejestru. Nakoniec jako dodatek mieścił się tam: *Historyczny wywód praw trzech Mocarstw do prowincyi polskich.* Zatém wywodem następowała odpowiedź Łojka na pretensye Pruskie i Austryi.

W inném miejscu ocenimy zasługi uczonego starosty, jakie położył i dla Historyi swojéj spółczesnéj, przez wydanie

Zbioru not, i dla historyi czasów jeszcze Piastowych, kiedy stawał w obronie narodowości Pomorza Gdańskiego. Tutaj zamieścim wiadomość o treści téj ostatniéj pracy Łojka, bo ta właśnie praca jest ściśle naukowa, a może nam zaświadczyć o zdolnościach dziejopisarskich autora. Uważaliśmy naprzód, że Łojko nie odpowiada Królowi Pruskiemu. Łojko odpowiada w pracy swojéj tylko ludziom, którzy dowodzili, że Pomorze było niemieckie jeszcze przed Krzyżakami. Łojko dowodzi, że od niepamiętnych czasów było słowiańskiém i podlegało książętom Lechii. Kiedy pisarz niemiecki nakręca fakta do swojego systematu, Łojko prostuje te fakta i sam się wdaje w opowiadanie tego co było, a więc podejmuje pracę Naruszewicza. Jeżeli na dowodzenie pismienne idzie, człowiek jedną myślą i systematem swoim zajęty, może się często zapominać i silić się o pokazanie rzeczy niepodobnych. Łojko dowodzi, że choćby Pomorze Gdańskie rzeczywiście prawem spadku albo traktatów należało do domu Pruskiego, zawsze przecież jest słowiańskiém to Pomorze. A jeśli i o traktaty idzie, przeszłość dosyć faktów dostarczy Łojce na dowiedzenie, że właśnie rzecz ma się przeciwnie. I traktaty świadczą za Lechią. W jednéj więc części, Łojko walczył za tę sprawę, za którą dzisiaj odniósł zwycięstwo Dominik Szulc, a w drugiéj zbiera materjały dla dziejów Naruszewicza. Jak dzisiaj dziejopis zakonu Krzyżackiego Voigt, jest umyślnie jednostronny, tak jednostronny był 1773 r. autor wywodu, przeciw któremu Łojko wystosował swoję sławną odpowiedź.

Trudno niedziwić się potężnéj dyalektyce w jaką się uzbroił nasz autor zabierając się do swojego dzieła, i trudno

nie dziwić się jego erudycyi i naczytaniu się dziejowemu. Jeden dowód Niemców wywraca za drugim, uzbrojony pochodnią prawdy. Odpowiedź swoją na 76 paragrafów i na cztery wielkie działy rozłożył. Naprzód zbija pretensye Pruss do Pomeranii, to jest do nadbrzeża Szczecińskiego, na mocy prawa dziedzictwa, jakie mieli niby elektorowie Brandeburgscy do ziemi książąt Pomorskich, pochodzących z linii Bogusława. Dowodzi, że jedynie w skutku wojny, Pomorze Szczecińskie popadło w jakąś zależność od Niemców. Mięsza tutaj Krzyżaków i wykazuje ich stosunki z Brandeburgiem i z książętami Szczecińskiemi. Ta część opracowana najstaranniéj i najobszerniéj. Łojko wiekami dochodzi aż do swoich czasów, i łatwo zbija wywody niemieckie. W drugim rozdziale rozbiera prawo, jakiém posługują się Niemcy na zajęcie już nie tylko Prus, ale nawet téj części województwa Poznańskiego, właściwéj już Polski, nie tylko Lechii, która leży na zachód i północ od Noteci. Tutaj miał już więcéj dowodów prawnych Łojko za sobą i dla tego ani na chwilę nie daje spokoju Autorowi wywodu. Autor ten właśnie napomknął dla zastraszenia Rzpltéj, że Król Pruski, jako książe Szląski, ma prawo nie tylko do powiatów za Notecią, ale jeszcze do dwóch województw Wielkopolskich, to jest do Poznania i Kalisza. Łojko krótko się nad tém zastanowił i przeszedł do pretensyi rzeczywistych jakie miały Prusy do Polski. Rzplta winna była pewne summy elektorowi, w skutku traktatów Bydgoskich, ale za to następcy elektora trzymali Elbląg w zastawie. Łojko dowodzi, że Rzplta nieraz już chciała spłacić te summy i wyznaczała kommisarzów w tym

celu, ale że nie od niéj poszła wina odwłoki całéj sprawy. Artykuł finansowy i ekonomiczny o Prussach polskich, w którym rozprawa, że wszystkie pretesye Niemców o prowizią i dochody z tych krain, już stokroć razy wynagrodzone zostały elektorowi, kończy pracę historyczną Łojka, pracę rzeczywiście wielkiego znaczenia, jeżeli zwrócimy uwagę na ówczesny stopień krytyki dziejowéj w Polsce i małą znajomość źródeł. A Łojko ważne dzieła historyczne miał pod ręką. Czerpał z nich pełną garścią. Przewracał kodexa dyplomatyczne Dogiela, Gerchego, Dregera; szukał po stosach praw niemieckich i polskich. Styl w całém opowiadaniu naturalny i jasny, nie szczyci się wcale kwiatkami wymowy i pod tym względem przypomina zupełnie styl Naruszewicza.

Przy ostatnim wyniku badań swoich, Łojko wyrażał nadzieję, że ziemia Pomorska, polska pochodzeniem, nieutraci i nadal swojéj narodowości, i że oddychać będzie zawsze słowiańskim duchem. Pocieszał zatém obywateli Rzpltéj i mówił im w myśli: nadziei tracić nie potrzeba, aby kraj odcięty niewrócił do zupełności korony polskiéj. I wołał zaraz z Ezechielem Prorokiem i Królem: «pójdę z Królem Ezechielem, i złożę takowe pismo przed obliczem Pana.» Łojki dzieło nie było tylko płodem uczoności, ale i dziełem uczucia, w niém utkwiło jego serce.

Odpowiedź Łojka, którejśmy tutaj treść przytoczyli, była ważnym swoich czasów, literackim wypadkiem. Miłość do badań historycznych zrodziła się, a starosta Szropski stanął nagle w szeregu zawołanych literatów polskich. Nawet Król Stanisław mile przyjął obronę praw Rzpltéj. Odtąd

zaczął spoglądać na Łojka, jak na zaszczyt swojego panowania. Zapraszał go na czwartkowe obiady i dawał mu wszędzie poznać, że wysoko szacuje zdolności historyczne pisarza. W saméj rzeczy, nauka Łojki dziwiła, kiedy i za granicą rozpowszechniło się jego imie. Fryderyk Wielki dowiedział się także o odpowiedzi Łojka. Chcąc dać dowód uczonemu, że pomimo odrębny swój interes, nie ma mu za złe téj odpowiedzi, utrzymał Łojka przy starostwie Szropskiém, które leżąc na Pomorzu, już tém samém przestało należéć do Rzpltéj; wszelkie królewszczyzny i fundusze ziemskie miały przejść oczéwiście na skarb pruski. Fryderyk wielki nadał Szrop dożywociem Łojce, i szambelan Stanisława Augusta nie stracił nic na dochodach swoich, chociaż miał włości swoje już za granicą. *) Król Poniatowski order Śgo Stanisława wtenczas na piersiach Łojka zawiesił.

Starosta Szropski poświęcił się więc całkiem literackiéj pracy. Nie stracił chwili czasu napróżno. Bogate jego zasoby historyczne znakomicie wsparły badania Naruszewicza. Ale prócz historyi, zajmował się teraz Łojko przedewszystkiém pomyślnością wewnetrzną kraju. Dawne zatrudnienia finansowe i ekonomiczne, odciągnęły jego umysł na drogę nowych dociekań. Chciał podnieść handel Rzpltéj,

*) Szrop z Sołtystwem w województwie Malborskiém, płacił kwarty w ostatnich czasach złot. 1206 gr. 19. Patrz Kalendarzyk z r. 1772 wydany w Warszawie. Miał więc nasz autor do czterch tysięcy z tego starostwa. Szropu nie ma w Staréj Polsce wydanéj p. Balińskiego i Lipińskiego, a przecież dla samego Łojki, zasługiwało to miejsce na wspomnienie.

a tém samém pomyślny byt obywateli. Naprzód zajmował się teoryą, a potém miał zejść do praktyki, bo o handlu polskim wiele wtedy mówiono, i chciano znaleść nowe dla niego źródła odbytu na morzu Czarném i w południowych stepach Bessarabskich. Przedsięwziął wtedy Łojko wielkie dzieło o starożytnéj monecie, chciał ją porównać z teraźniejszą, obrachować stopę menniczną dawną i takim sposobem chciał pierwszy w ojczystym kraju zagaić naukę o finansach. Spodziewał się Łojko, że przez jego badania, spółziomkowie otworzą oczy na swoje korzyści i zaczną zajmować się handlem zagranicznym. Porównanie monety dawnéj z teraźniejszą do tego miało posłużyć, żeby handlujący potrafili zastosować cenę towarów stosownie do potrzeb kraju. Probował zatém stopy mennicznéj dawnych monet polskich i topił ją, rozkładał na pierwiastki w tyglu. Nie zakładał osóbnéj pracowni w mieszkaniu, które zajmował, ale całe godziny przepędzał w mennicy Warszawskiéj, razem z Unruhem. Z Augustem Moszyńskim także się naradzał, udzielał mu wniosków swoich, bo i ten pan był biegłym ekonomistą z teoryi, i nawzajem od niego odbierał niektóre spostrzeżenia, które obracał zawsze na korzyść nauki. *) A zaczepiwszy raz o tę kwestyą, Łojko wkroczył w niezmierne obszary ekonomii politycznéj, zbierał fakta, gotował rosprawy, chcąc na drogę praktyki zwrócić umysł polski. Pracował ciągle w tajemnicy, jak gdyby dla tego, że ucząc się całe życie, chciał Łojko dopiéro w późnych latach

*) Czacki w dziele o polskich i litewskich prawach.

swoich przedstawić ziomkom dojrzały owoc prac mozolnych. Papiery i notaty ciągle się mnożyły. *)

Służąc piórem, służył ciągle Łojko i radą krajowi. Zdawało się więc, że dla niego postanowiła Rzplta Kommissyą Skarbową, kiedy starosta Szropski ani na chwilę jedną, nie opuszczał téj magistratury. W r. 1775 otrzymał jeden kwit za cały czas swojego urzędowania od lat dziewięciu, i sejm Delegacyjny jednocześnie na nowo powołał go na kommissarza.

Król Stanisław chciał jeszcze raz, **) żeby Łojko dał w zastosowaniu poznać swoje pomysły, które rozwijał w pismach i projektach, i dla tego na sejmie Mokronowskiego w roku 1776 dnia 31 października, mianował go po raz czwarty członkiem Kommissyi Skarbowéj w Koronie. Właściwie sejm powinien był obierać kommisarzów, ale ostatni już to dzień naradzali się posłowie w izbie, i podług praw nie można było przedłużyć na godzinę nawet obrad, a wiele jeszcze rzeczy zostawało do załatwienia. Na ten raz zatém (pro hac sola vice) mianował kommissarzów Król, bo elekcya zabrałaby wiele czasu. Co do Łojki, Król go właściwie zatwierdził na urzędzie. ***)

Była to funkcya dwuletnia. Prawdziwie z poświęceniem

---

*) Krasicki w dopełnieniach do Niesieckiego pisze o nim: «Łojko, mąż nauki wielkiéj, w ojczyznie zasłużony i t. d., napisał dzieło wyborne o monetach i t. d »

**) Vol. Leg. Tom VIII, str. 130 i 191. Tutaj zwany Łojko Adamem, widać że i tak go jeszcze nazywano.

***) Vol. Leg. Tom VIII, str. 904. Kwit drugi dostał wtenczas Łojko za rok 1775—1776, tamże str. 888.

się pełnił Łojko swe obowiązki, ale pracował wciąż jeszcze w ukryciu, niechcąc przed czasem popisywać się owocem niedojrzałym swoich spostrzeżeń. Bystro więc upłynęły te dwa lata, a na drugim sejmie w r. 1778, Stanisław August powołał Łojkę do zasiadania w najwyższéj magistraturze kraju, to jest naznaczył mu miejsce w Radzie Nieustającéj. Na członka rady obrał go wprawdzie sejm, ale Król pomieścił w Departamencie Skarbowym. Nowa funkcya Łojki miała się skończyć w r. 1780. *)

Przed upływem jednakże tego czasu, zaraz w roku następującym (1779) w kwietniu, Łojko zachorował śmiertelnie. Straszne znosił boleści. Żałowali go wszyscy serdecznie, sam Król Stanisław pięć razy odwiedzał konsyliarza Rady w jego własném mieszkaniu, dopytując się z niespokojnością o postępie choroby, któréj lekarze pomyślnego końca przewidzieć nie mogli. Cztery tygodnie znosił z cierpliwością męczarnie. Nareszcie opatrzony sakramentami, umarł po chrześcijańsku w Warszawie, dnia 19 maja 1779 r. we środę około godziny 9 wieczorem. Żył lat 63.

Spółczucie żywe odezwało się w stolicy po śmierci znakomitego człowieka i obywatela. Nazajutrz zaraz (20 maja) prowadził żałobnę processyą ze zwłokami Łojki do Ś. Jana ksiądz biskup koadjutor Chełmski, Alexandrowicz. 21 maja odbyło się nabożeństwo żałobne i pogrzeb w grobach Ś. Jana. Celebrował także Alexandrowicz. Kancellarya jałmużnicza

*) Z dyarjuszów sejmowych — Łojko szambelan mianowany do Kommissyi Skarbowéj z Wielkiéj Polski. Vol. Leg. Tom VIII, str. 946.

orderu Ś. Stanisława ogłosiła w dni kilka (26 maja) Artykuły Statutu, na mocy którego każdy kawaler powinien 30 mszy był zakupić za duszę zmarłego spółbrata, polecając tém duszę Łojki. A Rada Nieustająca także wynurzając swój żal szczery, że utraciła z grona swojego tak znakomitego członka, wyprawiła również za Łojkę nabożeństwo żałobne u Ś. Jana na dniu 28 maja, to jest w dni 9 po jego śmierci. Na mszy głównéj celebrował ksiądz Kossakowski, suffragan Trocki. Król i obecni w Warszawie panowie i uczeni znajdowali się tłumnie na tém nabożeństwie. Czuli to wszyscy, że umarł jeden z najuczeńszych ludzi i najzacniejszych obywateli w Rzpltéj.

Łojko nie dokończył swojego dzieła finansowego, a śmierć przeszkodziła temu, że nie postawił sobie jeszcze jednego pomnika w dziejach literatury polskiéj. Papiery jego, materjały dziejowe, rosprawy ekonomiczne, uwagi finansowe, stały się późniéj własnością Czackiego, i złożone było w bibliotece Poryckiéj. Powiadają, że to były ogromne papiery. Oglądał je kiedyś na miejscu Autor ksiąg bibliograficznych, ale treści nigdzie nie podał, bo ich zapewne nie czytał, zajęty poszukiwaniami innego rodzaju. Mógł Czacki podać o nich wiadomość do jakiego pisma, ale nie przyszło to na myśl znakomitemu obywatelowi. Wolał Czacki, pisać polemiczne rosprawki, z których nie wiele się nauczyła literatura polska. Tymczasem artykuł o Łojce, byłby uwiecznił piękną imię zacnego starosty i obeznał nas więcéj z jego pracami, wskazał lepiéj na jego stanowisko w literaturze historycznéj. Możeby nawet do jego życiorysu dostarczył ciekawych szczegółów.

Nie zupełnie jednak stracony był dla nas owoc badań Felixa Łojki Czacki pisząc swoje znakomite dzieło o litewskich i polskich prawach, wspierał się bardzo często na badaniach i krytyce swojego nauczyciela, jakim był dla niego niezawodnie Starosta Szropski. Przywodził więc go i uzupełniał w swojém dziele. Wyjaśnił np. z rękopismów Łojki, przemiany gospodarstwa narodowego. Przedmiot ten i dzisiaj tak mało opracowany, a jednak przed kilkudziesięciu już laty, spory zasób do poszukiwań tego rodzaju zostawił nam Starosta Szropski w pracach swoich. Kto wie, czy nie on sam jeden dotąd stoi, jako pisarz w téj gałęzi literatury? Ułożył téż Łojko tabliczki wartości i dochodów soli, obrachował grzywny piastowskie, zrobił redukcyą monety dawnéj na nasze czasy. Ale okazało się w skutku następnych poszukiwań, że obliczenie wartości i dochodów soli, zrobione przez Łojka, było w treści swojéj zupełnie mylne. Błąd pochodził z tego powodu, że badacz nasz źle zredukował grzywnę Jana Ostroroga, a na niéj właśnie Czacki osnował cały swój systemat porównawczy pieniędzy dawnéj Polski. Musiał jednak wiele z tych prac Łojki Czacki korzystać, bo do dziś dnia, kiedy mowa o dawnych kapitałach polskich i summach, kiedy chcemy dać o nich wyobrażenie i szukamy stosunku dawnego stopy mennicznéj do naszéj, robiemy te obrachowania zawsze podług tablicy Czackiego, umieszczonéj właśnie w jego największém dziele o litewskich i polskich prawach.

Łukasz Gołębiowski niechcący więcéj nam udzielił wiadomości o tych pośmiertnych pracach Łojka, jak Czacki nie opisując ich wcale, bo przywodził je tylko jako powagę

w ostatniém z dzieł swoich. *) Zbiory Łojka składały się pomiędzy innemi z następujących rozpraw:

1) Ludność i jéj upadek w Polsce.
2) Mennica i monety dawne polskie.
3) Sol w Polsce.
4) Urzędy koronne i litewskie. 3 tomy.
5) Wojsko i hetmani.

Otóż tyle, co wiemy o późniejszych pracach Łojki, przedsięwziętych po zbiorze deklaracyi, not i czynności. O całym ogromie prac tych, dzisiaj sądzić nie możem. Zapewne nie jeden z wywodów uczonych Łojki, nie utrzymałby się dzisiaj przy tak rozgałęzionych badaniach w przeszłości. Ale zawsze widzielibyśmy w nich teraz, zwrót pewien naszéj nauki, chwilowe pojęcia o ekonomii, finansach i teoryach społecznych, jednego z najdzielniejszych reprezentantów umysłowości polskiéj za Króla Poniatowskiego. Widzielibyśmy w nich poruszone ważne nauczające zdania, jak np. o ludności, o wojsku. Jak stopę menniczną Łojko mierzył, tak dla zaludnienia kraju wywodził fakta, tak zajmował się wewnętrzną historyą. Ogromne dzieło o urzędach koronnych, byłoby i dzisiaj jeszcze prawdziwém źródłem dla dziejów: tyle tam ciekawych wiadomości, tyle trafnych spostrzeżeń być musiało: życie narodowe tam tkwiło zapewne w nie jedném podaniu i szczątku dzisiaj zatraconym. Wielki historyk napisał nie dawno znakomite dzieło

*) Panowanie Władysława Jagiełły, stron. 10 w spisie źródeł, z których czerpał.

o urzędach polskich: jakąż by znalazł do niego pomoc w pracach Łojka! Sądząc po odpowiedzi Prussom, była tam sumienność w poszukiwaniach i znajomość głęboka sił i zdolności narodu.

Dla tego żałujemy prac tych, chociaż żyjemy w XIX wieku. Bo dzieło ważne nie traci nigdy na swojéj cenie. Stracić może ważność naukową z postępem czasu, ale wagi dla dziejów, literatury i pojęć nigdy nie straci. Możem nie rozumieć dzisiaj teoryi XVIII wieku, bo stare, ale przecież zawsze teoryje te interesować nas będą, bo w swojéj epoce, należały do charakterystyki czasu, należą tém samém do nauki i i do dziejów. Ale wartość taką, względną, mają tylko dzieła naukowe z wyższą myślą, z bieglejszym w przeszłość i stosunki dawne poglądem. Taką wartość miałyby niezawodnie dla nas prace Łojki, chociaż wiele rzeczy widzielibyśmy dzisiaj inaczéj, jak on je widział. Wydane w naszéj chwili te prace, chociażby się nie przyczyniły do postępu nauki, ale rzuciłyby zapewne wiele ciekawych wiadomości w społeczeństwo nasze, bo człowiek uczony i zdolny, chociażby się i zestarzał, zawsze cóś powie takiego, co nauczy. Dla tego żałujem badań Łojka, że w rękopisach zostały. Co się z nimi stało po śmierci Czackiego? czy istnieją jeszcze, czy też zaginęły niepowrotnie? tego pytania nikt z nas podobno nie objaśni.

W pięć miesięcy potém, w téj że saméj Warszawie na dniu 10 października 1779 r. w niedzielę, umarł i brat rodzony Felixa, Józef Łojko ex-jezuita, professor filozofii i teologii, w roku życia 52, a ostatnią posługę oddał mu także biskup Alexandrowicz, pochowawszy ciało w grobach

kościoła pojezuickiego. *) Wielkie nadzieje kiedyś powzięło o jego zdolnościach zgromadzenie Lojoli, kiedy posyłało go za granicę do Włoch i Francyi, razem z gronem pięknéj młodzieży, jeszcze za Króla trzeciego Sasa, ale Józef Łojko nie uiścił tych świetnych nadziei. **)

—

*) Gazeta Warszawska 1779 r. № 41 i 82.

**) Exportacya odbyła się 11 października. Biskupowi towarzyszyła moc księży; nazajutrz po summie i kondukcie odprawił pogrzeb Alexandrowicz, którego prosił na dzień przed śmiercią o tę ostatnią posługę ksiądz Józef Łojko. O drugim bracie szczegółów nie mamy. Znaleźliśmy w księdze 36 Sygillat w Metryce Kor. że do Jana Łojki, kanonika Chełmskiego, który umierał we wsi Grzybowie, w Wielkiéj Polsce, Król Stanisław delegował gród Gnieźnieński dla odebrania zwykłych od umierającego, majątkowych rozporządzeń. Rozkaz ten wydany był 16 maja 1788 roku. Może to był brat Felixa, bo Krasicki wylicza (w Niesieckim nowego wydania) braci jego Józefa i bezimiennego, który miał być jezuitą, a z Gazety Warszawskiéj wiemy, że to Józef był jezuitą. Niesiecki pisze o trzech braciach Felixie, Pawle i Janie, «który w naszym zakonie témi czasy.» Może Jan było imie zakonne Józefa, a Paweł może to Jan kanonik Chełmski.

JERZY OŻAROWSKI

OBOŹNY WIELKI KORONNY.

Było kiedyś głośne w Rzpltéj imie Jerzego Ożarowskiego, bo Obożny Koronny, w swoich czasach, słynął szeroko obywatelstwem. Spływała na niego łaska Hetmana, a potém nawet samego Króla. Dobrze też życząc ziemi rodzinnéj, Ożarowski przywiązał się do biednego wygnania Stanisława Leszczyńskiego, i pomiędzy jego stronnikami zajął jedno ze znakomitszych miejsc. Powrócił wreszcie złożyć kości w Rzpltéj. Dzisiaj tych niedawnych jeszcze zasług Obożnego, została już tylko pamiątka.

Urodził się Jerzy Ożarowski w ostatnich latach panowania Jana III. Ojciec jego Bogusław, był stolnikiem Krakowskim, a matka Teofila pochodziła z rodu Wiszowatych, herbu Roch, którzy wsławili się w dziejach kościoła reformowanego w Polsce. Ożarowscy rzucili także od dawna wiarę rzymską dla geneweńskich nowinek. Bogusław był jeszcze kalwinem po swoich rodzicach, ale nawrócił się sam do kościoła Rzymskiego, bo w czasach Augusta III w Polsce wzrastała pobożność i rozwijał się jakiś ciemny fanatyzm,

skutkiem którego, dessydenci przechodzili często na katolickie wyznanie. Zapewne i żona poszła za przykładem męża, bo w małżeństwie wtenczas kiedy jedna to i druga dusza, musiały być koniecznie nastrojone pobożnością.

Jerzy Ożarowski pokazywał wiele życia od dzieciństwa. Zdawało się rodzicom, że jedyny syn ich stworzony do wojska. Było tak w saméj rzeczy. Czynny i zręczny, młody Jerzy szukał zajęcia dla duszy w rycerskich zabawach. Nie usiedział na miejscu i chciał zwiedzić Europę, poznać świat rycerski. Ale tym chęciom młodzieńca, główna przeszkoda stała zawsze na zawadzie: Jerzy był niebogatym, i ztąd rodzice niezamożni łożyć na niego wiele nie mogli. Ale dziwném zrządzeniem losów, znalazł Jerzy przyjaciela. Był to pan Bobrownicki, herbu Doliwa, zamożny obywatel województwa Sandomierskiego. Pokochał on bardzo Stolnikowicza. Zdaje się nawet, że nad nim rozciągnął jakąś opiekę, może już nawet po śmierci rodziców, Bogusława i Teofili. Przywiązanie to ciągle rosło. Bobrownicki wyprawił Jerzego w podróż za granicę i miał na myśli, że go potém ożeni z jedną ze swoich córek. *) Był ojcem dość licznéj rodziny: miał pięcioro dzieci, to jest, dwóch synów i trzy córki: więc było o czém myśléć zawczasu.

Za powrotem do ojczyzny z podróży zagranicznéj, Ożarowski pośpieszył pod chorągwie Rzpltéj w r. 1711. Hetmanem Wielkim był wtenczas Adam Sieniawski, pan możny, jeden z najbogatszych senatorów, a dumny, bo ciągle my-

*) Niesiecki — wydanie Bobrowicza T. VIII, str. 520.

słał to o Koronie dla siebie, to o potędze własnego domu dla synów, których mu niebo niedało. Królów też i panujących suto nieraz podejmował na swoich zamkach; pisał i odbierał często od nich listy, wchodził zawsze z niemi w jakieś tajne umowy, których treści nieznała nigdy Rzplta. Był czas, że hetman Sieniawski, na czele oddanego mu zupełnie wojska, trzymał w rękach swoich losy Rzpltéj i był prawdziwie dyktatorem województw Ruskich. Ale natura odmówiła mu wszelkich zdolności męża stanu. Dała mu tylko wielką dumę. Gdybyć nie ten brak zdolności, hetman byłby może znakomitym człowiekiem swojego czasu.

Jerzy Ożarowski zwrócił wkrótce na siebie uwagę hetmańską. Dzielnie dowodził piechotą; był odważny, waleczny, poświęcony dla swoich żołnierzy. Stary Sieniawski raz wraz dawał poznać Ożarowskiemu, że ceni wielce jego zasługi. Powoli, powoli, obejść się hetman nie mógł bez niego. Zrobił go pułkownikiem, jenerałem adjutantem swoim, wreszcie przyjacielem i prawie domownikiem. Nareszcie hetman zapomniał przy Jerzym i dumy rodzinnéj; wskazywał mu na córkę swoją jedynaczkę, którą do chrztu trzymał Piotr Wielki, dziewczę najbogatsze w całéj Koronie i Litwie, i powiadał ulubieńcowi na ucho, a przynajmniéj dawał do zrozumienia, że mu pannę Zofię odda za żonę, jak tylko dorośnie. Hetman chciał Ożarowskiemu oddać po sobie razem i buławę i córkę. Ale Jerzy rozumiał, co znaczyły te łaski możnego wodza i panny Sieniawskiéj, nienapierał się wcale, bo czuł, że to za wysokie progi dla niego; mimo to jednak służył i daléj gorliwie całém sercem panu hetmanowi. Owszem, przypo-

mniał sobie tém mocniéj Konstancję Bobrownicką, którą kochał jak siostrę: dawny opiekun obiecywał oddać mu ją w małżeństwo. Posłał wtedy do swojéj bogdanki swaty i nie długo potém nastąpiło wesele. Nie zdaje nam się, żeby hetman Sieniawski bardzo się gniewał za to na swojego jenerała-adjutanta, że zawiódł jego nadzieje. Córka jego czekała na książąt i wojewodów.

Król August Mocny, może za wstawieniem się hetmańskiém, mianował wtenczas Ożarowskiego Stolnikiem Krakowskim i dał mu jeszcze starostwo jedno w powiecie Wiślickim. Trzy wioski należało do tego starostwa: Drugnia, Podstoły i Wierzbie; było jeszcze do tego i osobne sołtystwo w Podstołach. Król August prawo posiadania tych wsi nadał dożywociem jednocześnie i żonie stolnika Krakowskiego, Konstancyi z Bobrownickich [w lutym 1715.] *)

Było to przed samą Konfederacyą Tarnogrodzką. Józef Stetkiewich rodzony wuj Konstancyi Ożarowskiéj, kasztelan Zawichostski, wziął czynny udział w krwawych zapasach z Sasami. Marszałkował w związku Sandomierzanom. Naprzeciw niemu walczył pułkownik Ożarowski, bo hetman stawał za Królem, przeciwko szlachcie. Konfederaci nie mogli znieść obojętnie tajnych intryg hetmana, i postanowili dostać go w swoje ręce. W tym celu Michał Potocki Pisarz Pol. Kor. z bratem swoim starostą Bełzkim, udali się do Lwowa, niby to pokutując za grzechy, niby szukając przebaczenia Królewskiego, do którego drogę miał im

*) Karol Lubieniecki ustąpił tego starostwa na rzecz Jerzego — patrz Sygillaty w Metr. Kor. ks. XVIII, karta 120.

otworzyć pan Sieniawski: hetman znajdował się wtenczas we Lwowie; w téj stolicy Rusi Czerwonéj prawie zawsze była jego główna kwatera, w któréj knuł jakieś zamachy przeciw stronnictwom rozdzierającym Rzpltą. Przy nim we Lwowie znajdował się i nieodstępny Ożarowski. Potoccy wszedłszy do miasta, umyślnie dali sposobność do zwady ludziom hetmańskim, — z tego powodu wszczął się rozruch i walka zawrzała na ulicach. Zręcznie wziął się Pisarz polny do rzeczy. W jednéj chwili panował już we Lwowie. Ożarowski wybiegł wprawdzie na ulicę, zebrał swoją piechotę i dzielnie stawał przeciw Potockim, ale uległ przed massami konfederatów. Uwięziony był, a za nim wzięto i hetmana, na którego niezważano wcale, że to kasztelan Krakowski [w lutym i marcu 1716 r.] *)

Nie wiemy jak długo Jerzy Ożarowski siedział pod strażą konfederatów Tarnogrodzkich, bo co do hetmana, pan Sieniawski, spokojnie odpoczywał po trudach wojennych w Czartoryjsku, u księcia wojewody Krakowskiego Janusza z Wiśniowca. Ograniczono tymczasem na sejmie niemym władzę hetmańską. Kiedy Sieniawski potém powrócił do wojska, Jerzy pośpieszył także pod jego chorągiew. Rzplta już zapomniała przeszłości. Polska zostawała w głębokim pokoju. Nastąpiła więc i dla Ożarowskiego chwila, kiedy do wsi zatęskił. Częściéj już teraz zaglądał do Drugni, w któréj żona gospodarzyła. Rzpltéj ani się śniło o żadnéj postronnéj wojnie, a ostatnie lata panowania Augusta Mocnego, schodziły szlachcie polskiéj ciągle na zabawach. Oża-

*) Erazm Otwinowski pod. r. 1716 § 11.

rowski zmieniał się też powoli na gospodarza, w obywatela osiadłego na wsi, chociaż nieporzucał oręża i zawsze myślał o buławie. Tymczasem i jego niby narzeczona panna Sieniawska poszła za mąż za pana Stanisława Denhoffa, Hetmana Pol. Lit.

W roku 1724 Ożarowski pojechał na sejm do Warszawy jako Poseł. Wyznaczyła go tam Rzplta na kommissarza do sprawy Toruńskiéj, pod przewodnictwem Jerzego Lubomirskiego. Jenerał-adjutant Hetmański, starał się już wtedy o względy braci szlachty i z ochotą podejmował zlecenia Króla i Rzpltéj. Czy ta okoliczność, że Ożarowski był synem nawróconego katolika, czyli też i inne względy wpływały na to, dość, że w sprawie Toruńskiéj nie bardzo był czynnym. Zostawiał innym trudy a sam szedł za odgłosem większości w Kommissyi. Owszem, Ożarowski myślał wtedy o poprawie swojego starostwa, chciał je zbogacić nowym źródłem dochodów. W zaroślach Drugni pokazał się potaż. Wyrobił sobie zatém u Króla pozwolenie na wolne wypalanie tego materjału. Był w Drugni drugi kościół parafialny. Pan stolnik Krakowski urządzając starostwo, zabierał grunta proboszcza, a oddawał mu w zamian za nie dworskie pole. Król zatwierdzał te czynności jego urzędowym aktem [10 grudnia 1724 r.] *)

Ożarowski podejmował się jeszcze innych obywatelskich posług. Wybrano go Deputatem na Trybunał Koronny w r. 1725, a następnie znowu Posłem na sejm Grodzieński (1726 r.)

*) Sygillaty ks. XX, karta 151.

Na sejmie tyle sobie zjednać potrafił wziętości pomiędzy obywatelami, że Rzplta wyznaczyła go znowu do Kommissyi w sprawie Kurlandskiéj. Było to wtenczas, kiedy Maurycy Saski, syn Króla Augusta, wbrew prawom Rzpltéj, ogłosił się następcą Kettlerów. Sejm postanowił tedy zamienić Kurlandję na województwo po śmierci ostatniego jéj księcia, i zapobiegając zawczasu nowym zawikłaniom obrał Kommissyą do zażądu Kurlandją, za życia jeszcze Ferdynanda Kettlera. Zasiadający w niéj obywatele pilnować mieli prawa i wcielić kraj ten do Rzpltéj, zaraz po nastąpionéj śmierci księcia. Przewodniczył Kommissyi Krzysztof Szembek, biskup Warm., a pod nim było 21 mężów; w gronie tych mężów zasiadał pan stolnik Krakowski. *)

Nieżył już wtenczas hetman Sieniawski, Jerzy zakopał się zatém zupełnie na wsi. Znowu rozgraniczał Starostwo swoje od dóbr ziemskich, leżących w okolicy Drugni, od Nieczeczna, Strojnowa, Gumienic i od Starostwa Szydłowskiego. Zjeżdżały wtedy na grunt jego Kommissye, jedna miała na celu rozgraniczenie, druga poprawę dóbr Drugnieńskich, o czém ciągle myślał wojak-obywatel. Król podług prawa sam je wyznaczał [26 kwietnia 1727 r.] **)

Zatrudnienia gospodarskie nie odrywały wcale Ożarowskiego od prac wojskowych. Był jenerałem regimentu województwa Krakowskiego a sam mieszkał blizko dawnéj stolicy, pod starą Wiślicą. Miał więc i regiment swój i

*) Hylzena Inflanty.
**) Sygillaty ks. XX, str. 222.

współziomków–obywateli blizko. Wojsko to chowało karność i było ozdobą, sławą Ożarowskiego. Stąd i zaufanie Sandomierzan i Krakowian, rosło dla pana jenerała. Powoli tak naokoło siebie zgromadził ich głosy, że stał się na prawdę ciągłym reprezentantem swojéj ziemi.

August II znał już dawno Ożarowskiego. Lat kilkanaście poczciwéj pracy obywatelskiéj, zalecały go coraz bardziéj Królowi. Kiedy więc Bogusław Łubieński został Kasztelanem Sandomierskim, August stolnika Krakowskiego mianował na jego miejsce Podstolim Wielk. Kor. Policzył go zatém w rząd wysokich dygnitarzy Rzpltéj. [we Wschowie 15 Czerwca 1728 r.] *)

Zlewały się więc wciąż daléj na niego łaski dworu. Po śmierci wojewody Sandomierskiego Morsztyna, dostał list przypowiedni na chorągiew pancerną w wojsku Kor. [w Dreznie 3 marca 1726 r.] **) Król pozwolił mu wykupić wójtowstwo Pęczalickie, leżące w powiecie Wiślickim, dla powiększenia przez to starostwa Drugieńskiego [4 maja 1729 r.] ***) Prawo do tegoż wójtowstwa, Podstolinie W. K. zapewniał August. Ale Ożarowski tęsknił wciąż do godności wojskowych, bo miał zawsze buławę na myśli, prosił dla tego Króla, żeby mu dał jaki rzeczywisty stopień w wojsku i wolał to, jak próżny tytuł Koronny. Podstoli i jenerał ziemski chciał odznaczyć się pod chorągwią, w pośród dawnych towarzyszów broni.

*) Sygillaty ks. XXI, str. 175.

**) Tamże ks. XXII, str. 6.

***) Ustępowali z Pęczelic Michał i Hijacynt Berdowscy. Konsens w Sygill. ks. XX, str. 246.

Zawakował właśnie taki wysoki urząd w wojsku po księciu Jerzym Lubomirskim, który został wojewodą. Ożarowski został po nim Obożnym W. K. (20 maja 1729 r.) Że zaś Król chciał być hojnym dla niego, jednocześnie prawie oddał nowemu dygnitarzowi wojennemu starostwo Nowomiejskie w Korczynie. *) Nie był to już urząd bez znaczenia, bo Starosta Nowomiejski miał sąd i juryzdykcję grodzką. Na nowém zatém polu miał Ożarowski pracować, zarabiając sobie daléj na miłość braci. Urząd grodzki objął po zmarłym Stanisławie Denhoffie, mężu Zofji Sieniawskiéj.

3go sierpnia pozwolił mu Król wykupić wójtowstwo w Pęczelicach, które trzymał jakiś nieprawny posiadacz. Wtenczas i żona Jerzego, Konstancya z Bobrownickich żyła jeszcze, bo zastrzegano jéj prawa do wójtowstwa. **) Obożny W. K. wybrał się potém do Grodna i wyrobił sobie tam u Króla pozwolenie, żeby mógł rozporządzać starostwem Korczyńskiém. Często z tego prawa korzystali ówcześni panowie Rzpltéj. Chcieli takim niewinnym sposobem nabyć jakby dziedzictwa do własności Koronnych. Po śmierci ich, starostwa wracały do rozporządzenia Królewskiego, — otoż żeby temu zapobiedz, panowie dla siebie wyrabiali prawa Korony. Mogli starostwo oddać synowi, bratu, jakiemu krewnemu, bliższemu albo dalszemu. Ożarowski miał ze swojéj żony jednego syna i dwie córki. Wyro-

*) Sygillaty ks. XX, str. 250 i ks. XXII, str. 9. Przywiléj na Starostwo jest 21 maja 1729 r. datowany.

**) Tamże ks. XXII, str. 18.

bił sobie pozwolenie z okienkiem [7 września]. *) To się znaczyło, że mógł oddać starostwo Nowomiejskie, komu chciał i kiedy chciał, — potrzebował tylko wpisać dzień i osobę w dyplomat Królewski. Obożny W. K. myślał może o jakim bracie stryjecznym, może o młodym synu swoim, kiedy starał się o dyplomat Królewski z okienkiem.

Zdaje się, że właśnie wtenczas odumarła go wierna towarzyszka życia, Konstancya z Bobrownik. Ożarowski poszukał sobie innéj żony, opiekunki dla małych dzieci i znalazł ją w domu Przebędowskich. Wybór Obożnego padł na Urszulę, córkę Piotra, wojewodziankę Malborską. Była to wnuczka Stefana Potockiego, Marsz. Nadw. Kor., bo matka jéj Urszula, bratu *wielkiego Prymasa* winna była życie. Tak Ożarowski związany stosunkami rodzinnemi z domem, który wtenczas władał Rzpltą, powoli nakłonił się do widoków możnéj rodziny i działał z nią razem.

Nowa żona powiła Obożnemu drugiego syna, ojciec myślał jemu zostawić starostwo Nowomiejskie. Przywiléj z okienkiem przydał się na coś, a że Król pozwolił na to ustąpienie, cała już Rzplta małe dziecie nazywała starostą.

Tymczasem Obożny W. K. w r. 1730 obrany posłem z Sandomierskiego, pojechał na sejm do Warszawy. Sejm zerwało liberum veto, ale Ożarowski był u Króla, nastręczał się ciągle dworowi. Odwiedzał go często w stolicy, chociażby tylko dla powitania za powrótem z Saxo-

*) Sygill. ks. XX, str. 273.

nji, chociażby tylko dla złożenia hołdów [w marcu 1732 r.] *) Już odtąd Król cenił wiele Ożarowskiego, bo wiedział, że ma zachowanie pomiędzy szlachtą, a pocóż na to było szukać innego dowodu, jak téj okoliczności, że Obożnego zawsze wybierano posłem na sejmy? Już teraz stanął na tym stopniu powagi Obożny W. K., że bez niego nie mogły się obejść żadne obrady Rzpltéj. Duch obywatelski ożywiał jego głowę i serce. Ożarowski był nawet mówcą na sejmach. To téż Krakowskie i Sandomierskie walczyły z sobą o pierwszeństwo i raz jedno, drugi raz drugie województwo wybierało go na posła.

Tak w r. 1732 w Proszowicach, okrzyknęła go szlachta Krakowska (w sierpniu.) Zbierał się sejm nadzwyczajny w Warszawie. Ożarowski stanął na nim po raz pierwszy, niby Marszałkiem stanu rycerskiego. Miał Obożny wielkie przymioty na kierownika obrat szlacheckich. Wyrozumiały, nie unosił się gniewem przed czasem. Umiał koić namiętności i łagodzić zwaśnionych. Sejm ostatni nie doszedł, bo zerwany był zaraz na początku. Ożarowskiemu więc został smutny z tego powodu zaszczyt. Prawo mieć chciało, żeby Marszałek zeszły, albo pierwszy poseł prowincji, otwierał sejm nadchodzący. Że sejmy zrywały się zawsze i do wyboru Marszałka nigdy nie mogli dobrać się posłowie, Ożarowski kilka sejmów zagajał, przewodnicząc im na pierwszych posiedzeniach. Należał się mu ten zaszczyt, jako pierwszemu posłowi z województwa Krakowskiego.

Na Sejm nadzwyczajny, dwuniedzielny, zwołany niedługo

*) Kurjer Polski № 118.

potém w styczniu 1733 r., Obożny W. K. posłował od księstw Zatorskiego i Oświecimskiego. Obrany był w powiecie *unanimi voto, cum omnibus solennitatibus, bez najmniejszéj kontradykcji.* *) Sejmik Krakowski zerwano i dla tego Ożarowski znowu jako pierwszy poseł Małopolski, zagajał obrady na zamku świetną mową makaroniczną (26 stycznia). Powiadał, że wraca się znowu po tylu przeszłych latach czas ratowania Rzpltéj, czas, którym posłowie dotąd skalistém gardzili sercem. Ciskał zatém z sejmu klątwę na tego, któryby jeszcze teraz nadużywał widocznéj łaski Opatrzności. Król nie folgując własnemu zdrowiu, ustawicznemi na sejmy niesfatygowany przejazdami, zawitał znowu do stolicy, chcąc Rzpltę oddać następcy w takim stanie, w jakim ją odebrał. Bo Króla paludamentem otarte są bellici sudores et in fulgore sceptri illius affulget patriae serenitas (znój ojczyzny, a w połysku jego berła świeci się szczęście ojczyzny.) Zagrzewał więc do zgody i dał głos województwu Sandomierskiemu. Posłowie Wileńscy zatamowali obrady. Przeciw nim powstało Mazowieckie i bój się rozognił. Szło o prawo pierwszeństwa. Litwini dowodzili, że oni pierwsi głosować powinni w niebytności posłów Krakowskich. Uciekł się Ożarowski do poważnéj rady senatu. Janusz Wiśniowiecki i Kazimierz Czartoryski, kasztelanowie Krakowski i Wileński, przyznali prawo Litwinom. Ten wyrok nie ukończył trudności. Obożny dawał głos posłom Wileńskim, potém Oszmiańskim — ale to nic nie pomogło; koroniarze obudzili inne

*) Kurjer Polski 1732 r. № 156.

formalności, a Litwini domagać się mocno zaczęli odwołania sessyi. Ożarowski im nie chciał ustąpić, bo to się jawnie sprzeciwiało prawu Jana III, które stanowiło, że pierwszego dnia zaraz, przed wszystkiém inném, ma być wybór Marszałka. Ale obiecali Litwini, że nazajutrz będą głosowali zgodnie. Obożny zawierzył im i odwołał posiedzenie.

Omylił się, bo nazajutrz oppozycja uderzyła w to właśnie, że złamano prawo Jana III, i że sejm dla tego samego był nieprawny. Zacni posłowie, którzy trzymali z Obożnym, umieli dobrać znowu prawnych wybiegów, żeby poprzeć sejm zagrożony przez liberum veto. Czenichowscy posłowie chcieli zerwać obrady; na nich wyszukano prawo, że powinno ich być czterech z województwa, a było sześciu, więc dwóch zasiadało nieprawnie: sejm niewiedział którzy; mógł nie zważać zatém na głosy wszystkich posłów Czernichowskich. Mówiono daléj, że tamować sejmu nie można przed sejmem, a póki nie było marszałka, w zamku odbywał się tylko prywatny zjazd szlachty. Wacław Rzewuski odezwał się z tém zdaniem. Kiedy więc ułatwiono trudności, a sprzeciwiający się umilkli, Obożny znowu dawał koleją głosy zaczynając od województwa Wileńskiego. Jerzy Ożarowski jednomyślnie obrany został marszałkiem Sejmowym.

Dziękował więc Obożny za łaskę i winszował zgody, tłómaczył izbie, że nie burzliwemi Eurami, ale przyjaźnemi wiatrami pędzą się żagle krajowe. Mówił o swoich niezdolnościach, ale razem i poświęceniu się. Przysiągł wreszcie na marszałkowstwo [27 stycznia.] *)

*) Kurjer Polski № 161.

Byłby przewodniczył obradom rozsądnie i mądrze, jak tego dawał już dowody, gdyby nie śmierć Augusta Mocnego, która w kilka dni potém nastąpiła. Zaczęło się dla Rzpltéj bezkrólewie.

Podkomorzy Sochaczewski Wilkowski stanął przed izbą poselską, mając zlecenie od księcia Prymasa, zawiadomić ją o ciężkiéj stracie narodowéj. *Feralis nuntius*, wymownemi słowy rozpowiadał podkomorzy sejmowy o téj stracie. Z płaczem głosił, że niezwyciężony August, torem poprzedników swoich Piastów i Jagiellonów poszedł w komput wieczności. Bóg stanowi najwyższe prawo, mówił, chociaż by i w izbie poselskiéj, trzeba zatém było wybaczyć nieuchybnym skutkom głębokich wyroków. Wilkowski kończył życzeniami i wyborcom przyszłych Królów wskazywał na katafalk królewski. August tam na nim leżał, na tym funebralnym suggeście świetna ozdoba świetności Europejskich, starożytnych zacna gałąź Ottonów. Sam więc Król, nie posłowie, zerwał sejm, sistit activitatem śmiercią swoją. — «O, daj Boże, mówił podkomorzy Soczaczewski, aby vocale Augusti funus, obiwszy się o to wspaniałe wolności Theatrum, e cineribus Patriis, wskrzesiło nowego Fenixa, populi columenque salutis.»

Ożarowski także wymownie sejm pożegnał: «Niespodziewana, ale zawsze do ludzkiéj przywiązana kondycji, szczęścia z nieszczęściem metamorphosis, asperitate (goryczą) opłakanéj nowiny skrępowawszy język, otworzyć usta nie pozwala, cripit verba dolor (boleść tłumi wyrazy) i samém tylko jęczeniem, plus gemitu quam voce loqui dopuszcza (więcéj jęczeniem jak głosem mówić). Po zajaśniałéj oj-

czyznie do pewnego uspokojenia, pogodzie, burżliwa świat nasz Polski zaciemnia pomroka. Po tak wesołéj przy uniwersalnego pokoju zaszczycie sytuacji, smutne orphanitatis (sieroctwa) Rzpltéj przychodzą godziny, cythara nasza versa est in luctum (nasza lutnia płacze). Ów prawdziwy pater patriae, servata vocat quem Roma parentem (którego Rzym ocalony ojcem swoim nazywa), ów kochający ojczyznę aż do ostatniego życia teraźniejszego azardu Monarcha, ów, któremu nie tylko wolny nasz naród, ale dziedziczne jego państwo, jak za przydomek ten dawały tytuł: *Łaskawy August*, w nieprzestarzałym wieku *desiit vivere* (żyć przestał) i t. d.

W końcu marszałek znowu zagrzewał do zgody i wspominał o swoich zasługach, przepraszając za błędy nieudolności:

«Ja z miejsca mego o tę tylko przy moich, które dla ojczyzny ponoszę, pracach suplikuję compassję: od 25 lat w izbie i na inszych bez noty ojczyznie służący funkcjach, kawałka chleba benemeritorum ex distributiva nie mając justitia, zdrowie i fortunę miłéj litando ojczyznie, Bogiem świadcząc, który płonne siebie potępia inwokacje, usque ad exinanitionem, publicum bonum nad wszystkie preferując commoda, abyście coram Gentibus wyznać raczyli, że według sumienia i poczciwości patriae fidem servando, a consequenter w sercach łaskawych civium, merui coronam justitiae; wszakże póki żyję, nec quidquam meum esse credam, quod publicum non sit (wszystko będzie dla mnie obce, opócz dobra ogólnego.» *)

*) Swada Oratorska Danejkowicza, str. 110 i 111.

W saméj rzeczy, może słusznie skarżył się Ożarowski. Oprócz wysokiego tytułu nic nie miał. Posiadał wprawdzie małe starostwo, ależ inni panowie bez zasług, dla imienia tylko, które po wielkich przodkach nie zawsze ze sławą nosili, mieli tak wielkie królewszczyzny.

Obożny Kor. przesiadywał wtenczas zwykle z żoną w Niepołomicach. Wolał bawić się w pośród lasów sławnych łowami Zygmuntowskiemi, jak w swojéj Drugni, bo pod Krakowem, blizko miał sąsiedztwo panów. Zajeżdżał też często do Krakowa, składając niby hołdy swoje przed Teodorem Lubomirskim wojewodą (7 marca.) Z tamtąd wyjechał do Zatora na sejmik z Wielopolskiemi, bo nadchodziła już konwokacja. Sejmik był zerwany, ale szlachta korzystała z okoliczności i zawiązała się w Konfederację, naśladując braci w Krakowie. Marszałkiem Konfederacji został Wielopolski Starosta Lanckoroński. Posłem na sejm obrany Obożny W. K. *)

Konwokację na dniu 27 kwietnia 1733 r. znowu zagajał Jerzy Ożarowski, wysławiając ile mógł zasługi i prace księcia Prymasa. Nasz marszałek był już wtedy przyjacielem Stanisława Leszczyńskiego, razem z całą rodziną Potockich. Zabiegami więc swojemi, wpływem i mową torował drogę na tron wygnańcowi, przeciwko potomstwu Króla Augusta. Ale pierwsze obrady sejmowe zawichrzyła kwestja Dyssydentów. Katolicy chcieli gwałtem ich rugować z izby poselskiéj. Marszałek obchodził województwa, namawiał, prosił, wszędzie trafiał, aby znisz-

*) Kurjer Polski № 169.

czyć hydrę oporu. Doprawdy, poświęcił się na cierniowe męki. Dzień za dniem schodził, a nie ustawały trudności, owszem mnożyły się coraz więcéj. Kiedy przebrzmiały rozprawy o Dyssedentach, zaczęły się osobiste spory między kandydatami do laski sejmowéj. Koléj przychodziła na Litwę, a głosy rozdzieliły się pomiędzy pięciu obywateli. Rwały się i odnawiały ciągle rozprawy względem wyboru marszałka. Ożarowski narzekał, że sił mu nie staje dla uczynienia porządku w izbie, że nie ma słów na odmalowanie okropnego stanu Rzpltéj. «Ruimus in praeceps» leciemy w przepaść, wołał, bo co chwila zachodziły nowe trudności i sejm zaledwie oddychał, a przykładu jeszcze nie było, żeby się konwokacja na niczém rozeszła. Jerzy Ożarowski zwalczył swojém umiarkowaniem złą wolę i ciemny fanatyzm. Przywiódł licznych kandydatów do tego, że pozrzekali się swoich pretensji i Michał Massalski Pisarz W. L. obrany był wreszcie Marszałkiem (7 maja.) Na ten wypadek potrzeba było jedenaście dni ciężkiéj pracy.

Oddając laskę Massalskiemu, cieszył się Ożarowski, że składa w ręce zdolniejszego od siebie Atlasa ogrom wielkiego o Rzpltéj starania, a ten Atlas dziękował za prace na dwóch sejmach zlane kroplami potu. Mówił, że z tych kropli stwardnieją perły, a z pereł Rzplta uwije wieniec dla obywatela-marszałka, którego zdolności trzeba zapisywać na pamiątkę potomstwu na cedrach i złocie. W dalszym ciągu sejmu, Ożarowski przysiągł na Konfederację i wykluczenie od tronu cudzoziemca. Na sejmiku relacyjnym Zatorskim przeprowadził także postanowienie konwokacji,

a powróciwszy do siebie w dworcu Niepołomickim przyjmował znakomitych gości, jak np. Podskarbiego W. K. Maxymiljana Ossolińskiego, który także sercem i duszą przyjął stronę Króla Stanisława. *)

Fatalny koniec wzięły usiłowania księcia Prymasa i jego stronników. Leszczyński uciekł do Gdańska, a w Polsce powstawały za nim Konfederacje. Jedna z nich miała jednoczyć w sobie siły całéj Rzpltéj przeciwko Sasom. Postanowiono ją na zjeździe w Nisku w Sandomierskiém. Marszałkiem na niéj stanął Ożarowski, a zastępcą, czyli jak wtenczas nazywali substytutem, Adam Tarło starosta Jasielski. Rozesłał Oboźny Kor. uniwersały w około, wzywając szlachtę pod chorągiew Konfederacji; widząc jednak, że nie podoła przeważnym siłom nieprzyjaciela, przeszedł Wisłę i dążył z wojskiem i ze szlachtą ku Zamościowi, żeby się połączyć z Potockim wojewodą Wołyńskim, który go niegdyś, przed siedmnastu laty pojmał we Lwowie (1733 r.)

Tarło w zastępstwie Oboźnego pełnił obowiązek marszałka Konfederacji, a Ożarowski ubijał się z wojskiem nieprzyjacielskiém. Znowu zatęsknił do bojów i znowu przypomniała się mu hetmańska buława. Nie były to bitwy strategiczne, ale potyczki, podjazdy, napady. Cofali się jedni, następowali drudzy, żeby znowu się cofać. Teatr wojny był w Krakowskiém i Sandomierskiém, na Rusi, około Przemyśla, to nad Sanem, to nad Pilicą. Ściśnięto wreszcie Konfederacją na granicach Szląskich. Biskup Ku-

*) Kurjer Polski № 189.

jawski wystąpił jako pośrednik, wzywał do poddania się i dawał pokój. Ale Potoccy, Tarłowie i Ożarowski, ponowili na nowo przysięgę wierności dla Króla Leszczyńskiego.

Było to już w pierwszych dniach r. 1734. August koronował się w Krakowie i z Częstochowy jechał do stolicy. Trzeba było ustąpić przed siłą wypadków. Konfederaci jednak walczyli wciąż w Krakowskiém. Poruszeniami ich kierował teraz Tarło wojewoda Lubelski. Zmuszony przez jenerała Lassego, Wojewoda ten rzucił broń, a z nim i cały sztab Konfederacji, złożony ze stu przeszło osób. Panowie chyłkiem przebierali się więc do Króla Stanisława na Pomorze. Ożarowski był jednym z najpierwszych — i już 18 kwietnia 1734 r. połączył się z Leszczyńskim. *)

Na polu boju sprawa wygnańca straconą była. Trzeba było ocalić ją na drodze dyplomatycznéj. Naradzali się z tego powodu panowie często ze Stanisławem naprzód w Gdańsku, a potém w Królewcu. W Polsce odnawiały się tymczasem Konfederacje; na gruzach innych zawiązano już może setną z kolei w Dzikowie. Przystąpił do niéj Ożarowski, wysłany wtedy w poselstwie do Porty. Odbył tę długą podróż kosztem Króla Stanisława, ale nie wiele zyskał. Sułtan Machmud miał tylko życzenia dla Rzpltéj, ale siłą nie mógł popierać sprzymierzeńca.

Ożarowski jednak zasmakował wtenczas w rokowaniach politycznych. Zaczął wierzyć, że dyplomacja ocali całą sprawę Rzpltéj i Króla Stanisława.

*) Memoires de Pologne, Amand de la Chapelle.

Oczy Konfederacji Dzikowskiéj wygnanéj prawie z ojczyzny, zwracały się tęskliwie na Francją. Ożarowski razem z wojewodą Lubelskim i podskarbim W. Ossolińskim w tajemnicy układali plany. Szło o to, żeby Króla wybawić z zamknięcia w Królewcu i sprowadzić znowu do Polski. Obożny Koronny bawił w Berlinie i umawiał się z panem Markizem de la Chetardie, starając się o pomoc i dywersją Francji. Do Króla pisał osobno, i w liście przesyłał mu plan do reformowania wojska i utrzymania Konfederacji. Pokazało się, że plan był dobry, ale Król nie mógł znaleść miejsca i czasu. Chciał się zbliżyć do wojska, ale obawiał się jakich zgubnych skutków, gdyby Królewiec opuścił, a nie zastał sił zbrojnych na granicy Pomeranii, co właśnie wchodziło w plany jego przyjaciół; musiałby wtenczas tabory porzucać i przez Saksonją dłuższą drogą przedzierać się do Polski. Jak na nieszczęście, już dwa lata upłynęły od śmierci Króla Augusta II i syn jego miał silnych przyjaciół. Zaczęto cóś przebąkiwać o pokoju jeneralnym, ze szkodą Rzpltéj, ale Król Francuski gniewał się na te mowy i szczerze obiecywał popierać prawa swojego teścia. — «A zatém mój kochany Obożny, jakeś zaczął, pisał do niego Król Stanisław, tak chciéj wszystko do szczęśliwego końca viriliter dirigere» (po męzku kierować.)

Król Stanisław umyślił tedy wyprawić pana Obożnego do Francji. Od teścia swojego już zapewne spodziewał się pomocy, bo Luwik XV był w całéj sprawie osobiście interesowany i zdawało się nadto, że wdaniem się swojém chciał utrzymać powagę i znaczenie Francji w Europie.

Inaczéj pocóżby obiecywał dotrzymać słowa swojego przed obliczem całego świata?

Ożarowski wybierając się w podróż do Wersalu, sądził, że jako jeden z najznakomitszych sług swojego Króla, będzie noszony na rękach przez ministrów francuskich, i już zawczasu obiecywał sobie tryumfy na drodze dyplomatycznéj. W istocie Stanisław Leszczyński nie mógł nikomu więcéj zaufać. Nie dość że bardzo lubił Obożnego, dawał mu jeszcze dotykalnie poznać swoje do niego przywiązanie, i pokazywał wiele spółczucia dla jego spraw rodzinnych, troszczył się nawet o jego żonę i dzieci. Kiedy Ożarowski był oddalony, pisywał Stanisław do niego z Królewca, i w listach swoich ciągle powtarzał to, że umie czuć szczęście ustnéj z nim rozmowy, to, że tęskni do jego porady. W nierzadkich uniesieniach radości, zwał go Król po prostu kochanym swoim Obozneńkiem. Dla tego Ożarowski był w saméj rzeczy, jednym z najznakomitszych sług Leszczyńskiego.

Poseł polski kiedy stanął w Wersalu, zrazu był z wylaniem się i z radością przyjęty. «Byłeś godzien tego, pisał do Obożnego wtedy Król, tak z charakteru swojego, jak i z partykularnéj godności osoby swojéj.» Obiedwie Królowe, żona i córka, nie mogły się dość posłem nacieszyć, pieściły go, rzucały sobie z ręki do ręki i wynosiły pod niebiosa w listach do Stanisława. Leszczyński był kontent i pisał o téj radości do Obożnego: «Każdy na tobie funduje publiczną i prywatną fortunę swoją, niechaj ci więc sam Pan Bóg dodaje sił i zdrowia, niech zobaczę restauratam ojczyzny salutem (odrodzoną spokojność),

studio et opere W. Pana (za twojém staraniem).» Zdawało się, że nic więcéj nie pozostanie do życzenia Ożarowskiemu w téj pięknéj Francji, rządzonéj wolą jednego Króla.

Obożny Kor. miał do czynienia z samemi diukami, markizami, parami wielkiego państwa, z arystokracją rodu, któréj nie znała Rzplta. Dla równości zatém, żeby im sprostał swoją dumą, do tytułu Ambasadora, zwyczajem Polaków za granicą przybrał tytuł hrabiego. Komtem więc nazywali go Francuzi i jak współbrata wpuścili go do wielkiéj rodziny pańskiéj. Dla utrzymania jeszcze świetności Rzpltéj, Ożarowski pobierał pensją od Króla Stanisława, chociaż służył mu dotąd i potém ojczystym majątkiem swoim. Leszczyński nie był jednak w stanie uposażyć ambasadora Rzpltéj tak, jakby wypadało, bo miał na raz wiele królewskich wydatków, a dochody prywatnego obywatela. Ożarowski zatém żył we Francji kosztem i własnéj swojéj szkatuły. Dobra i starostwa zniszczyli mu Sasi w Polsce, ale przecie cóś uciułać się mogło z reszty panu ambasadorowi, boć banitą nie był jeszcze dla tego, że kochał Stanisława. Takim sposobem miał i dochody odpowiadające tytułowi komta, co wiele bardzo mogło pomódz jego negocjacyi w Wersalu. Odjeżdżając z Pruss, obiecał Królowi o wszystkiém z kolei donosić, o przyjemnych i nieprzyjemnych losach. Wszelkie listy miały iść od niego na ręce Maxymiljana Ossolińskiego, Wielkiego Podskarbiego Korony.

Zawiodły go jednak boleśnie wszelkie oczekiwania. Ludwik XV nie sam kierował machiną swojego państwa, ale

słuchał podszeptów dworzan. Leszczyński widział w wojnie jedyny sposób ocalenia Rzpltéj, i usilnie zabiegał o to jeszcze w roku poprzednim, żeby Francuzów z nad Renu sprowadzić w samo serce Saxonji, co się ministrom, panom de la Roche i Chauvelin'owi nie zdało. I Król Ludwik myślał więcéj o Lotaryngji, jak o Polsce, bo wielkie było prawdopodobieństwo, że Francja pomknie przecież swoje granice ku brzegom Renu. Ministrowie zatém myśleli o sobie, ale nie o teściu Króla Francuskiego, który tam gdzieś siedział, w stolicy pruskiéj nad Baltykiem. Stracili już jedną wyprawę, a nie chcieli łożyć na drugą ani krwi, ani pieniędzy. Pomimo zatém grzecznych słówek i obietnic, Ożarowski nie znalazł żadnéj oznaki przychylności dla siebie ze strony ministrów francuskich. W Turcji widział niemoc, w Wersalu rzeczywistą niechęć. Tymczasem August III coraz mocniejszą nogą stał w Polsce, chociaż wojna już nad Renem odzywała się w interesie Francji.

Ożarowski nie dawno poznał Leszczyńskiego, ale bardzo się do Króla przywiązał. Ubolewał więc mocno nad kierunkiem, jaki brały sprawy Rzpltéj. Nic zrobić nie mógł dla Stanisława, pomimo całego wsparcia, jakiego mu udzielała Królowa Marja Leszczyńska. Owszem, kanclerz francuski unosił się niepohamowanym gniewem, ilekroć razy Ożarowski wymówił się z jakiém energicznem zdaniem. Poseł nasz znosił często te wybryki gniewu i przemawiał zawsze do godności narodowéj ministra, prawiąc mu o honorze Francji. Chciał Obożny, żeby pokój zaszczytny ukończył sprawę Leszczyńskiego w Polsce, —

mówił, że przy téj okoliczności będzie można cóś postanowić dla ogólnéj spokojności Europy, nareszcie znowu zagadał o wkroczeniu do Saxonji. Żądał też pieniędzy dla Króla Stanisława: «jeżelić Francja, mówił śmiało, nie potrafiła udzielić pomocy Leszczyńskiemu w Gdańsku, to w każdym razie potrafiłaby ten publiczny błąd swój wynagrodzić zaliczeniem dwóch albo trzech miljonów na zaciągnięcie wojska.» Te słowa rzucone ogniem na Francją, tak mocno zraniły para ministra, że wybuchnął znowu gniewem i przemówił się z posłem polskim. Wreszcie oświadczył, że Król Stanisław w żaden sposób na tron polski wyniesionym być nie może.

Po téj scenie, stosunki dyplomatyczne naturalnie zerwały się pomiędzy Ożarowskim, a ministrem Króla Ludwika. Rzucił Obożny Wersal i powrócił do Paryża, ale pan Chauvelin pisał do niego jeszcze kilka listów zapraszając na konferencję. Dał się złudzić Poseł polski, ale znowu usłyszał same obietnice. Obożny Kor. tyle to uczuł, że wpadł w niebezpieczną chorobę. Leszczyński i jego stronnicy zmartwili się tym wypadkiem: słabość Ożarowskiego była dla nich rzeczywistém nieszczęściem. Szczególniéj Król Stanisław uczuł to bardzo i z żywą niespokojnością, dopytywał się zawsze listownie o zdrowie swojego przyjaciela. Sprawa jego tymczasem zbliżała się już do końca; nadzieja Rzpltéj utrzymania Leszczyńskiego przepadła, mówiono jednak o zawarciu powszechnego pokoju w Europie, który miał pogodzić wszystkie interessa.

Jednakże Król Stanisław mógł cieszyć się z gorliwości swoich stronników. Oprócz Ożarowskiego zachorował ze

zmartwienia podskarbi Ossoliński. Leszczyński mógł sam dojrzéć Podskarbiego, ale starania nad Obożnym polecał żonie i córce we Francji.

Wróciło zdrowie posłowi Rzpltéj, ale nowe wypadki coraz go boleśniéj dotykały. Król Stanisław już się bał o recydywę. Ufał jednakże opiece Boga nad Rzplitą, i chciał ustępując dobrowolnie z tronu, zachować przynajmniéj pozory, żeby jéj godność i niepodległość ocalić. Czule i serdecznie pisał do Ożarowskiego, polecając mu na nowo sprawy Rzpltéj: «Tempestas et me projiciat in mare, (niechaj burza i mnie w morze wrzuci), powtarzał, ale salwujcie ojczyznę.» W kilka miesięcy potém znowu pisał: «Największą ufność pokładam in prudentia et zelo W. M. Pana, zaklinając go już nie na moje interessa, które cuique sorte decydowane, ale téj miłości i affektu żadna we mnie rewolucja nie odmieni, abyś się z ministrami pogodził i pracował, aby ojczyznę ratować na samém brzegu przepaści stojącą.»

Smutne było położenie Króla Stanisława. Ministrowie francuscy zupełnie opuścili ręce. Kardynał Fleury kazał czekać cierpliwie układów o pokój, a Cesarz się ciskał, i chciał na swojém postawić. Stanisław miał być ogłoszony za wygnańca, a elektor Saski, takim sposobem, prawie mocą oręża wstępował na tron polski. Prawa zasadnicze Rzpltéj, podarte były. Leszczyński błagał o to, żeby mu było wolno abdykować, jako prawnie obranemu Królowi — toby ocaliło elekcję i swobody szlacheckie, chociaż tylko na drodze prawa. Po wielkich kłopotach pozwolono na to Leszczyńskiemu w przedugodnych punktach

ogólnego pokoju, ale konfederacja, która trzymała jego stronę, w żaden sposób na tę abdykację przystać nie chciała, chcąc cóś tym swoim uporem utargować dla wspólnéj sprawy. Król Stanisław zaklinał wtedy Obożnego, żeby ile możności wychodził dobrze z ministrami; obawiał się przedewszystkiém myśli, żeby Francja zniechęcona nie porzuciła Rzpltéj na wolę losu. Trzeba było tak rzeczy łagodzić, żeby ministrowie Ludwika XV, nie kazali Ożarowskiemu wyjechać z powrotem do ojczyzny. — «Trzeba, żebyś do finalnego terminu był w swoim zupełnym charakterze» — napominał Król swojego posła.

Na ostatnich więc rokowaniach swoich z ministrem Chauvelin'em, Ożarowski raz jeszcze odezwał się z wyrzutami, kiedy widział, że całe jego poselstwo na niczém spełzło. Na swoje memorjały nie odbierał żadnéj odpowiedzi. Żalił się na to i na Cesarza, który nie zważał na przedugodne warunki wiedeńskie i chciał Stanisława koniecznie utrzymać bannitą. «Mamy przystąpić do Konfederacji Warszawskiéj, przeciw Królowi, mówił Ożarowski, a więc ogłaszamy go wygnańcem. Dobrze więc, teść Króla francuskiego jest wygnańcem, więc i Król Ludwik jest zięciem wygnańca i Królowa Marja córką wygnańca, Delfin wnukiem wygnańca i cała rodzina potomstwem wygnańca.» — Kanclerz Francji zbladł z gniewu, a poseł Ożarowski na to: «nie ja to mówię, to głos naszych nieprzyjaciół, uwiadamiam pana po przyjacielsku, nie przystoi na ministra unosić się, nie słuchać tego co mu się przekłada.» Kanclerz francuski uspokoił się, a Ożarowski daléj mu wymawiał: «nie unoś się pan, dość już cierpiałem z przy-

czyny twojéj, choroba moja od Pana prosto pochodzi. Cóżem złego mówił, że chciałem widzieć Francuzów w Saxonii, żem chciał wsparcia pieniężnego dla mojego Króla? Sądziłem, że na rękach będę tutaj noszony, że doznam wszelkich przyjemności, a doznaję samych afrontów, ronię mój własny majątek mieszkając we Francji. Niedawno jeszcze wyprawiłeś pan gońca bez mojéj wiadomości, jakżeż chcesz, żeby ci wierzono i ufano twoim obietnicom? Chodzi tutaj o sławę twoją, twojego Króla i Francji, po cóż ją na sztych wystawiać?» — Ale pan Kanclerz odezwał się z gniewem, że nic posłowi do sławy Króla Francji. A Ożarowski jemu na to: «więc sądzisz, że w ruinie naszéj Rzpltéj i niesława wasza zaginie? czyż myślisz, że wy sami i świat cały tego nie widzi, jaką na zawsze hańbą Francja się splami?» — Minister wstydząc się brzydkiéj roli, którą odegrał, zwrócił wtenczas rozmowę do innego punktu; mówił, że gońca wysłał do Berlina, który przecież sprzyja Stanisławowi, że przy zdarzonéj sposobności pisał do Króla Leszczyńskiego, żeby się jak najprędzéj zrzekł tronu, gdyż to jest koniecznie potrzebném dla ogólnego uspokojenia mocarstw i dla dobra saméj Rzpltéj. «Z resztą, dodał pan Chauvelin, jeżeli zechce Król, niech się zrzecze — w przeciwnym razie, wolno mu robić, co się tylko spodoba.» Ożarowski odparł: «Przywykłem już do tego nieszczęścia, i dla tego nie mówię już o niém, a jeżelim dawniéj cóś takiego powiedział, nie powinieneś się Pan dziwić, że mam czucie i dziś jeszcze czuję dotkliwie cios zadany tym, którzy się całkiem na wasze obietnice spuścili.» — Kanclerz nareszcie oświadczył, że Dutheil w Wiedniu

otrzymał pełnomocnictwo, żeby się ostatecznie w sprawie Króla Stanisława ułożył z Cesarzem. — «A więc wydaliście nas Karolowi, los nasz zależy od jego wyroku?» — zapytał się Ożarowski. Kanclerz objaśnił mu bliżéj te okoliczności. Dutheil odebrał instrukcje zgodne z wolą Stanisława i rozkazy, żeby wprost donosił o swoich pracach Leszczyńskiemu i Rzpltéj do Królewca, niechajby wiedzieli tam, czego nadal trzymać się mają. Że opuścili Obożnego w téj sprawie, to nie przez żadną niechęć, albo chęć obrazy dla niego, ale z tego jedynie powodu, żeby rozwiązanie przyśpieszyć: byłaby bardzo daleka droga, żeby z Wiednia przesyłać do Paryża Obożnemu depesze Dutheil'a i żeby Obożny odsyłał je do Królewca. Kanclerz obiecał także wyprawić pieniądze do Króla Stanisława. Poseł polski żegnał ministra, niby to chciał mu okazać, że po tém co już usłyszał, nie ma nic więcéj do czynienia z Kanclerzem, ale pan Chauvelin go wstrzymał i z grzecznością francuską uprzedził, że w téj rzeczy nawet zgodzić się z nim nie może, bo mogą zajść interessa, które spowodują konferencję. Obożny odpowiedział na to, że i tak ze względu jedynie na swoje zdrowie musiałby czekać przyszłéj wiosny w Paryżu, że dopiéro za kilka miesięcy powrócić myśli do Polski. Na tém się skończyły stosunki Obożnego Koronnego z panem Chauvelin.

Kiedy się z sobą grzecznie rozstawali, po tak żwawém rozmówieniu się, już Stanisław Leszczyński wtedy nie był Królem Rzpltéj Polskiéj. W styczniu 1736 r. złożył koronę w ręce szczęśliwszego współzawodnika swojego, elektora Saxonii. Stanisław napisał wtedy do Obożnego do

Paryża, że ta wiadomość pewnie sztyletem przeszyje mu serce. Zgadł Król, serce to do wnętrza było zranione.

Leszczyński po abdykacji, był już zupełnie obcy dla Rzpltéj: dla tego Polacy żegnali go i wracali do ojczyzny. Szczupła liczba tylko przy nim pozostała. Ożarowski odwiedził także rodzinne strony. Na sejmie pacyfikacyjnym znowu posłował od księstw Zatora i Oświecimia. Król August III kontent był, że ludzi takiego wpływu jak Jerzy odzyskał dla swojéj korony. Chciał mu oddać pieczęć mniejszą Kor., która wakowała po Biskupie Łuckim. Ożarowski nie przyjął, bo czekał na buławę, która go, zdaje się, z czasem ominąć już nie miała. Wprawdzie była i wtenczas do wzięcia w Koronie buława polna, ale trzymał ją Chorąży Wielk. Branicki. Za to hetman Wielki Potocki Wojewoda Kijowski, był bardzo stary i lada chwila mógł umrzéć. Branicki był za nim w kolei — za Branickim szedł już Obożny Koronny. Za najpierwszym wakansem Ożarowski byłby został hetmanem. Tymczasem podpisał na dniu 9 lipca 1736 r. akt elekcji Króla, i wyznaczony był do ułożenia paktów konwentów nowemu Elektorowi.

Lat przybywało i po długich poniewierkach zapragnął Obożny W. K. znowu spoczynku. Król jednak nie zapomniał o nim. Mianował go zaraz w następnym roku Jenerałem Lejtnantem piechoty Kor. i dał mu regiment pieszy Królewica Augusta [14 marca 1737 r.] *) Obadwa te wakanse wziął Ożarowski po Denhoffie Podkomorzym W. Lit.

---

*) Sygillaty ks. XXVI, str. 36.

Gospodarował w dobrach starostwa Nowomiejskiego. Gmina miasta Grotnik, które należało do starostwa, sprzedała mu dwa ogrody. *) Budował daléj spichlerze nad Nidą, na gruncie królewskim, w Korczynie. **) Dla drugiéj żony swojéj wyrabiał dożywocie na swoich starostwach. ***) Nareszcie wyrobił sobie znowu przywiléj Królewski na prawo ustąpienia starostwa Nowomiejskiego, komu zechce. Przywiléj był znowu z okienkiem i bez daty [10 listopada 1740 r.] ****) W końcu swojego zawodu otrzymał order Orła Białego.

Nie długo potém umarł Jerzy Ożarowski w r. 1741, niedoczekawszy się buławy. Już w maju 1741 r. rozdał Król po nim wakanse. Chorągiew pancerną dostał Swidziński wojewoda Bracławski, a opiekę nad małoletniemi dziećmi otrzymał Tomasz Ożarowski, brat stryjeczny Obożnego, Cześnik Sandomierski i Bogusław Bobrownicki, Chorąży Radomski. *****)

Z dzieci tych, Piotr z Alkantary, uczył się w konwikcie Konarskiego u Pijarów, i otrzymał potém zamiast ojca Wielką buławę hetmańską. Córki zaś dwie zostawił pan Obożny Koronny. Starsza Anna poszła za mąż za księcia Antoniego Benedykta Lubomirskiego, sławnego mówcy za czasów drugiego Sasa, starostę Kazimierskiego i dziedzica

*) 14 lipca 1737 r. Król potwierdził sprzedaż. — Sygill. XXVI, str. 49.

**) Konsens 30 maja 1738 r. — tamże, str. 67.

***) Jus communic. na wójt. Pęczelice, Drugnię, Wierzbie i Podstole — 6 czerwca 1738 r. — Sygill.

****) Tamże str. 124.

*****) Tamże.

Ujazdowa pod Warszawą. Umarła wracając z Litwy od córki Sapieżyny wojewodziny Połockiéj, w Kocku [16 marca 1759 r.] *) Młodsza córka Obożnego po imieniu Ewa, poszła po śmierci ojca za pana Adama Podoskiego, który był podkomorzym Rożańskim i starostą Lenartowskim: powiła mu córkę Orsettowę i dwóch synów. To było potomstwo Obożnego z Konstancji Bobrownickiéj.

Z Urszuli Przebędowskiéj miał Jerzy jednego tylko syna, starostę Nowomiejskiego, który jeszcze w r. 1731 zakończył życie. **) Inne dzieci z drugiéj żony, także bardzo wcześnie pomarły. Sama wdowa po Obożnym zawarła powtórnie śluby z Jędrzejem Moszczeńskim wojewodą Inowrocławskim, za panowania Stanisława Augusta. ***)

Na pogrzebie Jerzego Ożarowskiego miał mowę powszechnie chwalony w Rzpltéj, książe Antoni Lubomirski, zięć jego, zawołany swoich czasów literat i sławny krasomówca.

Był Jerzy Ożarowski kawalerem orderów Orła białego i czarnego.

—

*) Kurjer Polski 1759 r. № 14 i 23.

**) Tamże № 68.

***) Te szczegóły o rodzinie i kilka innych, znaleźliśmy w rękopiśmie Jerzego Ożarowskiego, szambelana Stanisława Augusta, który układał genealogję swojego domu od Rzymskich Ursynów i Cesarzów, a w Polsce od wojewody Goworka.

KAROL DE NASSAU.

Rozpowiemy teraz historyę bohatyra, czy awanturnika, jak chcecie, który walczył ze lwami na śpiekłéj afrykańskiéj ziemi, a księciu Karolowi Panie-Kochanku w Nalibokach wybijał niedźwiedzie z panem Rejtanem, który był razem grandem hiszpańskim i admirałem floty Rossyjskiéj, naturalizowanym Polakiem i pułkownikiem wojsk francuskich, który szturmował do Gibraltaru, bił się ze Szwedami i wyznawcami Proroka, na Baltyckiém i Czarném morzu, który zwiedził całą Europę, a wszędzie ścigany od losu, natrząsał się z niebezpieczeństw, pragnął walki dla imienia, którego mu zapierano i dla sławy; był księciem i nieksięciem razem, a który skromnie umarł jak obywatel na Podolu, w pośród naszych jarów i mogił, jakby na futorze, albo dzikim stepie, osiadły syn dawnych czasów.

Książe de Nassau nie jedną po sobie pamiątkę zostawił na polskiéj ziemi. Warszawa widziała go kiedyś w sławie, znaczeniu, potędze, w pełni życia. Rozprawiała o nim cuda,

które dzisiaj już przechodzą w legendy i podania pomiędzy ludem wiosek naszych. Dziwiła się ogromowi bogactw księcia, jego blaskom, które w około rzucał. Widać, że imie to miało kiedyś rozgłos olbrzymi, kiedy tak przemocą wbijało się w pamięć ludu i jeszcze za życia księcia de Nassau. Pałac, jeden z największych gmachów warszawskich, lud stolicy przezwał Dynassami, bo tam kiedyś mieszkał ten sławny pogromca lwów i niedźwiedzi. Podaniem przeszło nazwisko to aż do naszych czasów, przez lat kilkadziesiąt, chociaż dawno już jak umarł książe, a ślady jego, jeden po drugim, znikły w Warszawie. Nawet mury świetnego pałacu, co niedawno jeszcze sterczały pięknemi rozwalinami, upadły przed ręką ludzką. Samo imie nawet zmienione, — a przecież Dynassy zawsze zostaną w dziejach Warszawy, jako wspomnienie po jednym ze znakomitych ludzi XVIII wieku.

Kiedy mówim o znakomitości księcia de Nassau, nie myślimy wcale przypisywać mu ani geniuszu twórczego, ani wielkiego wpływu na wiek ośmnasty. Są bardzo rozmaite rodzaje téj znakomitości. Można być znakomitym błędami, *nieszczęściem*. Same przygody życia, niebezpieczeństwa, odwaga, rozpacz, mogą zrobić człowieka znakomitym. Książe de Nassau nie zmienił w niczém losów ludzkości — nie miał po temu siły rozumu, ani ogromnéj nauki, która może sprowadzić zmiany w umysłowym świecie. Ale książe de Nassau w pełni odbił w sobie rysy tego sławnego XVIII wieku, którego my jesteśmy dziećmi. Obok *filozofów*, żyli na sto lat przed nami awanturnicy, kosmopolitycy, którym cała Europa ojczyzną

była, którzy w nic nie wierzyli, szukali zajęcia w podróżach i niebezpiecznych wyprawach, łaknęli bogactw i potęgi, umieli też przez zaimponowanie komuś, lub inne jakie środki, robić dobre interessa, żenili się bogato albo wysoko, pieniądze trwonili, zaciągali długi, wymyślnością zbytków zadziwiali stolice Europy, nigdy nie usiedzieli na miejscu, wdawali się z Cagliostrem, Pinettim, nazywając tych mistrzów czarodziejskiéj sztuki swojemi najlepszemi przyjaciołmi; sami wreszcie udawali kuglarzów, puszczali się na własny przemysł, żyjąc z dnia na dzień i nareszcie albo wystawiając się dobrowolnie narażali życie, albo zmarnotrawiwszy rodzinne i cudze majątki (jeżeli je mieli), ginęli w więzieniach, lub umierali spokojnie, zapomniani od następującego po nich pokolenia.

Książe de Nassau nie był filozofem, jak Wolter, ale był zawsze dzieckiem XVIII wieku i należał do tego drugiego szeregu ludzi, których charakterystykę skreśliliśmy. Jemu wszystko jedno było, mieszkać w Warszawie czy w Wiedniu, strzelać się w Paryżu czy w Rzymie, popisywać się ze swojemi przygodami w Petersburgu czy w Madrycie. Książe de Nassau nie miał nigdzie ojczyzny, a raczéj miał ją wszędzie. Jego serce zimne było dla wszystkich przesądów. Mówił prawie wszystkiemi językami Europy; w każdym kraju był naturalizowanym obywatelem, każdemu chciał służyć i służył po kolei. A wszystko mu jedno było dowodzić wojskiem, czy flotą, śpierać się na sejmach, czy na dworze junaczyć, rządzić albo wykonywać rozkazy. Książe nie myślał nigdzie zagrzewać kąta, — i cóż mu szkodziło tedy, że przyjmował zobo-

zania się, kiedy to było tylko na chwilę? Był więc praktycznym filozofem Książe de Nassau, — wykonywał to w czynie, co pisarze owego czasu w teoryi przeprowadzali. Ze wszystkich uczuć, jakie tylko nurtują serce ludzkie, nasz bohatyr, miał może jedno tylko uczucie — przyjaźni dla osób, z któremi wspólnie się narażał, albo z któremi go pociąg awanturniczego serca związywał. Jakoś pod koniec życia, odmieniło się wiele w naturze księcia; kiedy się podstarzał, zdaje się, inna krew już w żyłach jego płynęła, ale charakter jego w dziejach wybitny. Pod względem awanturniczego życia, ma z nim wiele wspólnego książe Karol Radziwiłł Panie-Kochanku. Z resztą mniéj więcéj do téj szkoły co on należeli: sławny książe de Ligne, szlachcic polski, Monte-Christo XVIII wieku, hrabia Walicki, Cagliostro, Beniowski. Moglibyśmy wiele takich imion wyliczyć, szczególniéj polskich.

Samo już urodzenie się księcia de Nassau, było prawie awanturą. Rozpoczął życie processem gorszącym, który się wlókł długie lata.

Pochodził on z rodziny dawnéj niemieckich herzogów czy grafów, którzy w pięknych okolicach Nadreńskich mieli odwieczne posiadłości swojéj rodziny. Rozrodziło się nadzwyczaj to imie. Jedni z Nassauskich panów zasiedli nawet na tronach i potworzyli dziedziczne dynastje. Inni więcéj skromni, bo ubożsi, cieszyli się tylko tytułem książęcym, zajmując miejsca na sejmach niemieckich, jako członkowie Rzeszy pod przewodem Cesarza Rzymskiego. Mieli wiele stolic: w Wiesbaden, Dillenbourgu, Saarbrucku, w Niderlandach. W XVI wieku, ze szczepu Dillenburg-

skiego poszły cztéry odnogi herzogów i trzy nowe nazwiska książąt Nassau–Siegen, Dietz i Hadamar.

Z Siegenów pochodzi nasz bohatyr.

Jednocześnie prawie, około połowy zeszłego stulecia, wygasły prawie obiedwie gałęzie ogromnego rodu władzców Nassau–Siegen, niemiecka i katolicka (w r. 1734 i 1743); ogromnego, powiedzieliśmy, bo pierwszy twórca téj linji miał dziewięć córek i czterech synów. Rada dworska Wiedeńska pozwoliła już przedtém obszerne posiadłości Nassau–Siegeńskie przyłączyć do dóbr książąt Oranji, nie bez zysku dla Cesarza. Doczekała się wreszcie i już tryumfować zaczęła, kiedy nagle zjawiło się dziecie, z imieniem wygasłego rodu i chciało kancellaryi Rakuskiéj wydrzeć ledwo kupione ceną długich trosk zwycięstwo.

Dziecięciem tém był Karol (Henryk, Mikołaj, Otton), nazwany zwyczajem niemieckim aż czterema imionami. Po ojcu swoim, chciał się nazywać księciem Nassau–Siegen.

Tajemnica właśnie otaczała urodzenie tego ojca, Maksymiljana po imieniu. Matka miała jakieś skrupuły przy kolebce syna, którego świeżo wydała na świat; ukryła go więc przed mężem i przed światem, może powiedziała mężowi, że nie żywe porodziła dziecię. Emanuel Ignacy, książe Nassau–Siegen do śmierci nic nie wiedział o Maksymiljanie. Ale kiedy umarł, wdowa natychmiast zerwała długo ukrywaną tajemnicę i młodego syna swojego kazała wtedy dopiéro wpisać do akt stanu ciwilnego, z imieniem księcia Nassau–Siegen.

Maksymiljan zatém dopiéro po śmierci ojca swojego, został synem Emanuela. Nie żył długo, a umierając zo-

stawił następcę po sobie Karola, którego życie opisujem. Karol narodził się dnia 5 stycznia 1745 r., w dwa lata już po śmierci ostatniego księcia Nassau-Siegen.

Podług dobrowolnych układów rodzinnych, na które jak widzieliśmy, przystała już Rada Nadworna Wiedeńska, Wilhelm IV, pierwszy dziedziczny Sztatuder Niderlandów, bliski krewny Nassau-Siegenów, chciał objąć po nich prawem dziedzictwa, osierocone ich ziemie. Jakoż w saméj rzeczy, zaczął panować w Nassau, kiedy Wilhelm Hyacynt umarł 18 lutego 1743 bezdzietny. Jażeli Maksymiljan miał jakie prawo do ziemi przodków, powinien się był zaraz odezwać ze swojemi pretensjami. Milczał przecież, a kiedy w dwa lata potém syn mu się narodził, krewni jego po matce rozpoczęli ten sławny process, który już wsławił imie księcia Karola wprzódy, nim on jeszcze sam się wsławił szaloną odwagą swoją i męstwem.

Upominać się było już trudno o panowanie w Siegen, bo to miasto zajął Sztatuder, potężny władzca Niderlandów. Krewnym dziecka chodziło o rozległe dobra w Niemczech, które Rada Nadworna Wiedeńska do dóbr monarszych przyłączyła. Posiadłości prywatne łatwiéj było odzyskać, jak księstwo udzielne i głos na sejmie Rzeszy. Z resztą, należało próbować; gdyby udało się jedno, wtenczas dopiéro możnaby myśleć było o drugiém.

Zaczęto więc process z dworem Wiedeńskim, ale oczéwiście nieszczęśliwie. Dowodów nie było, a przynajmniéj poskładano przed sądem takie papiery, które same w sobie były ważne i uprawniały urodzenie Karola, — ale cóż to wszystko miało za związek z książętami Nassau-Siegen?

W Wiedniu zapierano praw do tytułu i majątku wygasłéj linji Maksymiljanowi, nie Karolowi. O Karolu sporu nie było, on był synem swojego ojca, wnukiem swojego dziada, ale z tego wcale nie szło, że dziad ten był księciem de Nassau. Zaciągnienie imienia i nazwiska jakiejś osoby do akt stanu cywilnego rodziny możnéj, nie dowodzi wcale pochodzenia, tém bardziéj, że zapis ten spóźniono umyślnie i ukryto przed niby–ojcem. Kiedy opiekunowie Karola opłacając adwokatów silili się na przeciwne dowody, żeby zbić uprzedzenia wiedeńskie, Rada Nadworna Cesarza niemieckiego zaczęła rozmazywać nieprzyzwoitościami tę ciemną sprawę. Wywiedziono na jaw wszystkie tajemnice domowe rodziny de Neslów, z których pochodziła matka Karola. Cały świat patrzał wtedy na tajemnice te, ale dotąd nie spisywano ich w księgi i w protokóła. Za winę zatém poczytywano matce Karola, że była ciotką księżny de Chateauroux i jéj siostr, niegdyś panien de Nesle. Starsza, hrabina de Mailly, była ulubienicą Ludwika XV czas jakiś, aż młodsza, pani markizowa de la Tournelle, piękniejsza i obrotna, potrafiła ku sobie skłonić serce Królewskie. Ludwik XV zrobił ją księżną de Chateauroux. Niedługo cieszyła się piękność panowaniem swojém; umarła w r. 1744, mając 27 lat wieku. Pani de Mailly przeżyła ją o lat szesnaście.

Wcale nieszlachetnie postąpiła sobie Rada Wiedeńska, odnawiając dzieje tych już zapomnianych romansów. Matce Karola wzięto za złe, że była ciotką pani de Mailly i de Tournelle. Mówiono w Wiedniu, że życiem bez troski i lekkomyślném, odznaczały się wszystkie kobiety domu de

Neslów. A matka młodego księcia de Nassau nosiła właśnie te zakazane, okrzyczane imiona. Nazywała się Karoliną de Mailly de Nesle.

Rada Wiedeńska nie stawiła wcale dowodów świadczących o złém życiu księżny de Nassau, matki dziecka, a prawo swoje opierała jedynie na przypuszczeniach. Opiekunowie Karola poznali, że tą drogą nic nie wskórają.

Szukali zatém dróg innych. Zanieśli skargę do parlamentu Paryskiego. Było to doprawdy dziwnie, bo cóż za wpływ na tok sprawy w Wiedniu mógł sprawić wyrok wydany w Paryżu? gdzież było prawo, któreby zmusiło Radę Wiedeńską do wykonania tego wyroku, gdyby szczęściem wyrok ten ogłosił się za dziecięciem? My sądzim, że opiekunowie Karola umyślnie, może i bez nadziei pomyślnego skutku, dawali większy rozgłos téj sprawie, żeby zawstydzić Rady Wiedeńskie. Jakkolwiek tam było, dosyć, że na dniu 3 czerwca 1756 r., parlament Paryski uznał prawa młodego księcia de Nassau do dóbr przodków i tém samém uprawnił jego pochodzienie w obliczu Europy. Ale Rada Wiedeńska odrzuciła ten wyrok i uważała go za niebyły. Dobrami prywatnemi książąt Nassau-Siegenów w Niemczech rozrządziła inaczéj. Młody Karol ujrzał się na zaraniu lat swoich, bez majątku i bez imienia. Skarali go ciężko ludzie, chociaż im nic nie był winien.

Niesprawiedliwość ta wywarła wpływ wielki na przyszłość Karola. Pokazywał od dawna już śmiałość, odwagę, żywość nadzwyczajną, prawie upór i wszyscy widzieli w nim już zawczasu zarody nieugiętego charakteru. Młody książe

nie upadł na duchu, a tylko krew rozdrażniła się w jego żyłach. Szlachetne, chociaż dziecko, pogardził bogactwem, ale imienia wydrzéć sobie nie dał. Chciał własną zasługą dobić się majątku, któryby zrównał dawnym bogactwom rodziny. Umysł chciwy przygód i niebezpieczeństw gotował więc do walki z ludźmi i żywiołami. Słusznie uważał książe de Ligne, że bez téj niesprawiedliwości Rady Wiedeńskiéj, młody Nassau byłby porywczość swoję wylał może tylko na awanturnicze wyprawy do lasów i walki z dzikiemi zwierzętami. Wydarty majątek zwrócił uwagę jego do wojny. Młody Karol chciał koniecznie dobić się sławy, a potém rzucić to nowe, piękne imie swoje, przed oczy ministrom Wiedeńskim, jakby wyrzut, że chcieli zgubić znakomitego człowieka.

Już w r. życia 15, zaciągnął się Karol do wojska francuskiego, jako ochotnik. Wychowany we Francji, uważał kraj ten za swoją ojczyznę długo, nim został kosmopolitą.

Został wkrótce adjutantem złotych nadziei, porucznikiem piechoty, a po chwili, kapitanem dragonów.

Niedługo potém zaczął się gniewać na los, że go zwodzi, że mu nie daje ani sławy, ani majątku. Właśnie wtenczas Bougainville puszczał się w podróż na około świata. Nassau rzucił wojnę i nadzieję dosłużenia się czegoś w wojsku i stanął na okręcie Bougainvilla, chcąc mu towarzyszyć w długiéj wędrówce po morzach.

Sławny ten żeglarz francuski, dowodził jedną fregatą o 26 działach i jednym tylko okrętem, który się nazywał poetycznie *Gwiazdą*. Miał kroki swoje naprzód skierować

ku wyspom Falklandzkim, na których już przed kilką laty założył osadę. Ale rząd francuski prawa do tych wysep ustąpił królowi Hiszpańskiemu i Bougainville odebrał rozkaz zdać je teraz urzędowo nowemu panu. Potém z Falklandów miał żeglować daléj na zachód i powrócić do ojczyzny przez Ocean spokojny, drogą umyślnie dłuższą, dla poczynienia nowych jakich jeograficznych odkryć; bo zapał Francuzów do wypraw morskich podwoił się od czasu, jak swoje osady w Ameryce północnéj stracili.

Dla tego wyprawa Bougainvilla obudziła ogólne spółczucie w całéj Francji. Wiele chciwéj przygód młodzieży chciało płynąć z Bougainvillem. Uczonych w téj podróży reprezentował sławny naturalista Kommerson.

Z Falklandów popłynął więc w istocie żeglarz przez cieśninę Magellana, jak zamierzał i po pięćdziesięciu dwóch dniach wyprawy, dostał się przecie na Ocean Spokojny. Odkrył archipelag *niebezpieczny*, czyli wyspy *perłowe*, zatrzymał się potém przy Otaheiti i tutaj odpoczął po doznanych trudach. Potém skierował się ku zachodowi i północy i co chwila nowe odkrywał światy na morzach, które tylko co przed nim zwiedzili Anglicy Wallis i Karteret. Jednéj wyspie dał Bougainville swoje nazwisko. Zwiedził Batawię na Sumatrze, potém opłynął Przylądek Dobréj Nadziei, doścignął Kartereta, który ledwie się wlókł na połamanym przez burze statku, zmierzając po nad brzegami Afryki do Europy. Obadwaj żeglarze francuski i angielski z nadzwyczajną zazdrością i ostróżnością względem siebie postępowali; jeden przed drugim nie zdradzając się, że świat cały opłynęli. Szło im o pierwszeństwo i sławę.

Nareszcie po dwóch latach i czterech miesiącach żeglugi, Bougainville wylądował z powrotem w porcie Saint-Malo.

Długoby opisywać przyszło przygody i niebezpieczeństwa téj wędrówki. Burze morskie nie raz groziły żeglarzom i wiatry szaloną siłą pędziły okręty po oceanach Atlantyckim, Południowym i Wschodnim. Nassau nie zląkł się burzy. Znalazł jak na szczęście pomiędzy swojemi towarzyszami kawalera d'Oraison, młodzieńca także odważnéj duszy, zuchwałéj siły. Z nim Nassau błądził po wyspach dzikich porozrzucanych na Oceanie, uzbrojony po europejsku, żeby wszędzie napaść odeprzéć. Lat sto już blisko temu — więc ani żeglarze ówcześni nie mieli doświadczenia dzisiejszych, ani dzikie ludy rozsypane po wyspach nie oswoiły się tak z widokiem Europejczyków. Niebezpieczeństwa zatém więcéj było wtenczas jak dzisiaj. Nassau jednak z kawalerem d'Oraison odbywał wycieczki po lasach wyspiarzy, a na Otaheiti długo się kochał w królowéj i łudził biedną. Kiedy wyprawa po nadbrzegach Afryki błądziła, Nassau puszczał się czasem w orszaku, a czasem sam w pustynie, z których go ryk lwów i tygrysów dochodził. Chociaż lubił czynne życie i przygody chciał li tylko dla przyjemności, przecież popisywał się z ochotą przed towarzyszami ze swoją nieposkromioną odwagą. Dużo lwów zabił w pustyniach razem z Oraisonem, skóry z zabitych zdzierał i jak zwycięzca do obozu, tak on w tryumfie wracał na okręty. Raz przypatrywali się żeglarze, bitwie księcia ze lwem maurytańskim, drugi raz z tygrysem ogromnéj wielkości. Podziwiali siłę, przytomność umysłu i zręczność młodego księcia. Rozpowiadali téż jedni drugim co

widzieli i jak to zwyczajna, przesadzali w opisach. Kiedy wrócił Nassau do Europy, wieści już o nim gęsto krążyły. Pokazywali go ciekawi jedni drugim palcami na ulicy, w pałacu, wszędzie. Nieznano jeszcze księcia Nassau, a już mówiono o nim: oto ten co w Maurytańskiéj puszczy lwa zabił. Odtąd wspomnienie lwa i Afryki nieoddzielne było od każdéj powieści o księciu Karolu de Nassau.

Podróż Bougainville'a na około świata trwała od roku 1766 do 1769. *)

Dwudziesto-cztero-letni awanturnik zaciągnął się znowu za powrótem do służby francuskiéj. Został pułkownikiem piechoty.

Umysły wtenczas zajęte były sprawą amerykańską. Leciała młodzież francuska za Atlantycki Ocean pod chorągwie Washingtona. Nassau pragnął wojny, bo od wojny spodziewał się losu, ale niechciał losu w Ameryce, wolał go szukać w Europie. Z resztą nie było to nikomu tajne, że Francja przez zadawniałą niechęć do Anglji, sprzyjała Konfederacji amerykańskich stanów. Nassau zatém i w Europie spodziewał się wojny.

W saméj rzeczy, w początkach 1778 r. zawarła Francja z Ameryką traktat przyjaźni, a w miesiąc potém wypowiedziała Anglji wojnę. Nassau z radością rzucił się w ten wir bitew, który się teraz dla niego otwierał. Ale szukając wszędzie przygód, nie chciał walczyć w ściśniętych kolumnach piechoty, albo w szyku bojowym na okrętach. Dla niego wojna wyjątkową być musiała. Taktyki nie

*) Wylądował z powrótem w St. Malo 16 marca 1769 r.

chciał, za partyzantką pogonił. Podał rządowi francuskiemu projekt opanowania wyspy angielskiéj Jerséj, która tuż przy nadbrzeżach Normandji leżała na kanale. Projekt przyjęto: wyprawą miał dowodzić sam książe, ale mimo zbyt daleko posuniętéj odwagi, nie dotrzymał obietnicy, bo odparty został ze stratą (1779 r.)

Nassau był już wtedy pułkownikiem regimentu niemieckiego korony francuskiéj i może za wyprawę pod Jerséj, kawalerem orderu Ś. Ludwika, kiedy pierwszy raz pojawił się w Polsce, rzuciwszy służbę wojskową Francji. Jak po innych stolicach Europy, tak i tutaj przyjmowano z podziwieniem dla tych sławnych lwów afrykańskich. Krol Poniatowski jeszcze w r. 1774 posłał mu krzyż Ś. Stanisława, a niedługo potém i Orła Białego. Był to zapewne wysoki dowód szacunku dla księcia ze strony Króla, boć Nassau był dotąd pułkownikiem prostym, i prawdę powiedziawszy, może niesłusznie, ale sądownie pozbawiony był książęcego nazwiska. Więc odbierał polskie ordery dla siebie, nie dla tytułu. *)

Może chciał podziękować Królowi za jego łaskę, może go przywiodła do nas chęć ciągłéj zmiany, i pociąg tajemny do nowych wrażeń; dosyć, że w Warszawie gościł teraz, rozrywany przez dwór i panów polskich. Młody, bo lat trzydzieści pięć miał wieku, przystojny, dowcipny, sławny już, a przeszłością swoją zapowiadający większą

*) Ludwik Nassau, pułkownik pułku Królewskiego niemieckiego w wojsku francuskiém, mianowany kawalerem Ś. Stanisława 10 czerwca, a Orła Białego 17 czerwca 1774 r. Sygillaty, ks. XXXII.

jeszcze sławę, książe do Nassau był ulubieńcem salonów i towarzystw ówczesnych. Niedługo potém on sam polubił tak nadwiślańskie ziemie, że zamyślał nawet w nich osiąść. Młoda, pełna wdzięków kobieta, wpłynęła wiele na to postanowienie.

Była to księżna Karolina Sanguszkowa. Dziedziczka ogromnych posiadłości po ojcu i po mężu, sierota i śliczna, miała w oczach jakiś ogień zapału i szlachetnych uniesień. Ojciec księżny, Stanisław Bernard Gozdzki wojewoda Podolski, był z rodzaju tych ludzi, co to się nie ulękną żadnych skrupułów sumienia, aby tylko pilnować osobistych korzyści. Dawniéj mieszkał zwykle w Nestorowiczach na Podolu, ale za Stanisława Augusta bardzo często bywał w stolicy. Umarł przed dziewięcią laty (20 lipca 1771 r.) i zebrany zabiegami ogromny majątek zostawił córce jedynaczce, bo syna wprzódy jeszcze utracił. Po pierwszéj żonie Katarzynie Humieckiéj, córce wojewody Podolskiego Stefana, wsławionego w dziejach polskich na początku XVIII wieku, Gozdzki piękne odziedziczył włości. Wdową już poszła za niego po śmierci pierwszego męża, którym był Kazimierz Ogiński, Podstoli W. Lit. Potém ożenił się wojewoda z Barbarą Małachowską, która była matką Karoliny.

Pani Sanguszkowa, po rozwodzie z mężem Januszem marszałkiem Litewskim, była już od dwóch lat wolną. Książe de Nassau oświadczył się o jéj rękę i niedługo ślub nastąpił w Warszawie, dnia 14 września 1780 roku, we czwartek o godzinie ósméj wieczorem, w zamkowéj kaplicy. Sam Król Stanisław znajdował się na ślubnym obrzędzie i

prowadził księżnę do ołtarza, a potém dla zaproszonych gości dał kolację w komnatach zamkowych. Błogosławieństwa małżeńskiego udzielił nowożeńcom książe biskup Płocki, brat Królewski. *)

Z drukarni nadwornéj wyszedł wtedy wiersz: *Na wesele książęcia de Nassau z księżną z Gozdzkich Sanguszkową.* Wiersz ten wyszedł we wrześniu i kosztował grosz srebrny. **)

Byłażby to wena biskupa Naruszewicza? bo i on, poważny dziejopis narodu, pisał odę na wesele księcia de Nassau. Początek dziwny, strasznie uczony, wymowny, — koniec więcéj do rzeczy:

Gdzie dawczym życia pędem zdrój wytryska,
Krzepiąc dni ludzkie szklannemi okowy;
Któżby się spodział na te widowiska,
Uczestnik sztuki Hipokratesowéj?
Chcąc być Nassawie i zdrowy i żywy,
Dostałeś szwanku z miłośnéj cięciwy.
Nimfa od jasnych wód bystrego Buga
Piękna, udatna, krwią zacna dziedziczną;
Ledwo wabnemi oczęty zamruga
I w słodki uśmiech twarz ułoży mleczną;
Mało pomogły sercu spaskie wody
Nosisz niezbyty postrzał od urody.
Na tysiąc przygód los cię nieraz spychał
By zmiękczył umysł, lub dla życia zguby.
Widziałeś gładkie, możeś kiedy wzdychał;
Wyszedłeś z bitew świetnéj pełen chluby.
Stawiąc się dzielnie, zwalczyłeś z ochotą,
Męstwem Gradywa, a Wenerę cnotą.

*) Gazeta Warszawska 1780, № 76.
**) Tamże № 77. Supplement.

Różnego szczęścia doznając kolei
Chybiałeś dotąd niebios przeznaczenia;
Bóg sercem włada, Bóg małżeństwa klei,
U nas, był twego cel uszczęśliwienia:
Honor, szacunek, wszędzie dla Nassawa;
Żonę mu sama mogła dać Warszawa. (Ks. IV, oda 34.)

Co oni robili, ci dawni poeci ze swoich bohatérów? Wystawić–że sobie księcia de Nassau, który rozdzierał lwy w puszczach Afrykańskich, noszącego postrzał w sercu od Nimfy z nad Bugu? człowieka, który w Nalibokach gromił niedźwiedzie, jednak dźwigającego szwank z miłośnéj cięciwy? Spaskie wody nic mu nie pomogły; musiał biedak jęczyć i płakać na swój los, na swoje tak czułe serce, co morza, Gibraltaru się nie zlękło, a drżało przed jedną kobietą? Nassau, Branicki i wielu innych owego czasu sławnych ludzi, żenili się, awanturowali, jeździli, nie zważali ani na siebie ani na spółczesnych, słynęli cynizmem, a u Naruszewicza, Trembeckiego i poetów kliki Stanisławowskiéj, w sprawie miłości pokazują się jak aplikanci, jak studenci! każdy nosi głęboki w sercu postrzał, i o niczém inném myśléć nie może jak o kochaniu, zapominają dumy, podszeptów miłości własnéj, interessu osobistego, majątku i sławy, i drżą przed kobietami! Zupełnie jak marjonetki nakręcone do taktu, kiwają głowami i kołują wciąż jednym ruchem, nierozumne, bez władzy!

Ożeniwszy się, zaczął książe de Nassau budować w Warszawie pałac nad Wisłą, na ogromnych wzgórzach, w miasteczku Alexandrji, zaraz obok koszar kadeckich Króla Stanisława. Leżał tam plac obszerny, który księżna odziedziczyła po ojcu, a na placu dwa stare gmachy raziły

oczy pustkami i nędzą. Wojewoda Podlaski nabył te pałace od dawnych właścicieli, od podstolego Koronnego, Stanisława Lubomirskiego, kupił dworzec drewniany a drugi murowany od wdowy i spadkobierców Chomętowskiego, hetmana i wojewody Mazowieckiego. Drewniany gmach sam wojewoda rozwalił i postawił na jego miejscu pałac z cegły nad samą Wisłą, z oficynami i dworkami, jakby dla służby. Ale że Gozdzki rzadko mieszkał w Warszawie, poszedł nadwiślański jego gmach w poniewierkę i opustoszał. Co do dworca po Chomętowskich, który leżał bliżéj Krakowskiego Przedmieścia, toczył się jeszcze process o prawo własności do niego. Zbudował ten pałac dla swojéj wygody, na gruncie dziedzicznym, który zakupił umyślnie Marcin Chomętowski, ojciec hetmański, kiedy był jeszcze tylko kasztelanem Żarnowskim. Syn Stanisław powiększył go i ozdobił. Kiedy umarł ten Stanisław, dożywocie na nim miała wdowa po nim Dorota Tarłówna, kanclerzanka Koronna, która poszła powtórnie za mąż za Adama Tarłę, wojewodę Lubelskiego, wielkich nadziei młodzieńca, sławnego pojedynkiem z Kazimierzem Poniatowskim pod Marymontem (1744 roku.) Pani Tarłowa nie mając do tego prawa, sprzedała Gozdzkiemu pałac na Alexandrji w r. 1748 i dała tém powód do ogromnego processu ze strony dziedziców po Chomętowskich. Trybunały Koronne od roku 1757 — 1775 wydawały ciągle wyroki w téj sprawie. Nareszcie nastąpiły działy pomiędzy spadkobiercami Chomętowskich w miasteczku Ożarowie w r. 1778. Przez ciąg processu i ten gmach zniszczał zupełnie. Sądy Kondescensoryjne, rudera przyznały Dominikowi Pieniążkowi,

który umyślnie zjechał z Rusi do Warszawy, żeby sprzedać ten odziedziczony dworek, place i rudera. Stał u Karmelitów na Krakowskiém Przedmieściu, obiecywał, że tanio zbędzie pustkowia, groził, że krótko w Warszawie zabawi. Wiedziano w stolicy, że wtenczas i księżna Sanguszkowa z Gozdzkich, chciała sprzedać swój gmach stary po Stanisławie Lubomirskim. Tak w jednym czasie Alexandrja miała zmienić panów. *)

Jeszcze w lipcu 1780 r. to jest na dwa miesiące przed ślubem, myślała o tém Sanguszkowa. Po ślubie nowy mąż jéj wytłomaczył, że samowolnie pozbawia się wielkich rozkoszy. Na miejscu nadwiślańskich pustkowi mógł stanąć pałac na obszernym placu, zewsząd otwartym dla widoku; pałac ten więc powinien być wspaniały, — w ślicznem położeniu, ze śliczniejszym jeszcze na Wisłę spójrzeniem. Z resztą, księciu de Nassau, obywatelowi kraju, bo wziął ogromne za żoną dobra w posagu, przystało mieć gmach swój w Warszawie, nie szczupły i skromny, a dumny i wielki. Zgodziła się na ten wniosek księżna.

Stanął więc nad samą Wisłą gmach ozdobny. Lud warszawski zdjęty podziwieniem na widok księcia, który ze lwami wojował, wszystko co tylko miało związek z pa-

*) Do dziejów miejsca dostarczyły nam szczegółów, Starożytności Warszawskie Wejnerta i Gazeta Warszawska księdza Łuskiny z r. 1780 lipiec № 61 supplement. Drewniany pałac Lubomirskiego był potém na Dynassy zmieniony, dzisiaj zajmuje to miejsce Sewerynów. Dworzec Chomętowskich, dostał się po Pieniążku Dłuskiemu, podkomorzemu Lubelskiemu. W roku 1785 posiadłość ta składała się z pałacu, z dworku, kamienicy i różnych zabudowań. Dzisiaj oznaczona jest № 2768 na Alexandrji.

łacem, za kolosalne uważał. Może z ust do ust przelatywały dziwne o księciu powieści, może nie jeden w prostocie ducha nazywał go czarownikiem. Dosyć, że lud, który w podaniach swoich uwiecznia pamiątki ludzi oryginalnych, nowy pałac księcia, Dynassowskim przezwał, spolszczając codzoziemskie imie. Lud warszawski nie pamiętał, że to był pałac więcéj Gozdzkich, Sanguszków, jak nowego pana. Nie dosyć na tém, nie naglony żadnym rozkazem urzędowym, lud warszawski, całą tę okolicę nazywał Dynassami. Nazwisko to nawet do Alexandrji rozciągał. Dynassy więc jakby stanowiły jurydykę oddzielną w Warszawie, a przynajmniéj były stolicą Alexandrji, Ordynackiego, Tamki, Sułkowszczyzny. Nazwisko Dynassów przez pół wieku przeszło aż do naszéj chwili przetrwało, jako pamiątka po księciu Karolu. Dzisiaj dopiéro to imie, zaciera inne nazwisko.

Wtenczas to może, w czasie budowania pałacu, Karol de Nassau, zwiedził Litwę i księcia Radziwiłła, zajrzał na Podole i dobra żony oglądał. Stosunki familijne niedawno zawarte, musiały go koniecznie zbliżyć do panów polskich.

Ale nie osiedział się tak długo w bezczynności książe de Nassau. Mówiono o nim wszędzie, że w Europie nikt prędzéj od niego strzału działowego nie usłyszał. Chciano przez to powiedzieć, że książe chętnie biegł tam, gdzie właśnie rozlegał się huk armatni. W saméj rzeczy, z ustronia domowego, z pałacu żony, Nassau tęsknił do zgiełku bitew i do niebezpieczeństw. Wojna Anglji z Francją toczyła się jeszcze na morzach i wyspach. Hiszpanja przeszła

pod chorągiew Burbonów Francji i połączyła flotę swoją z flotą Ludwika XVI. Połączone siły morskie obudwu mocarstw oblegały silnie Gibraltar, najeżony działami, obronny sztuką i naturą. Wzięcie téj nadmorskiéj twierdzy zadałoby cios okropny w samo serce W. Brytanji. To téż dobrze rozumiał lord Elliot, który z energją i sławą bronił potężnych wrót Śródziemnego morza. Od lat trzech napróżno wysiłki następowały jedne po drugich, a Elliot krokiem nie ustępował. Cała uwaga Europy zwróconą była na Gibraltar, bo tam bardzo ważne działy się wypadki, a od nich zależał los wojny i przyszłość może całego świata. Nassau poleciał tam za tłumami wrzącéj młodzieży.

Dano mu morską baterję i udział w sławném oblężeniu. Książe chciał nagle świetnym czynem zabłysnąć w historyi. Właśnie wtenczas kawaler d'Aragon wymyślił pływające baterje. Nassau chciał spróbować szczęścia i zbliżyć się pod zasłoną ognia z tych baterji, pod mury Gibraltaru. Nie wstrzymywały go niebezpieczeństwa i niepewność nowego wynalazku. Książe przybiegłszy do floty sprzymierzonéj, wchodzi na pływające baterje, dąży ku twierdzy, massami ognia zalewa pobrzeża i mury, uderza sam i szczęśliwy wszystko druzgocze pod sobą. Za czyn szalonéj odwagi, pozyskał poklask Europy. Szmer podziwienia rozszedł się w około, bo tak dobrowolnie się narażać mógł tylko człowiek w rozpaczy (1782 r.)

Nie wchodziło, widać, w plany całéj kampanji, śmiałe przedsięwzięcie księcia de Nassau. Czyn jego był tylko epizodem w dziejach oblężenia i krytycznéj chwili nie przyśpieszył. Ale król Hiszpański umiał ocenić ten świetny

ustęp historji. Karol III dał za to księciu de Nassau trzy miljony realów w ładunkach okrętowych (en cargaison de vaisseaux), mianował go jenerał-majorem wojsk swoich i przyznał jego prawa do tytułu granda hiszpańskiego 1éj klassy. Tak Karol III w państwach swoich przywrócił Karolowi stanowisko przodków. Książe dosłużył się przecie imienia i sławy.

W październiku 1782 r. sprzymierzone floty odstąpiły od oblężenia do Gibraltaru, a w miesiąc potém zaczęto układy o pokój pomiędzy wojującemi mocarstwami.

Porzuciwszy Hiszpanję, wracał de Nassau z ogromnemi projektami. O! bo w téj szalonéj głowie myśl goniła za myślą, a każda rodziła tysiące, miljony projektów, które były bardzo podobne do marzeń, więc miały wadę pierworodną, nie dały się zastosować do życia. Teraz właśnie dużo namiętności walczyło w jego sercu. Głaskany przez dwór hiszpański, jenerał dwóch wojsk, bo i francuski patent na tén stopień otrzymał, bogaty dziedzic w Polsce, grand pierwszéj klassy, Nassau myślał już na nowo o swojém księstwie Siegen i Hadamar i chciał na nowo o te posiadłości rozpocząć process w Wiedniu. Potém marzyło mu się panowanie udzielne i obywatelstwo w Polsce. Chciał zostać indigeną i szlachcicem w Rzpltéj, przez przywiązanie dla żony, panów i Króla Stanisława Augusta, którzy go naprzód ocenili i nazywali księciem de Nassau, po ojcu. Myślał potém jeszcze zajrzeć do Konstantynopola, chciał przejść w służbę sułtana, janczarów przestroić po europejsku, przyzwyczaić ich do karności i w pułki ich złożyć. Przez janczarów myślał znowu książe zreformować

Turcję. Zwracał też uwagę i na stosunki Porty Ottomańskiéj z sąsiadami. Polskę nazywał już swoją ojczyzną; chciał więc dla niéj otworzyć nowe drogi handlowe, myślał o uspławnieniu Dniestru, bo chciał polskie towary, a zwłaszcza zboże wołyńskie i podolskie spuszczać tą rzeką aż na morze Czarne i ztamtąd pod Stambuł wyprawiać. Nassau myślał, że oczyszczeniem łoża Dniestrowego, przymnoży bogactw Polsce, a wygody Turcji, a może nawet Azji mniejszéj. Że wtenczas właśnie, wielu obywateli polskich myślało o handlu wschodnim. i Odessie, która świetnie na gruncie pustym powstawała, książe już marzył o polskich okrętach i statkach w portach włoskich i francuskich, widział je w Barcelonie i Marsylji. Nie przesadzajmy jednak obywatelskich myśli księcia de Nassau: w tych wszystkich zamiarach, było więcéj chęci szukania nowych przygód, zmiany dotychczasowego sposobu życia, doświadczenia nowych wrażeń, jak usłużenia Polsce i Turcji. Człowiek, w którego głowie powstaje naraz tyle różnorodnych projektów, założyć się można, że żadnego z nich niedokona. Jedna myśl wielka, zdolna jest zająć całe życie człowieka, — cóż dopiéro tysiące tych myśli? a jednak, przyznajmy to, książe de Nassau był doprawdy przywiązanym do Rzplitéj, i szczerze pragnął jéj dobra.

Zdawszy więc dowództwo pod Gibraltarem, de Nassau z nieodstępnym swoim przyjacielem, p. de la Porte, wyjechał z Hiszpanii, postanowiwszy naprzód odwiedzić Wiedeń. Towarzysz jego był kiedyś porucznikiem wojsk francuskich pod księciem, i był jeszcze hrabią. Odważny, śmiały, od dawna już pokochał pogromcę lwów, bo cha-

rakter jego, bardzo był podobny do charakteru księcia de Nassau. Razem więc z Karolem dzielił już od lat kilku wszelkie przygody, szczęścia i nieprzyjemności awanturniczego życia. De la Porte bił się dzielnie pod Jerséj pod dowództwem księcia, i ocalił fregatę francuską, którą już Anglicy mieli w swojém ręku. Ten czyn szlachetnéj odwagi, żywo odezwał się w sercu księcia i ztąd jego przychylność wielka dla p. de la Porte, że się z nim nigdy nie chciał rozstać. Ten czyn od ogromnéj klęski ocalił Francję i rzucił nawet blask pewien na zawód wojskowy Karola de Nassau. Potém pod Gibraltarem narażał się pan hrabia razem z księciem na straszliwy ogień angielski, miotany z twierdzy na pływające baterje. Baterje te ginęły od kul rozpalonych, wzlatały na powietrze, ginęły w otchłaniach morskich, a pan de la Porte był zawsze z księciem na przodzie. Jako dowód odwagi młodego oficera, przytaczano jeszcze o nim powieść po salonach Europy, że kiedy wynaleziono balony, on pierwszy puścił się w Lyonie w nadpowietrzną podróż. Teraz przyjacielowi swojemu, nowy zawód wskazał de Nassau; chciał go wziąść aż do Konstantynopola.

Karol nie myślał długo, jak co postanowił. Jego podróże wojenne, z boju do boju, były szybkie jak piorun, a podobne do biegu paladynów. Kiedy przybywał w ciągu dni kilkunastu o mil kilkaset wracając do domu, albo śpiesząc się do walki, de Nassau wyglądał zupełnie jak kawaler okrągłego stołu. On nie umiał jechać ze wsi do wsi, z miasta do miasta, ani nawet z kraju do kraju. Jego podróże obejmowały nierównie większy zakres ziemi, z Hisz-

panji do Polski, z Polski do Francji, a z tamtąd do Turcji i Rossji. Nie otaczał się w drodze żadnym blaskiem i przepychem; owszem dziwili się wszyscy temu przyzwyczajeniu Karola i mówili, że mu brak na świetności godnéj urodzeniu i stanowiska w świecie. Nadzwyczaj w obejściu się zimny, miał maniery pospolite, rozmowa z nim była płaska, bo o niczém nie rozprawiał jak znawca — owszem książe de Nassau nie miał wcale nauki. Żywość jednak charakteru i niestałość umysłu uderzała w nim każdego na pierwszy rzut oka. Był z resztą wysokiego wzrostu, a rysy twarzy miał regularne, nawet piękne męzkie rysy, chociażby nikt nie poznał po nim, że to sławny książe Nassau, tak mało fizjonomia twarzy uderzała myślą i wyrazem. Książe posiadał mierne talenta, ale odwagę szaloną tak, że tą właśnie pogardą niebezpieczeństw szeroko rozgłosił swoje imie. W ukształconych towarzystwach miał o sobie ustaloną opinję awanturnika, po za salonami mówiono o nim, że to czarodziéj, bohatyr, pierwszy człowiek swojego czasu. Miał téż więcéj książe de Nassau sławy, jak budził uszanowania. *)

Żona jego Karolina Gozdzka, miała wiele wspólnego z mężem. Jak on, nie umiała się zająć niczém, a zapalona imaginacja tworzyła w jéj głowie cudy. Charakter taki można zwać romansowym. W tém znaczeniu, księstwo Nassauscy byli oboje bardzo romansowi.

W końcu kwietnia 1784 r. Karol znajdował się w sto-

*) Świetny ten portret, skreślony podług pamiętników księcia de Ligne, który znał osobiście Karola de Nassau.

licy cesarstwa, powracając prosto z Hiszpanji. Myślał przedstawić się u dworu. Sądził książe, że dosyć już zrobił dla swojéj sławy, że w Wiedniu już powinny upaść względem niego przesądy. Z resztą, chciał wznowić process o Siegen i Hadamar z domem Oranji i nie myślał wcale upominać się o dobra rodziny, które już przeszły na własność domu Cesarskiego. Doszedł więc z kolei Karol tego, czego pragnął w dzieciństwie. Sławą swoją wzniósł się tak wysoko, że obalił przesądy które otaczały jego kolebkę; chciał uznanym być prawnie za potomka książąt Nassau-Siegen.

W saméj rzeczy, Cesarz go przyjął u siebie na posłuchaniu i książe Kanclerz, ale jeszcze nie jako członka rzeszy niemieckiéj. Z resztą był to już krok ważny. Kaunitzowi przedstawił go jako jenerała w wojsku Króla chrześcijańskiego poseł francuski, Markiz de Noailles, a przed Cesarzem stanął jako monsieur de Nassau. *)

W początku maja z trzema oficerami francuskiemi, pomiędzy któremi był i de la Porte, puścił się książe z Wiednia do Warszawy. W stolicy polskiéj nie długo bawił, bo chciał jeszcze płynąć łożem Dniestrowém. Do sejmu zostawało mu jeszcze pięć miesięcy; miał więc czas jeszcze, bo na sejmie chciał być koniecznie przytomny obradom, na których posłowie mieli rozbierać jego prawo do indygenatu polskiego. Przyjaciele mu obiecali, że projekt w tém celu podadzą na sejm do laski.

Z Warszawy jechał na Podole i zaraz zawinął się koło

*) Gazeta Warszawska 1784 № 41. Supplement i № 41.

Dniestru. Szło księciu naprzód o przekonanie się, czy ta rzeka jest spławną aż do swojego ujścia w morze Czarne. Nassau wchodził już w rozleglejsze widoki. Sprawa czarnomorskiego handlu z Polską obchodzić zaczynała Francją. Jeszcze w czasie wojen barskich, biskup Krasiński potrafił ministrom Ludwika XV przedstawić wszystkie tego handlu korzyści. Dla tego de Vergennes polecił posłowi francuskiemu w Stambule, panu de St. Priest, żeby zgłębił tę sprawę handlu polskiego łożem Dniestrowém (1779 r.) Wysłany w tym celu de la Roche z Carogrodu, podawał plany rządowi francuskiemu, które zazdrość sąsiedzka zniweczyła. Jednakże i wtenczas jeszcze robiono mappy Dniestru i znaleziono, że koryto rzeki przedstawia niesłychane trudności. *) Ale awanturniczy książe nie uląkł się i postanowił pokonać same żywioły.

Zbudowano na prędce statek, czyli też gotowy kupiono i Nassau ze swojemi towarzyszami puścił się na żeglugę po malowniczych nadbrzeżach Dniestrowych przez żyzne Podole. **)

Statek jednak nie szedł tak prędko, jakby chciał książe. Czy źle był zbudowany, czyli też nie mógł wytrzymać ciężaru, statek zbyt wolno posuwał się po falach, jakby chciał się napatrzéć na cudne krajobrazy, które śliczną wstęgą opasywały nadbrzeża rzeki. Miała zapewne i ta wolna

*) Czacki

**) Podróż po Dniestrze, w tych samych właśnie okolicach, po których płynął Nassau, opisał Alexander Przeździecki w T. II, str. 76 i 91, w dziele: «Podole, Wołyń, Ukraina, obrazy miejsc i czasów.» Opis ten z przyjemnością się czyta.

żegluga przyjemności swoje, ale Nassau przyzwyczaił się już do szybkiego wykonywania myśli, — więc pragnął pośpieszyć z podróżą. De la Porte i dwaj inni oficerowie francuscy, wysiedli zatém na ziemię pod Jampolem i szli pieszo daléj, wyprzedzając statek, na którym pozostał sam Nassau. O 10 wieczorem trzy podróżni przybyli do Cekinówki, gdzie Dniestr płynął w pośród skał i winogradów. Kaliński, właściciel ziemi w Cekinówce, przyjął francuzów ze szczerą gościnnością i zastawił im sutą wieczerzę. Że księcia de Nassau nie było jakoś widać, Kaliński rozesłał swoją służbę w górę Dniestru, żeby dostać języka. Po kilku godzinach powrócili wysłani i powiedzieli, że książe na statku swoim zawinął o milę wyżéj i że tam już został na nocleg, a nazajutrz rano skoro świt, o trzeciéj godzinie, puści się w dół rzeki do swoich towarzyszy. Francuzi, żeby nie nadużywać grzeczności Kalińskiego, stanęli w karczmię Cekinowskiéj niby na nocleg, ale w kilka godzin gotowi już byli na godzinę trzecią. Szlachcic zaprosił ich na kawę, poszli do niego, ale de la Porte, niecierpliwy czém prędzéj zobaczyć się z księciem, pożegnał ich wprzód jeszcze i poszedł piechotą w górę rzeki naprzeciw statku. Kaliński pytał się oficerów o przyczynę nieobecności hrabiego, — odpowiedzieli, że de la Porte nie lubi kawy. Było to dnia 5 czerwca. Po śniadaniu, dwaj oficerowie poszli także naprzeciw księcia, który niebawem podpłynął przed czwartą jeszcze godziną. Ale pana de la Porte z nim nie było. Minęła chwila jedna, druga, trzecia, — książe zaczął się niepokoić, rozesłał we wszystkie strony ludzi. Biegano, szukano wszędzie: pan de la

Porte zginął gdzieś nagle, bez śladu. Zmartwiony de Nassau zatrzymał się w Cekinówce i pisał do jenerała Witta, komendanta Kamieńca z prośbą, żeby kazał przetrząść okolicę. Kamieniec ztamtąd był niedaleko. Witte wysłał zaraz z twierdzy całą kompanję żołnierzy. Próżne były wszelkie poszukiwania, — de la Porte zginął. Kilku jednak żołnierzy zeznało, że przeszło o milę od Cekinówki nad Dniestrem, widzieli nieznajomego jakiegoś człowieka, ze stroju widno, że cudzoziemca. Ten nieznajomy człowiek uciekał co sił przed niemi, przez skały i krzewy darł się do Dniestru. Pogonili za nim żołnierze, ale nieznajomy jakby ratując się przed rabusiami, rzucił się w rzekę w całém ubraniu i wpław płynął do wyspy piaszczystéj, która w tém właśnie miejscu zamulała koryto Dniestrowe. Stanąwszy na wyspie, nieznajomy obejrzał się, — żołnierze daléj za nim gonili i nawet wpław chcieli się dostać do wyspy. Przelękniony cudzoziemiec zaczął się rozbierać, żeby mieć lżejszy sposób ratunku i suknie swoje złożywszy na piasku, zostawił obok nich parę krucic, pas i koszulę, i znów rzucił się w rzekę, płynąc w odwrótnym od pogoni kierunku. Ale żołnierze widzieli, jak walczył w wodzie z niepodobieństwem ucieczki, jak mu sił po kolei ubywało, jak wreszcie wszystkie utracił, a łono rzeki uchyliło się przed nim. Biedny nieznajomy utonął.

O tych wszystkich okolicznościach doniósł księciu listem pisanym w Kamieńcu jenerał Witte pod dniem 22 czerwca. Żołnierze prócz stroju cudzoziemskiego, uważali po uciekającym jeszcze, że nie umiał po polsku, bo kilka dźwięków niezrozumiałéj mowy doleciało aż do nich. Wątpli-

wości zatém nie było, że biedny de la Porte utonął w Dniestrze. Książe niezmiernie go żałował. Wyrzucał sobie po części śmierć jego, bo wydarłszy go z objęć rodziny, z nad Sekwanny nad Dniestr pociągnął, bo mimowolnie, ale przeciął może świetną jego przyszłości osnowę. Młody de la Porte był już wtedy podpułkownikiem i kawalerem Śgo Ludwika.

Zmartwiony książe, szybko przebył resztę podróży i około 10 lipca był już w Stambule. Myśl handlu polskiego na morzu Czarném zajmowała go wtedy jedynie; dla téj myśli wyrzekł się do czasu i chęci zreformowania janczarów. W stolicy Porty Ottomańskiéj szukał nowych stosunków, któreby mu ułatwiły wykonanie powziętych zamiarów. Przekonał się, że Dniestr spławny jest aż do swojego ujścia w morze, i że po nim wygodnie płynąć mogą statki wyładowane zbożem. Książe myślał teraz obejrzeć wszystkie pobrzeża morza Czarnego, chciał zwiedzić Dardanelle i cieśniny pomiędzy Europą i Azją, jedném słowem, chciał poznać miejscowość, jakby zaraz potém miał budować w miejscach dogodnych, porty i stanowiska dla statków handlowych. Przesiedziawszy zatém kilka tygodni w Stambule, de Nassau rozpoczął znowu koczownicze życie i popłynął na morze Czarne. Obiecywał wrócić do Stambułu i cóś wtedy stanowczego przedsięwziąść.

Książe Nassau przełamał więc upór Dniestru i żywiołów, a owocem jego pracy są mappy hydrograficzne téj

*) Gazeta Warszawska 1784 № 73. List Wittego jest w № 58, Supplement.

rzeki, bardzo dokładne. Pierwsze to było usiłowanie i pierwsze mappy hydrograficzne w Polsce. Wymiar głębokości rzeki na wielu miejscach sprawdzony, zbogacił naukę i dał powód do późniejszych nowych usiłowań. *)

Nadchodził tymczasem sejm Grodzieński, na którym miano rozstrzygać rzecz indygenatu księcia. Jako właściciel obszernych podolskich włości przez żonę, de Nassau sądził, że ma prawo być obywatelem kraju. Porzuciwszy zatém Stambuł, morze Czarne, książe pobiegł na sejmik Podolski, który się odbywał w Kamieńcu. Nie miał wprawdzie na nim głosu, ale jakby ujmując sobie szlachtę, prawił wiele Podolanom o swojéj podróży i o swoich nadziejach, oświadczał, że Dniestr jest w całym ciągu spławny, że w skutku jego odkrycia cuda się dadzą zrobić dla Polski i obywatele stron okolicznych będą z czasem bogaci, każdy jak Krezus.

Z Kamieńca de Nassau pobiegł do Grodna i bywał ciągle na sessjach sejmowych, pomiędzy słuchaczami, których wtenczas urzędowym terminem arbitrami nazywano. Ogół wybrańców narodu był bardzo dla księcia przychylny: możnaby powiedzieć, że posłowie i senat i Król nawet śpieszyli się na wyścigi zadosyć uczynić życzeniom człowieka, którego posadzić pomiędzy sobą uważali za zaszczyt. 6 października Rzewuski poseł Wołyński, rozpoczął wnioskiem

*) W kilka lat potém, Kommissya Skarbowa wysłała Czackiego na Dniestr zrewidować prace księcia de Nassau. Nowe sporządzone karty od Uszycy, 5 mil niżéj Żwańca do Bondem, pokazały, że nie wielka wcale różnica jest na nich od mapp księcia. Czack téż Karolowi de Nassau oddaje za to zasłużone pochwały.

swoim szereg projektów za księciem. Rzewuski wychodził z zasady gościnności narodowéj. Spostrzegł na ławkach arbitrów wielu cudzoziemców, a zwłaszcza księcia de Nassau. Uważał, że miejsce dla tych gości za szczupłe i wnosił, żeby marszałek W. L. wystawił dla nich obszerny balkon w izbie sejmowéj. Mowę swoję przeplatał pochwałami dla księcia. Głos Rzewuskiego poparli inni posłowie i projekt przeszedł. Takie było zagajenie sprawy o indygenat.

Król Stanisław August korzystał z okoliczności. Starali się wtenczas o prawo obywatelstwa w Rzpltéj i książęta niemieccy panujący w Anhalt. Stanisław podług raz ustalonego zwyczaju, podał od tronu swoje propozycje sejmowe. Chciał razem przy indygenacie Anhaltów i księcia de Nassau zahaczyć. I w istocie, w liczbie propozycji swoich, pomieścił jednę, siódmą z kolei, w któréj upraszał Stany o indygenat dla Anhaltów i Karola de Nassau.

23 października na sesji południowéj, wielu ministrów przemawiało w duchu propozycji królewskich, a dnia 3 listopada Kazimierz Nestor Sapieha, jenerał artylerji Lit. podał powód do rozpraw, kiedy przedstawiał projekt do laski marszałka sejmu, Chomińskiego. Projekt ten przeczytano zaraz nazajutrz w obudwu izbach połączonych, a nawet rozpraw nie okazała się potrzeba; projekt przeszedł prawie jednomyślnością.

Książe obecny wtenczas w sejmowéj izbie, skoro ogłoszono wypadek głosowania, wyszedł natychmiast z sali i przebrawszy się w mundur województwa podolskiego, znowu ukazał się w izbie na miejscu, które wprzódy zajmował, w pośród ogólnego szmeru. Ten krok jego podobał się

powszechnie. Wdział na się z wierzchu kontusz papuziego czyli zielonego koloru z wyłogami czarnemi, a pod spód żupan biały. Do boku szablę polską przywiesił.

Jakby na odpowiedź za tak prędkie przebranie się, poseł podolski, teraz już spółobywatel pana de Nassau (Denassawa), Józef Mierzejewski, strażnik polny Kor. wniósł materję czarnomorskiego handlu pod obrady, umyślnie dla tego, żeby znalazł sposobność pochlebnie przemówić o księciu niemieckim, który rzucał tytuły dla godności obywatelskiéj.

Zdawałoby się po tém wszystkiém, że Karol de Nassau namyślił się i że chciał osiąść stanowczo w Polsce. Miał już lat czterdzieści. Ale żywa krew na nowo w nim zagrała. Zdawało się księciu, że najpiękniejsze chwile życia przepędził w Hiszpanji, która widziała w istocie największe jego tryumfy. Postanowił odtąd żyć i działać dla Hiszpanji. Może gorące niebo i namiętności południa obudziły w nim to nowe życie. Książe chorował często na serdeczne obłąkania, a te co chwila nowe jego plany i podróże, wyglądały nieraz jak plany i podróże obłąkanego. Żona się na niego o to wcale nie gniewała, zakochana w pozornéj sławy męża odblaskach.

W kilka miesięcy już po sejmie Grodzieńskim, książe leciał do Paryża, gdzie przedstawił się u dworu dla tego jedynie, żeby złożyć swoje urzędy wojskowe i oddać się takim sposobem całkiem nowym swoim przeznaczeniom (w marcu 1785 r.) Król Francuski wyznaczył mu przy téj okoliczności 12,000 liwrów dożywotnéj pensji. W siedem dni stanął Nassau w Madrycie po wyjeździe z Paryża (1 kwietnia.) Dzisiaj to nic dziwnego, ależ wtenczas była to podróż po-

pychana wiatrem. Miał Nassau dostać w Hiszpanji regiment i zarząd jednéj z najcelniejszych prowincji. Ale zaledwie stanął i z rąk Królewskich otrzymał świetny urząd Marszałka polnego w wojsku; Nassau już myślał o nowéj wycieczce. Jego imaginacji świeże się przedstawiły obrazy: Hiszpanja nie miała wiele drzewa zdatnego do budowli okrętów, a książe przypomniał sobie nagle wspaniałe lasy żony swojéj na Podolu. Wygadał się z tém przed ministrami i podał Królowi Hiszpańskiemu nowy projekt: chciał ze swoich dóbr polskich sprowadzać drzewa okrętowe morzem nad Tag i Gwadalkwiwir, i flotę hiszpańską myślał w portach nowéj swojéj ojczyzny budować. Król od cła zwolnił drzewo polskie, bo naturalnie odniósłby z niego setne korzyści. Już więc w kilka tygodni po przybyciu do Madrytu książe de Nassau pędził z powrótem, pożegnawszy Króla, przez Marsylję i Włochy do Warszawy. Urządzenie żeglugi Dniestrowéj teraz go zblizka i osobiście zainteresowało. Ale wciągu podróży zaczepił o Wiedeń (w początkach sierpnia). Już ochłódł wtedy z pierwszego zapału, i zmieniając myśli jak suknie: Hiszpanję piorunem porzucił dla podolskich lasów, a teraz całe już miesiące trawił na podróży, jakby mu nie było śpieszno budować flotę hiszpańską. Namyślił się więc widać po raz tysiączny i nowe widoki zajęły nagle myśl jego. *)

De Nassau — polak, pomyślał teraz na serjo o processie, jaki mu w Niemczech rozpocząć wypadało, bo siedział w Wiedniu. Miał niepłonne nadzieje, że księstwo

*) Gazeta Warszawska 1785 r. № 27 supplement, № 38, 41, supplement 43 i 70.

swoje i tytuły odzyska. Nie zrywając bynajmniéj z Polską, do któréj doprawdy się przywiązał, jakby do prawdziwéj ojczyzny, de Nassau myślał wejść do służby rossyjskiéj, żeby mieć prawo i do wsparcia Cesarzowéj Katarzyny. Jakoż w istocie, wręczył pozwy sztatuderowi holenderskiemu, żeby stanął przed sąd Ceserstwa. Dla Niemiec możeby lepiéj było, żeby ziemie Nassau i Hadamar powróciły znowu pod rządy własnego księcia, zamiast coby miały ulegać dziedzicznemu i potężnemu urzędnikowi sławnéj Rzpltéj. Stąd przewidywano zbyt zawcześnie, że książe wygra process, a przyjaciele Karola widzieli już jak na dłoni dzień, kiedy on powróci do swoich posiadłości. Sztatuder zsyłał tajnego radcę legacji de Szenka, do Frankfurtu nad Menem (w grudniu 1785 r.), a Nassau siedział ciągle w Wiedniu, żeby osobiście sprawę swoję popierać przed trybunałami. Process szedł jednak zwyczajnym trybem i dalekim był od końca. Kiedy Nassau wrócił do Warszawy z Wiednia, (w marcu 1786 roku.) Podole wysłało go z innemi swojemi obywatelami do księcia Prymasa do Jabłonny, z tak nazwaną *rekognicją*. Był to po prostu hołd pojedyńczo przez województwa, ziemie i powiaty, składany nowemu naczelnikowi duchowieństwa w Rzpltéj. Podole dla nieprzewidzianych okoliczności, aż do r. 1786 odroczyło tę powinność. Mówiono wtenczas właśnie, iż process księcia de Nassau już jakby wygrany, kiedy on 23 kwietnia razem z tłumem Podolanów był u Prymasa na obiedzie w Jabłonnie. *)

*) Gazeta Warszawska № 13 supplement, 34 — 41 z r. 1786.

W sierpniu zwiedził de Nassau Lwów i Galicję, a potém zawitał na Podole. Nadchodził czas zwyczajnego sejmu, a Karol chciał być posłem ze swojego województwa. Po żonie był starostą Mukarowskim i Nestorowickim na Podolu: mógł zatém prawnie reprezentować na sejmie swoich spółobywateli. *)

Byłby został de Nassau posłem, ale na nieszczęście swoje miał zbyt potężnego przeciwnika, w osobie cenionego powszechnie księcia jenerała ziem Podolskich. Adam Czartoryski, umyślnie zjechał do Dłuszek, dóbr swoich pod Kamieńcem, żeby się postarać o wybór szlachty. W wilję dnia sejmikowego pokazał się i Nassau w Kamieńcu. Dobrze rozpiął sieci, ale nie mógł wpływem swoim zaimponować Adamowi Czartoryskiemu. Jego stronę potajemnie pomiędzy szlachtą utrzymywał Orłowski, co to z prostego szlachcica dochrapał się na pana i sądził, że głosem swoim przeważy głosy Podola. Orłowski był łowczym nadwornym kor. Łasił się w oczy, pochlebiał księciu Adamowi, a myślał o wyborze Karola de Nassau, który zapewne jemu także pochlebiał. Intryga jednak uknuta była w zupełnéj tajemnicy i dopiéro nazajutrz wykryła się na sejmiku. W dzień wyborów, szlachta massami szła do parafialnego kościoła. Na zakręcie ulicy, Orłowski zamiast do Fary, udał się do Dominikanów. Nie zwracano na to wcale uwagi; szlachta myślała, że pan łowczy nadworny późniéj nadejdzie. Ale za Orłowskim poszło także z kilkudziesięciu zagonnych obywateli. Zmiarkował się albowiem

*) Starożytna Polska, T. 2, str. 957 — 959.

za późno łowczy, że sprawy nie przeważy na stronę Karola de Nassau. Postanowił zatém rozdwoić wybory i albo dopiąć swego, albo obalić księcia jenerała. U Dominikanów zatém rozpoczął nieprawnie obrady, kiedy konstytucje wyznaczały na ten cel Farę Kamieniecką. Tymczasem na sejmiku większości, u Fary, szlachta już podawała głosy za księciem Adamem, kiedy doniesiono jéj, że Orłowski marszałkuje na oddzielnym sejmiku. Zrobiła się wrzawa, hałas okropny. Zwolennicy Czartoryskiego dobyli szabel i biegli ku kościołowi Dominikanów. Byłaby rąbanina, gdyby książe Adam w szeregi zapaleńców nie poskoczył i słowami prawdy nie uspokoił zagniewanych umysłów. Na uczcie, którą potém jenerał ziem Podolskich wyprawił dla wszystkiéj szlachty, pogodziły się obadwa stronnictwa, ale Nassau i Orłowski zawczasu umknęli. *)

W początkach następującego roku, zdaje się, że Karol odwiedził Petersburg, z którego lada chwila miała nastąpić majestatyczna podróż Dnieprem do Krymu.

Nassau znalazł wiele przychylności u Cesarzowéj Katarzyny. Chciał już dawno przejść do służby rossyjskiéj,

*) Na téj uczcie zdarzył się żart nieprzyzwoity. Oczywisty świadek tego zdarzenia, które tutaj przytoczyliśmy, opowiada, że kiedy popiła się szlachta co za Nassauskim głosowała, i legła spać gdzie kto znalazł miejsce, przyjaciele księcia Adama wpadli natychmiast i dobywszy szabel, porozkrajali na czworo części niedawnym przeciwnikom swoim «tylne melony.» Zrobił się oczywiście większy jeszcze rejwach, a książe Adam zmartwiony, znowu godzić musiał zwaśnionych i zapłacił hojnie cyrulików, którzy rany biednym zszywali.

teraz nastręczała się piękna sposobność. Lada chwila wojna z Turcją miała wybuchnąć.

Nassau wyprzedził orszak Cesarski w Kijowie. Tutaj towarzystwo jego składali: Petemkin, hetman Branicki, książe de Ligne z synami, hrabia Dillon i moc innych gości, których zgromadził w murach swoich gród starorożytny Olega.

W Chwastowie zajechał drogę Królowi Poniatowskiemu książe de Nassau (21 marca.) Mile przyjęty, grał u niego w karty i bawił się rozmową z nadjeżdżającemi gośćmi z Wiśniowca. Potém z Kijowa raz jeszcze przyjechał do Kaniowa (3 kwietnia) i uzyskał zaraz posłuchanie u Stanisława. Opowiadał mu wiele pocieszających dobrych rzeczy. Król wcale był kontent z tych odwiedzin i cały ten dzień strawił na rozmowie z księciem. Była pogoda i cicho na dworze, — więc obadwaj udali się na spacer z całym dworem, oglądali nowę murowaną cerkiew Bazyljańską, potém zwiedzali ogród na górze, zkąd prześliczny mieli widok na mil kilka w około. Król nawet wstąpił do księcia de Nassau, który mu wiele książek podarował, a Stanisław chciał zaraz zobaczyć swoje skarby, z których nie jeden, zdał się może dla pracy Naruszewicza.

Nareszcie 6 maja, najpierwszemi osobami co przyjechali do Kaniowa powitać Króla imieniem Cesarzowéj, byli książęta de Ligne i de Nassau.

Stanisław powrócił do Warszawy, a Karol pojechał daléj z orszakiem Katarzyny na Krym; widział Cherson i Odessę, co krok spotykał ślady nowéj cywilizacji, przeszczepionéj

do tego na pół dzikiego kraju, a o któréj sam jeszcze marzył niedawno, kiedy chciał Dniestr uspławnić i pod Stambuł posyłać statki polskie.

Wojna wybuchła nareszcie. Sławny projekt grecki miał stać się rzeczywistością. Nassau złote góry obiecywał Cesarzowéj, bo dawna chęć awanturniczego życia, zawrzała w nim silniéj, jak kiedy. Książe marzył o wypędzeniu Turków z Europy. Mówił zaś z taką pewnością siebie, z tak mocném przekonaniem o potędze swojego geniuszu, że Cesarzowa, która zawsze ceniła go wiele, olśniała nagle przed tysiącem projektów kolossalnych. Przyjęła go natychmiast do służby i dała księciu dowództwo nad flotyllą wiosłowych statków. Wyprawiła potém na morze, aby odnosił zwycięstwa.

Wojna głównie odbywała się tylko na lądzie: walka Karola Nassau na morzu z kapudanem-paszą, miała być tylko epizodem. Jednocześnie zatém, kiedy Potemkin i Rumiancow z massami wojsk uderzali na twierdze tureckie, książe wypłynął na morze. Wiódł za sobą galary i płaskie statki. Przeważna flota kapudana krążyła już około ujść Dnieprowych. Pomino słabszych nierównie sił, Nassau, jak zawsze tak i teraz awanturnik, uderzył na Turków, stojących spokojnie przy limanach starosławiańskiéj rzeki. Mógł stracić wszystko w otwartym boju, a przecież odwaga, pogarda wszelkich niebezpieczeństw, odniosła zwycięstwo. Było to dnia 28 czerwca 1788 r. Turcy cofnęli się, ale Nassau uderzył na nich wściekle raz drugi, opanował kilka okrętów i rzęsisty ogień wypuścił na flotę kapudana-paszy. (12 lipca) Turcy ponieśli drugą straszliwą

klęskę. Okręty ich były pół na pół zniszczone, siła morska porty Ottomańskiéj prawie już nie istniała. Korzystał dobrze z ogólnego przerażenia Nassau, — pogonią i częstemi zaczepkami, do szczętu strawił całą potęgę kapudana-paszy. Był to szereg, doprawdy, świetnych zwycięstw. Dotąd książe zalecał się tylko szaloną odwagą, dzisiaj wsławiał się stanowczemi zwycięstwami. Bitwy jego na limanach Dnieprowych, miały też wpływ wielki na losy wojny. Potemkin mógł swobodnie oblegać Oczaków.

Gdyby Nassau miał pod swojemi rozkazami całą flotę, zagroziłby Stambułowi, a projekt grecki byłby może wszedł w życie. Jednakże nie mógł się nawet książe spodziewać nadejścia pomocy, bo flota jednocześnie działać musiała na Czarném morzu i na Bałtyku, przeciwko Turcji i przeciw Szwecji.

Ustęp morskiéj wojny skończył się więc, i potém już, aż do pokoju w Jassach, na lądzie tylko staczano bitwy. Ale książe de Nassau, urosł nagle na olbrzyma wojny w oczach Europy. Cesarzowa Katarzyna nadała mu stopień wice-admirała.

Wtenczas i sławny poeta nasz Trembecki, pisał szumną odę do księcia de Nassau, wynosząc go pod obłoki za zwycięstwo przy limanie Dnieprowym.

Było cóś urzędowego w tych pochwałach rzucanych na zimno, bo i cóżby za powód miał Trembecki zachwycać się tą nową sławą księcia de Nassau? Na naród nie spadał ztąd żaden zaszczyt, że ktoś tam popisał się w boju i nazywa się obywatelem Rzpltéj. Pan szambelan zapomniał,

że ojczyzną księcia były Niemcy, a raczéj świat cały. Trembecki pisał:

Szczęście to, albo raczéj mądrość Katarzyny
Przyciąga zacnych mężów przez waleczne czyny.....
Nassau, bitnych Polaków bracie znamienity,
Twojéj nowéj ojczyzny pomnażaj zaszczyty;
Więcéj ci nasza równość do smaku przystanie
Niżli wielkość Iberji, w Niemczech panowanie!...

Wielkość w Iberji, — to przymówka do tytułu granda w Hiszpanji. Nowa ojczyzna — to Polska.

Wyrazy Trembeckiego odzywały się ogromną przesadą. Zemścił się też nad księciem Nassau za kapudana-paszę ktoś, co lepiéj rozumiał te rzeczy. Pana szambelana poetę skarcił drugi nieurzędowy poeta. Ubliżał umyślnie księciu, a Trembeckiemu odpowiadał z silném oburzeniem:

Liman twój wpadł mi w ręce; pomyślałem sobie:
Chwalił też Erazm głupstwo, lecz w innym sposobie.
Bo pytam: przez cóż tedy pomnożył zaszczyty,
Ten indygena naszéj Rzeczypospolitéj?.....

I daléj:

Wierzę, że awanturnik, aby został panem
Raz leci pod Gibraltar, drugi pod Limanem.
Cóż straci? jeźli zginie z zuchwałego kroku?
Księstwo? ależ go nie ma syn lewego boku.
Pozwolenie okrętu? świtę jenerała?
Jazdy też nigdy Polska nie potrzebowała.
Nie można tych winować, co w porę spokojną,
W służbę weszli niemiecką przed dzisiejszą wojną,
Chęciom nauki właśnie poświęcili siebie.
Honor zabrania służbę porzucać w potrzebie.

Był w wojsku Poniatowski, został ranny: za czem
Przynosi Polsce zaszczyt męstwo pod Sabaczem. *)
A Nassau cóżby wskórał z śmiałego zapędu?

Autor wprzódy wyraził zwątpienie, żeby Polak miał jaki interes w poniżeniu Turcji i ztąd udając, że Marewiczowi, sławnemu swoich czasów rymoklecie odpowiada, tak kończy swoją filipikę:

Dajże pokój zwycięstwom twoim Marewiczu;
Co jest naganą, nie chwał w Polaków obliczu.
A raczéj gdyć tak pięknie Apollo napusza,
Chwal Polaka, którego wielkomyślna dusza
W téj nieszczęśliwéj toni bronić się zabiera
Ojczyznę.....
Tego, który majątek swym znojem nabyty
Oddaje na obronę Rzeczypospolitéj.....
Tych wynoś, których naród powszechnie szacuje....
A wreszcie Tyrteusza pięknym idąc śladem
Weź trąbę, zapal ziomków chwalebnym przykładem,
Wspomnij imiona godne nieśmiertelnéj chwały!.....
Śpiewaj, trąb, krzycz nareszcie, niechaj cię to boli,
Że się dźwignąć nie możem.....

W poezji polskiéj zostały się te pamiątki po księciu de Nassau.

Jednakże w ruchu, jaki wywołał w Rzpltéj sejm Wielki czteroletni, książe de Nassau poczuł wyraźnie w sobie, że serce jego biło. Żona jego bawiła wtedy w Warszawie i excentrycznością swojego charakteru przyczyniała się wiele do ogólnego zapału. Sam książe zmienił się na chwilkę w dyplomatę. Prusy żądały Torunia i Gdańska od Rzpltéj.

*) Książe Józef ranny pod Sabaczem.

Wieści o tém już były tak głośne, że nawet na kongresie w Reichenbach, mówiono, rozpoczną się w tym celu z mocarstwami układy.

Książe jeździł więc imieniem Cesarzowéj Katarzyny do Wiednia, Wersalu i Madrytu. Szło o to, żeby Gdańsk i Toruń pozostały przy Polsce, a nie odeszły do Prus.

Ledwie nowy dyplomata kończył swoję podróż po trzech dworach zagranicznych, inne pole zasługi wyznaczyła mu Cesarzowa na morzu Bałtyckiém. Wojna ze Szwecją odnawiała się na północy. W Finlandji żwawe tylko zachodziły utarczki, ale krwawa wojna i zacięta, toczyła się już od roku prawie na morzu. Nassau wezwany był tedy na morze. Nie wahał się ani chwili.

Król szwedzki groźnie stanął na odnodze Finlandzkiéj, w obliczu Petersburga. Ale pobity 3 czerwca 1790 r. musiał się cofać. Rossyjska flota, w któréj i książe de Nassau dowodził, zaparła Gustawa od przystani Wyborgskiéj. Tutaj klęska następowała jedna po drugiéj, a 3 lipca zgorzała do szczętu cała flota szwedzka. Szczątki ocaliły się tylko. Książe de Nassau odznaczył się i przy téj okoliczności krwią zimną i męstwem. Bitwa w cieśninie Wyborgskiéj tak stanowczą była w téj wojnie, że od niéj datuje się moralny upadek Szwecji na północy. Mówiono wtedy, że Wyborg zemścił się za Narwę.

Książe de Nassau posłany był z częścią floty naprzód, w pogoń za królem Gustawem, który się wymknąć potrafił. Dano mu pod jego rozkazy, na galerach kilkanaście tysięcy lądowego wojska. Książe obiecywał, że króla złapie do niewoli, że z wojskiem sobie powierzoném posunie się

pod sam Sztokholm, że uderzy nagle na stolicę Szwecji wtenczas, kiedy się tego będzie najmniéj spodziewała, że wojnę skończy jednéj chwili. W saméj rzeczy, te obietnice łatwo mogły się spełnić. Król Gustaw był jakby w zamknięciu, a rachowano wiele na szczęście i szybkość działania księcia de Nassau.

Ale tą razą zawiódł sławny bohatyr wszelkie nadzieje. Przyszła na niego kolej. Los chciał rozumu nauczyć księcia, żeby nie wiele ufał szczęściu i działał zawsze podług planu, nie porywczo i zuchwale, ale zawsze z ostróżnością. W saméj rzeczy, los dokonał świetnego zwycięstwa nad księciem de Nassau, który się przekonał, że tam gdzie idzie o wielkie rzeczy, nie popłaca wcale dziecinna pogarda niebezpieczeństwa.

Zaufany w sobie, nie dawał baczenia książe de Nassau na obróty i zamiary Króla Gustawa. Aż nagle, w 6 dni po świetném zwycięstwie w przystani, Szwedzi uderzyli na niego, łatwo złamali jego linję obronną, straszliwym ogniem cisnęli na galery i w kilka chwil książe był rozbity. Stracił ludzi i 44 statków, a tylko przez nieostrożność. Stracił co gorsza sławę swoję wojenną. Przekonała się Europa teraz dopiéro, że Karol de Nassau mógł lwy gromić w Afryce i pod Gibraltarem brawurować, ale nie mógł dowodzić siłami mocarstw. Książe de Nassau był człowiekiem czynu, ale nie myśli, był awanturnikiem, ale nie wodzem.

Porażka ta nastąpiła 9 lipca w cieśninie Svenska–sund. Nassau był tak nią przerażony, że oddąd znienawidził sławę wojenną, stracił zupełnie humor i nie występował

już wcale na scenę politycznego życia. Odtąd zaczyna się jego epoka, że tak nazwiemy, kontemplacyjną. W lat pięćdziesiąt wieku, zastarzał się nagle nasz książe.

Znosił naprzód ciężkie wymówki od towarzyszów broni. Byli tacy, co mu dawniéj jeszcze zazdrościli szczęścia, i stopnia i względów Monarchini, bo książe de Nassau mógł się przed innemi zalecić jéj łaską. Skarżył się więc przed Cesarzową na podwładnych. Ale Katarzyna odpowiedziała księciu własnoręcznym listem, w którym obiecywała mu i nadal swoją opiekę i nie kazała wcale zważać na krzyki niechętnych.

Rzuciwszy morze, Nassau nie zaraz tak przecie udał się na spoczynek, wewnętrzna czynność go paliła. Przejechał szybko Polskę rozdzieraną Konfederacjami. Ten widok wiele go kosztował. Ale że nie chciał brać żadnego udziału w sprawach Rzpltéj, bo widział jéj losy i przyszłość, przemknął się do Niemiec, które się gotowały wstąpić w nową erę życia. Na zachodzie wrzała ogromna wojna. Książe jakiś czas czepiał się wojsk sprzymierzonych, niby to chciał objąć jakie dowództwo i niby to znowu nie chciał, wyjechał z nad Renu do Petersburga w poselstwie od Koalicji do Cesarzowéj. Był chwilkę w Warszawie (w październiku 1793 r.) Targowica już się wtenczas skończyła, a nowy sejm konfederacyjny obradował w Grodnie. *)

Nie bił się przeciw Francji Karol de Nassau i wołał

*) Korrespondent krajowy i zagraniczny 1793 r. № 87 Supplement.

odpoczywać już na wsi po tylu trudach. Cesarz Paweł nie lubił go i dawał mu to nieraz poznać. Zmartwienia świeże, zawiedzione nadzieje odezwały się wtedy mocno w sercu księcia. Obejrzał się na całe życie, — spłynęło mu błyskawicą.....

Osiadł więc spokojnie w dobrach swoich na Podolu i tylko z tamtąd robił wycieczki po Europie, które jednakże nie były już ani tak szybkie, jak poprzednie, ani tak częste. Wzywano go podobno do boju przeciw Francji. Książe nie przyjął wezwania. Jednakże raz, o ledwo że się nie wplątał w wojnę, i to przeciw samemu jenerałowi Bonaparte. Bawił w Wenecji właśnie w r. 1796, kiedy Rzplta, przestraszona odgłosem zwycięstw nowego boga wojny, chwiała się aż w posadach swoich, z okropnego przerażenia. Trzeba było się bronić, a tutaj ani miejsca nie było, ani silnego rządu. Rozpacz podała środek. Obrócono oczy na księcia de Nassau. Za wolą staréj Rzpltéj, miał on stanąć na czele rządu, z zupełną dyktatorjalną władzą. Zdaje się, że Karol przystawał na prośby Wenecjan zdjętych przeczuciem wielkiego nieszczęścia. Ale sprzeciwił się temu dwór Wiedeński, który zawsze w Karolu widział pretendenta i może dla tego Wenecja upadła. *)

Jeszcze więcéj odludkiem stał się Karol de Nassau. Zapomniał już nawet o księstwach swoich niemieckich, bo i gdzież w czasach tak burźliwych, jak był koniec XVIII stulecia, można było myśléć o takiéj drobnostce? Wtedy

*) A. Przezdziecki podając tę wiadomość w dziele przywiedzioném wyżéj, cytuje: Daru, Histoire de Venise. Livre 37.

powstawały nowe państwa, a ginęły dawne, potężniejsze od Nassau, na mocy jednego tylko edyktu. Gdzież można było mieć nadzieję odzyskania włości Siegen i Hadamar? Nawet, przytaczamy to także za nowy dowód zobojętnienia, nie zajmowały księcia wcale kolosalne boje, jakie wtedy staczała Europa. W pośród tych znakomitych wojowników, jacy wtenczas zasłynęli, jego myśl goniła jedynie za Napoleonem Bonaparte. W tym jenerale Rzpltéj, Nassau podziwiał geniusz, jak świat ogromny, podług wyrażenia się Klebera.

Na Podolu tylko, spokojny i w ustroniu, książe przyjmował uciekających przed gilotyną paryską, znajomych swoich i przyjaciół z Francji. Przyjmował ich gościnnie, płacąc serdecznością za dawne współczucie.

Z Podolskich włości swoich wybrał wieś Tynnę, za mieszkanie. Była to ulubiona jego siedziba. Leżała o cztery mile od Kamieńca na szerokiéj płaszczyźnie. Wspaniały kościół, był najcelniejszą ozdobą miejsca, dwie wieże służyły mu za facjatę, a cztery kaplice stały po czterech rogach na około. Cudne podanie urokiem nieziemskim opromieniło ten kościół. Za czasów dawnych, kiedy nie tylko świątyń, ale i mieszkań ludzkich nie było na téj ziemi, mówiło podanie, podróżni przechodząc tędy, słyszeli zawsze jęki dzwonów na tém świętém polu. Zdjęci zjawieniem cudownem, osiadali więc tutaj ludzie i rosła osada, potém i kościół wzniósł się, a w kościele obraz N. Panny zasłynął skarbami łaski, jakie na pobożnych wyrzucił. Od dzwonów, naśladując ich odgłos, osadnicy wieś swoją Tynną przezwali.

Otóż w téj Tynnie, w gronie znajomych z nad Sekwany, przepędzał książe ostatki swojego życia. Może im nieraz opowiadał o wspomnieniach pobożnych Tynny, jak w czasie napadu Turków na Podole, przeniesiony był obraz cudowny ze czcią do katedry w Kamieńcu, jeszcze za Króla Michała, jak potém po utracie Kamieńca, kustosz obawiając się, żeby obraz nie skusił wyznawców islamu, odarł go ze wszystkich bogactw i pobożnie zakopał w ziemi; jak potém pani Humiecka, jedna z pramatek jego żony, modliła się o ten obraz przed Turkami i nieprędzéj pomyślała o dzieciach, aż święty zakład wyniosła z Kamieńca do Lwowa; jak inna Humiecka, pani Tynny, wymurowała kościół nowy i późno już, za Augusta III, obraz cudowny przewiozła do wsi, gdzie słynął przedtém cudami. Zabawnie wygląda, mówi Przezdziecki, kiedy poszukującemu starych pamiątek na Podolu, spotykać się zdarzy po niektórych aktach powiatowych, z imieniem *jaśnie wielmożnéj* Dyanny de Polignac. Cała ta rodzina, niedawno jeszcze tyle znaczących magnatów francuskich, bawiła wtenczas u księcia de Nassau w Tynnie. Z jego łaski miała środek do utrzymania życia.

Było to jeszcze bardzo pełne ruchu i wesołe życie, dla naszego admirała z limanów Dnieprowych. Na Wołyniu formowały się bowiem pułki rojalistów Kondeusza, który chciał Ludwika XVIII prowadzić prosto do Francji z nad brzegów Styru i Horynia. Cesarz Paweł trzy miasta, Kowel, Łuck i Włodzimierz wskazał mu na główną kwaterę, bo książe Kondeusz wyrachował zawczasu, że ztąd najbliżéj było do ojczyzny. Wśród bagien więc i lasów wołyńskich

ujrzały się nagle roskoszne dzieci i panicze z Paryża, Lyonu, Bordeaux, Gaskonowie, Normandowie, Bretonowie, potomki szlacheckich rodzin z Lotaryngji, Burgundji i Langwedoku. Pojawienie się Francuzów w tych stronach, ludzi młodych, ukształconych, pięknych, dowcipnych, przerodziło Wołyń w drugą Francję in partibus, we Francję będącą na wygnaniu, wzdychającą do komnat Louwru, do pokojów w Tuilleries, albo salonów Wersalu. Zawiązały się stosunki przyjaźne, związki miłośne; serenady, wierszyki były w modzie. Piękne Wołynianki słuchały zwodzicieli, bo dla téj płci na całym świecie największą były i są ponętą, grzeczność, lekkość i wdzięki. Wojsko księcia Kondeusza bawiło się zatém w piosenki i miłostki na Wołyniu, zamiast iść na krwawe boje na zachód. Rozciągało swoje kordony i kwatery coraz daléj na południe; zaglądało tam za urlopem, aż na podolskie łany, na ukraińskie stepy. Życie zdwoiło się, obyczaje staropolskie zmieniały się pod wpływem nowych wyobrażeń i pojęć francuskich, tém bardziéj, że czasy Stanisława Augusta już zerwały niepowrótnie z przeszłością. Panicze odkryli téż w swoich wycieczkach i Tynnę księcia de Nassau i jaśnie wielmożną Dyannę de Polignac.

Emigranci gniewali się na pierwszego konsula Francji. Ale innych dla niego uczuć był książe de Nassau. Kiedy pokój zawarty w Amiens (25 marca 1802 r.), zdawało się, rzucił już trwałe zasady do przyszłego ustalenia się państw i ludów Europy, książe wybrał się wtedy umyślnie w podróż do Francji i do Paryża, żeby zobaczyć nadzwyczajnego człowieka. Widocznie opuszczała już pana Tynny

żywość lat młodzieńczych i przyzwyczajał się książe brać wszystko pod dojrzalszą rozwagę. Znalazł się w nim teraz i podziw dla geniuszu, czego dawniéj w charakterze jego nie było, kiedy pokładał wszystko na los ślepego szczęścia. W obliczu Bonapartego, widział, że nawet szczęściu swojemu ufać by nie mógł. Nie jedna tylko odwaga, nie zuchwalstwo, mogły porodzić wielkość.

Ale księżna de Nassau zostawała wciąż jeszcze pod wpływem dawnego upojenia, dawnéj czci, którą składała dla sławy swojego męża. Błyszczała jeszcze w salonach paryskich za czasów Konsulatu, chociaż krótko. Miał dawniéj wadę mąż jéj, że jak wszyscy ludzie miałkiego umysłu, przesadzał w opowiadaniu swoich przygód i zmyślał rzeczy niepodobne do wiary. Książe de Nassau kłamał po prostu, jak fałszerz, bez sztuki i bez dowcipu, jak Radziwiłł Panie Kochanku, prawdziwy artysta zmyślania, za co go nawet i bajarzem narodowym, poetą życia, nazwano. Karolina Sanguszkowa wierzyła wszystkim powieściom swojego męża, — na to nie miała dosyć krytyki, żeby się sama nie zawstydzić. W Paryżu, z zimną krwią, z największą powagą, opowiadała najnieprawdopodobniejsze historyjki, niby tekst do jakich pamiętników pogrobowych. *) Zapał towarzyszył księżnie aż do ostatnich chwil życia. Francuzi słuchając jéj, chociaż tém, płacili za gościnność dla swoich emigrantów na Podolu.

Ostatnia to była podróż księcia. Odtąd zakopał się w Tynnie.

*) Patrz w Biographie universelle T. 30 z r. 1821, artykuł p. Foisset ainé, str. 583 i 584.

Karol de Nassau umierał samotny. Na pociechę dni starych, nie doczekał się dzieci ze swojéj żony. Całe więc przywiązanie swoje zlał na małą Greczynkę, córkę jakiegoś kapitana, którą żona jego gdzieś wynalazła wciągu swojéj podróży do Krymu. Maleńka nazywała się Ekomon. Księżna oddała ją na pensję do Paryża, do pani Campan, a książe Benewentu, minister spraw zagranicznych Napoleona, był opiekunem młodéj dziewicy. Niedługo potém umarła księżna, cały majątek zapisawszy mężowi, z warunkiem jednakże równéj wzajemności dla panny Ekomon.

Gotując się do śmierci, książe napisał wtenczas testament. Ciało swoje kazał w Tynnie pochować, przez przywiązanie do miejsca, w którém przepędził lat kilkanaście spokojnego już życia. Nad grobem kazał kwiaty zasadzić i dwie dziewczyny wiejskie miały co roku doglądać tych kwiatów i mogiły. Za tę przysługę, książe dziewczętom zapewniał posag. Nie chciał żadnego pomnika na cmętarzu, żadnego, chociażby prostego głazu, z napisem. Jedynie tylko wieczny fundusz na kwiaty mogilne, miał przekazywać pokoleniom odległym włościan pamięć o księciu. Prócz tego, porobił Nassau znaczne zapisy rodzinie Poliguac, a wypełniając polecenia żony, Tynnę i dobra Podolskie zostawił pannie Ekomon.

Książe umarł w Tynnie już za czasów księstwa Warszawskiego w r. 1809. Żył lat 64. Najznakomitsze ordery europejskie, Złotego runa, Ś. Januarego, Ś. Jędrzeja i Ś. Ducha posiadał: na każdy zarobił jakimś czynem bohatyrskim. Był to w saméj rzeczy ideał odwagi, grzeczności, dowcipu i uczciwości rycerskiéj. Liczne pojedynki,

hojność w wydatkach, awanturnicze życie, ciągłe przechwałki, obłąkania serdeczne: jego walki w puszczach Afrykańskich, pojedynek z tygrysem w przytomności szacha Perskiego, — są to wszystko charakterystyczne jego rysy, któreby posłużyć mogły poecie za przedmioty do tylu cudownych ustępów rycerskiéj epopei, w rodzaju Ariosta. *)

Ledwie kilkanaście lat minęło od śmierci księcia de Nassau, a na jego mogile w pośród wysokich topoli, pokrzywy tylko i chwasty rosną. **)

Wychowanica Greczynka wyszła w Petersburgu za mąż za Butiakina. Umarła już i dzieci jéj dziedziczą teraz dobra księcia de Nassau i Karoliny Gozdzkiéj. Niedawno za naszych czasów, dzieci te: Aleksander, Paweł, Eudoxja, Elżbieta, Marja, dochodziły przed sądami Warszawskiemi praw swoich do jurydyki Dynassowskiéj w naszém mieście. ***) Pan Uruski kupił wtenczas plac i rozwaliny pałacu, które pięknie sterczały na zielonem wzgórzu, niby na kobiercu ręką wiosny wytkanym. Nikt wtenczas nie zrysował tych murów, chociażby dla pamiątki tylko, a rozwaliny zawsze czuć poezją. Dzisiaj Dynassy ustępują miejsca swojego, niby młodemu stare pokolenia. Nie pusty już pałac, w którym gnieździły się sowy, stoi nad Wisłą, a a powstało tam już nowe miasteczko Sewerynów.

Tak skończył ten sławny bohatyr XVIII wieku, udzielny książe niemiecki, jenerał wojsk francuskich i hiszpańskich,

---

*) Rzewuski: Teofrast Polski.
**) Przezdziecki.
***) Gazeta Rządowa 1841, № 51

admirał floty rossyjskiéj, grand pierwszéj klassy, szlachcic polski, pogromca lwów afrykańskich i reformator janczarów, twórca czarnomorskiego handlu, obywatel polski, a wreszcie skromny mieszkaniec Tynny, *strzelec silny w obliczu pańskiém.*

Powtórzym o nim z Przezdzieckim: *Sic transit gloria mundi!*

GAZETA KSIĘDZA ŁUSKINY.

Kto był ksiądz Łuskina?

Był przyjacielem Bohomolców, Wyrwicza, człowiekiem bardzo uczonym na swoje czasy, biegłym teologiem, matematykiem zawołanym, był z resztą wydawcą jednéj gazety w Warszawie, mającym na nią wyłączny przywiléj, zazdrośnym dla tego względem innych współbraci, co się literaturą perjodyczną zajmowali, był człowiekiem pretensyi ogromnych, bo przekonanym, że on tylko jedynie w całéj Polsce posiadał tajemnicę jak bawić publiczność, wie co przed nią zataić wypada a co odsłonić, jak obudzić interes i ciekawość. Za Stanisława Augusta mało gazet wychodziło w Polsce. Łuskiny pismo było jednak pomiędzy niémi najpoczytniejsze, bo pochodziło ze stolicy, bo zawierało najświeższe zagraniczne wiadomości, bo do Warszawy zbiegały się wszystkie drogi i gazety, i stąd dopiéro po Rzpltéj rozbiegały się nowiny. Ksiądz Łuskina więc osądził się sam i powiedział sobie, że jest człowiekiem jedynym w Rzpltéj, że po jego śmierci będzie głucho na

ziemi polskiéj. I jak był z tego dumnym ksiądz jezuita! jak z góry patrzał na młodszych od siebie literatów! jak wierzył w swój rozum, w niedołęstwo umysłowe drugich! jak ciskał gniewu pioruny na młodszych od siebie pisarzy w zawodzie literackim, kiedy się w sferę działań jego plątali!

Stefan Odrowąż Łuskina pochodził z witebskiéj szlachty, dosyć zamożnéj na Biało-Rusi. Urodził się około roku 1724, pobierał nauki naprzód w akademji Wileńskiéj i zasmakowawszy w zakonném życiu wstąpił do jezuitów. Jest powieść zapisana w starych gazetach, że Łuskina znalazł jakieś przeszkody nieprzewidziane, kiedy się na ten krok stanowczy w życiu odważył: jezuici niechcieli go niby przyjąć do zakonu, pewnie ze względu na wiek zbyt dziecinny. Ale prowincjał którego bawiła prostota i upór pobożny młodego zwolennika Lojoli, stanął na stronie Łuskiny i przeważył szalę: «ty będziesz, moje dziecko, kiedyś spowiednikiem Królewskim,» mówił do niego prowincjał. Ktoś z boku słysząc to, wtrącił uwagę, że młodzieniec nie posiada języka zwyczajnego u dworu, a było to jakoś w pierwszych chwilach panowania Augusta III w Rzpltéj: językiem dworu był wtenczas język niemiecki. Ale prowincjał jezuicki odparł na to: «on téż będzie spowiednikiem narodowym, a jeszcze przecie żyje Stanisław Leszczyński, prawdziwy Król Polski w Lotaryngji.» Prowincjał zgadywał przyszłość. Dwa lata odbywał Łuskina nowicjat, a potém uczył dzieci w szkołach jezuickich. Pokazał nadzwyczajne zdolności do matematyki. Starszyna zakonna umyśliła go tedy wysłać w podróż za granicę i wskazała mu Rzym za miejsce stałego

niby pobytu; w Rzymie miał Łuskina poświęcić się wyłącznie matematyce. Młody jezuita odbył tę podróż o własnym koszcie i bardzo długo bawił za granicą. Jego widoki tam się rozszerzyły, chęć do nauki wzrosła olbrzymio: już nie matematyką tylko zajmował się, ale puścił się w astronomiczne badania, pracował nad fizyką, zagarniał cały ogrom nauk przyrodzonych. Oczéwiście w takim stanie rzeczy, podróż Łuskiny na Rzymie skończyć się nie mogła: trzeba było przejrzéć jeszcze całe Włochy, a przedewszystkiem Niemcy i Francją. Widział zatém młody uczony elektoraty niemieckie, przyglądał się hercogom i gotyckim sklepieniom kościołów Nadreńskich: był w Paryżu i Wersalu. Odwiedził téż po drodze i Lotaryngją i nad wszelkie spodziewanie swoje zrobił tutaj, jak to mówią, wielkie furore. Leszczyński stary nadzwyczaj polubił Łuskinę. Uderzyła mocno Króla skromność i ogromna nad wiek prawie nauka młodzieńca.

W Paryżu spotkał nasz podróżny przypadkiem ziomka z Litwy (w r. 1758.) Był to pan Ejsmont wracający z pobożnéj wędrówki odbytéj do grobu Ś. Jakóba w Kompostelli. Pan Ejsmont opowiadał Łuskinie tysiąc ciekawych rzeczy o Hiszpanji, kościołach, o zbójcach którzy go w górach obdarli. Ale jednak nie nakłonił go wcale, żeby jeszcze i do Hiszpanji zawitał. *) Wiózł Łuskina i tak mnogie owoce ze swojéj podróży po Europie do ojczyzny, kiedy już lat dziesięć upłynęło, jak pożegnał progi rodzinne.

*) Gazeta Warszawska z r. 1786 № 88 Supplement.

Wróciwszy do Polski, nasz jezuita był professorem. Starszyzna zakonna chlubiła się swoim wychowańcem, i dla tego zostawiła go na wielkim świecie, w kollegium szlachetnéj młodzi. Teraz dopiéro zaczynała się praca dla Łuskiny i zawód publicznego, obywatelskiego życia. *) W r. 1761, jeszcze obserwował w galeryi biblioteki Załuskich przejście Wenery przez tarczę słoneczną (w sobotę 6 czerwca). Początek tego rzadkiego zjawiska, które całą Europę zainteressowało, był dla Warszawy mało widzialny, chmury zawisły na niebie, ale się jednak wprędce rozpierzchły. Miał Łuskina najnowsze i najlepsze narzędzia do spostrzeżeń, które swoim kosztem sprowadzili wtedy dla niego wojewoda Mścisławski Plater, i Wielhorski Obożny koronny. Otaczało astronoma w bibliotece grono ciekawych i panów. **) Dla takiéj to pracy rzucił Łuskina rodzinną Białoruś i życie towarzyskie bogatéj szlachty; lubił wtenczas więcéj naukowe życie, jak nawet praktyki religijne, które mu czas niepotrzebnie zajmowały. Mógł teraz drukować, pisać, robić spostrzeżenia — do czego żyjąc na świecie nie miałby czasu. Obiecywał tą razą panom, że opis zjawiska wygotuje i ogłosi drukiem, ale skończyło się podobno na obietnicy. Gdyby na wsi rodzinnéj osiadł i gospodarował, nie mógł by nawet tego obiecywać: upływałoby mu życie na sejmikach i zajazdach. Uczony na wsi, to coś było nadzwyczajnego w Polsce: praca schroniła

*) Te ciekawe szczegóły o wstąpieniu do zakonu i podróży, wzięliśmy z nekrologu Łuskiny umieszczonego w Gazecie Warsz. 1793 r. № 68.

**) Thorn. Wöchentl. Nachrichten. 1761 r. № 24.

się wtedy do miast i do klasztorów. W tém nagle przyszła ważna dla naszego professora wiadomość z Lotaryngji. Król Stanisław Leszczyński wzywał do Nancy Łuskinę, żeby mu oddać rządy nad swojém sumieniem. Professor żegnał się po drugi raz z ojczyzną na czas nieograniczony, bo niewiedział jak mu długo przyjdzie bawić w Lotaryngji. Król był wprawdzie stary, ale jeszcze żywy i czerstwy; pamięć wielką i przytomność umysłu zachował: spokojny, pędząc życie bez trosków, mógł jeszcze długo panować w Nancy i w Barze. Łuskina czy to przez wdzięczność dla zakonu, czy też dla tego, że zbyt pogardzał marnościami świata, a nie miał tak bliskich krewnych, cały swój majątek, białoruski i z ojca i z matki, oddał już poprzednio jezuitom. Cóż go tak bardzo wiązało w Polsce? Mógł zatém zamienić jeden zawód na drugi, nauczycielstwo na urząd spowiednika, a w Nancy jeszcze więcéj spodziewał się znaleść wolnego czasu dla swoich spostrzeżeń na niebie.

Na dworze w Nancy panowała głęboka spokojność. Stary władzca Lotaryngski był wielkim przyjacielem kochanych księży (tak nazywał jezuitów,) ale zawsze i przedewszystkiém polskich. Była też ich szczerą przyjaciółką Marja, Królowa francuska. Widać to po listach, które do siebie nawzajem ojciec z córką pisywali. Leszczyński przez wdzięczność zapewniał jezuitom polskim Radomińskiemu i Ubermanowiczowi pewne fundusze za służbę w Nancy i stosował się chętnie w tym względzie do widoków córki. Mareczka (tak stary książe Królowę francuską nazywał) kłopotała się raz okropnie, że ojciec niema spowiednika

jezuity, a Leszczyński wtedy tak jéj odpisał: «będę ci posłuszny, ale pozwól mi powiedzieć sobie, że to jezuitom ani śmierdzić, ani pachnąć nie będzie, boć oni wiedzą, że ja spowiednika sprowadzam z Polski. Tymczasowie więc chciałem po prostu i po szlachecku udać się do miejscowego plebana. Stosując się przecież do twojego życzenia, wezmę jezuitę; bądź tylko spokojną, moja jedyna Mareczko.»

We Francji ogromne burze wywoływał wtedy na siebie zakon Lojoli. Niechęć ku jezuitom udzieliła się wszystkim dworom burbońskim. Rząd ich opuścił, ale Król Leszczyński i Marja żona Ludwika XV ciągle jezuitów bronili. Książe Lotaryngski pieścił się z kochanemi księżmi wtenczas, kiedy parlament Paryski z całym ogniem uderzał na ich potęgę i kruszył ją w swojém ręku. Leszczyński łudził się i jeszcze miał nadzieję, że parlament się udobrucha, i że nareszcie w razie potrzeby sam Król Francuski swojéj władzy użyje w obronie zakonu. Tak krótko widział rzeczy ojciec Mareczki, przez dziwną miłość dla jezuitów. *)

Oczéwiście, że w takim stanie rzeczy Łuskinie na niczém w Nancy nie zbywało. Nudziła go przecież ta jednostajność samotnego dworu, i ten pobyt sam na sam ze starcem. Rzadko bardzo zawitał kto z Polski i przywiózł do Nancy wiadomość o Królu, o sejmach, albo choćby o krewnych i znajomych: przynajmniéj tak się zdawało Łuskinie, że bardzo rzadko oprócz jezuitów polskich, nikogo

*) Materjały do historyi Stanisława Leszczyńskiego (wydanie Raczyńskiego) str. 246 i daléj.

tam więcéj nie widział. Raz tylko zawadził o Nancy ksiądz Melchior Gurowski młody cysters, który wracając do ojczyzny, chciał odwiedzić starego Króla. Leszczyński przyjął z ochotą ziomka, tém bardziéj, że mu zaleciła Gurowskiego Marja, Królowa Francuska. Ksiądz Melchior urodził się na zakonnika: otoż Stanisław gwałtem go zatrzymał u siebie, zrobił nawet opatem w Clairlieu. Nieraz się Gurowski widywał w Nancy z Łuskiną, prawił młodemu księdzu morały: «uciekłem od świata za furtę zakonną, — mówił do spowiednika królewskiego, — niechcę go do siebie wpuszczać przez bramę opacką. Pierwszeństwo moje między zakonnikami, każe mi być pierwszym do zachowania ustaw zakonnych i pierwszym nawet do chóru. Wstąpiłem do zakonu dla poratowania méj duszy, nieradbym jéj szkodził na urzędzie opackim.» Te słowa zbudowały wprawdzie młodego spowiednika Króla Stanisława, bo przypomniały mu się potém żywo w lat kilkadziesiąt nad grobem księdza Melchiora. A jednak nie był jeszcze tyle kosmopolitą nasz jezuita, żeby ślepo wierzył Gurowskiemu. Dla opata Clairlieu wszystko jedno było, siedzieć w Polsce, czy w Lotaryngji, kiedy myślał tylko o zbawieniu duszy, ale Łuskina nie umiał się jeszcze przejąć wtedy taką doskonałością zakonną. *) Tęsknił do swoich, chociaż nie śpieszył się jeszcze z powrotem do Polski. Śmierć Leszczyńskiego rozerwała nareszcie ten

*) Te szczegóły z Gazety Warszawskiéj 1785 r. № 61. Patrz artykuł w tym numerze o Gurowskim, który umarł wtedy 15 lipca jako opat Oberski.

wzajemny związek Króla ze spowiednikiem. Wrócił do Warszawy z pięknym zbiorem narzędzi matematycznych, fizycznych, astronomicznych i mechanicznych, które kosztowały do trzech tysięcy dukatów: widać że cały swój kilkoletni dochód w Nancy, poświęcił Łuskina dla nauki. Urządził więc bardzo piękny gabinet w Warszawie i zaczął publiczne dawać lekcje. Opat Gurowski powrócił także do Polski.

Stanąwszy powtórnie na ziemi ojczystéj, ksiądz Łuskina osiadł w Warszawie, — i wtenczas to zasłynął z rozległéj nauki i zdolności. Wykładał astronomię i matematykę w kollegium jezuickiém w stolicy. Był to człowiek tak pracwity, że mu się wszyscy dziwili. Zapalony miłością do swojéj nauki, nią tylko jedynie zajęty w początkach swojego nauczycielskiego zawodu, ksiądz Łuskina zasłynął nawet nakładami, które poświęcił na ołtarz dobra ogólnego. Posprawiał narzędzia dla jezuitów, dla astronomów poskupował szkła sztuczne i tuby, i porozsyłał to wszystko w ofierze do kollegiów jezuickich. Naukę jego wysoko cenili spółcześni. Możemy o tém sądzić z następującego faktu. Królowi Stanisławowi podał ktoś projekt założenia akademji nauk w Warszawie, która składać się miała z dziesięciu uczonych zagranicznych i dziesięciu Polaków. Z za granicy radził autor projektu wezwać Albinusa z Lejdy, Jussieu z Paryża, Marggrafa z Berlina i t. d. Z Polaków wzywał księdza Łuskinę, do nauk matematycznych. *)

*) Jocher. Obraz bibl. lit. i nauk w Polsce T. I, str. 74. Niesłusznie skarży się Jocher, że imiona krajowców powoływanych

Zasługi księdza Stefana w zakonie, o których tutaj pokrótce wspomnieliśmy, opiewał kiedyś jego przyjaciel, Adam Naruszewicz, kiedy mu wiersze słał na wiązanie w doroczną uroczystość imienin. Był wtenczas Łuskina prokuratorem prowincji. Poeta nie miał klejnotów, ani złota, żeby przyjacielowi wyrobić z nich kosztowną koronę, ale miał wstęp wolny na parnaskie skały. Uszczknął więc na nich wieniec z róży i z barwinku i przysłał go Łuskinie. Nie był to świetny wieniec dla głowy, według któréj i Monarchowie

Przeważną radą kierując swe sprawy
Rostropnie, chętnie, pełnili ustawy (mowa o Leszczyńskim).

Ale najwięcéj Łuskinę ocenił zakon jezuicki, bo mówił Naruszewicz:

Tyś w nim sprawując i liczne i różne
Urzędy, dał znać jak są blaski próżne
Wszystkich tytułów i stopniów, jeżeli
Pilność im swego lustru nie udzieli.
Téj zawsze pełen, znaczneś dał dowody,
Że dzielnéj duszy największe przeszkody,
Najtwardsze prace zatrzymać nie mogą,
By swych zamysłów pewną nie szła drogą.

Oto zasługi księdza Łuskiny w zbiorowym opisie:

Czyś młódź w naukach rozmaitych ćwiczył,
Czyliś astronom biegły gwiazdy liczył,

---

do akademji, oprócz Łuskiny, nie znane. Jocher daje tém poznać, że te imiona nie przedstawiały rękojmi. Przecież baron de Gartemberg (po uszlachceniu Sadogórski), był chemikiem. Zanelli doktor medycyny, mógł zdać się do katedry anatomji, — pisze o nim Arnold w rozprawie: «O hojności Królów.» Knakfuss był budowniczym Królewskim i kapitanem inżenierji, wystawił obserwatorium w Wilnie, powinien być zatém znany Jocherowi i t. d.

Czyliś spraw bronił, idąc prawdy torem
Zostaleś pierwszym prac i męstwa wzorem.
Lecz nie dość na tym, żeś zawsze i wszędy
Godnie włożone piastował urzędy,
Żeś twą nauką i wymową gładką
Ozdobą został zakonowi rzadką.....

Tu poeta mówi o nakładach Łuskiny i o tém, że cały majątek oddał jezuitom. W końcu zwiastuje mu pochlebną przyszłość:

Zna twe zasługi zakon, — i są wieści
Że cię na pierwszym wnet stopniu pomieści;
Bądź teraz dzielnym steru pomocnikiem,
Wkrótce sam godnym zostaniesz sternikiem.
(Lib. ks. 2, oda 2.)

Czy to była przepowiednia urzędu prowincjalskiego dla Łuskiny? Ostatnie słowa, zdaje się, to mają znaczenie.

Ksiądz Stefan był jednakże Rektorem kollegium Warszawskiego całe trzy lata, a Stanisław Poniatowski nadał mu tytuł Astronoma Królewskiego. W prowincji pełnił obowiązki sekretarza.

Przyjaciel Bohomolca, pracował z nim razem przy wydawaniu *Wiadomości Warszawskich*. Tak powoli wciągnął się do nowego zawodu, któremu miał poświęcić ostatki swojego życia. Bulla Klemensa XIV, zatruła goryczą dni Łuskiny. Niechciał się już więcéj poświęcać zawodowi nauczycielskiemu, kiedy nie mógł być jezuitą. Zajęty zatém nową pracą około gazety, stał się z upodobania i z konieczności stałym mieszkańcem Warszawy. Gmachów zakonnych do śmierci nie opuścił. W nich żył kiedyś pełen nadziei, w nich chciał umrzéć na starość. Z wiekiem

rosły i uprzedzenia w Łuskinie. Młódszym ludziom otwierającym sobie podwoje nauki, nie wierzył. Z litością spoglądał na ich usiłowania. Z gniewem mówił, że to z ich strony nadludzkie przedsięwzięcie. Tém piękniejszą wydała mu się pod starość ta wysławiona mądrość jezuickiego zakonu. Łuskina sądził, że z r. 1773 zakończył się razem dla Polski i piękny wiek nauk. Myślał, że nikt ciężkiego brzemienia po jezuitach dźwignąć nie potrafi. Przyplątała się i druga wada do uczonego astronoma: zbierał pieniądze. Całe życie żył skromnie, — w Lotaryngji, w zakonie, w stolicy. Dawniéj oddał wszystko co miał. Późniéj miał więcéj, niż tego wymagały potrzeby. Gazeta stanowiła porządny dochód. Nie miał więc już celu, żeby zbierał, przeżył zakon i całą jego świetność, — ale gdzież miał podziewać pieniądze? Umierając zrobiłby może jaki zapis dobroczynny, jak Bohomolec. Oszczędzony grosz lokował szczędnie po bankach za granicą. Dla tego nieraz zasięgał rady drugiego przyjaciela swojego, Wyrwicza. Obadwaj razem zbierali pieniądze. Obadwaj też razem stracili marnie ten kapitał oszczędzony. Wyrwicz zniósł ten cios z boleścią — Łuskina ze śmiechem. Podług niego, ta strata spadkobierców interesowała więcéj, jak samych właścicieli.

Pobożność też z każdym dniem wzrastała w Łuskinie. Mieszkając w pojezuickich murach, nie gdzie indziéj, jak w kościele pojezuickim na Śto-Jańskiéj ulicy odprawiał mszę i modlił się. W drukarni pozakonnéj gazetę swoją pisał i drukował. W lat kilka po kassacie jezuitów, kościół ich dostało na własność bractwo niemiecko-katolickie.

Bractwo starannie oddzieliło świątynię od kollegium i kazało zamurować wszystkie przejścia z kościoła na korytarz zakonny, którym ojcowie Lojoli przechodzili do zakrystji. Łuskina i téj pamiątki pożałował. Chciał korytarzem przechodzić do kościoła, a nie naokoło, przez ulicę. Wyrobił sobie zatém u bractwa, że mu pozwoliło przywrócić drzwiczki na samym rogu przy kościele kollegjaty między częścią dawnego kollegium jezuickiego, która należała do Króla Stanisława, a drugą częścią tegoż kollegium należącą do kongregacji niemieckiéj. Łuskina przy téj okoliczności oświadczył, że to pozwolenie bractwa jemu nadane, nie miało niczém naruszać praw samego bractwa; owszem po śmierci jego, przejście miał władzę zamurować właściciel kościoła. (Zeznanie Łuskiny w aktach bractwa pod dniem 28 lipca 1784 r.) Otworzywszy sobie zatém takim sposobem podwoje dawnéj jezuickiéj świątyni, Łuskina prowadził daléj samotne swoje życie. Oprócz kilku dawnych towarzyszów ex-zakonnych, Łuskina z nikim nie miał więcéj stosunków. Po dworach panów się nie piął, bo nie miał dworackiego charakteru. Królowi czasem pochlebiał, ale w piśmie. Z resztą nawet na obiady czwartkowe nie chodził, chociaż go musiano na nie ode dworu zapraszać, przynajmniéj w początkach literackiego zawodu. Umarł, jak żył, samotnie.

Życie w téj samotności rozweselał z początku dziwną rozrywką. Jezuici prowadzili albowiem handel francuskiém winem, które sprzedawali w swojém kollegium z tyłu kościoła. Mieli w podziemiach swoich umyślnie na ten cel przyrządzone piękne i obszerne piwnice. Po kassacie za-

konu, ksiądz Łuskina podjął się daléj prowadzić ten zyskowny handel winem. Na całém Starém Mieście tak bogatego składu nie było. Sprzedawał na kwarty i garnce. Pomagał mu laik jezuicki, braciszek Kościesza. Ksiądz Łuskina znał się na winie i lubił sobie czasem wychylić kilka lampek, zwłaszcza w gronie dawnych przyjaciół. Nie raz też może w piwnicach, raczył się smacznym napojem z księdzem Wyrwiczem, Bohomolcem, albo Nagórczewskim.

Ale najciekawsze dzieje księdza Łuskiny, zawarte są w jego *Gazecie Warszawskiéj*. Imie jego wiecznie związane z dziejami literatury perjodycznéj w Polsce. W piśmie swojém, ksiądz Łuskina zostawił pomnik wielce zasługujący na uwagę. W tém piśmie odbił się on, wiek jego, który jeszcze tak mało znał się na tajemnicy gazeciarstwa. Myliłby się bardzo, ktoby rozumiał, że w piśmie Łuskiny znajdzie historyę kraju swojego, albo dzieje spółczesne Europy, uwięzione w porządek systematyczny, dzień za dniem, miesiąc za miesiącem. Ani Bohomolec, ani Łuskina, który po nim ciągnął robotę, nie umieli, czy też nie śmieli odsuwać zasłony, po za którą krył się interess ogólny. Nie znali tajemnic stanu gazeciarskich. Dzisiaj pismo ich, na kilka tygodni nie utrzymałoby życia. Ale był wiek, że wzorem języka, dowcipu, stylu, nauki była kiedyś Gazeta Łuskinowska. Wszyscy ją rozrywali, czytali.

Bohomolec w r. 1773 zdał zupełnie na niego redakcję *Wiadomości Warszawskich*, a sam objął dla spoczynku zarząd drukarni pojezuickiéj, która odtąd przybrała tytuł drukarni nadwornéj Jego Królewskiéj Mości. Dwaj rozbitkowie zakonu, uratowali od śmierci ten zakład naukowy je-

zuitów. Kiedyś Bohomolec drukował w kollegium swoje dzieła i zbiór historyków polskich, Stryjkowskiego, Bielskiego dzieła, a pod nowemi nakładami ciągle jęczały prassy; — po r. 1773 byt drukarni był zagrożony. Jezuici rozproszyli się po świecie i dzieł nie pisali, a nowych zakładów typograficznych w stolicy przybyło wiele. Dźwigali zatém drukarnię pojezuicką tylko Bohomolec i Łuskina. Duch Bohomolca prędzéj opuścił ziemię, — więc pozostały jego przyjaciel, utrzymywał drukarnię przy życiu. Był on węzłem, na którym los zakładu spoczywał. Ze śmiercią Łuskiny i czcionki jezuickie poszły wędrować po świecie; rozpłynęły się gdzieś i znikły. *)

Łuskina postarał się przedewszystkiém o przywiléj Królewski na wydawanie gazety. Wtenczas był monopol na wszystko. Każdy księgarz, wydawca, u tronu wyrabiał sobie przywileje, w Kancellarji Królewskiéj szukał zabezpieczenia swojéj własności literackiéj. Łuskina wyjednawszy sobie przywiléj, mógł mieć sam jeden prawo do ogłoszania nowin zagranicznych stolicy i prowincjom Rzpltéj.

Stanisław August wydał księdzu jezuicie przywiléj stosowny pod dniem 9 listopada r. 1773. **) Nadawał Łuskinie w nim prawo wydawania w Warszawie gazet we wszystkich, jakich zechce językach, oprócz francuskiego. Zastrzegł wyraźnie, że to przywiléj wyłączny dla Łuskiny; to się znaczyło, że nadawał mu monopol, że pozwolił prawem dochodzić innych literatów, którzyby się wsuwali

*) Bibliograficznych ksiąg dwoje.

**) Sygill. ks. 32. Tegoż dnia dostał Bohomolec przywiléj na drukarnią. Tamże.

w sferę jego przywileju. Łuskina miał własność wszystkich gazet: od niego zależało pozwolić na rozwój perjodycznéj literatury w stolicy. Nawet doniesień handlowych, kupieckich, księgarskich, nie wolno było nikomu ogłaszać oddzielnie, tylko przez gazetę Łuskiny. Ksiądz Stefan mógł i tego prawem swojém dochodzić. Kara dwieście czerwonych złotych za wykroczenie przeciw przepisom tego przywileju, była postanowioną na korzyść właściciela gazety. Kancellarja Królewska wychodziła z zasady, że wydawca łożyć musi nakład za który powinien mieć nagrodę, kiedy oprócz pieniędzy, swój talent jeszcze poświęca na usługę ogólną. Ale Kancellarja Królewska tamowała tym sposobem swobodny polot literatury, którą zamykała w jakichciś karbach. Łuskinę robiła prawodawcą. A kiedy on sam jeden odzywał się w stolicy, głos jego musiał być i piękny i zajmujący. Łuskina przez przywiléj uzyskał wielką donacją, hojne uposażenie na stare lata. Praca téż około wydawania gazety, zdawała mu się odpoczynkiem swobodnym po pracach mozolnych w zakonie.

Objąwszy tedy sam na siebie redakcją, ksiądz Łuskina myślał z początku ciągnąć daléj pracę Bohomolca i drukować dla pociechy Rzpltéj i Warszawy — *Wiadomości Warszawskie*. Ale namyślił się lepiéj i wydawszy pierwszy numer tych *Wiadomości* w r. 1774, zmienił zaraz tytuł — i drug numer pisma w tymże roku, wyszedł już pod napisem *Gazety Warszawskiéj*. Chciał więc lepiéj odkreślić swoje zasługi przyszłe w literaturze perjodycznéj; był autorem nowego zupełnie pisma, które stworzył, a nie ojczymem dawnego. Łuskina dawał nowe dzieło publiczności i oba-

wiał się, widać, żeby kto nie posądził go o naśladownictwo Bohomolca.

Kiedy powiedzieliśmy, że Łuskina był *autorem* gazety, nie zrobiliśmy tego przez zapomnienie. W czasach Stanisława Augusta nieznano tego wyrazu tak dzisiaj pospolitego: *redaktor*, *wydawca*. Wtedy każdy był autorem, jak ten co pisał z siebie, tak ten co tłómaczył. W układaniu gazety dziadowie nasi widzieli autorstwo. U nas ten wyraz cóś wyższego odznacza: mówimy o pisarzu mniéj więcéj samodzielnym, że to autor; *tłómaczem* nazywa się ten co przekłada; *redaktorem*, ten co wydaje jakie pismo. Redaktor może nic nie pisać, kieruje tylko pismem, stanowi treść jego, nadaje ducha, dążność taką, albo inną. Ale za Stanisława Augusta był autorem każdy, co zajmował się literaturą, jak dowcip miał każdy, kto pokazywał zdolności. Zabawnie dzisiaj wyglądają te wyrazy: *autor gazety*. Ale widać, mistrzostwo widziano wtenczas w wyborze nawet nowości zagranicznych, a prosty tłómacz, nazywał się już autorem. Dobrze przynajmniéj, jeżeli *autor gazety* potrafił być ciekawym, umiał zainteresować czytelników, ale my tego nie widzim w pisarzach epoki Stanisława Augusta. Kształcił się późniéj u nas kunszt gazeciarski; pod koniec już panowania Poniatowskiego mnożyły się pisma, upadał monopol, a naturalnym tego skutkiem, mnożyło się i zajęcie w massie czytelników; gazety były lepsze, zdobywały się na treść, nawet wyrabiały sobie stanowisko polityczne. Były organami stronnictw, rozbudzały życie, ważne zdania poruszały. Ale Łuskina, autor Gazety Warszawskiéj, nie miał pojęcia o takiém piśmie i

zrobić go organem oświaty nie potrafił; to też czytano go z początku dla tego, że był jedyny, że miał przywiléj, a potém nie zważano na niego wcale. Gazeta jego nie miała wpływu na massy. Dzisiaj, to dla nas pomnik ciekawy pewnych literackich pojęć w wieku Stanisława Augusta.

Bo też nie pracą Łuskiny było wydawnictwo gazety. Uczony i jezuita, brał się za ciężko do rzeczy. On pisał dla podobnych sobie mnichów i ludzi starych, co to już raz przyjąwszy pewne wrażenia, niepozbywają się ich wcale, jak by to była sukienka niewinności i szczęścia. Jego umysł nie był sprężysty, to jest, nie mógł zastosować się do postępu światła w narodzie. Kiedy więc nastrzępiał mowę swoją uczonością, mógł się podobać ludziom starym, ale nie rozpościerał wpływu. Kiedy się sadził na wyrażenia i koncept, kiedy zdań filozoficznych sięgał, mógł być dobrym, wielbionym autorem gazety, ale nie był redaktorem dobrego perjodycznego pisma. Łuskina miał słabość do cytacji i do literatury łacińskiéj. Nic dziwnego, — był professorem i jezuitą. Że był oczytany, że umiał na pamięć dużo wierszów Horacjusza, Wirgila, Nazona, że z pamięci przytaczał całe frazy Cycerońskie, położym to na karb jego erudycji zapewne, ale nie powiemy, żeby to była jedynie kwalifikacja na autora gazety. Dzisiaj kiedy łaciński język nie w modzie, nie znajdzie się zapewne tak uczony gazeciarz, jakim był ksiądz Łuskina. Nie było np. żadnego wypadku ważniejszego w narodzie, żeby go autor gazety nie przywitał albo pożegnał swoją erudycją. Umarł jaki wojewoda, znaczny obywatel, już Łuskina podając o téj śmierci

wiadomość, cytuje ustępy Kwintyljana, Cycerona, nawet Pismo Święte i ojców kościoła. Wypadki opowiadane stosuje zawsze do jakichciś zdań moralnych. Nie frasuje się ksiądz Łuskina o podobieństwo faktów, o związek myśli. Jemu dosyć wyraz natrącić jeden do cytacji. On widział logiczne następstwo cytacji i opisu, czytelnik niechaj sam się domyśla. I wszystko mu znowu jedne, czy te cytacje stosuje do wielkich rzeczą, lub wielkich tylko imieniem a małych czynem ludzi. Cytacje kończy i zaczyna artykuł, czy to o panu staroście Kaniowskim, czy o Jędrzeju Mokronowskim, albo Kazimierzu Sapieże. Cytacja ma być zawsze zastosowana do szczegółów z życia tych ludzi, którzy w jego oczach już są dla tego wielkimi, że albo panowie, albo senatory. Pisząc o kobietach nawet, przywodzi zdania łacińskie, ale już rzadziéj. Wiersze cytując, zaraz tłómaczy je na polskie, ale niezgrabnym językiem. Nie mówim już o poezji, któréj nie rozumiał Łuskina; mówim o samym języku, o jego harmonji i płynności.

Rzadki bardzo wypadek, żeby się z tych cytacji cóś nauczyć można, albo szczegółu jakiego się dowiedzieć. Raz tylko, pamiętamy, pisząc w gazecie o przypadku jakiegoś księdza M. który powracał z Mazowieckiéj ulicy do domu i napadnięty od czterech łotrów, nie tylko że im się wyprosił od niezasłużonéj kary, ale jeszcze dostał od nich w podarunku złtp. 39 gotówką, Ksiądz Łuskina pisząc o tém, powiada: «że grzeczniejsi ci łotrowie warszawscy byli, a niżeli owi hiszpańscy, którzy napadli na idącego do Kompostelli z Litwy księdza Ejsmonta w roku 1758,

jak to z ust jego słyszeliśmy tegoż roku w Paryżu.» *) Chociaż nie dał nam *autor* gazety opisu przypadku Ejsmonta, dowiedzieliśmy się z tego przytoczenia o jednym szczególe do życiorysu samego Łuskiny, — a i to z przypadku. Ta wiadomość o łotrach warszawskich mieści się nie w tekście, a między doniesieniami, jakby dzisiaj płatna wiadomość.

Drugim razem prostuje Łuskina *ważny* błąd, jaki się wkradł do historyi i ze zdarzonéj okoliczności rozwodząc się wielce nad opisem śmierci i kuracyi Leszczyńskiego, opowiada, że szlafrok na Królu zapalił się od kominka, ale nie od fajki, jak myślano powszechnie. W inném miejscu wylicza Prymasów, którzy wyszli z grona kapituły Warszawskiéj S. Jana; wyciąg to może z akt urzędowych i dla tego ciekawy. Ale te fakta są jedyne w całéj Gazecie Warszawskiéj.

Winniśmy jeszcze dać czytelnikom wzór i miarę dowcipu i zdolności poetycznych Łuskiny. Był raz dziwny wypadek w Kolonji, że żołnierz zabił i siebie i kochankę swoją z miłości; oboje wiedzieli co robią i zginęli dobrowolnie, bo woleli śmierć ponosić jak wzajemne męczarnie, kiedy władza nie pozwoliła im czułéj miłości uwieńczyć ślubem. Z téj okoliczności, Łuskina przytoczył dwa wiersze starożytnego poety i zaraz je wytłómaczył po polsku:

Kochasz, toś szaleniec: szał jest miłość płocha,
Mózg zdrowy a szaleje, gdy się kto zakocha.

Nie spostrzegł ksiądz Łuskina w korrekcie gazety, że w pierwszym wierszu brakowało jednéj zgłoski. Potrzeba

*) Gazeta Warszawska 1786 r. № 88, Supplement. Przypadek księdza M. stał się w nocy z dnia 30 na 31 października t. r.

więc było naprawić, ale że przy tém piękna się nadarzała sposobność wystąpienia z dowcipem, Łuskina w następnym zaraz numerze, kazał po *toś* wsadzić *już* i dodał swoje dwa wiersze, tą razą już oryginalne, nie tłómaczone, ale przedrzeźniające się miłości:

Że zawsze miłość z błędem, i ztąd można sądzić:
Drukując tylko o niéj, trzeba zaraz zbłądzić.

Zdaje się, że *autor* Gazety Warszawskiéj, był choć by w tém zdarzeniu wcale niewłaściwym sędzią. Ale ugryzł téż za to miłość bardzo po zakonnemu. Samo z siebie wynika, że autor nasz nie lubił także filozofji XVIII wieku, która odniosła świetne zwycięstwo nad jego zakonem — to téż kiedy już zdziwaczał na starość, ksiądz Łuskina ze wstrętem pewnym poglądał na cały już świat, nie tylko na autorów i młodzież, z pustelniczéj swojéj celi. Obrażona duma religijna i jezuicka podała rękę uprzedzeniom zbliżającéj się starości. Wszystkim i wszędzie ksiądz Łuskina zaczął prawić kazania. Prawda, że Warszawa za jego czasów prowadziła gorszące życie, zacząwszy od zamku, aż do chałupy najuboższego rybaka. Można się było gniewać na zepsucie obyczajów w stolicy, ale pocóż ta obojętność na światło, z którą się bezustannie popisywał zacny autor gazety? Łuskina już nie sądził wtenczas rozumem własnym, ale podług uprzedzeń starych, cenił i ludzi i wypadki; astronomją zupełnie porzucił jako marność. Dla tego pod koniec życia zaparł się nawet faktów dotykalnych nauki, jak to niedługo zobaczym. Ale Warszawie, gdzie mógł i jak tylko mógł, przymawiał w swojéj gazecie.

Zepsucie widział wszędzie — w całéj cywilizacyi XVIII wieku. Narzekał bezustannie na Paryż, na bezbożność, na filozofów, na Woltera, którego najwięcéj nienawidził, jak i całą jego plejadę, ale zdawało mu się, że ta filozofja zepsucia i niewiary szczególniéj wtenczas gnieździła się w Warszawie. Opowiadając też jedno albo drugie zdarzenie, puszczał się czasem w rozumowania, w których często przebijała się jego doskonałość zakonna, zdolna do ofiary i pogardy świata. Kiedy mówił o śmierci jakiego zacnego człowieka, dodawał, że *nawet* w Warszawie umiano cenić cnoty i zasługi nieboszczyka. Inną razą powiedział, że pół Warszawy *nawet* czciło go i kochało. Nie długiemi wywodami, ale tym jednym wyrazem *nawet*, Łuskina mścił się za roskosze i zabawy pańskie, na mieście, które jeżeli grzeszyło, to nie całe, jak się zdawało autorowi. Łuskina nie ścigał zbrodni i obłudy tam, gdzie ją widział, bo zachował dla wielkiego świata może niechcący względy towarzyskie i pewien szacunek. Król Poniatowski nie był jednak kontent z tych wybryków uprzywilejowanego *autora*. Chociaż Łuskina umiał ułożyć skromną minkę, pocisk jednakże trafiał dobrze, bo znajdowali się ludzie, którzy się obrażali za te częste *nawet*, rzucane, niby rękawice do wyzwania. Ostrzegano autora z wysoka, że się to nie podoba w ogóle. Sekretarz W. K. Jacek Ogrodzki, serdeczny przyjaciel Króla, pisał dwa listy do Łuskiny w tym przedmiocie: w jednym z polecenia Stanisława Augusta upominał go, że nie wdaje się w swoje rzeczy, w drugim już nawet groził i niełaską Królewską i cofnięciem przywileju gazeciarskiego. Redaktor, to nie kazno-

dzieja — gazeta, to nie ambona, pisał Ogrodzki [w roku 1778]. *) Niepotrzebnie Król Poniatowski zdradzał swoją drażliwość przed Łuskiną, bo pióro księdza autora karciło tylko zepsucie, niewymieniając osoby, i nie byłoby się odważyło godzić aż na powagę tronu. Mamy tego dowód w sławnéj sprawie Dogrumowéj i w innych zdarzeniach. Łuskina słówkiem nawet nie natrącił wtenczas o zgorszeniu, o rozmowach salonowych, kiedy niby z powodu odkrytego spisku tyle osób w stolicy, uwięziono: i dla czego? były to przecie same magnackie imiona. Ale w téj sprawie brał jednakże Król widać na siebie jakąś solidarność, za to co się działo w stolicy, pod jego bokiem. Zastraszony Łuskina umilkł i przestał przymawiać miastu, ale za to pewno w duszy potępił tém mocniéj Króla i całą filozofję XVIII wieku, która panowała wyłącznie na zamku Warszawskim. To nic nie przeszkadzało, żeby Poniatowskiemu niepochlebiał w żywe oczy, i żeby ojca jego kasztelana Krakowskiego nie nazywał wciąż *wielkim*.

Dodajmy do tego, że ksiądz Łuskina miał i swoje oryginalności, czyli powiemy mniéj grzecznie, a po prostu, — swoje dziwactwa w tym upadku ducha. Wyprzeć się albowiem nauk, czyż to nie było największém z jego strony dziwactwem? Cóż dziwnego, że jezuita i starzec był nabożny? cóż dziwnego, że myślał po jezuicku? Ale kiedy wsparty powagą Benedykta XIV, jak sam mówi, opowiada z powodu trzęsienia ziemi, które kilka razy ponowiło się

*) Te listy czytaliśmy w zbiorze rękopismów Kazimierza Włodzimierza Wojcickiego.

w Polsce jednego czasu, że trzęsienia ziemi są karą Bożą za grzechy, a najwięcéj dla tego, że jego współobywatele nie poszczą, zwłaszcza przed wielkanocą, doprawdy, że dziwim się dziwactwu i urojeniom księdza Łuskiny. Jak to, jemu matematykowi, fizykowi, naturaliście, nie wiedzieć, że trzęsienia ziemi przyczyna leży w saméj ziemi, nie w gniewie Bożym, nie w grzechach ludzkich? Na uczonego to dziwnie oryginalna zasada. Wskazuje nam Łuskina na to prawo natury z okoliczności śmierci Elżbiety Dulskiéj, we Lwowie. Była to córka Antoniego Bekierskiego, Turka spolszczałego, który przyjąwszy wiarę chrześcijańską, i otrzymawszy szlachectwo od Augusta Mocnego, wziął herb Jastrzębiec Bekierskich Kosiorków i był Obożnym Pol. Kor. Dulska umarła w r. 1786, mając blisko sto lat wieku, była pobożną, cnotliwą niewiastą, pościła tak jak nikt za jéj czasów w Polsce. (Gazeta Warszawska 1787 r. № 5, Supplement.) Łuskina podaje wniosek, że gdyby tak wszyscy Polacy pościli jak Elżbieta Dulska, Stwórca nie nawiedzałby trzęsieniem ziemi województw Rzpltéj. Inną razą prawie przepowiadał bliskie skończenie świata, zachęcając ludzi do modlitwy. Wynalazł gdzieś proroctwo jeszcze z r. 1476, sławnego biskupa Ratysbońskiego Müllera, przezwanego od miejsca urodzenia Regiomontanem według mody czasu, i to proroctwo zacytował w swojéj gazecie w ośmiu wierszach łacińskich. Ksiądz Łuskina wierzył, że podług Müllera cały świat zapadnie się w r. 1788, i ziemia i morze, i wierzył, że jeżeli Bóg użali się wtedy nad ludzkością, to przynajmniéj wszystko się przewróci do góry nogami i będzie, (tu powtórzył autor

gazety słowa starożytnego wieszcza) luctus undique grandis. Na trzy lata przed wyjściem terminu, głosił te straszne prawdy ksiądz prorok ludowi swojemu, jakby natchniony Mojżesz, a miał niezawodne przekonanie, że co do słowa ziści się ta groźna przepowiednia. Kiedyś ją znaleziono w jakimś grobie w Liska, w kraju Węgierskim. *) Łuskina w tém wszystkiém widział zrządzenie cudu.

Nie wierzylibyśmy temu faktowi o Łuskinie, gdybyśmy w jego gazecie nie znaleźli tego *corpus delicti*, gdybyśmy sami z resztą nie słyszeli podobnych téj niedorzeczności, z ust prawdziwie uczonego matematyka, który ruch planet około słońca wskazywał, a późniéj dla przywidzeń narzekał na cały systemat Kopernika. **) Do zupełnéj charakterystyki księdza Łuskiny, należy jeszcze i ten nieoglądający się na nic entuzjazm dla zgasłego zakonu, którym się ciągle popisywał, a który wyśmiewali filozofowie dworscy, robiąc tém samém wielu nieprzyjaciół autorowi gazety. Łuskina zły był i kwaśny na świat cały za upadek zakonu jezuickiego; radby się był pomścił okrutnie, za te nieszczęście publiczne, jak uważał; ale na kim sam nie wiedział, bo jak było płynąć przeciw wiatrowi? Pocieszał więc tylko serce swoje wspomnieniami dawnéj wielkości. Zgon każdego jezuity żalami, wierszami, cytacjami opłakał, plątając zawsze i wszędzie ckliwe narzekania na upadek wiary, cnoty i moralności, na złe czasy, dzień ode dnia gorsze. Nekrologi jezuitów pisane przez niego były satyrą przeplatane, ubar-

*) Gazeta Warszawska 1785 r. № 12. Supplement.

**) Ksiądz Rafał Skolimowski, autor dziełka: De motu planetarum circa solem.

wione w przekleństwa. Kiedy umarł ksiądz Czerniewicz wikary jeneralny zakonu, który wtenczas zamknął się w Białéj Rusi (1785 roku), ksiądz Łuskina pomieścił o nim w gazecie długi uczuciowy artykuł i nawet dość wymowny. W tym nekrologu podniósł broń przeciw Rzymowi, jak się to często mu zdarzało z powodu upadku zakonu; jezuita, zapomniał o źródle, z którego wypłynęła cała potęga i całe znaczenie jezuitów. Za złe miało wielu skrupulatów księdzu Czerniewiczowi, że nie posłuchał Papieża i bulli rozwiązującéj zakon, i że daléj utrzymywał kollegia jezuickie pod rządem rossyjskim. Łuskina uwziął się dowodzić, że Czerniewicz miał sprawiedliwość po sobie, i że mógł się opierać nieprawnym rozkazom nadesłanym z Watykanu. Zwyczajem swoim szermując cytacjami, przywiódł wiele innych przykładów z dziejów kościoła, w których przejawiał się tenże sam fakt nieposłuszeństwa Papieżowi; a przecież ci nieposłuszni za świętych potém byli uznani przez samego Papieża i Kościół. Rozumując tak, podkopywał własne zasady ksiądz Łuskina, ale idąc za uczuciem, nie widział pod sobą przepaści. Prawda, że niezważał na szyderstwa swych nieprzyjaciół, ale broń im podawał sam do ręki przeciw ukochanemu przez siebie zakonowi. Ta téż właśnie excentryczność robiła wszędzie Łuskinie nieprzyjaciół, ale że był to wiek dowcipnych słówek i żartów, nie spalono go za to na stosie. A naprzód pocieszne oryginalnością swoją wyglądał ksiądz autor gazety, nieokrzesany ze swoich uniesień pobożnych, wpośród téj świetnéj plejady autorów i poetów Stanisławowskich. Oni na każde zawołanie mieli dowcip, uśmiech

na ustach i piękne wyrazy. Łuskina ciskał tylko gromy w ciemnościach. Całe morze wyobrażeń oddzielało go od szambelanów Królewskich, jak np. od Trembeckiego i Węgierskiego. Łuskina gniewał się na nich ale w tajemnicy, za Wolterowskie zasady, które wyznawali, a poeci Stanisławowscy okrzyknęli go za to za ciemnego fanatyka, jezuitę, prawie inkwizytora. Że na stronie szambelanów była wtenczas opinija stolicy, ksiądz Łuskina zaczął powoli tracić listek po listku z dawnéj swojéj sławy; nareszcie upadł pod ciosami śmieszności.

Węgierski wydał naprzód jawną wojnę i szczypał księdza autora niemiłosiernie. Żarty były tak widoczne, że gdyby zaprawione były cokolwiek żółcią, wyglądałyby na paskwil.

W dowcipnéj i gładkiéj satyrze do swojego imiennika, obmówiwszy wszystko i wszystkich z kolei, Węgierski przeszedł wreszcie do osobistych przeciwników swoich. Po Bielawskim na plac wystąpił ksiądz autor gazety:

Pełny śmiesznych konceptów pocieszny Łuskina
Fanatyzmu nam jeszcze czasy przypomina —
Za to, — że jezuitów wyrokiem obala
Zły na Ganganellego, — szkaluje Pombala,
I będąc w ostrzeżeniu każdéj wady pilnym
Powiada: że choć Papież, Klemens był omylnym.

I w innem miejscu do hetmana Ogińskiego, odezwał się Węgierski ironją:

Nie wiem prawdziwie mospanie hetmanie
Co się na tamtym ze mną świecie stanie?
Ksiądz Łuskina powiada i wierzyć mu trzeba,
Że ja pójdę do piekła, on prosto do nieba.
Cóż robić! Kiedy w księgach mego przeznaczenia
Tak stoi: wyrok losu ciężko się odmienia i t. d.

Węgierski tak sobie pewno wyobrażał Łuskinę, jak opisał fanatyzm, który trzymając w jednéj ręce krzyż a w drugiéj żelazo, zasłonił oczy, pozatykał uszy i świat obiegał, krwią ludzką spluskany.

Były to obrazy na serjo, a żart w piśmie przybierał zawsze pewną cechę przyzwoitości i powagi. Za to w rozmowach towarzyskich, na zamku, w salonach panów, Węgierski więcéj był dowcipnym i uszczypliwym. Na obiadach czwartkowych tryumfował; nieśmiał dla tego do zamku przychodzić biedny ksiądz Łuskina: może téż i Król uprzedzony przeciw niemu, obrażony nawet, nie zapraszał już autora gazety na czwartki. Powaga jezuicka Łuskiny niezgodziłaby się wcale z wesołością dworu Warszawskiego.

Tém zabawniéj wyglądało, że dawni jezuici i wielbiciele zdolności Łuskiny, czas od czasu powtarzali mu panegiryki, jakby upojeni ogromem umysłowéj jego potęgi. W szczerocie serca powtarzali jedni pochwały, a drudzy śmieli się tém serdeczniéj i z naszego autora, i z tych którzy go tak wystawiali. Ksiądz Xawier Zubczoski, sławny wierszokleta, wydrukował w zbiorze poezji swoich wiersz do Łuskiny w dzień jego imienin. Bez skrupułu nazwał go od razu wielkim Stefanem i powtórzył do niego z niewysłowioném uczuciem dumy autorskiéj: «uwielbiać ciebie nie mojéj głowy.»

A daléj tak się unosi:

Cóś był ozdobą kraju, zakonu,
Przez rodowitość, mądrość i cnoty,
Nie u jednego szanowny tronu
Znany w Europie dzieły, przymioty,

Wieku i ludzi coś jest zaszczytem
Jeden nad wiela tam znakomitém, (sic.)
I dla pociechy i dla ozdoby
Twoich spólników, żyj długie lata,
Niech w tobie widzą najpóźniéj czasy (rym do *ozdoby*)
Jaka przeszłych chwil podjęta strata,
Tyś żywy obraz tych, co uczyli
Świat, co rządzili, co świat dziwili.....

Takie pochwały nie wiodły do celu, — owszem wcale przeciwny wywoływały skutek. Ksiądz Łuskina coraz mniéj znajdował miru pomiędzy swojemi czytelnikami. Pod koniec, szczupły mu tylko poczet obrońców pozostał i to naturalnie w gronie rozbitków zakonu Lojoli.

Weźmy teraz na uwagę naukę Łuskiny, która się wylewała w cytacjach, porównaniach i uwagach filozoficznych, zastanówmy się nad jego excentrycznością i ślepą wiarą, co go prowadziła do strasznie dziwacznych wniosków, pomyślmy nad tém, że on nie tłómaczył po prostu wiadomości czerpanych z gazet zagranicznych, a przerabiał je, nakręcał do swoich widoków i planów, że sam je układał, dobierał słów, że zdobił te wiadomości wybrane kwiatkami swojéj wymowy, a przekonamy się że Łuskina był w saméj rzeczy nie redaktorem, ale autorem gazety. Był on autorem po swojemu; nie umiał zająć pewnego stanowiska, ale téż i nie tłómaczył po prostu. Stąd Gazeta Warszawska była jego dziełem. Artykuły miejscowe o Warszawie, zabawach, obrzędach, chociaż ich nie wiele, są jego pióra. Cechuje go téż wszędzie ten styl jezuicki ciężko-kwaśny, zimno-uczony. Język jego czysty dosyć, ale nigdybyś się z gazety nie domyślił, że to język dzisiaj

wyrobiony tak cudnie, że to nawet język na pół makaroniczny Krasickiego. Brak dowcipu uderza od razu. Charakter żaden pisma autora nie wybija się z tych tomów nadrukowanych. Nie można nawet wiedzieć co on myśli, z kim trzyma, przeciw komu nosi chorągiew. Podaje tylko zdarzenia, wypadki, bez sądu, bez własnego zdania. Nawet nie umiał wybierać artykułów z gazet obcych. Rozumowanych kawałków w nim nie szukaj. Polityki, myśli wyższéj, głębszego rozumowania nie widać wcale w gazecie. Ta właśnie bezcharakterność stanowi cały wyłączny charakter Łuskinowskiéj gazety, i dla tego może być ksiądz Stefan uważany za autora. Inni pisarze liczą płody prac swoich na tomy. Łuskina liczy na kwartały, albo półrocza gazety.

A jednak pomimo tych wszystkich wad i śmieszności, pomimo zdrętwienia moralnego, które Łuskinę nad przepaść powiodło, ma autor gazety swoje zasługi w literaturze. Pismo księdza jezuity jest źródłem dla dziejów naszych. Z wiadomości umieszczanych o zagranicy, nikt dzisiaj wprawdzie nie nabędzie z gazety wyobrażenia o tym sławnym XVIII wieku, wieku filozofiji i reformy, który porodził Woltera, Jana Jak. Rousseau, Diderota. Ale za to są tam wiadomości, których skrzętnie poszuka literat, zajmujący się bliżéj epoką Stanisława Augusta. Dla tych właśnie wiadomości, ma cenę dzisiaj gazeta Łuskinowska. Ale nie tyle to ważny pomnik przeszłości, jakiby mógł być pod ręką i piórem znającego się na swojéj sztuce pisarza. Gazeta Łuskinowska, to nie organ kraju, w którymby się odbjały jego radości i smutki, jego nadzieje i prace.

W niéj znajdziemy zaledwie dat kilkadziesiąt, kilkaset, dat jednakże ciekawych, których nie napotkamy gdzieindziéj. Będą tam szczegóły do życiorysu pojedyńczych osób, wielkich i zajmujących pewne stanowisko w narodzie, ale nie szczegóły do życiorysu Rzpltéj.

I pod tym właśnie względem, kiedyśmy rozpatrywali ważność dziejową gazety Łuskinowskiéj i porównywali ją z innemi pismami polskiemi, podobnéj myśli i treści, widzieliśmy całe jéj ubóstwo. Ona robiła krok wstecz, nie naprzód. Naśladowała wprawdzie wiernie *Wiadomości Warszawskie*, ale jakże dla tego niższą jest od pisma wychodzącego jeszcze za Augusta Mocnego, a nazywającego się *Kurjerem Polskim?* W Kurjerze były także wiadomości o panach, o szlachcie, o wjazdach, uroczystościach rodzinnych, o processjach nabożnych, jak w gazecie, ale jakże wielki mają interes dla czytelnika te wszystkie wiadomości z Kurjera! Gazety z nim ani porównać. O myśl kraju nie pytaj się także stronnic Kurjera, — za to zobaczysz w nim całe drużynne, familijne życie Rzpltéj. Massa wypadków, zdarzeń, dawniéj może nie mających znaczenia, a dzisiaj dla nas ważnych, historycznych, napotykamy w Kurjerze. Wiadomości gazety Łuskinowskiéj wyglądają przy doniesieniach Kurjera, jak szkice, jak karły przy olbrzymach. Oprócz artykułów kilku rozciąglejszéj treści o podróżach Króla Stanisława Augusta, np. na sejm Grodzieński w r. 1784 albo do Kaniowa w r. 1787, nie ma w gazecie Łuskiny nic, ale to zupełnie nic więcéj nad te szczegóły ważnego. Ale Dyarjusze te z resztą nie na jedną rękę pisane, nie rzadkie są w rękopisach i nawet

w drukach. Dyarjusza, który napisał Naruszewicz o podróży Kaniowskiéj, żaden opis nie zastąpi. Pominąwszy więc te przydłuższe artykuły w gazecie Łuskinowskiéj, co w niéj zostanie? Daty śmierci historycznych osób, czasami szczegóły pogrzebu, rzadkie nowiny o chrzcie albo narodzinach, wiadomości o przyjeździe do Warszawy różnych historycznych osób, nominacje gęste na urzędy powiatowe, albo tylko w ziemiach koronnych, i w doniesieniach, na końcu każdego numeru gazety, ciekawe dzieje, wiadomości o sprzedaży różnych domów w Warszawie, albo ciekawsze jeszcze szczegóły o czynności literackiéj Grella albo Dufoura. W Kurjerze Polskim dużo opisów, w gazecie nie ma ich wcale, — w Kurjerze nadzwyczajna rozmaitość, w gazecie jedno ciągle i toż samo, — w Kurjerze często zmieniony punkt widowiska, a czytelnik ciągle się przenosi z Krakowa do Warszawy, z Warszawy do Poznania, Lwowa, Wilna i Grodna, do małych nawet miasteczek i wiosek, — w gazecie zawsze jedna Warszawa. To też redaktor Kurjera był dziejopisem szlachty polskiéj, żyjącym jéj herbarzem, który wszystko, co tylko wiedział o niéj zanotował na swoich kartkach. Chciał wprawdzie Łuskina podnieść się na wyższe stanowisko, pragnął być autorem i nieubiegał się za postronnemi powieściami. Nie był on historykiem magnatów. Pisał tylko o Królu, przy każdéj gali, gdzie na mszy był, kto mu sakramentów udzielał, kto mu składał powinszowania, kogo Stanisław na pokojach zamkowych przyjmował, gdzie wreszcie wyjeżdżał; ale o jego działaniach, sprawach dla kraju, nic nie wiedział. Opowiadał to wszystko i Kurjer Polski

i jakże obok niego bladą jest ta gazeta księdza Łuskiny! Kurjer to prawdziwy skarb, to morze szczegółów, to nieoceniony materjał dla romansopisarzów i badaczów, w którym znajdziesz wszystko, czego tylko poszukasz, — i prawo i sejmy i zwyczaje i fundacje religijne i literaturę. Kurjer warto całkiem przedrukować, — a z gazety Łuskinowskiéj całéj można treści wybrać na trzy, nie więcéj, obszerne tomy, a wydawszy te trzy tomy, resztę można w kąd rzucić, jeżeli się nie ceni pamiątek. Dla tego, przedrukować treść gazety, nie kosztowałoby wiele trudów i pieniędzy, — Kurjera tknąć nie można, tylko w całym jego ogromie, bo tam jak w zegarku, kółko jedno zaczepione o drugie, a wszystko stanowi całość. Nakład byłby więc straszny, praca wielka.

Są czasem i do gazety w osobnych dodatkach ćwiartkowych, dołączane opisy familijnych uroczystości: np. jak się bawił pięć dni pan wojewoda ruski, Szczęsny Potocki z hetmanem Branickim w Humaniu (w lipcu 1785 r.), jak pan Stępkowski wjeżdżał na województwo Kijowskie do Żytomierza, a Tadeusz Czacki na starostwo Nowogródzkie, ale te wszystkie opisy pomieszczone w Gazecie, zdaje się na wyraźne żądanie stron interessowanych, a nawet może ich kosztem. Gdyby Łuskina zbierał umyślnie podania o takich uroczystościach, byłby znalazł ich więcéj i Gazetę Warszawską rozwinąłby w Kurjer Polski. Ale ksiądz redaktor nie wiedział, że w tych właśnie faktach, które za małoznaczące uważał, leżało wiele zagadnień wewnętrznego życia szlacheckiéj Rzpltéj.

Nakreśliliśmy szkic o wartości gazety Łuskinowskiéj. Po-

wiedzieliśmy o jéj duchu, treści i znaczeniu, wskazaliśmy na stanowisko, jakie zajmuje pomiędzy pomnikami literatury czasów Stanisława Augusta i porównaliśmy jéj wartość z wartością Kurjera Polskiego. Skreślimy teraz, ile potrafim, dzieje gazety, obejrzym zwierzchnią jéj sukienkę, jak się zmieniała stosownie do stanu i okoliczności, jakie z księdzem Łuskiną przebywała szczęśliwe i nieszczęśliwe koleje. Zająć potrafią i te szczegóły, bo odkryją nam gospodarstwo dawnego redaktora, jego kłopoty i pracę mechaniczną, dla utrzymania pisma.

Gazeta Warszawska powierzchowną szatą niczém się nie różniła od *Wiadomości Warszawskich*. Łuskina nie odskoczył od Bohomolca. Na czele każdego numeru, znajdował się herb Rzpltéj o czterech polach, dwa orły i dwie pogonie, a we środku ciołek, herb panującego Króla Stanisława. Wszystko to otaczała armatura z chorągwi, dział, kul i moździerzy. Nad herbem korona wznosiła się o pięciu łukach. Całą szerokość ćwiartki zajmowała ta ozdoba monarchiczna, która wskazywała, że pismo jest jakby urzędowe. Nieznano wtenczas właściwie urzędowych gazet, każdy autor prywatnie wydawał swoje pismo; ale tylko uprzywilejowany imponował młodszéj braci herbami i tarczą królewską.

Numer porządkowy gazety był nad koroną, i pod herbem dopiéro tytuł i data. Druk nie zmienił się także w niczém, litery wielkie dużo zabierały miejsca. Numera składały się z dwóch ćwiartek i z dodatku, który nazywał się dawniéj *addytamentem do gazet*, a późniéj po prostu *supplementem*. I supplement składał się z dwóch ćwiartek.

Tak więc numer gazety całkowity miał arkusz druku, ale treści w numerze nie było więcéj nad cztery szpalty dzisiejszéj np. Gazety Warszawskiéj. Gazetę drukowano w dwie kolumny na stronnicy, supplement jednym ciągiem.

Numera wychodziły tylko dwa razy na tydzień, we środę i sobotę. W rok zatém mogło być od 103 do 105 numerów, to jest: tekstu najwięcéj na dwa miesiące dzisiejszéj Gazety Warszawskiéj. Nam się to wszystko dziwne zdaje, bośmy już przywykli do większych rozmiarów i lubimy czytać codzień. Ta moda jednak, wydawania codziennego numerów, bardzo niedawno nastała w piśmiennictwie polskiém. W naszych czasach, każde prawie miasto polskie większe ma swoję literaturę i pisma perjodyczne, a wtenczas, na tak ogromny obszar kraju, jaki obejmowała Rzplta, wychodziły tylko trzy gazety, w Warszawie, w Grodnie i w Wilnie. Za czasów sejmu wielkiego zmienił się bardzo ten stosunek, ale przed r. 1788 dwa dni tylko czytała publiczność, a trzy miasta tylko dostarczały treści do rozmów potocznych. Gdybyśmy do dziś dnia zachowali ten stan rzeczy, bylibyśmy doprawdy i znudzeni i głodni.

W powierzchowności swojéj gazety, dwie jeszcze późniéj zmiany zaprowadził ksiądz Łuskina: naprzód, że od r. 1781, pod herbem umieścił godło, niby charakteryzujące jego pismo. Godło to brzmiało po łacinie: *nova et vetera*, — teraźniejszość i starożytność. Trudno jednakże pojąć myśl księdza Łuskiny. Co znaczy ta starożytność? przecież gazeta nie zajmuje się historją, wspomnieniami, nie drukuje artykułów, badań, rozpraw, — a po prostu jest kroniką obec-

nego stanu rzeczy. Miałże on to na pamięci, że do pisma które wydawał, zajrzy w lat kilkadziesiąt po jego śmierci, jaki zapleśniały miłośnik starych druków i starych pojęć? Drugą zmianę zaprowadził Łuskina w r. 1784, bo wtedy dał nowy druk wielki i wyraźniejszy. (Pierwszy № 82 tak wyszedł.)

Ksiądz Stefan siedział sobie w dawnéj jezuickiéj celi i niepokazując się na świat wcale, odbierał gazety zagraniczne z poczty, czytał je, redagował podług nich wyjątki, któremi chciał karmić publiczność polską i pisane arkusze odsyłał o kilka cel daléj do księdza Bohomolca, który był przełożonym drukarni pojezuickiéj. Nic prawie nie wychodziło z pod téj prassy, oprócz gazety Łuskiny. Miała więc cała drukarnia wiele wolnego czasu. Kiedy zecery ułożyli już kolumny, doglądał pracy Wojciech Rychliński, który od wielu lat będąc presserem drukarni jezuickiéj, jeszcze za czasów zakonu, potém zupełnie poświęcił się gazecie i księdzu Łuskinie. Odbijał on jego sławę autorską od r. 1777 i późniéj już nikczemnie odpłacił się swojemu panu.

Prenumerata składała się w kantorze u księdza Bohomolca, jak kto zechciał, kwartalnie, półrocznie, i rocznie. Każdy czytelnik obowiązany był przysłać do kantory służącego po odebranie numeru. Nie znano wtedy zwyczaju, jaki dzisiaj upowszechniony i tyle dogodny, że wszędzie można mieć kantor. Był przeznaczony do tego rozdawania gazety w drukarni osobny roznosiciel. Doniesienia prywatne płaciły się osobno. Łuskina i ksiądz Bohomolec pilnie przestrzegali, żeby przy gazecie nie dołączano obwieszczeń, nie mających żadnego z pismem związku, a

zwodzących publiczność. Takiego nadużycia dopuszczali się często roznosiciele gazety po mieście, których księża rozsyłali z numerami do zaufanych przyjaciół albo znajomych. Jeżeli kto miał w tém interes, i dał w ręce roznosicielom jakie doniesienie, redakcja rzucała za to z siebie całą odpowiedzialność. Jednakże zdarzały się i tak oszustwa i bardzo często nadużywano wiary publicznéj, księży, redaktora i przełożonego drukarni.

Raz nawet mocno się rozgniewał ksiądz Łuskina. Ktoś, spekulant zapewne jaki z łatwowierności Warszawian, przy numerze gazety z dnia 26 marca 1783 r. (№ 25) rozdał długie półarkusze drobnemi czcionkami zadrukowane, na których mieściło się ogłoszenie o wyjść mającym u Grella Herbarzu w ósemce, na jeden tom grubym. Był to czas jeszcze, kiedy bawiono się w rodowody i genealogiczne poszukiwania. Owszem, nigdy może nawet tylu co wtenczas nie pojawiło się autorów, dziejopisarzy szlacheckiego klejnotu. Układano wtenczas całe kroniki, dla podniesienia sławy jakiéj rodziny. Wielądek dziwactwa o Poniatowskich pisał i wywodził ich z Torellich włoskich, którzy tam kiedyś jako hrabiowie kwitnęli. Herbarze zagęściły się massą zmyślonych faktów. Niesiecki pracował dla nauki, następcy jego pracowali dla połechtania próżności.

Niezmiernie też zainteressował wszystkich w Warszawie ten nowy herbarz u Grella. Lecieli czytelnicy, panowie i szlachta, pytać się o to dzieło księdza Bohomolca i Łuskiny, a ci nic nie wiedzieli i z niczém odsyłali ciekawych. Ogłoszenie ktoś dał roznosicielowi gazety bez wie-

dzy przełożonego drukarni. Łuskina gniewał się nawet na sam tekst tego ogłoszenia. Była w niém satyra na Koronę Niesieckiego, cios wymierzony na jezuitę, więc podług Łuskiny i na zakon. Z téj okoliczności dowiedzieliśmy się, że rękopis o rodzinach litewskich Kojałowicza był własnością Biblioteki Akademickiéj w Wilnie, a wtenczas właśnie (w r. 1783) znajdował się cały w czyjemś ręku w Warszawie. Niesiecki z niego czerpał. Autor obwieszczenia twierdził, że Kojałowicz nigdy w życiu swojém żadnym herbarzem się nie zajmował. (Gazeta Warszawska № 26, 29 marca).

Ale więcéj się potém jeszcze ksiądz Łuskina rozgniewał na szkaradny podstęp przeciw jego dobréj wierze zwrócony. Umarł właśnie dawny jego przyjaciel, ksiądz Bohomolec, przełożony drukarni nadwornéj (24 marca 1784 r.) Prawda, że Bohomolec nie miał już od lat dziesięciu wtedy udziału w wydawaniu gazety, ale jednakże bardzo często do niego zgłaszali się ludzie z różnych stron Rzpltéj z doniesieniami i rozmaitemi sprawami. Musiał aż Bohomolec ogłaszać publicznie, że nie należy do redakcji, że jest przełożonym tylko drukarni, jak inny jest przełożony nad Gazetą Warszawską. Nad tą stratą przyjaciela, musiał serdecznie ubolewać ksiądz Łuskina.

Otoż niedługo po téj śmierci, autor gazety spostrzegł podstęp, o którym mówiliśmy. Wojciech Rychliński, jego presser, złapany był na gorącym uczynku, że 170 exemplarzy, ni mniéj, ni więcéj, tajemnie odbijał i za połowę ceny sprzedawał swoim zaufanym przyjaciołom po mieście. Nie wiadomo jak długo praktykowała się ta kradzież,

bo Rychliński chociaż się przyznawał do winy, o czasie nic nie powiedział. Zdaje się jednakże, że ta kradzież nastąpiła dopiéro po śmierci Bohomolca, bo wtenczas wolniejszy był cokolwiek presser od nadzoru, a sam odbierał prenumeratę i utrzymywał rachunki w drukarni. Łatwo mu szło, bo roznosiciel rozdzielał numera na miasto, a Rychliński swoje exemplarze mógł brać do domu i ztamtąd puszczać po stolicy. Zdaje się więc, że kradzież mogła trwać najwięcéj dwa miesiące. Łuskina wyrachował, że rocznie ten podstęp kosztowałby go i drukarnię 6000 złtp. bo mu się zaraz zdawało, że miliony skradziono. Ale jeżeli dwa miesiące tylko trwał przedruk gazety bez jego wiedzy, stracił najwięcéj na téj spekulacji 1000 złtp.

Pressera osadzono w więzieniu. Łuskina jego wierzytelności na mieście zagarnął pod swój użytek. Prosił serdecznie wszystkich, żeby mu doniesiono za sowitą nagrodą o podobnych nadużyciach. Żeby zaś na przyszłość przeciąć drogę oszustwu i dla uniknienia nieporządku w rachunkach, kwartalną prenumeratę całkiem zniósł, a pozwolił tylko na półroczną i roczną, przed dniem 1 stycznia i 1 lipca. Zapowiedział, że gdyby komu ochota przyszła, wziąć gazetę w środku półrocza, wtedy każdy numer będzie płacić osobno aż do dnia, kiedy będzie mógł złożyć całą prenumeratę. Prosił téż czytelników swoich, żeby posyłając chłopców do kantoru po numera pojedyńcze, zawsze im dawali rewersa, za któremi miał gazetę wydawać roznosiciel. Zdarzało się albowiem nieraz, że dwa exemplarze zamiast jednego odbierano. Ksiądz Łuskina, jak widzim, nie lubił kłopotów, — nie chciał nawet robić ksiąg osobnych ze spisem

prenumeratorów, w którychby, jak dzisiaj to ma każda księgarnia, po kolei odmazywał wydane na miasto egzemplarze. *)

Ale najciekawsze w dziejach gazety Łuskinowskiéj są spory zacięte, jakie autor ksiądz jezuita prowadził z literatami, i boje jakie z niemi staczał o swój przywiléj, o swoje prawo. Rozwiniemy je tutaj, bo nam odkreślą jeszcze pewną stronę charakteru Łuskiny. Ksiądz autor był niezmiernie zazdrośny. Z początku pism perjodycznych mało wychodziło w Rzpltéj, a gazet jakeśmy mówili, trzy tylko drukowano. Ale powoli jakoś więcéj nastało życia. Bardzo czynni drukarze i księgarze, Michał Grell i Piotr Dufour, krzątali się wiele. Bardzo im było nie na rękę to prawodawstwo Rzpltéj, które na literaturę nawet nakładało wędzidło. Grell i Dufour znali tajemnicę księgarską. Wydawali rzeczy pokupne i zarabiali dobrze na nich. Nie było roku jednego, żeby jakich nowych przedsięwzięć nie tworzyli, żeby nie zajmowali się czemś ważném. Doprawdy, wiele życia weszło w tę literaturę Stanisławowską, jedynie skutkiem ich zachodów. Literaci możeby milczeli, możeby nie tak wiele pisali, gdyby nie oni dwaj, co raz wraz pukali do serca autorskiego, zamawiając dla dobra ogólnego, pióro historyków, poetów i tłómaczów. Można tedy pojąć, jak i Grell i Dufour nie kontenci byli z przywileju Łuskiny.

Oprócz księdza jezuity, mieli jeszcze pijarowie Warszawscy dawny przywiléj na wydawanie gazet francuskich. Wpływ to Konarskiego który łacinę zamieniał po szkołach

*) Gazeta Warszawska 1784 roku, № 42 Supplem. z dnia 26 maja tudzież № 98 i 104 tegoż roku.

językiem Molière'a. Pijarzy chcieli zainteresować panów, wysoką szlachtę Rzpltéj; przyzwyczaiwszy ich w kollegium Nobilium do mowy francuskiéj i do edukacji czerpanéj w Paryżu i w Nancy, mieli zamiar dla nich wydawać gazety w mowie ulubionéj i modnéj. Ale milczeli przez brak funduszow, może i dla braku redaktora zdolnego, chowając tylko swój przywiléj w ukryciu, żeby się z nim tylko w razie potrzeby pochwalić, a przy sprzyjających okolicznościach, nawet zrobić z niego użytek. Nie na Pijarów więc, ale na Łuskinę godzili warszawscy drukarze.

Obok nich, pojawił się także w stolicy człowiek, niezmiernie czynny i pracowity. Oni łożyli nakład, człowiek ten umiał pisać. Obdarzony od natury pewną zdolnością i zapałem do nauki, nieustawał ani na chwilę. Nie zmogła go żadna przeciwność, nawet brak funduszów, a co większa, pociski gęsto na niego rzucane od arystarchów literackich, ludzi starych już, a wzrosłych w przesądach, jak wszyscy starcy, że młodzież zarozumiałą jest, że nic nie wie, nic nie potrafi, nie stworzy, — tylko oni, światła literatury, znają wszystko i umieją wszystko.

Tym człowiekiem był ksiądz Piotr Switkowski, jeden z najdzielniejszych przedstawicieli literackich swojéj epoki, jeżeli nie jakością, to ilością. Człowiek ten w epoce Stanisława Augusta niezawodnie znakomity, poruszał i ożywiał wszystkie gałęzie piśmiennictwa. Zajmował się polityką, historją, handlem, przemysłem, gospodarstwem, budownictwem, filozofją, prawem, jedném słowem wszystkiém. Był to encyklopedysta swojego czasu, nie dla tego, żeby szedł za duchem Woltera, ale dla tego,

że znał się na wszystkiém i mówił o wszystkiém. Otóż prócz Dufoura i Grella, był to trzeci nieprzyjaciel księdza Łuskiny, i znowu nie dla tego nieprzyjaciel, żeby go nie lubił osobiście, albo mu zazdrościł, albo z nim się gniewał, ale dla tego, że w epoce od r. 1774 do 1788, nieprzyjacielem Łuskiny był każdy, kto myślał o perjodycznéj literaturze w Warszawie. Nie w Switkowskim, ale w Łuskinie było źródło przyszłych sporów i niechęci, które się nieraz osobistością kończyły.

Dziwne usposobienie Łuskiny względem Switkowskiego, jeszcze więcéj pomnażał ksiądz Wyrwicz. Członkowie czwartkowych obiadów, dumnemu może z łaski Króla, uczonemu proboszczowi Ś. Jędrzeja i opatowi w Hebdowie, zbyt maleńką figurką wydawał się *autor* (znowu *autor*, zamiast *wydawca, redaktor) Pamiętnika historyczno-politycznego*. Zniżył się nareszcie i do niego ksiądz Wyrwicz i jął się skrzętnie domacywać błędów mniéj uczonego od siebie autora. Za każdym numerem Pamiętnika, wychodziły sążniste, grube *promemoria Wyrwiczowe* na Pamiętnik, większe od samego dziełka. Łuskina tak się rozpalił, że rozdawał je darmo przy numerach swojéj gazety. Rubasznie w nich wyśmiewał się Wyrwicz z pomyłek Switkowskiego. Zarzucał mu błędy grube historyczne, jeograficzne, polityczne, mitologiczne, literackie i druzgotał biednego autora całą swoją powagą, jaką zaczerpał na obiadach czwartkowych. Przyjaciel serdeczny Łuskiny, prawił mu wciąż Wyrwicz o błędach Switkowskiego i budził humor kwaśny. Dwaj starzy jezuici wmawiali w siebie, że oni tylko dobrze widzą i słyszą. Tylko Bohomolca nie widzim w téj polemice.

Wojna też dopiéro całą siłą zawrzała już po śmierci Bohomolca.

Łuskina rozpoczął napaścią nie jawną. Był to attak owszem zupełnie skryty. W sierpniu 1783 roku ogłosił w swojéj gazecie i przypominał wszystkim, że na wydawanie gazet ma wyłączny królewski przywiléj, nadany sobie w roku 1773. Bo, powiadał Łuskina, namnożyło się wiele pism w stolicy, «wychodzących nad miarę i nad opisane granice.» Musiał więc *autor gazety* przypomnieć tym panom swój przywiléj. Nie tylko więc przypominał, ale i groził, żeby mu w drogę nie właziły. Przywiléj był jego majątkiem, to była wieś, dobra, to klucz własny Łuskiny. Któż miał prawo gospodarować mu w jego dobrach? Ksiądz jezuita występował nawet z Bożém przykazaniem, na poparcie praw swoich. Powiadał, że starał się tylko o przywiléj drukowania gazet po polsku, nie po francusku, bo dawniejsze jeszcze prawo na redakcję francuską, mieli księża pijarowie Warszawscy. Nie pożądał więc żony bliźniego swego, nie mógł zatém ścierpieć, żeby jego własnéj żony pożądano. Łuskina jednakże milczał, że miał przywiléj wydawania gazet we wszystkich językach, oprócz francuskiego. Na raz zatém pragnął od Króla i dostał za wiele. Tą chciwością właśnie zgrzeszył przeciw Bożemu przykazaniu. Boć z resztą, nie skupił w sobie zdolności wszystkich ludzi w ówczesnéj Polsce, co literatami być chcieli. Dla czegoż im nie pozwalał powietrza do oddychania? Wszakże żyli i pisali, jak on; a on im wszystkim, przywilejem swoim, pióro z ręki wytrącał. Doprawdy, ksiądz Łuskina zakochany w prawie swojém,

nie spostrzegł, że zarzut który miotał drugiemu w oczy, do niego mógł się w pełni zastosować

Groził więc pismom «wychodzącym nad miarę i nad opisane granice.» O prawie zaś swojém tak napomykał, że choćby i starał się o przywiléj francuski, dostałby zapozew od Pijarów i przegrałby sprawę w sądach assessorskich. To się znaczyło, że Łuskina przed kanclerzów zapozwie pisma, które podawały obok jego gazety, wiadomości polityczne.

I na jakież to przełamanie prawa, narzekał tak straszliwie, tak potężnie ksiądz Łuskina? Biedny Pamiętnik Switkowskiego, wcale nie zaczepiał jego majestatu. Pamiętnik zajmował się nauką, a ksiądz Łuskina wiadomościami swojemi i obcemi. Pamiętnik dawał artykuły dłuższe i wyrozumowane, a Gazeta same nowiny. Switkowski drukował ciekawe wyjątki z dzieł francuskich, niemieckich, angielskich, dawał np. wiadomości o spółczesnym stanie Wołoszczyzny i Multan, pomieszczał myśli względem pomnożenia handlu i rękodzieł w Rzpltéj, rozprawiał o Franklinie, porównywał niedostatek pieniędzy w Polsce z pomnażającą się ilością złota i srebra w Europie. Kreślił portrety spółczesnych znakomitości, albo donosił o świeżych wypadkach w Indjach Wschodnich (numer styczniowy 1784.) Cóż te wszystkie wiadomości miały wspólnego z gazetą Łuskiny? Wszakże dla objęcia i tych szczegółów, nie zdały się wcale ramy jego pisma. Gazeta żyła z dnia na dzień, była kroniką świeżo-bieżących wypadków, a tém się przecież wcale nie zajmował Switkowski. W czémże on tu

*) Gazeta Warszawska z dnia 6 sierpnia 1783 r. № 63.

przechodził nad miarę i granicę? Może się Łuskina gniewał na koniec numerów Pamiętnika, gdzie pomieszczały się dzieje polityczne różnych krajów, w krótkiém opowiadaniu historyczném, więc wcale nie gazeciarskiém, jak to robią często i pisma literackie nam spółczesne, które i bieżącéj historyi poświęcają kilka ostatnich kartek. Ale takie dzieje polityczne wychodziły raz w miesiąc i zajmowały trzy, cztery, albo pięć ustępów, na kilku ledwie stronnicach. Toć to przynajmniéj chleba księdzu Łuskinie odebrać w żaden sposób nie mogło, a potém, każdy ciekawszy jest pojedyńczego numeru gazety, jak takich szczupłych historycznych artykułów. Gazeta była gazetą; Pamiętnik był pismem historyczno-politycznéj treści i tylko naukowém. Dziwnie z resztą ta pretensja Łuskiny odbija się od jego professorskiéj i jezuickiéj zarozumiałości. W jego przekonaniu i w myśli Wyrwicza, Pamiętnik był nic nie wart, nie miał żadnéj powagi, żadnego literackiego znaczenia, — i po cóż te gniewy potężne, po cóż ta siła piorunów? Każde pismo ma swoich czytelników, którzy je kochają. Miał swoich Pamiętnik, miała swoich Gazeta. Jedni drugim nie szkodzili. Jeżeli Pamiętnik nie miał wartości, czytali go tylko nierozumni ludzie; jeżeli tylko gazeta była pochodnią nauki i prawdy, czytali ją mądrzy ludzie, jezuici, Wyrwicz, Nagórczewski. Pismo złe nigdy dobremu nieszkodzi. My tego autora czytać lubimy, który opowie nam i pięknie i dowcipnie i z rozumem to, o czém drugi prawić będzie niesmacznie i bez talentu. Ksiądz Łuskina doprawdy zdradzał się. Wyznając jawnie gniew swój, wywodząc na plac prawo swoje i przywiléj, podług

nas, przyznawał tylko, że na prawdę się gniewa i że gniew ten pochodzi z obrażonego interessu i dumy. Ksiądz Łuskina dawał tém poznać, że traci wpływ, czytelników, prenumeratę i przez kogo jeszcze? przez Pamiętnik. Musiało być tak w saméj rzeczy, bo Switkowski w pracy nieustawał, co chwila nowe rodziły się w nim myśli i przedsięwzięcia, a czytali go Warszawianie. Musiał więc i wpływ swój wywierać kosztem naturalnie księdza Łuskiny.

Switkowski był téż nierównie młodszy od autora Gazety i trafniéj jak on pojmował potrzeby czasu.

Do jakiego stopnia drażniło to spółzawodnictwo w jednéj myśli, księdza Łuskinę, mamy jeszcze dowód na jednym wypadku. Jak nie miał powstawać na Pamiętnik, na pretensje Dufoura albo Grella, kiedy ścigał urojonych swoich nieprzyjaciół aż w Krakowie? W styczniu 1784 r. pokazało się w stolicy drukowane obwieszczenie z księgarni Grebla, nadesłane z Krakowa, które zajmowało w sobie wiadomość o nowo-mającém wychodzić piśmie. Stary gród Wandy, nie miał aż do téj chwili żadnego literackiego organu, a jednak była tam akademja, były tam drukarnie, biblioteki, i jeżeli już nie czytelnicy postronni, to była tam wielka liczba professorów i literatów. Jednakże stary Kraków nie miał dla siebie ani jednego pisma, ani gazety, ani zabawek przyjemnych i pożytecznych. Grebel chciał zapobiedz téj niedogodności i myślał łożyć fundusz na wydawanie pisma, które bardzo zakrawało na gazetę. Miało wychodzić w tygodniowych numerach, a mieścić w sobie wiadomości tłómaczone z gazet zagranicznych.

Jak się tylko o tém dowiedział przełożony autor nad *Gazetą Warszawską*, zaraz pogroził Greblowi klątwą swoją, tym magicznym przywilejem. Postraszył go karą 200 czerwonych złotych. Zabronił nawet przedrukowywać siebie w całości, albo w cząstce. Inaczéj, — wskazywał na sądy assessorskie, jako opiekuna praw jego. Nie przestając na téj groźbie, mówił nawet prenumeratorom Grebla: «nie płaćcie pieniędzy z góry, bo będziecie mieli zawód.» Księgarz krakowski zląkł się i zaniechał swojego zamiaru.

Podobne zwycięstwa mogły tylko ośmielać księdza Łuskinę. Dla tego też zdaje nam się, że attaki Wyrwicza na Switkowskiego, w części autorowi gazety przypisać należy. Łuskina skrył się za przyjaciela, może się wstydził, ale obadwaj myśleli niezawodnie, że zgubią Pamiętnik, który niepotrzebował wcale ich protekcji, a odważył się mieć zdanie własne i nie zawsze pełne uszanowania dla potęg literackich wtenczas, kiedy go te wystawiały za zupełnego nieuka w oczach publiczności.

Nie skończylibyśmy tak prędko, gdybyśmy chcieli opisywać z kolei wszystkie zaczepki i sarkazmy, których przedmiotem ze strony *Gazety Warszawskiéj* był ksiądz Switkowski. Co chwila Łuskina przyczepiał się do czegoś innego. Karcił Pamiętnik za język, za myśl, za zasady, oskarżał go nawet o bezbożność, a zawsze o grubą niewiadomość. Regularnie co miesiąc u dołu kolumn swoich, przytaczał Łuskina treść pojedyńczych numerów Pamiętnika, żeby potém z nich się natrząsać. Stroił sobie nawet żarty ze zwyczajów, ze sposobu życia, z porządku zatrudnień,

*) Gazeta Warszawska 1784 № 4.

jaki sobie ułożył Switkowski. Były to żarty grube, nie przyzwoite, straszliwie rubaszne, bez cienia nawet dowcipu. Ciężki doprawdy orzech zgryść musiał w zawodzie swoim literackim autor Pamiętnika, a wytrwał jednak: cześć mu za to! Pokazał że ma nierównie więcéj charakteru i miłości pracy, jak ksiądz Łuskina, astronom Królewski. *)

Ale w Warszawie, nie z jednym tylko Switkowskim, walczył *autor Gazety*. Nie było ani jednego pisma, które o perjodyczności myślało, żeby go nie atakował Łuskina. W grudniu roku 1784 nowy cios przygotował mu Dufour. Ogłosił *Prospekt na Polaka patryotę*. W uwiadomieniu, zapraszał przyjaciół narodu ludzkiego, żeby mu donosić raczyli o chwalebnych i cnotliwych, a niemniéj i o nagannych czynnościach, jeżeli mają jakie o nich wiadomości, dla tego, że pismo jego chciało prostować namiętności i kształcić serca obywatelskie. Cóż to za tryumf był dla Łuskiny, ten wymowny prospekt, gdzie ciągle była mowa o tych *ościach*. Ksiądz *autor Gazety* oświadczał się wtedy Dufourowi, że chce być przyjacielem narodu ludzkiego i w tym celu donosił mu, że dostrzegł naganne wiadomości w jego prospekcie. Radził Dufourowi, któremu nadawał hojnie tytuły parysko–warszawskiego pisarza, żeby z prospektu swojego wyrzucił te opisywania dzieł złych i dobrych, ludzkich, teraźniejszych, bo takie czynności, wiadomości i namiętności, należą wyłącznie do jego przywileju. To kształcenie serca, tę sławę narodu,

*) Dzieje tych ciekawych sporów będziem się starali w artykule oddzielnym o Switkowskim opowiedzieć.

potrzeba zostawić Gazecie, mówi Łuskina. Dufour obiecywał leczyć jeszcze swoich prenumeratorów i dawać artykuły w politycznych materjach. Łuskina bez ogródek powiadał, że i w tym razie ostatnim, zastąpi gazeta, zajętego lekami *Polaka patryotę*. Czasami w istocie dowcipne są te dawne spory, a zawsze zajmujące.

Grell wmięszał się nieszczęśliwie do sporu i bez potrzeby. — Łuskina też żartował sobie z kolei z Pamiętnika i z księgarzy. Nazywał ich wodzami rajtarji żydowskiéj, każde słowo ich nicował. Dufour przeciw Łuskinie wydrukował więc w awizkach, które tygodniowo wydawał o ruchu swoim księgarskim, parę uszczypliwych konceptów i datował te koncepta z Żoliborza, niby dając znać, że to ktoś pisał z Pijarów przeciw Łuskinie. Redaktor Żoliborski pogroził księgarzowi pozwem. Cała sprawa zaczęła pachnąć kryminałem.

Widząc, że nic nie poradzi Łuskinie, że zawsze będzie mu brzęczał nad uchem ten fatalny przywiléj, obok którego i myśléć i oddychać nie można było, Dufour wziął się na sposób. Nie chciał już wydawać pisma perjodycznego, gazety, ale po prostu myślał wydawać sejmowy Dyarjusz. Była to myśl piękna i obywatelska. Łuskina w swojéj gazecie dawał tak szczupłe wiadomości o treści rozpraw na sejmie, że w saméj rzeczy nic rozumnego z nich nie można było wycisnąć. A jednakże interessowało to mocno ogół kraju, o czém w Warszawie albo w Grodnie senatorowie i posłowie radzili, boć te rady miały wpływ na losy obywateli i Rzpltéj. Dufour postanowił w czasie sejmu drukować w Warszawie tygodniowy

Dyarjusz. To przecie nie była gazeta, a były to wiadomości swoje, których nigdy dosyć się nie czyta, — w jednym opisie mogą być te szczegóły, w drugim inne, a zawsze zajmujące, ciekawe. Jeden opis w takim razie drugi dopełnia. Dyarjusz Dufoura miał perjodycznie dawać te wiadomości z sejmu. Zbierał się właśnie w r. 1784 sejm do Grodna. Dufour zamiar swój publicznie ogłosił. Ale Łuskina ostrzegł go i urzędowo nawet nakazał milczenie.

Oczéwiście dla Gazety Dyarjusz byłby sprawił znaczny uszczerbek. Sprawozdania Dufourowe, tém samém, że obszerniejsze, byłyby już treściwsze i więcéj nierównie obejmowały przedmiotów. Ksiądz jezuita psuł tylko sobie krew bezustanku. Dufour rozżalony, bo do ostateczności już doszło, kiedy miał przez niego sprawę prawie kryminalną, może umyślnie dokuczał Łuskinie. Dosyć, że w r. 1786 odżył na nowo projekt tygodniowego dyarjusza. Księgarz spodziewał się, że łatwo odniesie tryumf nad Łuskiną, chociażby w téj sprawie. Do Warszawy zjeżdżało się wtenczas wiele gości, którychby można zainteressować tym projektem. W Dyarjuszu mógł Dufour pomieszczać całkiem mowy posłów, a przez to pochlebiać próżności. Ale silniejszy jeszcze był Łuskina. Wiedział, o co walczył. Gazetę jego rozchwytywano w czasie sejmu w mieście. Wybijał wtedy zwykle większą liczbę exemplarzy. Czasami drukować musiał aż powtórne wydanie pojedyńczych numerów. W czasie sejmu leciały w jego kieszeń niestałe dochody, i widać, że było czego zazdrościć. Otoż i w r. 1786, jak tylko dowiedział się o zamiarach Dufoura, przypomniał mu w swojéj gazecie o niefortunném usiłowaniu

przed dwoma laty. Kończył przestrogą: «niech więc od niegodziwego zarobku wstrzyma się Dufour, jeśli kocha sprawiedliwość, po przydłuższéj wojnie z Gazetą, jeżeli kocha swoje 200 dukatów. *)» Księgarz ustał w saméj rzeczy, ale w jego głowie już powstała myśl processu, który niedługo rozpoczął.

Tymczasem Łuskina przebijał często swoje numera, ale dziwim się, dla czego rozchwytywano te jego kartki. W r. 1786 zbrakło mu np. № 84. Czyżby to dla wiadomości sejmowych? ależ w tym numerze tak ich nie wiele!

Na tym sejmie, który obradował pod laską Gadomskiego, wspomniał na posiedzeniu z dnia 27 października książe Adam Czartoryski, jenerał ziem Podolskich, bardzo pochlebnie i wiele o zasługach i pożytecznych pracach zakonu jezuickiego, na których budowała swoje dzieło Kommissja Edukacyjna. Książe kilka imion wtedy przytoczył. Było tam wspomniane pomiędzy innemi i nazwisko Łuskiny. Uradowany z tego, autor Gazety, nie od siebie, ale od całego zakonu zapewniał w swojém piśmie, że «wspomnieni od tego książęcia, wieczną mu będą winni wdzięczność. **)»

Dufour tymczasem nie zaspał sprawy. Był to ruchliwy Francuz i dbał o cześć swojego imienia. Zapozwał Łuskinę przed sądy marszałkowskie i publicznie drukiem ogłosił to do wiadomości swoich czytelników, w lutym 1787 r. Szło o to, jak ma prawo tłómaczyć sobie przywiléj swój ksiądz Łuskina, bo dotąd w jego mniemaniu każdy dziennik był gazetą i każda wiadomość gazetą. Szczególniéj szło o to Dufourowi, czy miał prawo ksiądz Łuskina sam

*) Gazeta Warszawska 1786, № 80

**) Gazeta Warszawska № 87.

oznaczać materje, jakiemi zajmować się powinni literaci stolicy i czy mógł ostatecznie wyrokować o treści perjodycznych pism warszawskich, że taką jest, a nie inną. Jeżeli Dyarjusz tygodniowy sejmu był gazetą, to ksiądz Łuskina może powiedzieć i na dziennik handlowy, że to gazeta, twierdził Dufour, a takim sposobem każde wydanie może skarcić, albo zupełnie go zakazać. Marszałkiem W. K. był wtedy Michał Mniszek. Sprawa długo się wlokła. Widać bronili się dzielnie obadwaj zapaśnicy. Ale Łuskina jeszcze zwyciężył: 18 września 1787 r. zapadł wyrok w sądach Marszałkowskich przeciw Dufourowi. W tydzień potém, szczęśliwy rycerz ogłosił z tryumfem w gazecie swojéj z dnia 26 września dwa excepta, jeden ze swego przywileju dla wiadomości wszystkich, drugi z wyroku przeciw Dufourowi.

Odtąd nic już nie miało walczyć z księdzem Łuskiną o lepsze. Same losy były za nim. Wszyscy nieprzyjaciele ukorzyli się przed nim. Nie wiedział jednak szczęśliwy zwycięzca, że był u kresu tryumfów swoich.

Co jednak podżegało te okropne, stanowcze walki? spytamy. Miłość pieniędzy? czy miłość urojonéj sławy? czy może obrażona duma? Wszystko to razem, ale jednak miłość pieniędzy była tam niezawodnie na głównym planie. Widzieliśmy, że ksiądz Łuskina rozdał zakonowi swój rodzinny majątek. może pozazdrościł téj wspaniałomyślności po kassacie jezuitów, — może chciał odbić na publiczności to, co tak nieumyślnie utracił; bo jak wątpić nie można, że nie żałowałby wcale swojéj szczodréj ręki, gdyby zakon żył jeszcze, tak potém gniewał się na serce, co mu

złą radę podszepnęło i kazało ojczyste bogactwa pomiędzy obcych rozsypać. Z wiekiem znalazła się w Łuskinie miłość zbiorów, jak u Wyrwicza. A jednak nie wiele płakał nad nieszczęściem swojém autor Gazety, kiedy te zbiory potém, przez bieg okoliczności utracił. Były to przecież zawsze nie małe kapitały. Praca zbogaciła aż nazbyt Łuskinę. Żył skromnie, wydawał na siebie mało, gości nie przyjmował, mieszkanie go nie kosztowało, a więc cały grosz z gazety szedł napełniać ogromne kieszenie księdza jezuity.

Przykro mu to było jedynie w późniejszych latach, że przeżył własną potęgę. Od września 1787 do października 1787 r. było wcale niedaleko, a kiedy otworzył sejm wielki, monopol Łuskiny upadł. Mnożyło się pism wiele, gazet, broszur; wszystkie śmiało wkraczały w obręb przywileju z r. 1773, ale Rzplta była wtenczas w pełni życia i nikt się Łuskiny o pozwolenie nie pytał. Gazety były lepsze od jego gazet, a broszury miały treść, na jakiéj całe życie pismu Łuskiny zbywało. Opuścił też ręce i był wtedy ksiądz astronom Królewski, doprawdy, jak stary; — w saméj rzeczy nie młody już, dawnemi żył wspomnieniami. *)

Jednakże ruch ogólny, jaki wtenczas panował w literaturze, wiele wpłynął na ulepszenie saméj gazety. Druk ściślejszy pozwolił Łuskinie mieścić więcéj wiadomości na

*) Za Sejmu Wielkiego wyszła broszurka pod tytułem: *Od publiczności do Gazety Warszawskiéj*, w 4ce. Nie znamy jéj wcale i tytuł wypisaliśmy tylko z ogłoszeń gazeciarskich. Exemplarz kosztował groszy 15. Musiał to być szereg wymówek.

swoich półarkusikach. Gazeta widocznie poprawiała się pod względem treści, stawała się coraz więcéj księgą odbijającą teraźniejszość. Ale też inaczéj wtedy być i nie mogło w żaden sposób. Żeby się utrzymać, żeby mieć czytelników, potrzeba już było mieć wtedy nie sam tylko przywiléj. Z resztą i to samo życie ówczesne dosyć przedmiotu dostarczało literaturze. Ścierały się zdania zbyt żywo. Sejm uchwalał wiele praw, i dużo rozprawiał. Wdawano się w filozofję, badano systemata rządowe. Może dla tego ksiądz Łuskina, zdjął armaturę z herbu umieszczonego na czele gazety: zamiast dział, chorągwi i moździerzy, dał z jednéj strony Merkurego, z drugiéj Minerwę. Merkury, to godło nowin, Minerwa, to godło mądrości. To też pierwszy w ręku list trzymał, jakby go chciał rzucić pomiędzy czytelników, a bogini opierała się pompatycznie na księgach. Nic dziwnego, że pod starość rozżarł się Łuskina straszliwie na Francuzów, którzy w r. 1789 podnieśli rewolucją. Zasady, które zwalczał całe życie, przejawiały się w czynach. Pózno już było pisać pochwały i apoteozy jezuitów: trzeba się było wziąść teraz do szkalowań. Że w czasie sejmu wielkiego krzyżowały się wielce zdania, uchodziły te gniewy księdzu Łuskinie, bo żadne jeszcze wtedy stronnictwo nie zapanowało wszechwładnie w Rzpltéj. Autor Gazety rozwijał swoje teorje, zbijał czasem prawdy jasne jak słońce. To mu zapewne nie robiło przyjaciół, ale szanowano głos jego, jak szanowano zdanie każdego obywatela, póki rozprawiać było wolno. Jeżeli były kiedy przymówki, gniewy na Łuskinę, kończyły się zawsze na słowach, chociażby wydrukowanych.

Ale kiedy Konfederacja Targowicka, podniosła zwycięzki sztandar swój w Rzpltéj, Łuskina zagrzmiał głośniéj. Jemu nigdy nie szło o swobody szlacheckie, o liberum veto, o dawne sejmiki, ale zawsze i wszędzie o jezuickie zasady. Błogosławił téż zwycięzcom Targowickim, którzy do stolicy wkraczali. Nowi władcy nie przynosili z sobą zasad, które tyle Łuskina ukochał, ale przytłumili siłę jednego stronnictwa, które marzyło o reformach politycznych, i drugiego, które wyciągało rękę ku Francji. W pojęciu Łuskiny, każda reforma była zaparciem się Boga i zbawienia, i stąd jego tryumf, stąd radość kiedy głośno, bez obawy i niebezpieczeństwa mógł ogłaszać swoje ideje.

Jest wierszyk bezimiennego autora z tego czasu, w którym z całą mocą nagromadzono zarzuty przeciw Łuskinie. Nie poezja to, ale wymowa, bo rym nie stanowi istoty rzeczy: — w wierszu zaś tym są gromy, ale nie obrazy:

Łuskino! pókiś w szczupłych obrębach zamknięty
Pobożnych jezuitów chwalił zakon święty,
Pókiś płonne rozwodził na Francuzów skargi
I w swarliwe w gazetach wdawał się zatargi,
Nie widząc tam rozsądku, ani maksym zdrowych
Śmiałem się z twego głupstwa, z konceptów jałowych....
Lecz dziś, kiedy wylany na wszystkie bezwstydy
Śmiesz się jawnie przykładać do kraju ohydy
Gdyć nie tylko ojczyzny smutny los nie boli
Lecz się jeszcze najgrawasz z rodaków niedoli;
Zasłużoną pogardą pojęta ma dusza
Zrywa długie milczenie i mówić przymusza.

To wstęp. Opuściliśmy w nim naumyślnie ciężkie zarzuty. Silniejsze przecież następują:

O nędzny pochlebniku! woła mówca:
Ten blask ciebie rażący, już nas nie omami!

Przy codziennych biesiadach, przy pełnym kielichu,
Snadniéj chytréj obłudy wdziać na siebie maskę
I czołganiem wyżebrać napuszoną łaskę
Wpośród zbytku, miękkości, pędząc gnuśne życie, —
. . . . . .
Lecz porzuć dom wygodny —
A do biednego kmiotka nędznéj zajrzyj chaty,
Idź śladem, kędy rozpacz, łzy i narzekanie....

Autor powiada, że zysk i względy u mocnych, to było hasło księdza Łuskiny. Zachęca go, żeby i nadal tąż samą postępował drogą, żeby chwalił zbrodnie, i pisał jak najsroższe paszkwile, temi słowami filipikę swoją zamyka:

Kończę, bo już surowy wzrok twój na mnie błyska
I za przykre wyrzuty piorun zemsty ciska.
Widzę, że twoje serce od złości się pęka
Słuchać prawdy, — nieznośna dla dusz podłych męka,
Ale każdy pochlebca, choć się srożу, zżyma,
Widok zysku w momencie zapęd jego wstrzyma.
Tak podły gazeciarzu! i złość twoja znika;
Korzyści u własnego szukasz przeciwnika
A choć mój wyraz ostry, żółć w tobie zapalił,
Gdybym zabrząknął złotem, — i mniebyś pochwalił.

Te ostatnie słowa, jak i cały wiersz dają nam poznać, że nie miała już wtedy pod starość szczerych przyjaciół gazeta Łuskinowska. Sam ksiądz redaktor wydał jéj wojnę postępowaniem swojém i dźwignąć już nie mogło jego pismo, chociaż żyło jeszcze i obrażało ciągle opinię. Ostatni cios *Gazecie Warszawskiéj*, zadała śmierć samego jéj *autora*, księdza Łuskiny. Przeżył chwile sejmu wielkiego, przeżył Wyrwicza, swojego przyjaciela, przeżył marzenia Rzpltéj. Doczekał się końca Konfederacji Targowickiéj i sejmu Gro-

dzieńskiego, ale umierał jeszcze za panowania Szczęsnego Potockiego i marszałków Targowickich. Śmierć ta nastąpiła w Warszawie 21 sierpnia 1793 roku. Żył Łuskina lat 69. *)

Przyjaciel jakiś nad grobem pięknie i czule chciał w gazecie osieroconéj, przypomnieć zasługi długiego żywota. Oto kilka wierszy z nekrologu Łuskiny:

«Mogąc i dla przysług ojczyźnie i dla rodowitości i dla talentów coraz się piąć wyżéj po tak rozlicznych duchownego stanu stopniach, obrał sobie atoli tak zostać. Codzienna msza, nabożne rozmyślania, kapłańskie pacierze, duchowna w ręku książka, biblja, dzieła którego ze ŚŚ. Ojców, na tym mu wszystkie dni schodziły. Publiczne w ręku trzymając pióro przez dwadzieścia lat, dla udzielania narodowi uprzywilejowanych wiadomości, kto może być, ktoby nie wiedział jak gorliwym był obrońcą Religji? jak kochał swój zakon i swych rozproszonych współbraci? jak obstawał za powagą obrzędu i prawnéj zwierzchności? jak zawstydzał niedouczonych mędrków? jak się wszędzie stawiał mężnie Klubistom, Jakobinom, Anarchistom i tym podobnym teraźniejszego wieku zarazom? jak poprawiał zwodnicze, bezbożne, ludzkim towarzystwom szkodliwe płochych, albo całe zepsowanych ludzi zdania? A iż będąc na tym urzędzie, miał z niego dochód; niech się wstydzą którzy mu zazdrościli, bo każdy z nich byłby to był sam jak otchłań pochłonął, a tu tysiące nędznych swoję pomoc

*) Wöchentliche Thornische Nachrichten für die Jugend 1793, str. 230. Gazeta Warszawska 1793, № 68. Supplement.

znajdowały. I był to w saméj istocie fundusz niedostatecznie opatrzonych wielu zgromadzeń, wdów, sierot, podróżnych, wstydzących się żebrać, przyjeżdżających z potrzeby do Warszawy, a potym, ani się czém dłużéj utrzymać, ani o czém do domu powrócić nie mających. Fundusz uczciwych pogrzebów dla niedostatecznych; fundusz przyozdobienia kościoła w większe uroczystości; fundusz cisnącego się zewsząd wszelkiego rodzaju ubóstwa, a odchodzącego nie zbyle jaką, lecz w stosowne do potrzeby jałmużną. Słuszna jest i z téj miary rzecz, aby ten mąż, który tak wielu innych schodzących osób okoliczności życia, troskliwie zbierając, potomności w swém piśmie je podawał, sam téż choć przy skwapliwszym onych napomknieniu, zasłużonéj tejże pamiątki ubliżony nie był.»

Do téj smutnéj okoliczności stosując się pewny ś. p. księdza Łuskiny przyjaciel, następujące napisał wiersze:

Religio, Łuskina, tibi dum flebilis adstat
Impius exultet; Laus tibi major erit.

Toż po polsku:

Gdy nad twym religia zgonem rzewnie płacze,
Chwała ztąd Ci przybywa: że Libertyn skacze. *)

Że w samym środku półrocza zakończył życie autor *Gazety Warszawskiéj*, przyjaciele jego postanowili do końca roku, za niego wydawać daléj pismo Łuskiny. Zamiarowi ich dała początek myśl szlachetna, że nie godzi się zawodzić publiczności. Nie chcieli, żeby nad grobem

*) Gazeta Warszawska z dnia 24 sierpnia 1793 r. № 68. Supplm.

Łuskiny, ciążyła jako wyrzut, brzydka sława — nierzetelności. Czemuż dzisiaj, tak często zawodzą nadzieje i obietnice!

Gazeta chwilkę ustała, ale znowu zaczęła wychodzić po chwili. Daléj nie obiecywała życia, bo po sejmie czteroletnim następowała znowu epoka przywilejów. Łuskina umarł, — więc ze śmiercią jego ustał przywiléj. Nie szło zatém, żeby łatwo było pochwycić każdemu za prawo Łuskiny, po jego śmierci. Jezuita brał dawniéj spadek po jezuicie, ksiądz po księdzu, po Bohomolcu astronom Królewski. Ale teraz nastał wiek inny. Już mało było wtedy mieć imie literackie za sobą i naukę, żeby dostać przywiléj; owszem, inne zupełnie nastawały teraz warunki dla gazeciarskiego życia. Potrzeba było wtedy mieć za sobą plecy i dużo zasług, żeby otrzymać przywiléj. Od redaktorów w r. 1793 nie wymagano nauki, ale imienia wsławionego projektami, prawami, mądrością czerpaną w intrygach. Dla tego nie obiecywali wcale przyjaciele Łuskiny, że po Nowym Roku 1794 poprowadzą daléj *Gazetę Warszawską*.

Format, cena, znak na czele i treść pozostała takaż sama, jak za Łuskiny, w ostatnich czterech miesiącach 1793 r. Numer tylko porządkowy, przeniosła nowa redakcja na górę, a zmazała napis: *Nova et vetera*. Kantor przeniesiono z domu pojezuickiego do domu na Starém Mieście pod № 17. Zmiany te jednak zaprowadzono tylko na jeden kwartał, od 1 października do 31 grudnia.

Nowa redakcja oddawała prenumeratorom nowe bilety dla łatwiejszego porozumienia się. Wymieniała je za bilety

wzięte w kantorze księdza Łuskiny. Obywatelom na prowincji rozsyłała je pocztą. Pozwalała nawet całkiem wycofać się każdemu kto chciał i zwalniała z prenumeraty. Redakcja obiecywała, że postara się o nowiny, bo chciała mieć nagrodę w radości publicznéj. *)

Zaprowadzili nowi wydawcy dwie zmiany jeszcze, które wskazywały, że pojmują swoje zadanie, że w myśli ich jest systematyczność i pewny związek logiczny, że potrzeby ogółu i naukę mają na względzie, nie jedynie — prostą ciekawość.

Jedna zmiana była w samym sposobie redagowania pisma. Po okazałym nagłówku, który z tytułem połowę już przeszło pierwszéj stronnicy zajmował, następowały *wiadomości krajowe*, a w nich poddziały. Naprzód szła: *Litwa, powiat Grodzieński*. Pierwszeństwo to chętnie wydawcy zostawili Wielkiemu Księstwu, bo wtedy w Litwie obradował sejm, na którym rozstrzygały się losy Rzpltéj, pojedyńczych ziem i pojedyńczych ludzi nawet. Przytaczano zatém treść obrad sejmowych, dzień za dniem, tydzień za tygodniem, ale tak krótko, że o całych posiedzeniach ledwie bywało po kilka wierszy. Nie była to treść nawet, było to coś, co określić trudno. O mowach ani pytaj, imienia prawie żadnego z tych posiedzeń nie schwytasz, nie przywiążesz do żadnego swojéj uwagi. Bywały czasem i obszerniejsze sprawozdania, wtedy zwłaszcza, kiedy prawo jakieś nowe zacytować przyszło. Znalazł się wtedy nieraz i sam tekst prawa. Ale z resztą była to gazeta bez namiętności. Jego-

*) Patrz Korrespondet Krajowy i Zagraniczny 1793 r. № 78, dodatek str. 1651, pod tytułem: *Kopja ostrzeżenia do Publiczności.*

mość pan Łobarzewski tak dobrze w niéj figurował, jak jegomość pan Ciemniewski. Po tych wiadomościach Grodzieńskich, następował drugi tytuł, który już miał związek z miejscem gdzie drukowano gazetę. Tytuł ten był: *Korona, Księstwo Mazowieckie, Ziemia Warszawska,* i znowu parę mniéj jeszcze treściwszych wierszy jak o Grodnie, to jest o działaniach Konfederacji Ziemi Warszawskiéj, o Komissji Bankowéj wyznaczonéj do massy Teppera, Prota Potockiego, Szulca i t. d. Księstwo Mazowieckie w gazecie przedstawiało całą widać Koronę, bo jednakże cały ten kwartał, nie było w niéj żadnych wiadomości np. z Lublina, z Krakowa, z Łucka, a tylko jedynie z Warszawy. Była to jeszcze do tego gazeta zbyt poważna. Łuskina donosił czasem o weselach, uroczystościach, — w gazecie jego przyjaciół, nie było dla takich wiadomości miejsca. Nawet nie widzieliśmy nigdzie, żeby pisano w ciągu tych trzech ostatnich miesięcy Łuskinowskiéj gazety, cokolwiek w niéj o urzędach, o rozdaniu wakansów powiatowych. My właśnie w tém widzim niepoślednią wartość historyczną pisma księdza jezuity, że autor nigdy nie opuszczał żadnych wiadomości o wakansach, dostojnościach wojewódzkich i powiatowych, przez co zrobił swoją gazetę, jakby stanem służby wszystkiéj utytułowanéj szlachty koronnéj i składem bardzo zajmujących wiadomości. Litewskiéj szlachty nie czepiał się Łuskina, chociaż był Białorusinem, — pisał dla prowincji koronnych, i litewskiéj gazecie zostawiał wiadomości o dostojnościach litewskich. Był wyrozumiały, jak widzim. Zaniemeńskiéj braci nie zazdrościł powietrza i wody.

Następował tytuł: *Wiadomości Zagraniczne*, z napisami: *Anglja, Francja, Niemcy* i t. d., bardzo starannie opracowywany. Trzeba przyznać, że i Łuskina poprawił się wiele pod tym względem. Jego wiadomości zagraniczne w późniejszych latach gazety, obfitowały doprawdy w fakta. Można już było z nich nabyć pewnego wyobrażenia o dziejach spółczesnych. Zastępcy księdza astronoma Królewskiego, zdaje się nawet, wyłącznie zagranicę mieli na celu. Innym pismom zostawiali wiadomości Grodzieńskie, a sami mieli oczy zwrócone na zachód Europejski. Już same tytuły pojedyńczych krajów dowodzą naszego wniosku. Łuskina wszystko mieszał, jak to mówią, tak jak groch z kapustą.

Kolosalne wojny toczyła wtenczas Europa, skoalizowana przeciw Francji. Uwaga wszystkich tam głównie zwróconą była na teatr wojenny. Poszukiwano więc mapp, atlasów, książek jeograficznych. Otoż zastępcy księdza Łuskiny na myśl wpadli zapewne dziwną, ale pożyteczną. Pisząc np. o Marsylji, w przypiskach zaraz opisywali Marsylję, dawali szczegóły statystyczne o ludności, obszerności miasta, o jego wspomnieniach historycznych, opisywali okolice, miejscowość. Przypiski te mniejsze, albo większe były, jak tego wymagała potrzeba, albo jak wydawcom starczył zapas przygotowanych wiadomości, które zapewne wypisywali ze swoich słowników jeograficznych. Tak po kolei opisywali w swoich przypiskach Marsylję, Lauterburg, Gandawę, Brügge, wszystkie prawie miasta Wandei, północnéj Francji, belgickie i nadreńskie. Nie tylko więc podawali opis wypadków, ale uczyli zaraz czytelników

jeografji, wskazywali na strony, w jakich zaszły te wypadki. To była druga zmiana, którą zaprowadzili zastępcy Łuskiny, przez trzy miesiące swojego urzędowania.

Po wiadomościach zagranicznych, następował trzeci oddział: *Wiadomości rozmaitych*. Tu miały miejsce mniéj ważne nowiny i anegdoty spółczesne.

W takim sposobie wydawana Gazeta składała się zawsze z arkuszowego numeru i z ćwiartki albo z pół arkusza dodatku.

Skutkiem tych gęstych objaśnień jeograficznych, wydawcy wpadli jeszcze na jednę myśl. Mówili prenumeratorom, że im dają dykcjonarz jeograficzny, że dotrzymują więcéj, jak obiecali. Tylko ten dykcjonarz nie miał żadnego systematu; otoż dla dobra gazety, należało rozsypane wiadomości ująć pod ten systemat. Wydawcy zatém dołączali co miesiąc na ostatniéj stronicy ostatniego numeru, spis alfabetyczny objaśnionych miejscowości, z oznaczeniem stronnicy. Tak w saméj rzeczy, czytelnicy mieli ułatwione sobie poszukiwania i cieszyli się swoim dykcjonarzem jeograficznym, na który zdobyć się tak mądrze potrafił, tanim kosztem, dowcip wydawców.

Znali téż cenę swojéj przysługi zastępcy księdza Łuskiny. Powiadali, że kiedy ułożą rejestr ogólny, prenumeratorom przez to samo dadzą słownik, *drogo często przychodzący*, że słownik ten wystarczy im i do innych gazet i do rozmów potocznych. Nie zwracali na to uwagi wydawcy, że słownik ten miał bardzo krótkie wyznaczone sobie dni życia.

Obok objaśnień jeograficznych, wydawcy dawali w przypiskach szczegóły biograficzne i o sławnych spółczesnych

osobach, np: o jenerałach takich, jak Houchard, Kilmaine i t. p. I te spisy osób weszły w dykcjonarz jeograficzny. Autorowie Gazety dosyć skromni byli, że nie pochwalili się jeszcze z dykcjonarzem historycznych osób. Ale nie wiele było tych osób.

Dziwnie wyglądają te przypiski, a jednak były pożyteczne w swoim czasie. Nas by to doprawdy gniewało, gdyby redaktorowie dzisiejsi wskazywali nam np. posadę Lyonu, Bordeaux, Düsseldorfu, — mówilibyśmy im, że nas mają za zupełnych nieuków, że my się wstydzim grubéj niewiadomości naszéj. A jednak uderzywszy się w piersi, powiedzmy prawdę, wielu by to się między nami podobnych czytelników znalazło, którymby przy książce bardzo były na rękę te elementarne, gazeciarskie o krajach i miastach wiadomości!

Ale objaśnienia Gazety Warszawskiéj żadnych granic nie miały. Mogliby i ówcześni czytelnicy wyrzucać następcom księdza Łuskiny, że ich mają za zupełnych nieuków. Rozumiemy to, że autor Gazety objaśnia wyrazy: San Domingo, Jamajka, Amsterdam, ale dziwim się ogromnie, kiedy nawet opisuje Żmudź, określa granice, wylicza powiaty i ziemie, a nawet rozprawia o sądach, sejmikach, posłach, deputatach, herbie Żmudzi, kiedy liczy senatorów i rzeki świętéj krainy Litewskiéj. Dziwi nas, że opisuje w kilku wierszach Siedlce, z okoliczności pobytu Króla w tém miejscu, kiedy powracał z Grodna (1793). To wszystko bardziéj na popis i erudycję podobne, zajmuje darmo miejsce w gazecie i powiedzmy po prostu, — nie ma sensu. Te objaśnienia dla Polaków ziemi polskiéj wy-

glądają zabawnie! jakby to Żmudź i Siedlce były gdzieś za górami i morzami!

Tymczasem kończyła życie gazeta Łuskiny. Na sejmie Grodzieńskim 1793 r. otrzymał wyłączny przywiléj znowu na wydawanie pism politycznych w Warszawie, sławny stronnik Króla Stanisława i Bielińskiego, marszałka sejmu, poseł Gostyński. Poniatowski mianował go Kommissarzem w Kommissyi Policji (Był to wysoki urząd, gatunek dzisiejszego członka Kommissji Rządowéj, dyrektora wydziału). Włodek po sejmie Grodzieńskim zamieszkał więc w Warszawie i wydał prospekt na *Gazetę Krajową*.

Gazeta Warszawska pod koniec swojego życia była bardzo sumienną. Dwa razy w grudniu wypadały święta we środę, dwa razy zatém wyszła we wtorek. W numerze zaś przedostatnim, 104tym z dnia 28 grudnia żegnała się czule z publicznością. Mówiła o prawach Włodka, przed któremi ustąpić musi, przypominała, że teraz żadna inna gazeta w obec Grodzieńskiego przywileju, wychodzić nie może w Warszawie, wspominała i o tém, że długo służyła publiczności, że wynagradzano ją za gorliwą pracę dosyć miernie. Wreszcie, rozlała się w czułości i obietnice: «Składają już inni pióra, mówiła, chować go i niniejsza przymuszona gazeta; starać się jednak będzie jéj autor, aby choć z innego miejsca łaskawéj nie przestawał czynić publiczności przysługi, która wady téj pomimo woli może wciśnione już chyba sama poprawi i omyłkom, jeżeli jakie zdarzyły się, ile ludzkim, wybaczy. Celem piszącego było zawsze rzeczy bezstronnie, tak jak z początkowych wychodziły źródeł, donieść; nie spodziewa się,

żeby swém pismem albo kogo naraził, albo na zniechęcenie sobie zarobił, zatym poleca się zawsze tym względom, na jakie przez dnie i noce na pracy przepędzone, zasługować u publiczności starał się, i daléj, ile okoliczność dozwoli, starać się jeszcze tym czasem będzie.»

Ma cóś zawsze w sobie uroczystego, każdy żal szczery, każde pożegnanie szczere, każde wspomnienie zasługi, któréj już z pola zejść wolno a innym miejsca ustąpić. Są to chwile równie uroczyste w życiu pojedyńczego człowieka, jak i w życiu społeczeństw, jak i w życiu każdego pisma. Gazeta Łuskiny miała swoje wady, zarozumiałość, przywiléj, ale lat 21 służyła Warszawie i Rzpltéj, ogłaszała nowiny, zawiadamiała o szczęśliwych i nieszczęśliwych godzinach. Teraz *Gazeta zadawniona Warszawska* winna była miejsca innym młodszym siostrom ustępować, a nie ustępowała go dobrowolnie, ale z prawa, przymuszona do tego kroku. Nie dziwim się tedy, że redaktorowie, przy pożegnaniu się z publicznością smutni być musieli. Wtenczas pismo każde było własnością osoby, mężniało i upadało ze swoim autorem. Łuskina umarł, w sierpniu więc 1793 r. jeszcze, z nim razem, umarła jego Gazeta. Udało się jéj przecież przewlec to życie do czterech miesięcy. Włodek zastępował dawne miejsce Bohomolca i Łuskiny, — po Wiadomościach Warszawskich i Gazecie Warszawskiéj następowała Gazeta Krajowa z godłem: *Lege et elige* (czytaj i wybieraj).

W ostatnim 105tym numerze, autor zawiadamiał czytelników, że ktoby z nich życzył sobie mieć jéj exemplarz całkowity z ostatniego kwartału, dostać go może w księ-

garni Kocha około kościoła Ś. Jana, gdzie przedtém wydawaną została. W oprawie à la rustica exemplarz kosztował złtp. 4, a bez oprawy złtp. 3. Zachwalając swoje pismo mówili wydawcy, że same adnotacje jeograficzne znajdujące się w gazecie, zawsze każdemu będą przydatne, a oprócz tego ciekawa w niéj historja wojny koalicji przeciwko Francji, ile przeciąg czasu pozwolił, chronologicznie i bezstronnie opisana. Widzim z tego, jak zawsze cenili, przy każdéj sposobności, wydawcy ten swój zachwalony dyarjusz. Znajduje się rejestr imion własnych, objaśnionych przez gazetę, w №№ 87, 96 i 105. W słowniku biograficznym tylko następujące błyszczą imiona: Jan Barth, Ditrich, Drouet, Leopoldyna Frej, Houchard, Luckner, Demetrius Komnen i Jourdan. Na całe wieki historyi to troszkę za mało, tym bardziéj, że Ditrich np. mało może interessować jako mer Strasburga, a Leopoldyna Frej jako ulubienica Chabota.

Potrzeba oddać sprawiedliwość temu dalszemu ciągowi gazety Łuskiny, że język w ostatnich czterech miesiącach był czysty i widoczna staranność. Nie ma tam już addytamentów, supplementów, są wszędzie dodatki, a wiadomości treściwie podawane. Na Grodno tylko się skarżyli wydawcy i często odwoływali raz umieszczone a ztamtąd pochodzące wiadomości; tak sprzeczne dochodziły ich wieści o posiedzeniach sejmowych. Za powód tych sprzecznych częstokroć z sobą wypadków, podawali, że arbitrowie nie mieli miejsca na sejmie.

Zakończym rzecz o gazecie Łuskiny jeszcze jedną uwagą, która nam wskaże na nową wartość pisma, nie spostrze-

żoną wprzódy przez nas, czyli raczéj przepuszczoną na właściwém miejscu, w tym szkicu naszym. W doniesieniach na końcu Gazety umieszczanych, znajdujem bardzo ciekawe wiadomości literackie; cała tam prawie statystyka piśmiennictwa Warszawskiego, za czasów Stanisława Augusta. Dowiadujemy się tam o szczegółach wydania, o cenie, o druku, o czasie wyjścia, o autorze, a to wszystko z doniesień, które w swoim czasie mało miały znaczenia, ale dla nas stanowią bogaty materjał historyczny do dziejów literatury, a zwłaszcza bibliografji. Wiele tam, w doniesieniach gazeciarskich, broszur spotkamy z tytułu dzisiaj prawie nieznanych, albo rzadkich, wiele pism nawet obszerniejszéj treści, w dziele Bentkowskiego przecież nie zanotowanych. Dla Obrazu Jochera, dla każdéj innéj pracy w podobnym rodzaju, będzie zawsze nieocenionym skarbem gazeta Łuskiny. Pod tym względem odbijała ona zupełnie życie umysłowe Warszawy. Ruch literacki stolicy z niéj widoczny. Z jéj doniesień lepiéj jak z katalogów drukowanych i nie drukowanych, możemy pisać dzieje księgotłóczni Warszawskich, możemy miarkować o znakomitém stanowisku, jakie Dufour i Grell, sławni księgarze, za epoki Poniatowskiego, zajmowali. Do samych dziejów tych księgarzy, nieprzyjaciół swoich, dostarczy nieocenionych szczegółów gazeta Łuskiny.

Wszakże i z naszych drobnych prac kilku, czytająca publiczność mogła już sądzić o znakomitéj wartości doniesień literackich Łuskiny. Nie autora gazety przecie w tém zasługa, a pisma, które przyjmowało podobne księgarskie doniesienia.

Autorowie Gazety, następcy księdza Łuskiny, niezgadli przyszłości. Przywiléj Włodka upadł niedługo; kupił albowiem zaraz w r. 1794, od posła Gostyńskiego, prawo do wydawania gazety Antoni Lesznowski. W odnowionéj zatém formie, pod nową redakcją, wychodziło ciągle daléj pismo Łuskiny i przetrwało aż do naszych czasów. Dzisiaj Gazeta Warszawska liczy już 77 lat życia. Dzieje téj drugiéj epoki ciekawe i obchodzące piśmiennictwo naszego miasta, rozpowiemy kiedy indziéj, za wolnym czasem. Gazeta Warszawska, jest przecież zawsze patryarchą całego pokolenia polskich dzisiejszych pism czasowych.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

TREŚĆ TOMU PIERWSZEGO.

—

stron.

Biskup Naruszewicz 1
Felix Łojko 145
Jerzy Ożarowski. 173
Karol de Nassau 207
Gazeta księdza Łuskiny 261

—

1/3 300-
252/22261

Biblioteka Wojsk. Akad. Polit.
im. F. Dzierżyńskiego

BIBLIOTEKA NAUKOWA WDP

T 1.
130201
1